

# TO, CO ZOSTAWIŁA



Ellen Marie Wiseman

Ellen Marie Wiseman

# TO, CO ZOSTAWIŁA

PRZEŁOŻYŁA  
Alicja Laskowska



*Dla mojego męża, Billa*  
*– który zawsze we mnie wierzy*

# PODZIĘKOWANIA

Korzystając z okazji, chciałabym jeszcze raz podziękować wszystkim osobom, które mi pomagały, wspierały i wierzyły we mnie w trakcie tej niesamowitej podróży.

Największe wyrazy wdzięczności należą się Darby Penney i Peterowi Stastny'emu, autorom *The Lives They Left Behind: Suitcases from a State Hospital Attic*, bez których moja powieść nigdy by nie powstała. To właśnie Wasza książka zainspirowała mnie do zmierzenia się z tym tematem i otworzyła mi oczy na częstokroć smutny i bolesny świat dawnych zakładów psychiatrycznych. Mam szczególny dług wobec Darby Penney, która cierpliwie odpowiadała na moje niekończące się pytania na temat szpitala Willard i tego, co musiały przeżywać tam pacjentki w latach 30. XX wieku. Mam nadzieję, że wybaczysz mi wszelkie historyczne nieścisłości oraz twórczą swobodę, na które sobie pozwoliłam.

Pragnę gorąco podziękować Deborah Jiang Stein, autorce i założycielce projektu unPrison, za zaspokojenie mojej ciekawości dotyczącej kwestii kobiet w więzieniach. Dziękuję również Andrew Thompsonowi za udzielenie mi wyczerpujących odpowiedzi na temat strażników więziennych.

Jestem ogromnie wdzięczna rodzinie i przyjaciołom, którzy dzielnie znosili mój szalony rytm pracy, nie gniewali się, kiedy musiałam powiedzieć „nie”, i zapewnili mi idealne warunki do pracy. Dziękuję za

Waszą niezachwianą wiarę w moje możliwości, za cierpliwość i wyrozumiałość, a przede wszystkim za Waszą bezgraniczną miłość.

Powiedzieć, że jestem wdzięczna mojej grupie autorskiego wsparcia z Book Pregnant (<http://bookpregnant.blogspot.com/>), to za mało. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła przetrwać jakoś tę zwariowaną i porywającą podróż bez Waszej przyjaźni i bezcennych porad. Razem podbijamy świat, książka za książką!

Ogromne podziękowania należą się również mojej przyjaciółce i kosmicznej siostrze, Barbarze Titterington. Dziękuję, że jesteś jedną z moich największych fanek i że przeczytałaś pierwszą wersję powieści. Miło wiedzieć, że w Twoich oczach zawsze jestem gwiazdą.

Mam też dozgonny dług wdzięczności wobec mojego wspaniałego redaktora Johna Scognamiglia, który nigdy nie przestał we mnie wierzyć, oraz mojego cierpliwego i wnikliwego agenta Michaela Carra. Dziękuję Wam za ciągłe wsparcie i bezcenne uwagi oraz za to, że pomogliście mi solidnie dopracować całą historię. Podziękowania należą się również Vidzie Engstrand, za wypromowanie moich książek, oraz Meryl Earl, dyrektor do spraw praw autorskich, która zajęła się kwestią tłumaczeń na inne języki. Dziękuję też Kristine Mills-Noble za cudowne projekty okładek. Stokrotne dzięki całej reszcie załogi Kensington Publishing Corp. za ciężką pracę, którą wykonujecie za kulisami.

Żadne podziękowania nie byłyby kompletne bez paru słów na temat ludzi, którzy tworzą moją lokalną społeczność. Kimkolwiek jesteś – bibliotekarką, która poprosiła, abym dała mały wykład, dziennikarzem, który napisał o mnie artykuł, członkiem klubu czytelniczego, który zaprosił mnie do swojego domu, fanem z internetu czy po prostu kimś, kto przeczytał moją książkę i postanowił powiedzieć mi kilka miłych słów na

jej temat – nawet nie wiesz, jak ważne było dla mnie Twoje wsparcie i życzliwość. Widok Waszych uśmiechniętych, rozplomienionych twarzy niejednokrotnie rozczulił mnie do łez i wypełnił serce dumą. Nigdy tego nie zapomnę.

Jak zawsze chciałabym z całego serca podziękować mojej ukochanej mamie, Sigrid, która jest moją ostoją, oraz mężowi, Billowi, za to, że pomógł mi dotrzeć do końca. Żadne słowa nie są w stanie wyrazić, jak wiele dla mnie znaczą. Na koniec pragnę wyrazić dozgonną miłość i wdzięczność wobec moich dzieci – Bena, Jessiki i Shanae – oraz wnuków – Rylee, Harper i Lincolna. Jesteście moim największym osiągnięciem i kocham Was całym swoim jestestwem. Sprawiacie, że warto żyć.



## *Szpital Psychiatryczny Willard*

1995

Siedemnastoletnia Isabelle Stone ledwo postawiła stopę na terytorium szczelnie pozamykanego Szpitala Psychiatrycznego Willard i już wiedziała, że to był błąd. Gdyby ktoś dostrzegł ją tam, stojącą na popękanej, pełnej dziur drodze przecinającej ten ogromny, okolony drzewami teren, nie miałby żadnego pojęcia o koszmarze, który zatruwał jej myśli.

Tej leniwej sierpniowej soboty ciepła bryza, niosąca ze sobą zapach rogoży i wodorostów, raz po raz mierzwiła sosny rosnące po lewej stronie podwórza. Upał unosił się drżącymi falami nad spieczoną słońcem ziemią, a cykady odgrywały swój niekończący się koncert w wysokich trawach niedaleko lasu – niczym żywy termometr, który z każdym kolejnym stopniem Celsjusza intensyfikował swoje wysiłki. Wypielegnowane trawniki Willard, zdobiące otoczenie głównych budynków szpitala, delikatnie opadały w stronę kamienistego wybrzeża jeziora Seneca. Na jego falach sennie kołysały się łódki, a długie moło zdawało się namawiać do zanurzenia w lśniących wodach.

Isabelle – ojciec nazywał ją Izzy – powinna była cieszyć się słoneczną aurą i przepięknym widokiem. Zamiast tego zaciskała zęby, rozpaczliwie próbując uwolnić się od obrazu krwawiącej dziury w czaszce swojego ojca. Czowała się tak, jakby trafiła do czyścica. Czy kiedykolwiek zazna jeszcze spokoju, czy może już zawsze będzie tą siedmioletnią dziewczynką, która wciąż na nowo przeżywa tę potworną noc, kiedy jej ojciec został brutalnie zamordowany?

Izzy wyszła z cienia Chapin Hall, ogromnego głównego budynku

szpitala, zamknęła oczy i skierowała twarz do słońca, próbując wyprzeć z głowy wszelkie myśli. Jednak kiedy spojrzała znów na trzypiętrowy ceglany budynek w stylu wiktoriańskim i jego katedralne okna, jej twarz opanował znów grymas żalu i strachu. Imponująca dwupiętrowa kopuła z owalnymi okienkami górowała nad czarnym mansardowym dachem, z którego wyrastały liczne lukarny, wieżyczki oraz kominy. Olbrzymie dwuskrzydłowe drzwi wejściowe ochraniał kamienny portyk z rozpadającymi się filarami. Czarne kraty zakrywały wysokie okna, które prawie wszystkie były zabite deskami od środka – z wyjątkiem lukarn na strychu oraz owalnych okien zdobiących kopułę. Budynekowi bliżej było do nawiedzanej posiadłości niż miejsca zaprojektowanego z myślą o niesieniu pomocy.

Izzy zastanawiała się, jakie potworności miały miejsce w tym ponurym budynku. Jakie okropne wspomnienia wsiąkły w cegły, zaprawę murarską i zmatowiałe szkło, stając się nieodłączną częścią całej struktury, zapieczętowane krwią i łzami? Podobnie jak udręka i cierpienie już zawsze będą częścią jej jestestwa, tak i wspomnienia tysięcy udręczonych dusz będą już na wieki związane z Chapin Hall oraz pozostałymi budynkami tworzącymi Willard. W jaki sposób to miejsce miałoby stać się kiedyś czymś więcej niż tylko przygnębiającym cmentarzyskiem przypominającym o utraconych istnieniach i bliskich osobach?

Przełknęła ślinę i odwróciła się w stronę wody, osłaniając ręką oczy przed słońcem. Zastanawiała się, czy mijający ich żeglarze spoglądali czasem na szpital i stwierdzali, że te ceglane budynki i ich idylliczne otoczenie należą do jakiegoś lokalnego klubu lub uniwersytetu. Z daleka cały kompleks wyglądał na zadbany i elegancki. Lecz ona nie dała się zmylić. Wyobraziła sobie byłych pacjentów siedzących na wózkach



inwalidzkich czy włączających się po dziedzincu – szpitalne koszule zwisające z ich wychudzonych ciał, nieobecne, zamglone spojrzenia. Wyobraziła sobie, że jest jednym z nich i tak jak oni spogląda na błękit jeziora. Czy zdawali sobie sprawę, że inni ludzie z niewielkich osad po drugiej stronie zatoki wypływają w tym czasie na przejażdżki łodziami, gotują obiady, zakochują się i rodzą dzieci? Zastanawiali się, czy kiedykolwiek uda im się opuścić mury tego straszego miejsca, czy będą jeszcze mogli wrócić do „normalnego” świata? A może żyli w kompletnej nieświadomości tego, co tracili?

Kiedy kolejne wspomnienie wdarło się do jej myśli, Izzy poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Tym razem zobaczyła swoją matkę, Joyce, rozłożoną na łóżku w Centrum Psychiatrycznym Elmira, jej szkliste oczy patrzące tępo w sufit i włosy sterczące we wszystkich kierunkach. Pamiętała, że był to parny dzień, taki jak ten, przez co tusz do rzęs i eyeliner tworzyły czarne strugi na bladych policzkach matki, upodabniając ją do klauna, którego złapała ulewa. Izzy pamiętała, jak sama schowała twarz w spódnicy babki, błagając ją, żeby wróciły do domu. Nigdy nie zapomni niekończących się białych korytarzy oddziału dla chorych psychicznie, zapachu moczu i wybielacza, ciemnych sal, pacjentów na wózkach inwalidzkich i łóżek otoczonych gumowymi ścianami. Po tamtej wizycie całymi latami prześladowały ją koszmary. Poprosiła swoją babcię, żeby nie kazała jej już tam wracać, i na szczęście kobieta się zgodziła.

Izzy otuliła ramionami swoje drżące ciało i krocząc dalej podniszczoną główną drogą do Willard, zastanawiała się, jak doszło do tego, że zwiedza właśnie ogromną replikę tamtego przerażającego miejsca. Mogła przecież powiedzieć, że ma migrenę czy mdłości, wymyślić jakąś wymówkę. Było wielu pracowników muzeum, którzy mogli ją zastąpić. Nie chciała jednak

rozczarować swojej nowej przybranej matki, Peg, która była kuratorem muzeum. Po raz pierwszy od śmierci babki Izzy mogła powiedzieć, że ma przybranych rodziców, którym naprawdę na niej zależy.

To prawda, że za niecały rok skończy osiemnaście lat. Znała ten system na tyle dobrze, by zdawać sobie sprawę, że osiemnaste urodziny nie miały nic wspólnego ze świętowaniem. Kiedy pieniądze przestaną spływać, będzie zdana na samą siebie. „Wyrosnąć” z opieki zastępczej oznaczało zostać bezdomnym. Słyszała historie o dzieciakach, które lądowały w więzieniu i na pogotowiu, sprzedawały narkotyki i żyły z zasiłku z opieki społecznej i bonów żywnościowych. Jak bardzo trzeba być zdesperowanym, żeby złamać prawo, by przeżyć? Póki co sprawy miały się dobrze i nie chciała tego zepsuć.

Peg poprosiła ją, by pojechała do starego szpitala psychiatrycznego i pomogła zabezpieczyć wszystko, co było warte zabezpieczenia, nim budynki zostaną przeznaczone do rozbiórki. Nie wspominając słowem o swoich obawach, Izzy przystała na jej propozycję. Poczuli ogromną ulgę, kiedy Peg pozwoliła jej zapoznać się najpierw z otoczeniem budynków, zamiast posyłać ją od razu do środka z całą resztą, by schodziła do piwnic, przechadzała się po kostnicy i zwiedzała setki opuszczonych sal. Dręczyło ją jednak pytanie, co Peg by sobie pomyślała, gdyby wiedziała, że samo przebywanie w pobliżu Willard przygotowuje Izzy o mdłości.

Przeszła przez drewniany mostek nad wyschniętym korytem strumienia i udała się wąską drogą w stronę sosnowego lasu. Po lewej dostrzegła stado bernikli kanadyjskich szukających pożywienia na zarośniętym polu. Ich zwieszane nad nawłocią głowy przypominały wypolerowane czarne główki dzentelmeńskich lasek. Parę metrów od krawędzi drogi trzy szaro-żółte gąsiątka chowały się w gnieździe utkanym z tymotki i gwiazdnicy,

bacznie obserwując otoczenie. Izzy zatrzymała się, by na nie popatrzeć. Pisklęta miały otwarte oczy, ale nie ruszały się. Przysunęła się bliżej, kątem oka kontrolując dorosłe ptaki uczujące na polu. Niezależnie od tego, jak bardzo zbliżała się do młodych, żadne z nich nawet nie drgnęło. Izzy przełknęła ślinę i poczuła, że ma gulę w gardle. Wszystko wskazywało na to, że gąsiątka były martwe albo umierające.

Kucnęła i podniosła jedno z nich, obracając w rękach jego miękkie, bezwładne ciało, szukając jakiejś rany pod skrzydełkami i na brzuszku. Poruszyła jego nóżkami i szyją, sprawdzając, czy nie ma złamanych kości. Nie znalazła żadnego śladu urazu, a jego delikatny puszek był jeszcze ciepły. I wtedy pisklę mrugnęło. Wciąż żyło. Może małe były chore, podtrute niewłaściwie zutylizowanymi chemikaliami czy lekami z Willard. Izzy podniosła pozostałe dwa gąsiątka i również nie znalazłszy niczego niepokojącego, odłożyła je na miejsce.

Przez chwilę zastanawiała się, czy Peg pozwoliłaby wziąć je do domu, by tam spokojnie wróciły do zdrowia. Potem przypomniała sobie, że dzikie zwierzęta należy zostawić w spokoju, nie ingerować. Może ich matka zaraz wróci i zorientuje się, że coś jest nie tak. Izzy wyprostowała się i wróciła na drogę z oczami pełnymi łez. Raz po raz zaglądała przez ramię, licząc, że zjawią się rodzice pisklątek. Ufała, że nic im się nie stanie. Wtem, ni stąd, ni zowąd, gąsiątka wyskoczyły z gniazda i popędziły w kierunku pola, do matki, która biegła już im na spotkanie, gęgając wniebogłosy. Izzy uśmiechnęła się do siebie i otarła łzy, zaskoczona, że gęsi potrafią udawać nieżywe.

Odetchnąwszy z ulgą, kontynuowała swoją przechadzkę w stronę lasku. Po jednej stronie drogi zauważyła pochylony czteropiętrowy budynek stojący pośrodku pola. Jego powybijane okna zabezpieczone były

żelaznymi kratami, dach całkiem się już zapadł, a zielone kafelki i połamane drewno pokrywała czarna pleśń. Wyglądało to tak, jakby budynek spadł tu z nieba niczym statek sponiewierany przez żywioł i wyrzucony na brzeg tysiące kilometrów od morza. Po drugiej stronie drogi całe rzędy wąskich żelaznych tablic zatkniętych na grobach przecinały wyłysiałą łąkę. Większość z nich była przekrzywiona na prawo i lewo niczym zaniedbane, szare zęby. Izzy poczuła gorzki smak w ustach. Stała właśnie przed cmentarzem Willard. Odwróciła się na pięcie i pobiegła z powrotem do głównego kompleksu składającego się z rzędów potężnych ceglanych budynków oddziałów szpitala połączonych z Chapin Hall.

Wszystkie wyglądały podobnie – schody przeciwpożarowe zabezpieczone drucianymi kratkami, brudne okna przesłonięte grubymi prętami i czarny osad ściekający po murach z gnijących parapetów. Drzwi i okna były w większości zabite deskami od środka, tak jakby ktoś kiedyś uznał, że koszmarne wspomnienia związane z tymi murami nie powinny już nigdy wyjść na światło dzienne. Izzy zadrżała na całym ciele. Ilu pacjentów cierpiało katusze i w końcu umarło w tym okropnym miejscu?

Właśnie wtedy ktoś zawołał ją po imieniu, wrywając z zadumy. Kiedy odwróciła głowę, zobaczyła uśmiechniętą Peg biegnącą w jej kierunku. Odkąd Izzy poznała swoją nową przybraną matkę, kobieta przypominała jej hippiskę z lat sześćdziesiątych. Teraz też tak było. Peg miała na sobie dzinsowe ogrodniczki i kwiecisty top, a na głowie niesforną burzę loków.

– Czy to miejsce nie jest niesamowite? – spytała kobieta. – Nie miałam pojęcia, że Willard jest aż tak ogromne!

– Jest całkiem spore, nie da się ukryć – odpowiedziała Izzy, starając się zabrzmieć uprzejmie.

– Widziałeś hangar na łodzie i przystań? Pierwszy pacjent, a właściwie

pacjentka szpitala Willard przybyła tu na pokładzie parowca w październiku 1869 roku. Miała na imię Mary Rote i była zdeformowaną, obłąkaną kobietą, którą przez dziesięć lat przetrzymywano w przytułku dla ubogich w hrabstwie Columbia, nagą i bez żadnego łóżka, przykutą do ściany łańcuchami jak zwierzę. Tego dnia przyplłynęło tu jeszcze trzech innych pacjentów, wszyscy w kajdanach. Jeden z nich znajdował się w klatce, która do złudzenia przypominała te do transportowania kurczaków.

Izzy skierowała wzrok na molo. Na prawo od przystani stał dwupiętrowy hangar z powybijanymi oknami i dziurami po wyłamanych gontach, przywodzący na myśl poobijaną twarz z opadającymi powiekami.

– Ale to czyste barbarzyństwo! – stwierdziła oburzona.

– To prawda – przytaknęła Peg. – Ale właśnie dlatego zbudowano Willard. Miało to być idealne miejsce dla ludzi nieuleczalnie chorych psychicznie, którzy z braku alternatywy umieszczani byli w przytułkach i więzieniach. Po przyjęciu do szpitala nowi pacjenci byli kąpani, ubierani, karmieni i zazwyczaj w spokoju dochodzili do siebie na licznych oddziałach.

– Więc ludzie byli tu dobrze traktowani?

Twarz Peg pociemniała.

– Myślę, że z początku tak. Jednak z biegiem lat Willard zaczęło zmagać się z przeludnieniem, co skutkowało pogarszającymi się warunkami. Niestety prawie połowa wszystkich pacjentów szpitala zmarła w tych murach. A przyjęto ich łącznie jakieś pięćdziesiąt tysięcy.

Izzy zagryzła dolną wargę, głowiąc się, jak spytać, czy nie mogłaby po prostu poczekać w samochodzie. Wtem Peg uśmiechnęła się i złapała ją za rękę.

– No chodź! – Jej oczy na nowo nabrały blasku. – Jeden z byłych pracowników chce pokazać nam coś w starym warsztacie. Czuję, że będzie to ważne znalezisko, i nie chcę, żebyś to przegapiła!

Izzy zaklęła w myślach i ruszyła za swoją przybraną matką wzdłuż głównej drogi w kierunku warsztatu, desperacko próbując wymyślić jakąś wymówkę, żeby nie wchodzić do środka. Miała pustkę w głowie. Nie wpadła na nic, co nie zabrzmiałoby głupio lub wariacko. A nie chciała, żeby Peg pomyślała sobie, że Izzy jest szalona. Minionego lata, kiedy pierwszy raz zjawiała się u Peg i Harry’ego, była przekonana, że okazą się tacy sami, jak wszyscy jej poprzedni przybrani rodzice. Że zabrali ją do siebie dla pieniędzy i darmowej siły roboczej. Harry był dyrektorem artystycznym w państwowym muzeum i Izzy odniosła wrażenie, że w ich domu nigdy się nie przelewało. Na szczęście tym razem była w błędzie. Jej nowi przybrani rodzice okazali się porządnymi ludźmi, gotowymi zapewnić jej przestrzeń i swobodę – zarówno w sensie fizycznym, jak i emocjonalnym – których każda młoda kobieta tak bardzo potrzebuje. W ich trzypiętrowym domu w Interlaken Izzy miała własny pokój z widokiem na jezioro, wyposażony w telewizor, DVD oraz komputer. Stwierdzili, że to od niej zależy, czy już zawsze będą ją darzyli takim zaufaniem. Wtedy po raz pierwszy ktoś pozwolił Izzy zdecydować o zasadach gry, nie zakładając z góry, że jest to przegrana sprawa. I teraz po raz pierwszy od bardzo długiego czasu Izzy czuła, że jest częścią czegoś „normalnego”.

A jednak czasami ta nowa sytuacja wydawała się zbyt piękna, żeby mogła być prawdziwa. Głęboko w środku wiedziała, że coś lub ktoś może jeszcze to wszystko zniszczyć. Tak zazwyczaj układało się jej życie. Potem przypomniawszy sobie, że za dwa dni będzie musiała pojawić się w nowej

szkole, i żołądek podszedł jej do gardła. Bycie „tą nową” nigdy nie jest przyjemne.

Im bardziej zbliżały się do warsztatu, tym większe odczuwała uderzenia gorąca. Podobnie jak jej matka, Izzy miała szaroniebieskie oczy, czarne włosy i jasną karnację. Kiedy się denerwowała, na jej szyi i dekolcie pojawiały się czerwone plamy. Czowała właśnie, jak kolejna fala gorąca rozlewa się po jej skórze. Przebywanie na zewnątrz, na trawnikach szpitala, to jedno. Ale teraz wchodziła do jednego z budynków. Z każdą chwilą rosła w niej coraz silniejsza potrzeba ucieczki, sprawiając, że serce niemal wyskakiwało jej z piersi. *To tylko jeden z aspektów mojej pracy, tłumaczyła sobie w myślach. To wszystko nie ma nic wspólnego ze mną czy z moją matką. Poza tym najwyższa pora odłożyć na bok dziecinne lęki i obawy.*

Zebrała swoje długie włosy na czubku głowy i związała w kucyk, pozwalając, by wiatr ostudził rozgrzaną szyję.

– Nie jest ci ciepło w tej bluzce z długim rękawem? – spytała ją Peg.

– Nie – odpowiedziała, ściągając materiał jeszcze niżej, tak że przykrywał już połowę dłoni. – Jest naprawdę cienka.

– Kiedy składałam twoje wyprane ubrania, zauważyłam, że nie masz chyba żadnych bluzek z krótkim rękawem. Może wybierzemy się na zakupy i kupimy ci trochę nowych ciuchów?

Izzy próbowała się uśmiechnąć.

– Dzięki, ale podobają mi się długie rękawy. No i naprawdę nie musisz prać moich ubrań.

– To żaden problem – odpowiedziała Peg z uśmiechem. – Ot, po prostu nie rozumiem, jak można chcieć nosić długie rękawy w taką pogodę.

Izzy wzruszyła ramionami.



– Mam małe kompleksy na punkcie moich ramion. Są takie chude i blade...

– Zapewniam cię, że większość dziewczyn dałaby wszystko, żeby mieć takie długie, smukłe ramiona i nogi jak ty – stwierdziła radośnie Peg.

*Bo nie widzą tych wszystkich blizn, pomyślała Izzy.*

Spojrzała w stronę jeziora i dostrzegła grupki ludzi zgromadzone blisko brzegu – niektórzy siedzieli przy stołach piknikowych, inni spacerowali, jeszcze inni grali w softball i badmintona. Większość miała na sobie znoszone, wypłowiałe ubrania i poruszała się w zwolnionym tempie, niczym pod wpływem silnych leków. Izzy zatrzymała się.

– Kim są ci ludzie? – spytała stojącą obok Peg.

Kobieta osłoniła oczy przed słońcem i mrużąc je, spojrzała w tamtym kierunku.

– To pewnie pacjenci z pobliskiego Centrum Psychiatrycznego Elmira – odpowiedziała. – Tuż przy jeziorze znajduje się kemping. Od czasu do czasu pracownicy centrum przywożą tu pacjentów na krótki wypad.

Oczy Izzy wezbrały łzami i szybko ruszyła dalej ze wzrokiem wlepionym w ziemię. Peg starała się dotrzymać jej kroku.

– Co się stało? – spytała.

– To tam trzymali moją mamę – odpowiedziała Izzy. – W Elmirze.

Peg położyła jej dłoń na ramieniu.

– Przepraszam, nie wiedziałam.

Izzy podniosła głowę i próbowała się uśmiechnąć.

– Nie szkodzi. To było dawno temu.

– Mam nadzieję, że wiesz, że zawsze chętnie cię wysłucham, gdybyś chciała pogadać.

– Wiem – odpowiedziała Izzy. – Dzięki.

*Ale nie, dzięki*, pomyślała. Żadne gadanie nie zmieni tego, że człowiek jest wybrakowanym towarem. Zanim jej babka zmarła siedem lat temu, Izzy była u trzech różnych lekarzy, próbując pozbyć się dręczących ją koszmarów. Nikt nie był w stanie jej pomóc. Zresztą lekarze i tak na niczym się nie znają. Swego czasu całe gremium doświadczonych medyków stwierdziło, że matka Izzy była w pełni sił fizycznych i umysłowych i powinna stanąć przed sądem. A teraz siedziała w więzieniu, zamiast otrzymać pomoc, której tak potrzebowała. Jednak Izzy wiedziała, że szaleństwo było jedynym wytłumaczeniem tego, dlaczego jej matka zastrzeliła jej ojca we śnie.

Kiedy dotarły już do warsztatu, były pracownik Willard otworzył drzwi i zaprosił do środka Izzy, Peg oraz dwóch innych ludzi z muzeum.

– To tutaj pacjenci pakowali długopisy i sklejali papierowe torebki – powiedział radosnym tonem, zupełnie jakby pokazywał im wystawę ręcznie robionych narzut na lokalnym festynie.

W opustoszałych pokojach znajdowały się nagie stoły warsztatowe. Pomarszczone kalendarze i stare gaśnice wisiały na popękanych i sypiących się ścianach. Wiekowa winda towarowa była już od lat nieczynna, więc Izzy i reszta byli zmuszeni wspiąć się po wąskich, stromych schodach na strych, ostrożnie omijając połamane stopnie oraz kawałki gruzu i strzepując z włosów pajęczyny. Kiedy dotarli na górę, ich przewodnik użył swojego klucza i oparł się całym ciałem o drzwi, próbując je otworzyć na oścież. Te jednak ani drgnęły. Peg postanowiła pomóc i sama również naparła obiema rękami na lite drewno. W końcu dał się słyszeć zgrzyt zawiasów i drzwi ustąpiły. Zatechłe, pełne kurzu powietrze na schodach podniosło się, zupełnie jakby strych robił właśnie ogromny wdech. Pracownik wpuścił ich

do środka.

Było tu nieznośnie gorąco i duszno, a w powietrzu unosił się zapach starego drewna, kurzu i ptasich odchodów. Podłogę miejscami pokrywały suche liście, które wiatr przywiał przez otwór po wybitej szybie.

Na jednej ze ścian wisiał, zawieszony na gwoździu, zszarzały fartuch laboratoryjny, a na podłodze leżało kilka otwartych walizek, których zawartość porozrzucana była po całym strychu. Klucze do domu i fotografie, kolczyki i paski, bluzki i skórzane buty – wszystko to wymieszane z kurzem, brudem i martwymi liśćmi niczym gnijące rzeczy osobiste wykopane z grobu. Na środku obszernego pomieszczenia leżała torba lekarska oraz coś, co wyglądało jak potargana mapa – jedno i drugie pokryte grubą warstwą zaschniętych gołębih odchodów.

Poniżej krokwi znajdowały się całe rzędy ogromnych drewnianych regałów. Podzielone na „Mężczyzn” i „Kobiety” i uporządkowane alfabetycznie od A do Z. Regały te stały prostopadle do wysokich ścian, tworząc długi korytarz przypominający główną alejkę w sklepie czy bibliotece. Jednak zamiast konserw czy książek można było tam znaleźć skrzynki, szafy i walizki.

– Co to jest? – przerwała ciszę Peg. W jej głosie czuć było nutę podziwu.

– To tutaj trzymali bagaże – odpowiedział były pracownik. – Wszystkie te walizki i skrzynki należały do pacjentów, którzy zgłosili się do szpitala, ale nigdy nie zostali wypisani. Nikt nie dotykał tych wszystkich rzeczy od momentu, kiedy ich właściciele spakowali je całe dekady temu.

Izzy zagryzła dolną wargę, próbując powstrzymać wzbierające łzy. Przypomniała sobie otwartą walizkę podróżną swojej matki leżącą na stole przylegającym do jej szpitalnego łóżka – bezładna mieszanina majtek,

biustonoszy i koszul nocnych. Nigdy nie zapomni chwili, kiedy po raz pierwszy weszła do sypialni rodziców po tym, jak jej tata został zamordowany. Ktoś musiał pomóc babci znaleźć i spakować rzeczy mamy. Pamięta, że wysuwała szuflady rodziców w zwolnionym tempie, uwalniając znajomy zapach perfum należących do jej matki, który przylgnął do staników i halek i bezlitośnie przypominał Izzy o tym, co straciła. W tamtym czasie dało się jeszcze wyczuć w powietrzu zapach krwi i prochu strzelniczego. Wpatrywała się w łóżko rodziców, które zostało pozbawione zagłówka, podnóżka i boków. Leżało teraz oparte o ścianę, rozebrane na części, zupełnie jakby byli w trakcie upragnionej przeprowadzki do większego domu, o którym matka tak marzyła. Tylko tyle mogła zrobić, żeby nie wybiec z tego potwornego strychu na świeże powietrze, z dala od tych okrutnych pamiątek po straconych i zrujnowanych istnieniach – przygryzać dolną wargę, do krwi.

– To prawdziwa skarbnica – stwierdziła Peg. Przeszła się wzdłuż alejek, delikatnie muskając skórzane uchwyty kufrów i walizek, i mrużyła oczy, próbując odczytać plakietki i wyblakłe monogramy. A potem obróciła się na pięcie i spojrzała na byłego pracownika szeroko otwartymi oczami. – Co planują z tym wszystkim zrobić?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Pewnie wywiozą na śmietnik – odpowiedział.

– O nie! Nie możemy na to pozwolić. Musimy zabrać te rzeczy do magazynu muzeum.

– Wszystkie? – zapytał z niedowierzaniem jeden z jej współpracowników.

– Tak – odparła Peg. – Nie rozumiecie? Te walizki są równie ważnym odkryciem jak wykopaliska archeologiczne czy kolekcja starych obrazów.

Ci ludzie nie mieli nigdy szansy opowiedzieć swoich historii poza murami szpitala psychiatrycznego. Ale możemy spróbować zrozumieć, co im się przydarzyło, przyglądając się ich rzeczom osobistym. Mamy rzadką okazję, by spróbować odtworzyć ich życie z czasów, zanim trafili do Willard! – Spojrzała na Izzy. – Czy to nie brzmi ekscytująco?

Izzy robiła, co mogła, żeby się uśmiechnąć, ale w środku czuła, jak lodowate szpony paniki zaciskają się na jej gardle.

*Upper West Side, Nowy York*

*Październik 1929*

Osiemnastoletnia Clara Elizabeth Cartwright stała na grubym perskim dywanie przed gabinetem ojca. Wstrzymywała oddech i nachylała się lekko do przodu, próbując usłyszeć rozmowę rodziców przez rzeźbione dębowe drzwi. Kiedy była młodsza, bogaty wystrój rezydencji – wyłożony panelami korytarz, błyszczące drewniane podłogi, portrety w ramach i ozdobne lustra, srebrny serwis do herbaty stojący na wiśniowym kredensie – sprawiał, że czuła się jak księżniczka mieszkająca w pałacu. Teraz jednak grube drewno i ciężkie adamaszkowe zasłony sprawiały, że czuła się niczym więzień w zakładzie karnym. I nie tylko dlatego, że od dobrych trzech tygodni nie wolno jej było wyjść. Ten dom przypominał muzeum pełne starych mebli i przestarzałych dekoracji, przesiąknięte niemodnymi ideami i archaicznymi wierzeniami. Przypominał jej mauzoleum – miejsce spoczynku zmarłych. A ona nie miała zamiaru być następną.

Zrobiła głęboki wdech i wydech i spróbowała się rozluźnić. Jej plan ucieczki właśnie się urzeczywistniał, tylko to jej pozostało. Charakterystyczny zapach cygara ojca, przywodzący na myśl gnijące drewno, wydobywał się spod drzwi i mieszał z kwaśnym zapachem politurę mebli, przypominając jej godziny, które spędziła dokładnie w tym miejscu. Razem ze swoim starszym bratem, Williamem, czekała wtedy na codzienne „konsultacje” z ich ojcem, Henrym Earlem Cartwrightem. Odkąd pamiętała, każdego popołudnia po szkole, kiedy odrobili zadanie domowe i wracali z przechadzki po parku, czekali przed jego gabinetem aż do obiadu. Musieli uważać i zachowywać się na tyle cicho, by nie

przeszkadzać mu w pracy. A kiedy ojciec był już gotowy ich przyjąć, wołał ich do środka, każde z osobna, i przepytывał z tego, co działo się tego dnia w szkole, by w ten sposób uciąć problemy wychowawcze jeszcze w załączku i wytłumaczyć, czego od nich w danym wieku oczekuje. Clara i William musieli stać po drugiej stronie olbrzymiego biurka z podniesioną głową i wzrokiem utkwionym w ojcu, słuchając w bezruchu, aż mężczyzna kiwnął głową i zapalił swoje cygaro. Był to sygnał, że mogli odejść.

Ich matka, Ruth, jasno dała im do zrozumienia, że rozmowy na temat dyscypliny i wyników w szkole były zbyt trudne dla tak wrażliwej osoby jak ona. Dlatego też każdego dnia uciniała sobie popołudniową drzemkę w czasie, kiedy jej mąż wywiązywał się z nieprzyjemnego obowiązku wychowywania ich dzieci. Dopiero w ostatnich latach, kiedy Clara zaczęła dojrzewać i stała się podatna na wdzięki i spojrzenia młodych chłopców, Henry zaczął nalegać, by Ruth włączyła się do tego wypracowanego rytuału. A jednak dopiero trzy tygodnie temu kobieta postanowiła potraktować to zadanie z należytą powagą. Clara zastanawiała się, jak William zareagowałby na wieść, że rodzice trzymają ją w zamknięciu niczym zwykłą kryminalistkę.

Na myśl o starszym bracie oczy Clary wezbrały łzami, a w sercu zagnieździł się ciężar. Półtora roku temu ciało Williama zostało wyłowione z rzeki Hudson. Wciąż miała wrażenie, jakby to było wczoraj. Pamiętała wyraz twarzy ojca, kiedy usłyszał, co się stało, jego drżącą szczękę i rozpalone policzki, kiedy docierało do niego, że jego najstarsze dziecko nie żyje. A jednak jego oczy pozostały suche. Clara dokładnie pamiętała, jak bardzo chciała podbiec wtedy do niego i okładać go pięściami po torsie, jak bardzo pragnęła wykrzyknąć, że to jego wina. Ale ojciec nigdy by w to nie uwierzył. Jego umysł był zamkniętą księgą, w której nie było miejsca na



nic poza jego wersją tego, „jak świat powinien wyglądać”. Nie przytuliła się ani do niego, ani do matki. Zamiast tego cierpiała w milczeniu, patrząc, jak ci odgrywają rolę zrozpaczonych rodziców. A teraz, skoro nie dało się już nic zrobić, przynajmniej nie zamierzała stać się następną ofiarą żelaznej ręki Henry’ego Cartwrighta.

Gdyby nie sobotnie wieczory spędzone w Cotton Clubie – w trakcie których mogła być sobą, śmiać się i tańczyć w towarzystwie przyjaciół – była pewna, że już dawno postradałaby zmysły. Ale ostatni raz wyszła gdzieś ze znajomymi trzy tygodnie temu. Choć zdawałoby się, że minęła już cała dekada.

Kiedy była mała, robiła, co mogła, żeby zadowolić rodziców – zdobywała w szkole dobre stopnie, dbała o porządek w pokoju, nigdy im nie przeszkadzała, a przede wszystkim nie pozwalała sobie na żadne nieposłuszeństwo. Jednak im była starsza, tym bardziej docierało do niej, że razem z bratem mieli po prostu sprawiać dobre wrażenie. Lecz nie dostawali nic w zamian – nikt się o nich prawdziwie nie troszczył, nikomu nie zależało na tym, żeby ich wysłuchać. Dorośli zapewniali im jedzenie i dach nad głową, i na tym koniec. Przez ostatnie dwa lata, od czasu zniknięcia Williama, mijanie się z prawdą przychodziło Clarze z coraz większą łatwością. Mówiła, że idzie do biblioteki, choć w rzeczywistości spędzała popołudnie w kinie, oglądając z koleżankami film z Charliem Chaplinem, albo w Central Parku, przyglądając się, jak chłopacy grają w skee ball czy wykazują się na strzelnicy. Z początku była zaskoczona, kiedy po powrocie do domu nie zastała matki czekającej przy drzwiach z rękami na biodrach, gotowej w każdej chwili zawołać Henry’ego, by ten wymierzył córce odpowiednią karę. Clara słyszała już w głowie niski głos ojca, jego podszyte wściekłością słowa.

„Twoje miejsce jest tutaj, w domu! Powinnaś uczyć się, jak dbać w przyszłości o dom i dzieci, a nie włączyć się całymi godzinami po mieście! Co ty sobie wyobrażasz? Jesteś Cartwrightem, do cholery! I lepiej, żebyś zaczęła się tak zachowywać, w przeciwnym razie gwarantuję ci, że wylądujesz na ulicy!”

W końcu dotarło do niej, że rodzice nawet nie zauważyli jej nieobecności. Z początku myślała, że są zbyt przejęci zniknięciem Williama – ot, martwią się tym, co się stało, czy nie przytrafiło mu się coś złego, czy może po ostatniej kłótni z Henrym postanowił raz na zawsze uciąć wszelkie kontakty z rodziną. Pomyślała, że może jej matka ma jeszcze jakieś uczucia, może rzeczywiście jest przesadnie wrażliwa i z tego względu nie jest w stanie martwić się o dwójkę dzieci jednocześnie. Potem jednak uświadomiła sobie, że chociaż jej brat zaginął bez śladu, a ona robiła, co chciała, Ruth jakby nigdy nic zapraszała do siebie znajome na herbatkę, ustalała szczegóły kolejnego przyjęcia z firmami cateringowymi i florystkami, przeglądała magazyny i popijała nielegalną whiskey, zamawiając przy tym nowe sukienki, biżuterię i futra.

Po tym, jak odnaleziono ciało Williama, Ruth przestała planować przyjęcia, choć wciąż piła whiskey. Teraz jednak robiła to praktycznie każdego wieczoru i prawie zawsze do nieprzytomności. Twierdziła, że alkohol pomaga jej się uspokoić, a Henry – który pracował całymi dniami i opuszczał swój gabinet, tylko aby coś zjeść lub by spać – pilnował, by jego pogrążona w żałobie żona zawsze miała coś wysokoprocentowego pod ręką. Clara szybko pojęła, że jej rodzice czerpali ulgę z tego, że nie musieli się nią zbyt przejmować – musiała jedynie wracać do domu na kolację o 17.30. Brak obecności był absolutnie niedopuszczalny.

Przez ostatnie siedem miesięcy każdego tygodnia mówiła rodzicom to

samo – że idzie na przedstawienie z Julią, Mary i Lillian, a potem wszystkie planują przenocować u tej ostatniej. Ruth ledwo kojarzyła Lillian, ale zgadzała się na to, by jej córka spędzała czas z koleżankami – głównie dlatego, że ich matki należały do ligi kobiet i chodziły do tego samego kościoła co Ruth. Zgodnie z jej rozumowaniem, jeśli Julia i Mary mogły nocować u Lillian, Clarze też nikt nie powinien tego zabraniać.

Tyle że zamiast chodzić do teatru, dziewczyny spotykały się w domu Lillian, by ułożyć sobie nawzajem włosy w stylowe fale i wskoczyć w zdobione koralikami sukienki typu flapper. Opuszczały pończochy do kolan, by pokazać, że nie mają pod spodem gorsetu, wkładały buty na wysokim obcasie i długie sznury pereł, które kołysały się kokieteryjnie pomiędzy ich piersiami. Potem o dziesiątej wieczorem chłopak Lillian podjeżdżał po nie swoim bentleyem i wszyscy razem jechali do centrum, eskortowani przez należącego do jej brata rolls-royce'a, również pełnego znajomych.

Ich ulubiony lokal, Cotton Club, był modnym miejscem spotkań, znajdującym się na rogu 142 Ulicy i alei Lenox w Harlemie, znanym również jako plac zabaw dla bogaczy. W ciemnym, zadymionym klubie Clara i jej przyjaciele pili nielegalny gin, delektowali się wiśniami w czekoladzie, palili papierosy i tańczyli charlestona oraz tango. Słuchali jazzu w wykonaniu Louisa Armstronga i bawili się, aż trudno im było utrzymać się na nogach.

Cotton Club był jednak przede wszystkim miejscem, w którym Clara poznała Brunona. Urodzony we Włoszech jako syn szewca, wybrał się w samotną podróż do Ameryki. Nie był przyzwyczajony do blichtru nowojorskich klubów. A mimo to, kiedy pierwszy raz go zobaczyła przebijającego się przez tłum ludzi, sprawiał wrażenie, jakby tu idealnie

pasował – ubrany w białą kamizelkę z krawatem oraz czarny frak i płaszcz. Przeciskał się obok dziewczyn, które zapraszały go do tańca, nie zważając na niesione przez niego tace z kawiozem i martini. Jego błyszczące, ciemne oczy patrzyły tylko na Clarę. Tańczyła właśnie walca z bratem Lillian, Joe, który był już mocno wstawiony i mamrotał w kółko o swojej posiadzie na nowojorskiej giełdzie oraz o tym, że ma dość pieniędzy, by spełnić każde marzenie kobiety.

Kiedy Clara zobaczyła, że Bruno idzie w ich kierunku, serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Wyglądał na rozzłoszczonego, tak jakby ktoś przystawiał się do jego dziewczyny. Pomyślała, że może pomylił ją z kimś innym, i w razie, gdyby sprawy przybrały nieprzyjemny obrót, była gotowa bronić biednego, podpitego Joego. I wtedy nagle rzeczony Joe nachylił się, by ją pocałować, a ona szybko zrobiła unik i puściła jego lepkie dłonie. Zanim się spostrzegła, Bruno złapał ją i pociągnął na parkiet, zostawiając w tyle zdezorientowanego mężczyznę, który już chwiał się na nogach.

Bruno wpatrywał się w nią, kiedy tańczyli – z jego oczu biła powaga, a dłoni nie zabrakło pewności, kiedy spoczęła na jej plecach. Z bliska przypominał Adonisa – miał czarne włosy elegancko zaczesane do tyłu, gładką, opaloną skórę i wyraziste rysy. Skrępowana intensywnością jego spojrzenia, Clara opuściła głowę.

– Mam nadzieję, że to nie był twój chłopak – odezwał się niskim głosem. Jego akcent sprawiał, że każde słowo wydawało się cudownie egzotyczne.

Pokręciła głową, nie spuszczając wzroku z otaczających ich ludzi. Lillian i Julia siedziały przy barze ze szklaneczkami ginu w rękach. Lillian bawiła się sznurem pereł, podczas gdy Julia łaskotała jakiegoś przystojnego mężczyznę piórkami, które wyciągnęła ze swojego nakrycia głowy.

– Przepraszam więc, że ukradłem cię twojemu partnerowi do tańca – kontynuował. – Ot, bałem się, że odmówisz, jeśli pierwszy zaproszę cię na parkiet. Wybaczysz mi, prawda?

Spojrzała mu wtedy prosto w te jego ciemnobrązowe oczy i całkowicie się w nich zatraciła. Nerwowo przełknęła ślinę, nie mogąc oderwać od niego wzroku. Uśmiechnęła się promiennie, by sprawić wrażenie nonszalanckiej i rozbawionej.

– Niech ci będzie – odpowiedziała.

– Myślisz, że pozwalam sobie na zbyt dużo – stwierdził z lekkim uśmiechem.

– Nie. Ale...

I wtedy Joe wyłonił się nagle z tłumu i poklepał Brunona po ramieniu. Ten odwrócił się zaskoczony i zobaczył, jak Joe unosi pięść, cały czerwony na twarzy.

– Nie! – krzyknęła Clara, wznosząc rękę do góry.

Joe zamarł w połowie ciosu.

– Skąd wiesz, że ten facet nie jest jakąś mendą? – zapytał, opluwając się przy tym. – Na moje oko to zwykły podrywacz.

– Spokojnie – powiedziała. – My tylko tańczymy.

– Jesteś pewna? – spytał Joe.

– Jestem pewna. Pogadamy później, jak wszyscy pójdziemy coś zjeść, okej?

Joe zmierzył Brunona przekrwionym wzrokiem i opuścił pięść. Bruno uśmiechnął się, wyciągnął pojednawczo rękę i się przedstawił.

– Obiecuję oddać... – Dotknął lekko nadgarstka Clary swoimi ciepłymi palcami. – Przepraszam, nie wiem nawet, jak masz na imię.

– Clara – odpowiedziała, czując, jak oblewa ją rumieniec.

– Obiecuję oddać wam Clarę całą i zdrową – zwrócił się do Joego.

– Trzymam za słowo – odpowiedział Joe. – Bo jeśli tylko tak gadasz, to załatwimy cię z kumplami na ulicy w dwie sekundy.

– Zapewniam cię, że zawsze dotrzymuję słowa – stwierdził Bruno.

W końcu Joe poprawił krawat, uściśnął podaną mu rękę i oddalił się chwiejnym krokiem. Bruno odszukał dłoń Clary.

– Zatańczysz ze mną, *bella* Clara? – zapytał. Skinęła głową, a on przyciągnął ją do siebie. Koralliki, którymi obszyta była jej sukienka, ocierały się o muskularny tors mężczyzny, a fałdy jego spodni muskały jej nagie kolana. Piosenka *Someone to Watch Over Me* prawie już się skończyła, ale Clara nagle poczuła, że musi gdzieś usiąść. Kolana odmawiały jej posłuszeństwa, a w żołądku wszystko się przewracało. Tańczyła już z wieloma mężczyznami w Cotton Clubie – niektórzy z nich znali jej ojca i łudzili się, że położą łapy na jego fortunie, inni byli po prostu nią szczerze zainteresowani. Jednak żaden nie wywarł na niej aż takiego wrażenia. Clara ścisnęła mocniej jego dłoń, zastanawiając się, czy to gin, czy piżmowy zapach jego wody kolońskiej sprawia, że kręciło jej się w głowie.

– Wszystko w porządku? – zapytał. – Może potrzebujesz się przewietrzyć?

Pokręciła głową.

– Nic mi nie jest. To chyba przez ten alkohol.

– Nie pozwolę ci upaść – powiedział, po czym zanurzył głowę w jej włosach i musnął ustami jej ucho, wywołując dreszcz podniecenia. I właśnie wtedy piosenka dobiegła końca i Bruno przestał się kołysać. A jednak nadal trzymał ją w objęciach.

– Masz może ochotę dołączyć do mnie i moich przyjaciół przy kolacji?  
– spytała chrapliwym głosem. – Zawsze idziemy potem na kawę...

– Z miłą chęcią – stwierdził Bruno, po czym uniósł lekko jej brodę. – Tylko zrobię jeszcze jedną rzecz – mówiąc to, wpił się w jej usta z taką intensywnością, że niemal rozciął jej wargę zębami. Z początku opierała się, ale potem odwzajemniła pocałunek, przywierając do niego całym ciałem. Zniknęły odgłosy śmiechu i brzęk szkła i jedyne, co w tamtym momencie słyszała, to oszalałe bicie własnego serca. Za zamkniętymi powiekami Clary rozbłyskiwały białe światła, a pożądanie dawało o sobie znać falą ciepła, która rozlewała się po miednicy. Kiedy wreszcie oderwali się od siebie, Bruno spojrział na nią, łapiąc oddech.

– Widzisz – zaczął – czasami lepiej nie pytać.

Kiwnęła głową, niezdolna do sklecenia jakiegokolwiek odpowiedzi.

Kiedy dotarli do knajpki, siedzieli we dwójkę we własnym boksie, popijając kawę i dzieląc się kawałkiem szarlotki. Lillian, Julia i reszta ekipy gawędzili i śmiali się w najlepsze w dwóch ogromnych boksach naprzeciwko pary, ale Clara i Bruno zupełnie nie zwracali na nich uwagi. Opowiedział jej o swojej rodzinie we Włoszech oraz o tym, jak marzył o nowym, pełnym sukcesów życiu w odległej Ameryce. Zaskoczyło ją, jak bardzo się na niego otworzyła, jak przy nikim innym – z wyjątkiem Williama. Podzieliła się frustracjami związanymi z rodzicami i była bliska płaczu, kiedy opowiadała o ukochanym zmarłym bracie. Bruno nachylił się przez stół i wziął ją za rękę, zapewniając, że doskonale rozumie, co znaczą skomplikowane relacje rodzinne. Bardziej niż cokolwiek innego na świecie pragnął założyć własną rodzinę – rodzinę, w której nigdy nie zabrakłoby miłości i wzajemnego zrozumienia, nieważne, co by się działo. Clara też o tym marzyła.



Pod koniec wieczoru nie mogli się od siebie oderwać, a pod koniec tygodnia spotykali się w jego mieszkaniu. Pod koniec miesiąca Bruno był już członkiem ekipy i nawet brat Lillian, Joe, uważał, że to naprawdę fajny gość.

Teraz, stojąc przed gabinetem ojca, Clara słyszała jego niski baryton po drugiej stronie rzeźbionych dębowych drzwi, dudniący niczym hamujący pociąg. Słyszała też swoją matkę, lamentującą i pociągającą nosem. Słyszała przyciszoną wymianę słów i złość w ich głosach. Nie była to jednak kłótnia. Rozmawiali o Clarze, poirytowani, że pierwszy raz nie chce posłusznie realizować ich planów.

Położyła rękę na swoim podbrzuszu, próbując wygrać z napływającymi łzami. Jutro wieczorem ma się odbyć przyjęcie zaręczynowe, takie z wynajętym fotografem i cateringiem. Mają się zjawić wszyscy ważni znajomi rodziców. Richard Gallagher, z którym ojciec Clary robił interesy, zaprosił mnóstwo gości, by móc pochwalić się przyszłą żoną swojego syna. Zaproszenia zostały rozesłane dziesięć dni temu i tylko kilka z nich spotkało się z odmową. James Gallagher, mężczyzna, którego Clara miała poślubić, oddał dwukaratowy pierścionek swojej zmarłej matki do czyszczenia i wypolerowania, z prośbą o dodanie czterech dodatkowych diamentów. Ruth wybrała suknię ślubną i zatrudniła fryzjera, który miał zająć się jej włosami przed przyjęciem. Wszystko szło zgodnie z tym, co zaplanowali rodzice. Goście mieli przybyć, by uczcić rocznicę ślubu Henry'ego i Ruth, i tuż przed obiadem czekałaby na nich niespodzianka – oficjalne zaręczyny Jamesa i Clary.

Nagle do nozdrzy Clary wdarł się zapach gnijącej wody, omal nie przyprawiając jej o wymioty. Dochodził z wazonu z kwiatami stojącego na wiśniowym stole. Odeszła od drzwi i zasłoniła ręką nos i usta, próbując

uspokoić buntujący się żołądek. Jeśli będzie tu jeszcze dłużej stała, ćwicząc w głowie swoją przemowę, zemdleje albo zwymiotuje. Nie miała wyboru. Teraz albo nigdy.

Zapukała do gabinetu.

– O co chodzi? – ryknął jej ojciec.

– To ja – odpowiedziała niepewnym głosem, po czym cicho odchrząknęła. – To ja, Clara. Mogę wejść?

– Proszę.

Clara położyła dłoń na gałce i zaczęła ją przekręcać, jednak w porę zorientowała się, że drugą dłoń trzyma wciąż na podbrzuszu. Poczowała na twarzy uderzenie gorąca i opuściła ręce wzdłuż ciała. Wiedziała, że matka ją obserwuje – przygląda się jej talii, zwraca szczególną uwagę na jej poranny apetyt, przelicza podpaski schowane pod umywalką w łazience. Gdyby Clara wkroczyła do gabinetu ojca z dłonią na brzuchu, matka błyskawicznie zyskałaby pewność, że oto spełniły się jej najgorsze obawy.

Clara wzięła głęboki oddech i otworzyła drzwi.

Matka siedziała na różowej sofie niedaleko kominka, chłodząc się wachlarzem w kwieciste wzory. Stopy oparła na pufie. Jej kasztanowe włosy upięte były jak zwykle w luźny kok na czubku głowy. Ku zdumieniu Clary długa spódnica matki była podciągnięta i odsłaniała blade kostki wystające ze spiczastych, wiązanych botków. Ruth uważała, że porządna kobieta powinna pilnować, by jej ramiona i nogi były zawsze zakryte. *Musi być bardzo zdenerwowana*, pomyślała dziewczyna.

Nie była pewna, kiedy dokładnie to nastąpiło, ale z czasem znienawidziła wiktoriańskie suknie swojej matki, jej staromodne uczesanie, broszki z kameą i pierścionki. Każda tradycyjna maniera i starodawne powiedzenie kojarzyło jej się z pruderyjnością matki. Szelest drapowanych

sukni Ruth przechadzającej się po korytarzach oraz stukot jej twardych butów przyprawiały Clarę o gęsią skórkę.

Teraz Ruth wstała i wygładziła pomięty materiał. Dopasowany gorset idealnie podkreślał jej wąską talię. Clara instynktownie wyprostowała plecy i wciągnęła brzuch w nadziei, że Ruth nie zauważy braku podobnego gorsetu u córki.

Clara została zmuszona do włożenia gorsetu już w wieku sześciu lat, po tym, jak matka zmierzyła jej talię i stwierdziła, że jest okropnie szeroka i niezgrabna. Ruth uznała, że jeśli natychmiast nie powezmą odpowiednich kroków, może na tym ucierpieć postura i zdrowie córki, a wtedy żaden rozsądny mężczyzna nie będzie chciał się z nią ożenić. Tamtego wieczoru Ruth założyła jej mocno usztywniany gorset, nalegając, by był on zdejmowany jedynie w przypadku choroby czy na czas kąpieli. Tydzień później Clara poluzowała wiązanie w środku nocy, by móc normalnie się wyspać. Następnego ranka Ruth znalazła gorset na podłodze obok łóżka i brutalnie obudziła Clarę, by spuścić jej porządne lanie. Po tym wydarzeniu każdego wieczoru przez następne dwa tygodnie Ruth jedwabną chustką związywała córce nadgarstki. Z każdym rokiem gorsety Clary były coraz mocniej związywane przez krzepką pokojówkę, która zawsze czekała w pogotowiu. Kiedy Clara miała osiemnaście lat, jej talia mierzyła czterdzieści trzy centymetry, ale dla Ruth to wciąż nie był satysfakcjonujący wynik – notorycznie wypominała córce, że w tym wieku jej talia mierzyła raptem czterdzieści centymetrów, zapominając, że Clara była od matki pięć o centymetrów wyższa.

Teraz, w gabinecie ojca, Clara spojrzała w kierunku Ruth. Wiedziała, że matka byłaby zgorszona, gdyby odkryła te wszystkie bransoletki, pióra i sukienki z frędzlami ukryte w kufrze leżącym na dnie szafy, wciśnięte

pomiędzy stare wełniane ubrania. Jak gdyby czytając jej w myślach, Ruth pociągnęła nosem, zacisnęła usta i utkwiała wzrok w najbliższym oknie. Ojciec uniósł brwi, zastukał srebrną zapalniczką o blat biurka i przygryzł cygaro. Jak zwykle miał na sobie biznesowy garnitur w kredowe prążki, a jego sumiaste wąsy zakręcały się na górnej wardze.

– O co chodzi? – spytał.

Clara rozluźniła pięści i zaplotła dłonie, opierając je na talii.

– Możemy porozmawiać? – spytała, z trudem powstrzymując drżenie w głosie.

Jej matka powiedziała coś pod nosem i podeszła do okna, szeleszcząc sukniami. Odsunęła firankę i udawała, że wygląda na zewnątrz.

Henry wyciągnął cygaro z ust.

– Jeśli chodzi o jutrzejszy wieczór – odparł – to ta rozmowa jest zakończona. Przyjęcie odbędzie się zgodnie z planem.

Clara przełknęła ślinę, a jej żołądek się zacisnął.

– Oczywiście! – powiedziała. – Tak jak powinno. Ty i mama od lat nie organizowaliście przyjęcia z okazji waszej rocznicy!

Na te słowa jej matka odwróciła się od okna.

– Wiesz dobrze, dlaczego organizujemy to przyjęcie – powiedziała. – To dla ciebie i Jamesa! Po raz pierwszy od miesiący mam ochotę cokolwiek świętować!

Clara zacisnęła zęby, zmuszając wargi do ułożenia się w coś, co przypominało uśmiech, a przynajmniej miała taką nadzieję

– Wiem, mamo – powiedziała. – Doceniam wasze wysiłki, naprawdę. Tylko...

– Masz świadomość, jakie to szczęście, że taki mężczyzna jak James

chce cię poślubić? – spytała Ruth.

*Chce, pomyślała Clara. Dlatego, że mam tak dużo braków i wad, że nikt o zdrowych zmysłach nie chciałby mnie za żonę. Ale może, mamo, masz rację. James ma nie po kolei w głowie. Jest nikczemnym, sadystycznym kobieciarzem. Ale cóż was to obchodzi, jeśli zdejmie wam z barków ten obowiązek? Jeśli odciągnie mnie od Brunona?* Clara zrobiła krok w kierunku biurka ojca, oczy ją piekły, a policzki paliły ogniem.

– Ależ, ojczy – powiedziała – nie jestem gotowa na zamążpójście! Szczególnie za Jamesa!

Henry wstał i zmiądzzył cygaro w popielniczce, a jego grube palce stawały się coraz bardziej czerwone, kiedy naciskał na jego końcówkę z coraz większą siłą.

– Claro – powiedział. – Rozmawialiśmy już o tym. Ja i twoja matka jasno powiedzieliśmy, co o tym myślimy.

– Ale co z tym, co ja myślę? – spytała Clara, czując, że za chwilę pęknie jej serce. – Co z tym, czego ja chcę?

– Jesteś zbyt młoda, żeby wiedzieć, czego chcesz – odparł jej ojciec

– Nie – powiedziała Clara, parząc mu w oczy. – Nie jestem. Powiedziałam wam wcześniej. Chcę iść na studia. – To była jedyna wymówka, jaka przyszła jej do głowy, kiedy próbowała skłonić ich do odwołania zaręczyn, przynajmniej tymczasowo. Kiedyś chciała iść na studia, żeby uciec od rodziców i potem zostać sekretarką albo pielęgniarką. Chciała stanąć na własnych nogach, ale teraz jej marzenia się zmieniły. Po raz pierwszy w życiu poczuła, jak to jest być kochaną i cenioną. Niczego nie chciała bardziej od tego, by móc dzielić swoje życie z Brunonem i założyć z nim rodzinę. – Lillian idzie na studia – powiedziała, wiedząc, że to słaby argument.

– Nic mnie nie obchodzi, co robią twoje przyjaciółki! – odparł ojciec, czerwieniejąc na twarzy.

– Nie będziemy wydawać naszych ciężko zarobionych pieniędzy, żeby odesłać gdzieś naszą córkę, pod płaszczykiem zdobywania wyższego wykształcenia, tylko po to, żeby mogła palić, pić i chodzić na nieprzyzwoite prywatki! – nieomal krzyknęła matka.

Clara przewróciła oczami, a z ust wyrwał się jej śmiech niedowierzania. Wiedziała, że matka ma na myśli popularną ostatnio rymowanekę: „Jeśli już pije i się całuje, to znak, że taka dziewczyna studiuje”. Oczywiście, że jej matka tak sobie pomyślała.

– To nie dlatego dziewczyny idą na studia, mamó – odparła Clara.

– Chodzi ci o tego Brunona, tak? – wysyczała matka. – Tego imigranta, którego przyprowadziłaś na obiad kilka tygodni temu?

Clara poczuła, jak jej policzki robią się gorące.

– Nie wiem, mamó – odpowiedziała. – Czy to o to chodzi? Czy to dlatego chcecie, żebym wyszła za Jamesa? Żeby oderwać mnie od Brunona?

Wspomnienia tego okropnego wieczoru, kiedy przyprowadziła Brunona do domu, by poznał jej rodziców, przesuwały się w umyśle Clary niczym zdjęcia w maszynie, do której wrzuca się monety w salonie gier. Bruno stał uśmiechnięty w drzwiach; jego gęste, ciemne włosy były zaczesane do tyłu, odsłaniając jego niby wyciosaną z kamienia twarz, a dłonie trzymał w kieszeniach wypożyczonego smokingu. Clara podziękowała mu za to, że przyszedł, i pocałowała go raz w policzek, wdychając zapach jego czystej skóry, przyjemną mieszankę kremu do golenia Barbasol i mydła Lifebuoy. Przyszedł piętnaście minut wcześniej, gdyż Clara ostrzegła go, że Ruth nie znosi spóźnień.

Clara, ze ściśniętym żołądkiem, wyjęła dłonie chłopaka z kieszeni i poprawiła mu krawat. Próbowwała zachować spokój, żeby i on się nie denerwował, wzięła głęboki oddech, przypomniała mu, żeby uścisnął dłoń jej ojca, i przeprowadziła go przez foyer i korytarz do salonu. Z otwartymi ustami wpatrywał się w żyrandole w kształcie lilii i obrazy w bogatych ramach, bez wątpienia zaskoczony tym, że mieszkała w tak ekstrawaganckim domu. Wcześniej powiedziała Brunonowi, że jej ojciec pracuje w bankowości, obawiając się, że prawda może go wystraszyć. Henry Cartwright był właścicielem połowy Swift Banku – największego banku na Manhattanie, który miał filie we wszystkich dzielnicach Nowego Jorku i w kilku gminach w północnej części stanu. Jej matka natomiast była jedyną dziedziczką firmy odzieżowej Bridge Bros. Clothing Emporium.

Clara otworzyła wykładane kością słoniową drzwi wiodące do salonu i gestem zaprosiła chłopaka do wejścia. Jej rodzice jedli podwieczorek przed kolacją. Matka siedziała przy kominku, a ojciec opierał się ramieniem o marmurowy gzyms. Henry podniósł wzrok, kiedy Clara i Bruno weszli do pokoju, a potem burknął coś i sprawdził godzinę na swoim zegarku z dewizką. Ruth wstała, z początku promiennie uśmiechnięta, ale kiedy zauważyła, że marynarka chłopaka była niedopasowana, a jego buty poobcierane, usiadła.

Clara zacisnęła zęby i poprowadziła Brunona do ojca, mając nadzieję, że zaimponuje mu swoją opowieścią o samotnej podróży do Ameryki, by od nowa rozpocząć życie w kraju wolnych ludzi. W końcu ojciec Henry'ego zrobił to samo w 1871 roku, przywożąc świeżo poślubioną żonę z Anglii do Stanów Zjednoczonych. Ale zamiast uścisnąć wyciągniętą dłoń młodzieńca, sprawdził jeszcze raz godzinę, ogłaszając, że nadszedł czas na kolację. Ruth wstała i wyciągnęła swoje delikatne palce, tak jakby

pozwalając Brunonowi dotknąć swojej dłoni. Ten uścisnął jej dłoń i skinął głową.

– Miło mi panią poznać, pani Cartwright – powiedział.

Ruth uśmiechnęła się blado, a potem ruszyła wolnym krokiem, pod ramię ze swoim mężem, do jadalni. Clara poklepała Brunona po ramieniu i poszła za nim, kiwając głową w stronę rodziców i przewracając oczami. Bruno zmarszczył brwi, a na jego twarzy zagościło z wątpienie. Wziął głęboki oddech i powoli wypuścił powietrze. Clara, poruszając bezgłownie wargami, powiedziała „kocham cię” i pocałowała go w policzek. W końcu się uśmiechnął. Bez słowa zajęli miejsca przy stole, jej rodzice na obu końcach, a ona z Brunonem naprzeciwko siebie. Aby go zobaczyć, musiała wyglądać zza jednej z tych absurdalnie wielkich waz, które jej matka uparła się porozstawiać po całym domu.

Clara zawsze zastanawiała się, czy dekoracje na stole były po to, by Ruth nie musiała oglądać Henry’ego podczas obiadu, bez wątpienia poirytowana, kiedy siorbał zupę albo przeżuwał zbyt szybko. Henry jadł łapczywie i z werwą, wkładając do ust kolejne kęsy, zanim jeszcze skończył żuć, mówiąc z pełnymi ustami i biorąc ostatnie porcje ryby czy kurczaka, kiedy inni dopiero zaczynali posiłek. Zawsze pierwszy kończył jeść, co doprowadzało Ruth do pasji. Clara uważała, że złe maniere ojca są typowe dla jego sposobu bycia. Zawsze brał to, na co miał ochotę, nie mając względu na tych, którzy są wokół niego, prąc do przodu, jakby miał do tego niezbywalne prawo. Clara wstała, podniosła kwiaty ze stołu, przeszła przez pokój i postawiła je na bufecie. Ruth patrzyła na nią bez słowa z otwartymi ustami.

Po tym jak służąca naląa zupę do ich talerzy, Ruth utkwiała wzrok w naczyniu, które stało przed nią. Henry wpatrywał się w Brunona i Clare,



oceniając sytuację. Dziewczyna poruszyła się na krześle, czekając, aż rozpocznie rozmowę. Kiedy napotkała wzrok ojca, ten opuścił głowę, nagle zajęty układaniem serwetki na kolanach. Zwykle to Ruth musiała mu przypominać, żeby jej używał.

Clara ścisnęła krawędź obrusa i stanęła wyprostowana.

– Ojciec – powiedziała, siląc się na wesołość. – Bruno pracuje w dokach dopiero od sześciu miesięcy, a już został awansowany na brygadzystę.

Henry chrząknął, podniósł łyżkę i wziął do ust trochę zupy.

– Dziękuję za zaproszenie do państwa domu – powiedział Bruno. – To bardzo miłe z państwa strony, że otwierają państwo drzwi przyjacielowi państwa córki.

Clara spojrzała na matkę, czekając na jej odpowiedź. Kiedy dziewczyna dorastała, Ruth powtarzała jej, że przede wszystkim ocenia ludzi po ich manierach. Ruth zawsze mówiła jej, że można wiele wywnioskować o wychowaniu danej osoby, opierając się na tym, jak używa słów „proszę” i „dziękuję”. Najwyraźniej zachowanie miało znaczenie tylko wtedy, kiedy służyło zamiarom Ruth. Na swoim końcu stołu matka zanurzyła łyżkę w zupie, ze wzrokiem wbitym w talerz, jakby jedzenie było najbardziej interesującą rzeczą, jaką kiedykolwiek robiła. Clara poczuła, jak krew napływa jej do policzków. Zwykle kiedy mieli gości, Ruth nie przestawała mówić, wyrażając swoje opinie o dziełach sztuki, teatrze, najnowocześniejszych urządzeniach elektrycznych, zadając pytania, które były niemal wścibskie. Nawet po śmierci Williama przy gościach zaproszonych na obiad zachowywała się, jak mogła najlepiej. Przecież tego od niej oczekiwano.

– Mamo – zaczęła Clara – zawsze mówiłaś, że to niegrzeczne ignorować towarzystwo.

– Och – powiedziała Ruth. – Przepraszam. – Odłożyła łyżkę, otarła usta serwetką i poprawiła się na krześle. – Nie zdałam sobie sprawy, że twój gość mówi do mnie. – Przyjrzała się Brunonowi z uniesionymi brwiami. – Co powiedziałeś, młody człowieku?

– Chciałem podziękować za zaproszenie do państwa pięknego domu – odpowiedział chłopak.

– Nie ma za co – odparła Ruth. Potem bez słowa podniosła łyżkę i wróciła do przerwanej jedzenia, a jej kolczyki z perłami w kształcie łez dyndały tuż przy bladej szyi.

Żyły na szyi Clary pulsowały, jakby miały za chwilę pęknąć. A więc tak to ma wyglądać. Zamierzali tylko rzucić okiem na Brunona i od razu podjąć decyzję. Czyżby nie podobały im się jego ubrania, praca albo akcent i opalona skóra? Zacisnęła dłonie na kolanach, wbijając weń paznokcie.

Clara powiedziała Brunonowi, że jej ojciec będzie pod wrażeniem tego, jak szybko pnie się po szczeblach kariery, nawet jeśli pracował tylko w miejscowym porcie morskim. Myślała, że jej ojciec będzie zaskoczony tym, że Bruno już zaoszczędził wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wynająć mieszkanie. Oszczędzał też na inwestycje, mając nadzieję na zyski z giełdy. Powiedziała, że Henry z przyjemnością mu doradzi, da wskazówki, a może poda mu nazwisko wiarygodnego inwestora, by pokierować go w odpowiednim kierunku. Teraz obwiniała się za to, że była tak głupia i ślepa. Co jej przyszło do głowy, żeby przyprowadzać tu Brunona?

Myśli galopowały jej po głowie, kiedy próbowała wpaść na jakiś pomysł, jak uciec, żeby szybko zakończyć tę fatalną kolację. Udawała, że je zupę, podczas gdy kotłowało się jej w żołądku. Zastanawiała się, co myśli Bruno. Czy zauważył, że była strapiona? Czy wiedział, że gdyby miała

jakiegokolwiek pojęcie, że jej rodzice tak się zachowają, nigdy by go nie zaprosiła? A może myślał, że specjalnie to tak zaaranżowała? Czuła gorąco w piersiach i na szyi. Zaczęły ją też palić policzki. Wtem odezwał się jej ojciec.

– Chciałbym coś zrozumieć – powiedział, po raz pierwszy patrząc wprost na Brunona. Przerwał i oparł ramię na stole z jednym palcem wyciągniętym w stronę chłopaka. – Jak właściwie ma pan na nazwisko?

– Moretti, proszę pana – odpowiedział. – Bruno Moretti. Noszę nazwisko mojego zmarłego ojca.

– Hm – mruknął Henry, unosząc podbródek. – A kim z zawodu był pański ojciec we Włoszech?

– Był szewcem. Bardzo dobrym szewcem, proszę pana.

– Rozumiem – powiedział Henry. – A więc pana ojciec był szewcem, a pan pracuje w dokach? W porcie South Street Seaport?

– Tak, proszę pana – odpowiedział Bruno, uśmiechając się niemal niedostrzegalnie.

Clara poczuła, jak jej serce uspokaja się odrobinę. Wciągnęła powietrze – to był pierwszy głęboki oddech, jaki wzięła od momentu, kiedy Bruno pojawił się u ich drzwi. Jej ojciec z nim rozmawiał.

– Ile zatem pan zarabia, pracując w dokach? – spytał Henry.

– Ojcze! – wykrzyknęła Clara. – Zawsze powtarzałeś, że to niegrzeczne pytać ludzi o ich finanse.

Henry przyjrzał się Clarze, marszcząc brew.

– Przypuszczam, że Bruno jest tu dlatego, żeby zabiegać o względy mojej córki – powiedział. – W tej sytuacji mam prawo pytać, o cokolwiek zechcę.

– W porządku – powiedział chłopak, chcąc uspokoić Clare. Uśmiechnął się i przeniósł uwagę na Henry’ego. – Zarabiam wystarczająco, żeby mieć własne mieszkanie, panie Cartwright. Do tego właśnie awansowano mnie na brygadzystę.

– A gdzie jest to mieszkanie? – zapytał Henry.

– Na Mulberry Street, proszę pana – odpowiedział młodzieniec.

– W Little Italy? – spytał ponownie ojciec Clary.

– Tak, proszę pana – powiedział Bruno.

Henry pomruczał coś pod nosem, a potem pogładził ręką wąsy i powiedział na głos:

– Moja córka jest przyzwyczajona do luksusów. Czy naprawdę myślisz, że mógłbyś się nią odpowiednio zatroszczyć, mając pensję dokera?

– Być może w tym momencie nie, proszę pana – odparł Bruno. – Ale pnę się do góry i...

– Do czego się pniesz? Masz aspiracje, żeby być szewcem, jak twój ojciec? Nie mogę wiecznie utrzymywać mojej córki. Mam nadzieję, że nie liczyłeś na to.

Clara patrzyła na Brunona szeroko otwartymi oczami, a jej serce stało się nagle ciężkie niczym kowadło. Młodzieniec wpatrywał się w stół z niepewną miną, a żyły na jego skroniach pulsowały. Odwrócił jednak wzrok zaledwie na moment, po czym uniósł dumnie głowę i spojrzał jej ojcu prosto w oczy.

– Z całym szacunkiem, proszę pana, ale pańska córka powiedziała mi, że zanim zajął się pan bankowością, żył ze sprzedaży butów. Prawdopodobnie tych samych, z których słynie mój ojciec. Zna pan nazwisko Moretti Salvatore?

Ku zdumieniu Clary jej ojciec zbladł. Po chwili jednak wyprostował się i odchrząknął.

– Nigdy o nim nie słyszałem.

– Czy to nie dlatego, że pracował pan tam, gdzie sprzedawano wyłącznie buty z niższych półek? – zapytał Bruno. – Buty mojego ojca sprzedawane są tylko w drogich i ekskluzywnych butikach.

Clara przygryzła wargę, próbując powstrzymać śmiech. Nigdy nie widziała kogoś, kto potrafiłby wprawić jej ojca w zakłopotanie. Jej rozbawienie nie trwało jednak długo. Powinna była wiedzieć, że nikomu nie ujdzie na sucho zawstydzenie Henry’ego Cartwrighta.

– Jeśli twój ojciec był słynnym projektantem obuwia, to co ty robisz tutaj, w Ameryce, harując w dokach, żeby mieć co włożyć do ust?

Bruno zacisnął wargi, a jego twarz poczerwieniała. Potem odchrząknął i powiedział:

– Mój ojciec oszedł w zeszłym roku. Mój wuj i młodszy brat przejęli interes. Niestety, wiele prawdy jest w powiedzeniu, że nie powinno się łączyć rodziny z interesami. Nie dogadywałem się z bratem. Odszedłem, chcąc rozstać się z nim w zgodzie. Do tego zawsze marzyłem o tym, by zamieszkać w Ameryce. Przypląnąłem tutaj, by się sprawdzić. Wiem, że sobie poradzę, bo jestem silny i zdeterminowany. Jak mój ojciec.

Henry oparł się na krzesło z ramionami skrzyżowanymi na szerokiej piersi.

– Cóż – powiedział – myślę, że powinieneś najpierw udowodnić to sobie, zanim będziesz próbował przychodzić tutaj i udowadniać to mnie. Jak dotąd nie zrobiłeś na mnie wrażenia.

Clara upuściła łyżkę do talerza. Ciężkie srebro uderzyło o poślaczoną porcelanę. Odsunęła krzesło i wstała.

– Przepraszam, Bruno – powiedziała. – Wybacz mi, że musisz przez to przechodzić. Nie miałam pojęcia, że moi rodzice mają tak zamknięte umysły. Gdybym się tego spodziewała, nigdy bym nie próbowała im cię przedstawiać. Powinniśmy byli zjeść kolację w twoim mieszkaniu, jak to zwykle robimy w piątkowe wieczory.

Ruth wciągnęła głośno powietrze, a wszelkie kolory odpłynęły jej z twarzy. Przyłożyła dłoń do gardła, a jej usta poruszały się spazmatycznie, jak u ryby wyciągniętej z wody.

– Nic się nie stało – powiedział Bruno. – Rozumiem troskę twojego ojca...

– Nie – powiedziała Clara. – Uwierz mi, jest za późno na jakiegokolwiek zrozumienie. Proszę, chodźmy już.

Bruno wstał, a Clara obesła stół, żeby wziąć go za rękę. Nie oglądając się na rodziców, wyprowadziła go z jadalni. Słyszeli, jak Henry krzyczał i przeklinał, każąc córce natychmiast wracać. Clara jednak go całkowicie zignorowała.

To było niemal miesiąc temu. Trzy dni później jej rodzice powiedzieli jej o zaaranżowanym małżeństwie z Jamesem. Od tego czasu nie wolno jej było wychodzić z domu. Nie miała pojęcia, czy Bruno choć raz przyszedł jej szukać, bo nie wolno jej było otwierać gościom drzwi. Ani odbierać telefonu. Pomocy domowej nakazano nie informować jej o tym, kto przychodził. Teraz, w gabinecie, jej matka wpatrywała się w nią hipnotyzującym wzrokiem.

– Proszę, żebyś okazywała mi należny szacunek – powiedziała Ruth. – Wiesz, że zawsze chciałam dla ciebie najlepiej. Tak jest i teraz. Chcę, żebyś poślubiła Jamesa, bo to dobry człowiek.

– Ależ on nie jest dobrym człowiekiem. To...

– On zajmie się tobą, przy nim będziesz syta i dobrze ubrana – mówiła dalej Ruth, nie zważając na słowa córki. – On ofiaruje ci takie życie, do jakiego jesteś przyzwyczajona.

– Matko, możesz wierzyć lub nie – powiedziała Clara, której nie udało się ukryć grymasu obrzydzenia – ale nie wszyscy biorą ślub dla pieniędzy. Niektórzy ludzie robią to z miłości.

– Nie mów w taki sposób do swojej matki! – krzyknął Henry, aż zatrzęsły się jego liczne podbródki.

Było jednak za późno. Coś rozwiązało się w mózgu Clary. Kiedy zaczęła mówić to, co myśli, nie mogła przestać. Tak jakby całe lata frustracji i gniewu zawrzały w niej naraz, szukając ujścia.

– Tylko na tym ci zależy, czyż nie? Wolałabyś mieć biżuterię i ładny dom zamiast rodziny, która trzyma się razem i jest szczęśliwa?

– To nieprawda! – krzyknęła matka Clary z wyraźnym żalem malującym się w oczach. – Jak możesz mówić takie rzeczy? Jak możesz być tak podła i złośliwa, wiedząc, przez co przechodziłam? Twój brat nigdy nie odezwał się tak do mnie. Nie dziwię się, że odszedł. Pewnie bał się dzielić z tobą spadkiem.

– Nie odszedł z mojego powodu! – odkrzyknęła Clara. – Odszedł, bo ojciec go zwolnił, a ty się za nim nie wstawiłaś. Przepraszam, ale czasem wydaje mi się, że przeszłabyś po trupie swojego syna, żeby podnieść z ulicy dolara.

Henry ruszył w jej stronę, obchodząc biurko. Dłonie miał zaciśnięte w pięści.

– Przepróż matkę, nieznośna pannico! – wykrzyczał drżącymi z gniewu wargami. – Poślubisz Jamesa we wrześniu i sprawa zamknięta!

Clara poczuła, jak w jej głowie coś się przesuwają, coś konkretnego

i ostatecznego, tak jakby zamykane były ciężkie drzwi. Latami pozwalała im rządzić swoim życiem, począwszy od tego, jak się ma ubierać, po przedmioty szkolne, jakie ma wybrać. Jej matka poleciła pokojówce, żeby ta co tydzień przeszukiwała pokój Clary, by sprawdzić, czy dziewczyna nie chowa gdzieś alkoholu i papierosów. Henry zabrał jej „nieodpowiednie” książki wypożyczone z biblioteki i nie pozwolił córce na lekcje gry na pianinie, gdyż były one w jego mniemaniu niestosowne. Mówił jej, jak ma wydawać kieszonkowe, zwracając do sklepów suknie, które uznał za nieobyczajne. Clara nie była pewna, czy to przez budzący się w niej instynkt macierzyński, czy z jakiegoś innego powodu, ale nie mogła tego dłużej znieść.

– Dlaczego?! – wykrzyknęła. – Dlaczego tak bardzo chcecie mnie wydać za Jamesa? Czy dlatego, że jego rodzina jest bogata i nie będziecie już musieli mnie wspierać finansowo? A może dlatego, żeby zabezpieczyć własne interesy i sprawić, żeby ojciec Jamesa został na zawsze twoim partnerem?

Henry chwycił ją za barki i zaczął nią potrząsać, wbijając grube palce w ciało.

– Nie możesz tak do mnie mówić! – warknął z oczami wypełnionymi wściekłością. Clara widziała, że ledwie powstrzymywał się, by nie cisnąć nią przez cały pokój.

Rzuciła matce spojrzenie pełne gniewu.

– Jak możesz tak stać i pozwalać mu na to? – zapytała. – Jak możesz przedkładać swojego męża nad dzieci? Wiem, że to samo zrobił Williamowi! Wiem, że pobił własnego syna, a ty nie zrobiłaś nic!

– Nie waż mi się mieszać w to Williama! – krzyknęła matka.

– Dlaczego nie? – odparła Clara. – Pozwoliłaś ojcu go zniszczyć, więc



dlaczego nie miałabyś poświęcić i mnie?

Ruth przyłożyła wąski nadgarstek do czoła i osunęła się na sofę. Henry puścił Clarę i podbiegł do żony, klękając u jej kolan.

– Popatrz, co narobiłaś! – powiedział, posyłając jej mordercze spojrzenie. – Przez ciebie twoja matka płacze!

Clara wpatrywała się w rodziców, a tłumiony przez lata gniew wzbierał w jej piersi.

– William robił dla ciebie wszystko – powiedziała. – Pracował przy tobie latami, dzień i noc. Oddał wszystko, żeby udowodnić swoją wartość. Ale to nie wystarczyło, czyż nie? Nigdy nie otrzymał twojej aprobaty, bo to by oznaczało, że musiałbyś dać mu to, na co zasługiwał!

Po tych słowach jej ojciec zerwał się z podłogi, przebiegł przez pokój i uderzył Clarę w twarz. Dziewczyna zatoczyła się w stronę ściany, ale utrzymała równowagę i przyłożyła dłoń do pulsującego policzka, mrugając załzawionymi oczami.

– Co on wam zrobił? – spytała, wytrzymując spojrzenie ojca. – Co on wam zrobił, że przestaliście go kochać?

– Ostrzegam cię – powiedział jej ojciec. – Jeszcze jedno słowo, a...

– A, racja – powiedziała, a gorące łzy spływały jej po policzkach. – Myślałeś, że jest twoją własnością, bo pracował dla ciebie. Traktowałeś go jak niewolnika, a sam zbierałeś pieniądze całymi garściami. W końcu nie wytrzymał i stanął we własnej obronie. Nie mogłeś tego znieść i wyrzuciłeś go na bruk! – Spojrzała wściekła na matkę. – A ty pozwoliłaś mu na to! Nigdy nie zapytałaś Williama o jego wersję wydarzeń. Nawet nie pofatygowałaś się, żeby się dowiedzieć, czy ma gdzie mieszkać i co jeść!

– W tej chwili przestań! – ryknął Henry. – Albo tego pożałujesz!

– Niczego nie żałuję – odparła Clara. – Może tylko tego, że nie dostrzegłam prawdy o was wcześniej.

Henry szybkim krokiem przeszedł na drugą stronę biurka, podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Wpatrywał się w płaczącą żonę, czekając, aż ktoś po drugiej stronie odbierze. Światło żyrandola odbijało się od jego spoconego czoła. Clara odwróciła się, by wyjść. Gdyby to zrobiła, zostałyby bez grosza. Jeśli zostanie, wpadnie w pułapkę. Nie było innego wyjścia.

– To pan, sierżancie? – powiedział ojciec do słuchawki. – Tu Henry Cartwright. Proszę o przysłanie tu kogoś jak najszybciej. Obawiam się, że mamy problem. – Clara zatrzymała się w drzwiach, czekając na to, co powie ojciec. – Chodzi o moją córkę, Clarę. Mamy podejrzenie, że miała jakiś atak.

Dziewczyna szarpnęła drzwi i wybiegła z pokoju.

## *Liceum Lakeshore*

Izzy niosła plecak zarzucony na jedno ramię, kciukiem przytrzymując jego gruby pasek. Próbowała znaleźć salę, w której zajęcia miała ostatnia klasa liceum. Korytarze jej nowej szkoły były zatłoczone, a uczniowie przechodzili obok w pośpiechu, żeby dostać się do swoich szafek, słuchając muzyki z walkmanów, śmiejąc się i rozmawiając z przyjaciółmi. Jak w każdej szkole, tak i tu korytarz pachniał dziwną kombinacją potu, gumy do żucia i wiórkami z ołówków. Liceum Lakeshore było jedną z najmniejszych szkół, w jakich się uczyła. Chodziło do niej tylko siedmiuset siedemdziesięciu sześciu uczniów podzielonych według wieku na cztery klasy – od dziewiątej do dwunastej. Izzy zastanawiała się, czy byłoby jej łatwiej się dopasować w mniejszej, czy większej szkole.

Tego ranka włożyła czarny T-shirt z długimi rękawami, dżinsowe szorty i czarne trampki. Teraz zauważyła, że niemal wszystkie dziewczyny noszą podarte dżinsy i szpilki albo minispódniczki i glany. Spojrzała na formularze, które trzymała w ręce, a węzeł na jej żołądku zacisnął się mocno. Miała oddać dokument z jej imieniem, nazwiskiem i informacjami o sobie wychowawcy czy szkolnej pielęgniarce? A może ten z personaliami jej przybranych rodziców i ich numerami telefonów miał trafić do szkolnej higienistki, a ten z planem zajęć był dla nauczyciela? A może akurat tego miała nikomu nie oddawać? Tego właśnie nie pamiętała.

Wreszcie zobaczyła tabliczkę z napisem „Pan Hudson” umieszczoną na drzwiach i skierowała się w ich stronę, uważając, by nikogo nie szturchnąć. Właśnie wtedy ktoś krzyknął i dwóch chłopaków przebiegło przez tłum – jeden miał na sobie koszulkę z napisem „The Doors”, drugi był rudy i nosił aparat na zębach. Rudzielec wpadł na nią, niemal przewracając ją na szafki.

Zakręciła się, upuszczając formularze, włosy spadły jej na oczy, a plecak zsunął się z ramienia. Rudy chłopak zaśmiał się, przeprosił i pobiegł dalej. Izzy odsunęła włosy i spojrzała na wykafelkowaną posadzkę, gdzie jej dokumenty były rozdzierane i mięte pod trampkami, sandałami i szpilkami.

W końcu tłum się przerzedził. Izzy stanęła przed grupką młodzieży, żeby zebrać dokumenty wprost sprzed ich stóp, starając się jednocześnie nie zostać stratowaną. Kiedy sięgnęła po ostatnią kartkę, ktoś inny zdążył ją podnieść. Wyprostowała się, gotowa do pościgu.

– Hej! – powiedziała ostrzegawczo.

– Próbuję tylko pomóc – powiedział chłopak, oddając jej dokument. Jego jasnoniebieskie oczy wydawały się niemal srebrne, a jego włosy miały ten sam fioletowoczarny odcień co pióra kruka.

– Dzięki – powiedziała, czując, jak ciepła krew napływa jej do policzków.

– Żaden problem – powiedział, uśmiechając się. Trzymał za rękę swoją dziewczynę, mimo że ta szła dalej. Wtedy ona zatrzymała się i zaśmiała, oglądając się przez ramię, żeby zobaczyć, co on robi. Miała długie blond włosy, a jej nogi były gładkie i opalone. Wyglądała na wyluzowaną, była ładna i rozbawiona, a Izzy wiedziała, że sama nigdy się taka nie stanie. Dziewczyna Kruczoczarnego spojrzała na Izzy bez większego zainteresowania i szarpnęła go za rękę, ciągnąc do przodu. Wzruszył ramionami i zniknął w tłumie.

Izzy wygładziła palcami pozaginane kartki, starając się nie rozmazać atramentu. Znalazła tę, której potrzebowała, włożyła pozostałe do plecaka i poszła za resztą uczniów do swojej sali. Wzdłuż jej ścian rozmieszczono rozpięte skóry bobra, królików, lisa, piżmaka oraz wypchanego gawrona i bażanta. Na półkach nad oknami stały słoje ze świńskimi embrionami, a w

powietrzu unosił się nikły zapach formaliny. Pan Hudson siedział przy swoim biurku, czytając książkę, podczas gdy uczniowie rozmawiali i śmiali się, siedząc na biurkach i oparciach krzeseł. Grupka dzieciaków siedziała z tyłu sali. Wszyscy mieli czarne włosy, ubrani byli na czarno, a na widocznych częściach ciała mieli tatuaże i wiele kolczyków. Chłopcy, którzy wcześniej wpadli na Izzy, zrzucali balony wypełnione wodą przez okno. Grupa mięśniaków i cheerleaderek siedziała pod oknami, obejmując się ramionami.

Izzy zgrzytnęła zębami i podeszła ze ściśniętym żołądkiem do biurka pana Hudsona. Nie rozumiała, dlaczego była tak zdenerwowana. Już wcześniej bywała nową osobą w szkole. Dokładnie to cztery razy. Po tym, jak wsadzono jej matkę do więzienia, przeprowadziła się z babcią do innego miasta, żeby rozpocząć nowe życie w nowej szkole. Trzy lata później jej babcia zmarła, a Izzy trafiła do rodziny zastępczej i musiała zmienić szkołę, akurat wtedy, kiedy miała iść do piątej klasy. Dwa lata później za sprawą jej przybranego ojca jego żona trafiła do szpitala w wyniku pijackiej awantury. Tamtej nocy Izzy została przeniesiona do innego domu zastępczego. Następnego dnia miała rozpocząć naukę w siódmej klasie w nowej szkole. Kiedy jej druga rodzina zastępcza przeprowadziła się do innego stanu, przeniesiono ją kolejny raz, tym razem do domu z matką alkoholicką. Przez trzy lata Izzy robiła, co mogła, by zajmować się dwójką dzieci tej kobiety – jej biologicznym, siedmioletnim synem i dziesięcioletnią dziewczynką przydzieloną przez system. Kiedy ich matka zastępcza była tak pijana, że nie mogła normalnie funkcjonować, Izzy gotowała i dbała o to, by dzieci nosiły czyste ubrania do szkoły. Dzień przed zakończeniem przedostatniej klasy liceum przybrana matka Izzy wjechała rodzinnym vanem do jeziora i utonęła. Tydzień później Izzy

posłano do Peg i Harry'ego. Tak więc bycie „nową” znała na wylot.

Ten rok był jednak inny z wielu powodów. Dopasowanie się miało być trudniejsze przez to, że większość dzieciaków w ostatniej klasie znała się już od gimnazjum. W poprzednim liceum przynajmniej zaczynała szkołę, jak wszyscy inni. Bycie nową osobą na finiszu nauki było jak wproszenie się do kogoś na zamkniętą imprezę.

Teraz trzymała formularz z urzędu w wyciągniętej ręce, czekając, aż pan Hudson podniesie wzrok i go odbierze. Czuła, jak inni uczniowie z zaciekawieniem spoglądają na przód sali, potem poszturchują się, wskazując na nią palcem i gapiąc się. Nauczyciel nadal czytał książkę, nie unosząc wzroku. Stopniowo rozmowy zamierały.

– Hej, niezły plecak! – krzyknął męski głos. – Idziesz w góry?

Wszyscy się zaśmiali. Izzy czuła, jak twarz coraz bardziej ją pali. Co było nie tak z jej plecakiem? Odchrząknęła, by zwrócić na siebie uwagę pana Hudsona. Właśnie wtedy opakowanie z prezerwatywą trafiło ją w głowę i upadło na podłogę. Izzy spojrzała na swoich nowych kolegów i koleżanki. Grupka dziewczyn zachichotała i odwróciła się. Wśród nich była wybranka Kruczoczarnego. On sam przyglądał się jej uważnie. Widzi obojętność czy litość w jego oczach? Trudno to było stwierdzić. Izzy położyła formularz ze swoimi danymi na biurku, podniosła prezerwatywę z podłogi i wyciągnęła ją w stronę nauczyciela, który wtedy w końcu spojrzał na nią.

– Myślę, że to dla pana – powiedziała.

Cała klasa wybuchnęła śmiechem.

– To jest jakiś żart? – spytał pan Hudson, marszcząc brwi.

– Nie – odpowiedziała Izzy. – Stałam tu tylko z dokumentami, a ktoś tym rzucił w pana, ale trafili we mnie.

Pan Hudson wziął prezerwatywę, wyrzucił ją do kosza i wstał.

– W porządku, uspokójcie się wszyscy i zajmijcie miejsca. – Wziął kartkę od Izzy, przeczytał ją i potem zwrócił się do klasy. – Przedstawiam wam Isabelle Stone, proszę, przyjmijcie ją serdecznie. – Potem spojrzął na Izzy i powiedział: – Siądź, gdzie tylko ci się podoba.

Izzy rozejrzała się po klasie w poszukiwaniu wolnego miejsca. Jedyne niezajęte znajdowało się z tyłu, w najdalszym końcu sali. Zsunęła plecak z ramienia i ruszyła w stronę okien, chcąc przejść skrajem ławek, a nie pomiędzy nimi. Potem jednak zdała sobie sprawę, że jeśli chce dotrzeć do wolnego miejsca, musi przejść obok Kruczoczarnego i jego dziewczyny. Przez moment zastanawiała się, czy nie będzie lepiej, jeśli się odwróci i pójdzie inną drogą, ale to byłoby zbyt widoczne. Poszła dalej. W połowie drogi minęła Kruczoczarnego i jego dziewczynę. Wtem jeden z chłopaków położył obutą w trampek stopę na parapecie, zagradzając jej drogę.

– Przepraszam – powiedziała, siląc się na uśmiech.

– Przypomnij mi, jak się nazywasz – powiedział chłopak. Był przystojny, miał gładką cerę, a na czoło opadała mu blond grzywka odsunięta na jedną stronę. Miał też wyjątkowo błękitne oczy.

– Isabelle – powiedziała, próbując zachować przyjazny ton głosu. – Ale wszyscy mówią do mnie Izzy.

– Izzy? – zapytał. – Jak Izzy Pop?

– Nie – odparła Izzy. – On się nazywa Iggy Pop.

– Panie Anderson! – warknął pan Hudson z przodu sali. – Czy w taki sposób będziemy zaczynać rok szkolny?

– Tylko się przedstawiam – odpowiedział chłopak. – Chcę serdecznie powitać Izzy Pop, jak sam pan mówił.

Wszyscy się zaśmiali. Izzy poczuła, jak na jej szyi i dekolcie powoli pojawiają się czerwone rumieńce.

– Nie bądź burakiem, Luke – rzucił ktoś za nią.

Izzy odwróciła się, by zobaczyć, kto to powiedział. To był Kruczoczarny.

– Przepuść ją – powiedział do Luke’a. Dziewczyna Kruczoczarnego szturchnęła go w ramię, wykrzywając się w gniewie. Zignorował ją.

Luke opuścił nogę i mrugnął do Izzy.

– Jeśli potrzebujesz kogoś, kto by cię oprowadził – powiedział z uśmiechem – jestem do dyspozycji.

– Dzięki – powiedziała Izzy i poszła do swojej ławki.

*Świetnie się zaczyna, pomyślała, opadając na krzesło. A jestem tutaj... pięć minut?*

Podczas sprawdzania obecności Izzy dowiedziała się, że Kruczoczarny nazywa się Ethan Black, a jego dziewczyna to Shannon McKenzie. Izzy obserwowała innych uczniów, a pan Hudson opowiadał o zbiórkach charytatywnych i wyborach samorządu klasowego. Jedna z dziewczyn siedząca obok Shannon (na imię miała Crystal) rzuciła okiem w stronę Izzy i szepnęła coś Shannon do ucha. Odwróciły głowy w jej stronę i zaśmiały się. Kiedy inna dziewczyna, która – o ile Izzy dobrze zapamiętała – miała na imię Nicole, spojrzała pytająco na Shannon, ta szepnęła jej coś na ucho. Potem wszystkie trzy spojrzały na Izzy, uśmiechając się, jakby opowiedziały sobie jakiś żart.

Izzy wbiła paznokcie w dłonie, walcząc z ochotą pokazania im środkowego palca. W każdej szkole była taka grupa – złośliwe dziewczyny,



które sprawiały, że życie innych dziewczyn było piekłem. Nie trzeba było być geniuszem, żeby się domyślić, które należały do tej grupy w Lakeshore. Wiedziała, że najlepszym wyjściem było je ignorować i mieć nadzieję, że nigdy się nie dowiedzą, że jej matka siedzi w więzieniu o zaostrzonym rygorze za zastrzelenie jej ojca. W takiej małej szkole to nie będzie łatwe. Właśnie wtedy powróciło do niej wspomnienie, jak dwie dziewczyny w jej poprzedniej szkole nazywały ją „psycholką” i pytały, czy nadal ma pistolet swojej matki. Niemal czuła miedziany posmak krwi w ustach od przygryzania wargi, żeby zwalczyć chęć wydrapania im oczu.

Teraz obciągnęła rękawy, upewniając się, że są opuszczone jak najniżej się da. Blizny na jej przedramionach w końcu zaczęły blednąć, a ona przyrzekła sobie, że nigdy już nie będzie się cięła, choćby nie wiadomo co. Miesiąc wcześniej wyrzuciła żyletki i nie zamierzała pozwolić tym idiotkom, by doprowadziły do tego, że złamie złożoną sobie samej obietnicę.

Pierwszy raz, kiedy się cięła, dzień po tym, jak zmarła jej babcia, poszła do łazienki jej starego domu po miniaturowego szklanego człowieczka pełnego brzytwę jej zmarłego dziadka. Wyciągnęła figurkę czarnowłosego fryzjera w niebieskiej koszuli z szafki na leki i wytrząsnęła jedno ostrze z jego głowy. Potem siadła na toalecie i zrobiła dwucentymetrowe nacięcie na przedramieniu. A potem zemdląca. Kilka minut później obudziła się na podłodze i zatkała ręką usta, nie mogąc patrzeć na świeżą ranę. Wtedy zrozumiała, że fizyczny ból sprawiał, że ten emocjonalny ustępuje na kilka minut, a widok jej własnej krwi powoduje omdlenie. Przez kolejne siedem lat cięła się, by pozbyć się gniewu, frustracji i bólu, ale robiła to, nie patrząc na ranę.

Po zamieszkaniu z Peg i Harrym zrozumiała, że cięcie się było

szaleństwem. A była bardzo zdeterminowana, żeby nie stać się wariatką jak jej matka. Choroba psychiczna była jej największym lękiem. Gdyby mogła kontrolować własne emocje, a szczególnie gniew, być może nie straciłaby panowania nad sobą.

Niemal na samym przedzie klasy siedziała inna dziewczyna, a błyszczące czarne włosy opadały jej na plecy jak aksamitny płaszcz. Pisała coś w zeszycie, głucha na chaos wokół niej, tylko od czasu do czasu rzucając w stronę innych uczniów chłodne spojrzenia. Izzy znała również takie osoby. Prawdopodobnie chodziła ze studentem college'u i nie miała czasu na intrygi swoich klasowych koleżanek. Z drugiej strony mogła też być przywódczynią paczki złoźnic.

W końcu zadzwonił dzwonek i uczniowie wygramolili się z ławek, udając się na pierwsze zajęcia tego dnia. Nikt, oprócz niej, nie miał plecaka. Izzy celowo nie śpieszyła się ze zbieraniem swoich rzeczy, czekając, aż wszyscy wyjdą z klasy. Kiedy doszła do drzwi, zawołał ją pan Hudson. Odwróciła się do niego:

– Tak, panie Hudson?

– Dałaś mi zły formularz – powiedział. – Ten jest dla pielęgniarki.

– Aha. – Izzy podeszła do jego biurka, wzięła dokument i poszukała w plecaku tego właściwego. – Przepraszam.

– Posłuchaj – powiedział pan Hudson. – To jest mała szkoła, a ta klasa była razem od gimnazjum. Od kilku lat nie doszedł do nich nikt nowy.

Izzy wzruszyła ramionami.

– Rozumiem – powiedziała.

– Jeśli ktoś będzie cię prowokował, to najlepiej będzie, jeśli go zignorujesz.

*Łatwo ci mówić, pomyślała.*

– Rozumiem – powtórzyła. – Dziękuję.

Po lekcji wychowawczej podeszła do niej czarnowłosa dziewczyna.

– Cześć. – Uśmiechnęła się na powitanie. – Witaj w piekle.

– Dzięki – odpowiedziała Izzy, wpychając pusty plecak do szafki.

– Nikt tutaj nie nosi plecaków – powiedziała dziewczyna. – Szkoła jest na tyle mała, że wszyscy na przerwach chodzą do szafek.

– Zauważyłam – odparła Izzy. Dziewczyna lekko sepleniała, ale poza tym wyglądała tak, że pasowałaby bez problemu do złośliwych dziewczyn – idealna figura, idealny makijaż, idealne ubrania. Co ona tu robiła, gadając z Izzy?

– Jestem Alexandra. W skrócie Alex.

Izzy zamknęła szafkę i przycisnęła podręcznik do matematyki do piersi.

– Izzy, skrót od Isabelle.

– Podoba mi się – powiedziała Alex z uśmiechem. – Pasuje do ciebie. Słuchaj, Shannon i jej przyjaciółki to same kłopoty. Najlepiej je ignorować i schodzić im z drogi.

– Jesteś już drugą osobą, która mi to mówi.

– Bo to prawda – powiedziała Alex.

Izzy wzruszyła ramionami.

– Mnie nie przeszkadzają.

Alex się uśmiechnęła.

– W porządku, ale nie mów później, że cię nie ostrzegałam. Wątpię, czy miałas wcześniej do czynienia z kimś takim jak Shannon.

– Co ona może mieć do mnie? – spytała Izzy. – Ledwo się tu pojawiłam.

Alex zmarszczyła brwi.

– Na przykład jej chłopak stanął po twojej stronie – powiedziała. – To już żółta kartka.

– To nie była moja wina – powiedziała Izzy.

– Wiem – odparła Alex. – Ale ostatnia dziewczyna, którą Shannon uznała za zagrożenie dla siebie i Ethana, musiała zmienić szkołę.

– Nie jesteś jej przyjaciółką?

Alex odwróciła wzrok na ułamek sekundy, a sam ten niewielki ruch, to minimalne zawahanie sprawiło, że Izzy zaczęła się zastanawiać, czy dziewczyna mówi prawdę. Może Alex była szpiegiem złościc i została posłana, by się z nią „zaprzyjaźnić”, a tak naprawdę na nią donosić?

– Byłyśmy kiedyś bardzo blisko – powiedziała Alex. – Ale to się zmieniło kilka lat temu.

– Co się stało? – Izzy wiedziała, że jej pytanie zabrzmiało wścibsko, ale nie przejęła się tym. Nie miała zamiaru wpaść w pułapkę.

– Może spotkamy się później? – spytała Alex. – Mogę cię podwieźć do domu, jeśli chcesz. Mam bmw z siedemdziesiątego szóstego. Straszny złom, ale kupiłam go sama i spełnia swoje zadanie.

Izzy wbiła paznokcie w okładkę podręcznika, a niepewność szarpnęła jej żołądkiem.

– Powinnam wrócić autobusem – powiedziała. – Moi przybrani rodzice powiedzieli mi, żebym nie jeździła z nieznajomymi osobami.

– A co powiesz na to, żebym wpadła do ciebie później? – zaproponowała Alex. – Przedstawię się twoim przybranym rodzicom i może będziemy mogły spędzać razem czas.

Izzy już miała się zgodzić, kiedy Alex zerknęła w stronę korytarza za jej

plecy. Mina dziewczyny zrzedła. Shannon i jej przyjaciółki przeszły obok nich, a za nimi unosił się mocny zapach lakieru do włosów i perfum. Shannon uśmiechnęła się promiennie do Alex, oczy jej błyszczały i ledwie mogła zapanować nad podekscytowaniem nowymi wieściami.

– Będziesz dzisiaj, prawda? – zapytała. – Rodzice Dave’a wyjechali na Florydę, a jego lodówka jest pełna piwa!

Alex zmarszczyła brwi. Chciała coś odpowiedzieć, ale wtedy Shannon popatrzyła na Izzy, jakby widziała ją po raz pierwszy.

– O! – mruknęła. Zerknęła na resztę dziewczyn, a potem uśmiechnęła się do Izzy. – Możesz też wpaść, jeśli chcesz. Przedstawię cię wszystkim!

– Ja... – zaczęła Izzy.

– Nie zapomnij. – Shannon ponownie zwróciła się do Alex. – Obiecałaś przynieść tequilę!

Zanim ta zdążyła zareagować, Shannon pobiegła dalej, śmiejąc się z innymi dziewczynami. Izzy popatrzyła na Alex, czekając na wyjaśnienia.

– Ona wie, że mówiłam ci, że nie mogę jej znieść – powiedziała Alex. – Zrobiła to specjalnie, żebyś podejrzewała mnie o kłamstwo.

– Skoro tak twierdzisz – powiedziała Izzy. – Muszę iść na lekcję. – Przeszła obok Alex i ruszyła korytarzem, z myślą, że zapowiada się długi rok. – Do zobaczenia.

## *Dom Opieki dla Niepełnosprawnych*

### *Umysłowo na Long Island*

*Nowy Rok 1930*

**D**wa i pół miesiąca od kłótni z rodzicami Clara stała w swoim pokoju w Norton Cottage na trzecim piętrze przed wąskim oknem składającym się z sześciu szybek. Okno wychodziło na główny plac Domu Opieki dla Niepełnosprawnych Umysłowo na Long Island. Był wczesny poranek Nowego Roku, a szare chmury wisiały nisko i złowroźnie na zimowym niebie. Zawieja trwała całą noc – można było niemal powiedzieć, że to była śnieżycyca – i wszystko było okryte białym całunem. Drzewa w cedrowym zagajniku uginały się pod ciężarem mokrego śniegu, a wartko płynąca woda miała kolor nagrobków. Ogrodnik odśnieżał chodniki. Plecy miał zgarbione, a jego czapka unosiła się w górę i w dół, kiedy usypywał coraz wyższe zaspę. Niska, czarna ciężarówka odgarniała śnieg z szerokiego podjazdu, a łopaty pługu do odśnieżania unosiły się i opadały jak skrzydła ogromnej osy. Warkot silnika i chrobot pługa słychać było przez cienką okienną szybę. W końcu przestało wiać, ale co kilka minut niebo znów się otwierało, wypuszczając kolejną porcję grubych płatków.

Próbując powstrzymać łzy, Clara zastanawiała się, gdzie będzie spędzała kolejny Nowy Rok. Wyobrażała sobie, że będzie mieszkała razem z Brunonem, wychowując z nim ich dziecko, w końcu wyzwolona spod kontroli rodziców. Najpierw jednak musiała wydostać się z Domu na Long Island. Musiała przekonać doktora Thorna, że niepotrzebnie jest tu zamknięta. Jak na razie jej wysiłki nie odniosły skutku. Doktor bardziej wierzył jej ojcu.

Przynajmniej odczuwała ulgę, że odwołano poranny spacer. Nie tylko była zadowolona, że nie musiała wychodzić na śnieg i mróz, ale też dlatego, że spędziła cały poranek, wymiotując w łazience, a jej pierwszy napad porannych nudności sprawił, że była słaba i drżała. Przesunęła dłoń na brzuch, już teraz chcąc ochronić rosnące w niej dziecko. Na szczęście nikt nie mógł poznać po samym jej wyglądzie, że jest w ciąży, ale czuła lekkie, twarde zgrubienie poniżej pępka. Dziecko było dziewczynką, tego była pewna. Każdej nocy przez ponad tydzień śniła o maluchu w różowej koronkowej sukience. Dziewczynka miała ciemne loki Brunona i patrzyła na nią czekoladowymi oczami. Teraz Clara przełknęła grudę rosnącą jej w gardle, zaskoczona przytłaczającą miłością, jaką już czuła do swojego nienarodzonego dziecka.

To sprawiło, że zaczęła myśleć o swojej matce, Ruth. Czy kiedy była w ciąży ze swoim pierworodnym, też kładła opiekuńczą rękę na rosnącym brzuchu, obiecując sobie, że będzie kochała i chroniła swoje dziecko do końca życia, choćby nie wiem co? Albo czy jej powiększająca się talia kłóciła się z jej poczuciem stylu? Czy nie mogła się doczekać dnia, w którym w końcu będzie mogła trzymać swoje nowo narodzone dziecko na rękach i całować jego małe, słodko pachnące czółko? A może chciała, żeby jej ciąża skończyła się jak najszybciej, żeby mogła oddać dziecko w ręce niani i żyć dalej własnym życiem? Clarze wydawało się, że jej matka musiała przyjąć tę drugą postawę. W przeciwnym razie, w jaki sposób kochająca i opiekuńcza matka mogła stać się samolubną kobietą, która miała gdzieś to, co działo się z jej dziećmi?

Clara wyrzuciła obraz swojej matki z umysłu, wiedząc, że próba zrozumienia kobiety, która wydała ją na świat, niczego nie zmieni. Odwróciła się, usiadła na wąskim łóżku, owijając się swetrem, i wpatrywała

się w nieotwarty list leżący na biurku. Napisał go jej ojciec, a był to już drugi list, który dostała, od kiedy przyjęli ją do Domu na Long Island ponad dwa miesiące temu, chociaż pisała codziennie, błagając, by ją wypuszczono. Koperta koloru kości słoniowej leżała tam, od kiedy godzinę wcześniej wróciła ze śniadania. Podnosiła ją wiele razy, trzymając kciuk na krawędzi tylnej klapki, a potem za każdym razem odkładała ją nieotwartą.

W pierwszym liście, dostarczonym tydzień po przyjeździe Clary, Henry pisał, że jej pobyt w Domu na Long Island był dla jej własnego dobra i miał trwać dopóty, dopóki lekarze będą mogli jej pomóc. Ale w miarę jak mijały tygodnie bez kolejnych wiadomości, Clara zaczęła się martwić, że ojciec zmienił zdanie i że będzie musiała zostać dłużej, niż na początku myślała. Teraz jej przyszłość mogła zostać ustalona przez to, co ojciec napisał w tym liście, a ona chciała mieć nadzieję, że rodzice zamierzali pozwolić jej na powrót do domu. Kiedy James dowiedziałby się, że nosi dziecko innego mężczyzny, małżeństwo zostałoby odwołane. Jej rodzice wydziedziczyliby ją i wyrzucili na bruk. Ale wszystko byłoby lepsze od zamknięcia w wariatkowie, nawet jeśli to był najlepszy ośrodek, za jaki można było zapłacić.

Pokoje w Domu na Long Island były ciepłe i czyste, a tereny wokół dobrze utrzymane. Co ważniejsze – obsługa był miła. Pacjenci jedli srebrnym sztućcami na eleganckiej porcelanowej zastawie i wypoczywali w salonach na sofach w stylu Ludwika XV. Leczenie polegało na odpoczynku, relaksie, dobrym jedzeniu, świeżym powietrzu i zajęciach takich jak jazda na rowerze i tenis na trawie. Do tego dochodziły też, oczywiście, sesje terapeutyczne. Nie było jednak żadnych wątpliwości – trzymano ją tu wbrew jej woli. Podczas pierwszej sesji, dzień po przybyciu, zapytała doktora Thorna, co by się stało, gdyby próbowała odejść.



– Dlaczego miałybyś chcieć odejść? – zapytał, patrząc na nią spod swoich okrągłych okularów. Był wysoki, chudy jak tyczka i miał ogromne jabłko Adama, które podnosiło się i opadało w jego skórzastym gardle jak ryba w dziobie pelikana.

– Dlatego, że nie muszę tu być – odparła Clara. – Nic mi nie jest.

– Rozumiem – powiedział doktor Thorn, pisząc coś w swoim notesie. – Jak zatem myślisz, dlaczego się tutaj znalazłaś?

Clara siedziała na drewnianym krześle ze skrzyżowanymi kostkami, a ręce trzymała złożone na podołku. Wbiła paznokcie w dłoń i starała się zachować pozory spokoju.

– Mój ojciec nie jest przyzwyczajony do tego, żebym stawiała we własnej obronie. Myśli, że kobiety powinno się widzieć, ale nie słyszeć. To jest jego sposób na to, żeby mnie uciszyć, spróbować udowodnić, że może mnie kontrolować. Próbuje zmusić mnie do czegoś, czego nie chcę robić.

– Czyż nie jest zadaniem ojca robić to, co jest najlepsze dla jego dzieci?

– To prawda – przyznała. – To jest jego zadanie. Ale on nie robi tego, co jest najlepsze dla mnie! Próbuje zmusić mnie do poślubienia odrażającego... – Przerwała zmartwiona, że powiedziała za dużo, przez co zaczęło się jej kotłować w żołądku. – Co mój ojciec panu powiedział o mnie? Dlaczego mnie tu przysłał?

– Powiedział, że miałaś jakieś załamanie. Martwi się, że nie myślisz jasno.

– To niedorzeczne – odparła. – On tylko nie potrafi przyjąć prawdy.

– A co jest tą prawdą, Claro?

– To, że moich rodziców obchodzą bardziej pieniądze i władza niż ich dzieci.

– Wydaje mi się, jesteś zła na nich o to, że przysłali cię tutaj.

Clara wyprostowała się.

– Oczywiście, że jestem zła! – powiedziała, podnosząc głos. – Kto by nie był?

Doktor Thorn kiwnął głową i zapisał coś w notatniku. Następne pytanie zadał, nie podnosząc wzroku.

– Czy uważasz, że twój ojciec spiskuje przeciwko tobie, Claro?

Clara zeszywniała.

– Nie – odpowiedziała, kręcąc głową. – Spiskowanie jest zbyt mocnym określeniem. Mój ojciec myśli, że posyłając mnie tutaj, da mi nauzkę. Nie akceptuje mężczyzny, którego kocham. Uważa, że kiedy wrócę do domu, zgodzę się na jego plany.

Doktor Thorn odłożył pióro, ściągnął okulary i potarł oczy, a potem położył dłonie na biurku i wpatrywał się w Clare, szukając czegoś w jej twarzy.

– Czasami – powiedział cicho – kiedy lękamy się czegoś albo się zdenerwujemy, zaczynamy sobie wyobrażać różne rzeczy. Twój ojciec twierdzi, że oskarżyłaś go o zabicie twojego brata.

– To nieprawda! – odparła wzburzona. – Mój brat popełnił samobójstwo, bo myślał, że nie ma już po co żyć. Mój ojciec go zniszczył, a matka na to pozwoliła.

– Czy uważasz, że twoi rodzice są odpowiedzialni za śmierć twojego brata?

– Mogli inaczej załatwić niektóre sprawy, a jak zwykle zareagowali ekstremalnie. Zamiast porozmawiać z nim jak normalni rodzice, pozbyli się go!

– A teraz myślisz, że chcą się też pozbyć ciebie.

– Nie miałam tego... – Clara przerwała, próbując uspokoić galopujące serce, nagle rozumiejąc, że jej słowa mogą być przekręcane i użyte przeciwko niej.

– Wszystko w porządku? – spytał doktor Thorn, unosząc brwi.

Potrząsnęła głową.

– Może dokończysz to, co mówiłaś? – zaproponował.

Spojrzała w dół, na swoje dłonie, czując, że oczy wzbierają łzami.

– Nie słucha mnie pan – powiedziała. – Słyszysz pan tylko to, co chce pan usłyszeć. Przekręca pan moje słowa, tak żebym wyglądała na niestabilną emocjonalnie.

– Wydaje się pani bardzo podejrzliwa wobec innych ludzi – odparł lekarz. – Wobec pani rodziców, mężczyzny, którego chcą, żeby pani poślubiła. A nawet wobec mnie.

– Jak by się pan czuł, gdyby role się odwróciły, panie doktorze? Czy nie chciałby pan się wytłumaczyć i czy nie prosiłby pan o wypuszczenie, gdyby był pan zdrowy?

Doktor Thorn zamknął notes i założył z powrotem okulary.

– Nasi pacjenci mogą opuścić Dom na Long Island z wypisem ode mnie albo na prośbę strony proszącej o przyjęcie, w tym wypadku twojego ojca.

– Co by się stało, gdybym spakowała walizkę i wyszła? Co by było, gdybym po prostu poszła podjazdem i wyszła przez bramę?

Doktor Thorn uśmiechnął się i parsknął, jakby próbując stłumić śmiech.

– Myślę, że mogłabyś spróbować – powiedział. – Ale Dom na Long Island leży na powierzchni prawie sześciu hektarów, więc do bramy jest dość daleko. Zatrzymalibyśmy cię, zanim zdążyłabyś się oddalić. Poza tym

brama jest zamknięta. Widziałem też, jak wielki kufer ze sobą przywiozłaś. Nie wyobrażam sobie, żeby udało ci się go wynieść bez trudności z pokoju, nie mówiąc już o zejściu z nim schodami i przejściu po trawnikach.

Clarze zaczęło się robić gorąco. Zamierzała mu powiedzieć, że nic ją nie obchodził jej kufer. Wyszłaby bez niego, jeśliby musiała. Ale potem zrozumiała, że jej gniew może zostać uznany za coś innego, za część jej „choroby”.

Jej pierwszym błędem w dniu, w którym pokłóciła się z ojcem, było to, że poświęciła czas na pakowanie się. Powinna była wyjść z gabinetu, wziąć płaszcz i natychmiast wybiec z domu. Powinna była uciec w tej samej chwili, w której usłyszała, jak jej ojciec prosi policjanta, żeby przyprowadził lekarza. Ona jednak pobiegła do pokoju i zaczęła pakować swój kufer, zapominając, że będzie musiała sama znieść tę wielką skrzynię po schodach, że ani lokaj, ani kierowca nie zostaną wezwani, by zanieść jej bagaż do samochodu. W końcu przecież uciekała, a nie wyruszała w kolejną podróż za morze. Nie myślała jednak racjonalnie, a jej spanikowany umysł nie potrafił połączyć razem dwóch spójnych myśli. Jedyne, co wiedziała, to to, że powinna wziąć jak najwięcej, bo kiedy ucieknie, to ubrania w kufrze i suknia, którą ma na sobie, będą wszystkim, co posiada.

Myśląc o tym teraz, krytykowała się za bycie tak głupią. Wiedziała, że policja mogła pojawić się w jej domu w ciągu kilku minut, gdyż Ruth dzwoniła do nich mnóstwo razy – kiedy nie mogła znaleźć swojego naszyjnika z pereł, kiedy zginęły lichtarze z salonu, kiedy zniknął jej ulubiony zestaw do herbaty. Za każdym razem policjanci przyjeżdżali i mówili spokojnie do Ruth, podczas gdy ona chodziła nerwowo i zawodziła, przekonana, że pomoc domowa kradnie. Wtedy pokojówki, lokaje i szoferzy stawali w rzędzie i byli przesłuchiwani jak pospolicci

złodzieje. Ostatecznie znajdowano logiczne wytłumaczenie, naszyjnik Ruth zsunął się za toaletkę, lichterze były w spiżarni i oczekiwały na polerowanie, zestaw do herbaty został włożony do nie tego kredensu. Kiedy do Ruth dotarło, że jej drogocenne rzeczy się znalazły, dziękowała policji za szybkie przybycie. Clara tymczasem przepraszała służbę.

Gdyby tylko pamiętała, z jakim pośpiechem policja mogła przybyć, to zamiast jak Ruth martwić się o „rzeczy”, miałyby szansę uciec. Kiedy jej ojciec przyprowadził porucznika, dwóch policjantów i lekarza do jej pokoju na górze, jej kufer był niemal pełny, a szansa na ucieczkę zmalała do zera. Henry kazał mężczyznom zamknąć kufer i zabrać go razem z jego jedyną córką. Wciąż widziała twarz ojca, jego rozszalałe oczy i ramiona wykonujące gesty, jakby z jego domu wyprowadzano przestępcę.

– W czym problem? – spytał porucznik.

– Rzucała wszelkie możliwe oskarżenia – powiedział Henry, potrząsając głową. – Obawiam się, że ma urojenia.

– To nieprawda! – powiedziała Clara. – Ja tylko...

Henry spojrzał na lekarza błagalnym wzrokiem.

– Czy mógłby pan jej pomóc?

Clara pobiegła w stronę drzwi, ale policjant złapał ją za nadgarstek. Próbowwała się wyrwać, lecz bezskutecznie.

– Proszę mnie puścić! – krzyknęła. – Nie możecie tego robić! Nic takiego nie zrobiłam!

– Czy Clara doznała ostatnio jakiejś traumy? – zapytał Henry’ego lekarz.

– Straciła brata – odpowiedział. – A w jakiś sposób wymyśliła sobie, że ja... – Henry zwiesił głowę i przyłożył zaciśnięte pięści do czoła, tak jakby

ta myśl była nie do zniesienia.

– To nie dlatego ja... – krzyknęła Clara. Policjant mocniej zacisnął dłoń na jej ramieniu. – Nie! Puść mnie!

Porucznik skierował uwagę na lekarza, pozwalając mu podjąć ostateczną decyzję. Lekarz kiwnął głową. Zanim Clara zdążyła zaprotestować, policjanci chwycili ją za ramiona i wyprowadzili z sypialni, po schodach na dół i na zewnątrz, gdzie wepchnięto ją na tył czarnego buicka lekarza. Jej żakiet i zimowe buty rzucono na siedzenie obok niej, a kufer do bagażnika. Pamiętała, jak wyglądała przez okno samochodu na kamienne wejście do domu rodziców, na znajomą granitową balustradę i rzeźbioną lilię heraldyczną nad drzwiami. Nie była pewna, dlaczego patrzyła. Może jakaś mała, pełna nadziei część niej spodziewała się, że matka będzie płakała na schodach, zmartwiona tym, że zabierają jej jedyną córkę. Jednak ujrzała tylko rąbek bonzurki ojca znikający w drzwiach i kołatkę obijającą się po trzaśnięciu drzwiami.

Clara przygryzała wewnętrzną stronę policzka, próbując znaleźć sposób na przekonanie doktora Thorna, by ją wypuścił.

– Przykro mi – powiedział lekarz. – Ale obawiam się, że nasz czas się skończył.

– Ale ja... – powiedziała Clara.

Lekarz wstał i obszedł biurko

– Skończyliśmy już na dzisiaj, Claro.

Clara wstała.

– To wszystko? – zapytała, podnosząc ręce w górę. – Będzie pan podejmował decyzje na podstawie dwudziestominutowej rozmowy?

– Porozmawiamy więcej podczas twojej kolejnej wizyty – powiedział,

otwierając drzwi.

– Kiedy? – zapytała. – Jutro?

Doktor Thorn uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Obawiam się, że jutro muszę się spotkać z innymi pacjentami. Zobaczymy się znowu w przyszłym tygodniu.

Clara poczuła ucisk w żołądku. *W następnym tygodniu?* Myśl o tym, że będzie musiała zostać tutaj cały tydzień, sprawiła, że niemal krzyknęła. Na pewno jej ojciec nie zamierzał jej tu zostawiać tak długo.

Na korytarzu na Clarę czekała młoda pielęgniarka, by zaprowadzić ją z powrotem do jej pokoju. Clara poszła korytarzem, obejmując się ramionami w talii i próbując się nie załamywać. Nie byłoby dobrze, gdyby wydała się pielęgniarce niestabilna emocjonalnie, nawet jeśli kobieta uśmiechnęła się do niej, kiedy wyszła z gabinetu, a jej przyjazne niebieskie oczy były wypełnione współczuciem.

Lęk ciążył jak kamień w brzuchu Clary, a jej ciało pokryła gęsia skórka. Korytarze zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Czerwono-zielony dywan i kryształowe kinkiety przypominały jej o wnętrzu Domu Zabaw na Coney Island, gdzie odwiedzający, przechodząc przez krzywe pokoje i ciemne korytarze z przechylającą się podłogą i ruchomymi ścianami, byli dręczeni przez klauna z elektryczną różdżką. Od zawsze nienawidziła Domu Zabaw, pamiętając przypływ paniki, kiedy strumień sprężonego powietrza owiał jej kostki. Po tym, jak się odwróciła i przedarła przez tłum innych odwiedzających, żeby się stamtąd wydostać, obiecała sobie nigdy nie wrócić do środka, nieważne, jak bardzo jej znajomi śmialiby się z niej. Dom na Long Island był tysiąc razy gorszy. Stąd nie było ucieczki, nie było powrotu do słonecznego światła, hot dogów w cieście kukurydzianym, do roześmianych przyjaciół.

Kiedy Clara dotarła do pokoju, stanęła w drzwiach, czekając, aż wpuści ją pielęgniarka. Wpatrywała się w podłogę przez jakąś minutę, zanim się zorientowała, że siostra zatrzymała się kilka kroków za nią. Młoda kobieta patrzyła na Clarę ze zmarszczonym czołem, tak jakby próbowała podjąć jakąś decyzję.

– Byłaś już może na spacerze po terenie ośrodka? – spytała.

Clara potrząsnęła głową

– Dopiero tu przyjechałam.

– Wiem, kiedy tu dotarłaś – powiedziała pielęgniarka. – Byłam razem z siostrą McCarn, kiedy prowadzili cię wczoraj do twojego pokoju. Pomagałam rozpakowywać twoje rzeczy.

– Przepraszam – powiedziała Clara. – Nie pamiętam. Ja...

– Nic się nie stało – odparła pielęgniarka, uśmiechając się. – Chciałabyś może wyjść na chwilę na zewnątrz? Mamy jeszcze trochę czasu do obiadu, a dzisiaj może być jeden z ostatnich ciepłych dni przed zimą. Klomby wyglądają przepięknie. – Pielęgniarka rozejrzała się po korytarzu, jakby bała się, że ktoś może usłyszeć.

Clara potrząsnęła głową.

– Chciałabym być przez chwilę sama.

– Jesteś pewna? – zapytała pielęgniarka. – Słońce świeci i jest tak ciepło, że nawet nie trzeba swetra. Jutro ma się oziębic i...

Clara westchnęła i puściła ramiona. Przynajmniej mogłaby poznać teren wokół Domu na Long Island i znaleźć drogę ucieczki. Kiwnęła głową i ruszyła z powrotem korytarzem, a potem skręciła na klatkę schodową. Pielęgniarka ruszyła pierwsza, ale zatrzymała się na czwartym stopniu. Siostra McCarn akurat wchodziła schodami do góry.



– Och! – powiedziała pielęgniarka do Clary. – Może jednak innym razem. – Odwróciła się i pośpiesznie wróciła na piętro. Clara poszła za nią.

– Siostró Yott! – zawołała za nimi siostra McCarn, a jej kroki dudniły po schodach. Siostra Yott opuściła ramiona. Zatrzymała się i czekała z zachmurzonym wyrazem twarzy. Siostra McCarn dotarła do nich i położyła rękę na biodrze, a jej czoło było zmarszczone. – Dokąd zamierzaliście iść? Kazano ci zaprowadzić pacjentkę do jej pokoju.

– Chciałam wziąć Clarę na zewnątrz – powiedziała siostra Yott. – Na świeże powietrze.

Siostra McCarn patrzyła wściekła na pielęgniarkę, a zuchwa drżała jej nerwowo.

– To nie ty decydujesz, co jest najlepsze dla pacjentów – powiedziała. – Natychmiast zabierz ją z powrotem do pokoju.

Siostra Yott opuściła wzrok.

– Tak, proszę pani.

– Pamiętaj, że nie jesteś lekarzem – powiedziała siostra McCarn. – Mogłabyś się uczyć na moim przykładzie. Pracuję w Domu na Long Island od ponad dwudziestu lat i zawsze ściśle przestrzegam poleceń lekarza.

– Przepraszam – powiedziała siostra Yott, czerwieniąc się.

Jej przełożona potrząsnęła głową i cmoknęła z dezaprobatą.

– To już drugi przypadek, że muszę cię upominać. Uważaj, siostró Yott.

Clara przełknęła ślinę i zrobiła krok do przodu.

– Doktor Thorn polecił siostrze, żeby wzięła mnie na zewnątrz – oznajmiła. – Powiedziałam mu, że czuję się tak jakby uwięziona, a on zapytał, czy nie pomógłby mi kilkuminutowy spacer.

Siostra McCarn wpatrywała się w Clarę z zaciśniętymi ustami.

Dziewczyna wytrzymała jej spojrzenie. W końcu siostra McCarn spojrzała na swą podopieczną.

– Czy to prawda? – spytała.

Siostra Yott kiwnęła głową.

Starsza z pielęgniarek zacisnęła wargi, a niebieska żyła wyskoczyła jej na czole. Usiłowała zachować spokój.

– Idźcie – powiedziała, machnąwszy ręką w stronę schodów. – Do obiadu jest dziesięć minut. Pacjentka powinna być w stołówce punktualnie. Jeśli się spóźni, to za to odpowiesz. – Potrząsnęła głową z obrzydzeniem i pomaszerowała korytarzem.

Siostra Yott uśmiechnęła się do Clary.

– Dziękuję – powiedziała. – Przysięgam, uwzięła się na mnie.

To było dziesięć tygodni temu, a Clarze wydawało się, że minęło dziesięć lat.

Teraz Clara sięgnęła po list leżący na jej biurku. Kiedy zobaczyła go pierwszy raz tego poranka, serce zabiło jej mocniej w nadziei, że to od Brunona. W końcu odpowiedział na jej listy, które wysyłała codziennie! Wtedy jednak zobaczyła na kopercie formalne pismo Henry'ego, padła z powrotem na łóżko z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Bruno nie odpisywał. Z początku obawiała się, że jej listy były jakoś przechwytywane, ale to nie miało sensu. Zanosila je na portiernię i sama wrzucała do zamkniętej skrzynki. Kiedy minął pierwszy miesiąc bez odpowiedzi, budziła się oblana zimnym potem, przerażona, że stało się coś złego. Jej ojciec był żądnym władzy tyranem, tego była pewna. Jednak chyba nie posunąłby się tak daleko, żeby pozbyć się Brunona? Przez chwilę zastanawiała się, czy chłopak o niej nie zapomniał. Może ich romans nic dla niego nie znaczył. Może była tylko kolejną na długiej liście innych kobiet?

Też nie. To było coś więcej. O wiele więcej. Była tego pewna. Niemniej wolała sobie wyobrazić Brunona z inną kobietą niż scenę, która atakowała jej umysł każdej nocy: ciało Brunona unoszące się twarzą do góry obok ciała jej brata w rzece Hudson.

Odsunęła się o krok od biurka i położyła palce na ustach, znów czując nagły przypływ nudności, mimo że sucha grzanka na śniadanie pomogła jej wcześniej zwalczyć mdłości. Jej ojciec nie pisał po trzech miesiącach ciszy po to, żeby zapytać, co u niej. Minęło Boże Narodzenie i Nowy Rok, a nie dostała nawet kartki. Czy w końcu miała opuścić to miejsce, czy zmuszano ją do pozostania tu dłużej?

Wzięła głęboki oddech i jeszcze raz podniosła list, obiecując sobie, że tym razem go otworzy. Przygryzła wargę i wsunęła kciuk pod klapkę, rozdierając ją. Palce jej drżały, gdy rozkładała pojedynczą kartkę papeterii ojca w kolorze kości słoniowej. Upuściła kopertę na podłogę i chwyciła list trzęsącymi się dłońmi.

*Droga Claro,*

*Twoja matka i ja mamy nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku i że otrzymujesz potrzebną Ci pomoc. To niefortunne, że Twoje życie obrało taki kierunek. Doktor Thorn zapewnił mnie, że czasami, niezależnie od swoich wysiłków, rodzice nie mogą być pewni, jaki będzie rezultat wychowania ich dzieci. To jednak nie ma znaczenia. Co się stało, to się nie odstanie. Zrobiliśmy z matką to, co uważaliśmy za najlepsze, i tylko tego możemy od siebie wymagać. Piszę do Ciebie, by powiadomić Cię, że sytuacja zmieniła się od wrześniowego krachu na giełdzie. Przez straty, które ponieśliśmy, i przez próby zachowania domu i naszego stylu życia, do którego*

*jesteśmy z Twoją matką przyzwyczajeni, z ubolewaniem stwierdzam, że nie jestem w stanie dłużej opłacać Twojego pobytu w Domu na Long Island. Rozmawiałem długo z doktorem Thornem o Twoim stanie i o tym, co obaj uważamy za konieczne jako następny krok. Doktor Thorn wyjaśni Ci, co ustaliliśmy. Proszę, miej świadomość, że razem z Twoją matką chcemy tylko Twojego dobra.*

*Z serdecznymi pozdrowieniami*

*Twój ojciec*

Clara wpatrywała się w list, słowa rozmazywały się w jej oczach, a w gardle zaczęła rosnać twarda gęstwa. Co ten list miał znaczyć? Jaki był ten konieczny następny krok? Czy miała zostać wypuszczona? Czy miała być pozostawiona sama sobie? Upuściła list na podłogę i zaczęła chodzić po pokoju. Ogarniały ją dreszcze. Jej wizyta u doktora Thorna miała się odbyć o jedenastej. Była dopiero dziewiętna trzydzieści. Przystanęła i wzięła kilka oddechów, próbując uspokoić kołaczące serce. Niepokój był szkodliwy dla dziecka. Musiała się uspokoić. Po chwili położyła się na łóżku i zamknęła oczy, naciągając cienki koc na drżące ramiona.

Potem zerwała się, przypominając sobie, że miała coś do zrobienia. Musiała napisać do Brunona. Jeśli sytuacja miała się zmienić, jeśli miano ją wypuścić albo odesłać do domu, powinien o tym wiedzieć. Nawet jeśli nie miała pojęcia, czy jej listy do niego docierają, musiała spróbować przekazać mu informacje o tym, co się dzieje. Wstała, otworzyła szufladę biurka, wyszarpnęła papeterię, którą otrzymała w Domu na Long Island. Wyciągnęła krzesło spod biurka i siadła z piórem nad kartką papieru... i wtedy zrozumiała, że nie wie, co pisać. Jak miała napisać Brunonowi o tym, co się działo, kiedy sama nie wiedziała, co się stanie? List musiał

zaczekać do wizyty u doktora Thorna. Może doktor mógłby zobaczyć się z nią wcześniej? Mogłaby poprosić siostrę McCarn, żeby zmieniła plan wizyt. Wstała i podeszła do drzwi, ale usłyszała męskie głosy na korytarzu. Wróciła szybko do biurka i schowała papeterię do szuflady, a potem rozejrzała się po pokoju za czymś, co mogło sprawić, że wyglądałaby na zajętą. Siostra McCarn mówiła, że beczynne ręce są szatańskimi zabawkami, a jeśli pacjent nie miał co robić, zawsze były podłogi do pozamiatania i toalety do umycia. Clara wyciągnęła Biblię z szafki nad biurkiem i otworzyła na przypadkowej stronie. Ogarnęły ją lekkie zawroty głowy i drżenie, jakby od dawna nic nie jadła.

W tym momencie usłyszała lekkie pukanie do drzwi. Doktor Thorn i człowiek, którego wcześniej nie widziała, weszli do małego pokoju, a siostra McCarn szła tuż za nimi. Warstwa śniegu leżała na barkach płaszcza nieznajomego, śnieg wypełniał też mankiety jego spodni, a na podłodze wokół jego butów zaczęły się pojawiać kałuże.

– Dzień dobry, Claro – zwrócił się do niej doktor Thorn. – Jak się dzisiaj czujesz?

Clara zmusiła się do uśmiechu, zamykając Biblię leżącą na jej kolanach.

– Wszystko w porządku, dziękuję. A pan?

Doktor Thorn spojrzał na drugiego mężczyznę.

– Jak panu mówiłem – powiedział. – Zawsze jest miła. Nie powinna sprawiać panu kłopotów. – Mężczyzna podniósł dłoń do swojego melonika i uniósł go w kierunku Clary. Odpowiedziała mu lekkim skinieniem głowy, a wargi jej drgały, kiedy usiłowała się uśmiechnąć. Doktor Thorn zerknął na list leżący na biurku Clary. – Widzę, że przeczytałaś list od ojca?

– Tak – powiedziała, próbując powstrzymać drżenie w głosie. – Napisał, że pan wyjaśni mi, o co chodzi.

– Tak, to prawda – powiedział doktor Thorn. – Po to tu jestem. – Wskazał dłonią człowieka w wełnianym płaszczu. – To jest pan Glen. Przyjechał z Ovid, małego miasteczka nad jeziorem Seneca.

Siostra McCarn zrobiła krok do przodu i stanęła obok doktora Thorna. Jedną rękę miała wyprostowaną, choć lekko schowaną za rąbkiem białej spódnicy. Clara dostrzegła zarys czegoś długiego i srebrnego w jej dłoni. Przedmiot ten wyglądał jak strzykawka. Przełyk Clary wydawał się wypełniony lodem, utrudniając oddychanie. Wstała. Biblia zsunęła się z jej kolan, uderzając ciężko o podłogę. Potem zauważyła dwóch sanitariuszy i pielęgniarkę w niebieskim czepku czekających na korytarzu.

Doktor Thorn podniósł rękę, jakby chciał powstrzymać Clare przed ucieczką. Siostra McCarn podeszła bliżej, jej oczy były szeroko otwarte i błyszczące, jakby znajdowała się w stanie podwyższonej gotowości.

– Pan Glen i pielęgniarka zabiorą cię do Willard.

– Willard? – wydusiła z siebie Clara. Przełknęła ślinę, a język miała jak skamieniały.

– To państwowy szpital dla chorych umysłowo – powiedział doktor Thorn. – Twój ojciec chce być pewien, że otrzymujesz pomoc, jakiej potrzebujesz. Niestety, nie stać go już na opłacanie twojego pobytu tutaj.

Clara cofnęła się, dotykając swetra.

– Nie rozumiem – powiedziała, a kropelki potu wystąpiły jej na czoło. – Mój ojciec mówił, że to tylko tymczasowe. Nie potrzebuję pomocy. Chcę tylko wrócić do domu!

Siostra McCarn podeszła, wyciągając strzykawkę z ukrycia. Doktor Thorn podniósł rękę, żeby ją powstrzymać.

– Rozumiem, Claro, ale najpierw musisz wyzdrowieć. Spakuj swoje rzeczy. Samochód pana Glena czeka na zewnątrz.

– Ale co z pogodą – powiedziała Clara, szukając pretekstu, żeby opóźnić wyjazd.

– Rozpogadza się – odparł pan Glen. – Wszystko będzie w porządku, jeśli wyjedziemy w ciągu kilku godzin. Przed zmierzchem dotrzemy do Willard.

– Nie ma powodów do obaw – powiedział doktor Thorn. – W Willard otoczą cię dobrą opieką.

Clara osunęła się na łóżko, gdyż nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa, a ramiona stały się bezwładne. Musiała zmobilizować całą swoją energię, żeby nie upaść na podłogę. Próbowwała wymyślić coś, co przekona ich, że jest zdrowa na umyśle, że jej jedyną przewiną było pokłócenie się z rodzicami. Karano ją za to, że stanęła we własnej obronie, za opowiedzenie się za tym, co było dobre i prawdziwe. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

– Siostró McCarn – powiedział doktor Thorn. – Proszę polecić jednej z pielęgniarek, by pomogła Clarze się spakować, a pani niech zaprowadzi pana Glena i jego pielęgniarkę do stołówki. Jestem pewien, że gorący posiłek dobrze im zrobi przed długą podróżą do Willard. Proszę też przynieść Clarze gorącą herbatę i coś do jedzenia, zanim wyjedzie.

Siostra McCarn i pan Glen wyszli z pokoju, a doktor Thorn przystanął w drzwiach z jedną ręką na klamce.

– Wszystko będzie w porządku – powiedział do Clary. – Jesteś inteligentną młodą kobietą i czeka cię świetlana przyszłość. Potrzebujesz tylko trochę pomocy, by odnaleźć właściwy kierunek dla swojego życia. Jeśli będziesz współpracowała, nie ma powodu, byś obawiała się wyjazdu do Willard. – Po czym wyszedł, zamykając drzwi i zostawiając Clare odretwiąłą, ze wzrokiem wbitym w drewnianą podłogę.

Wstała, jak jej się wydawało, w zwolnionym tempie, i wyciągnęła swój dziennik spod łóżka. Usiadła przy biurku i otworzyła go na ostatnim wpisie, ale słowa rozmazywały się jej przed oczami. Pisała każdego dnia, od kiedy przyjechała, ale nie napisała ani słowa o dziecku. Z jakiegoś powodu obawiała się, że mogłaby przynieść pecha swojej ciąży albo że lekarze znaleźliby jej dziennik i donieśliby jej ojcu. Nie wiadomo, do czego Henry mógłby się posunąć, jeśli dowiedziałby się, że Clara urodzi dziecko Brunona. Mógłby nawet odesłać ją na zawsze.

Otarła oczy i podniosła pióro, myśląc o tym, jak wyrazić uczucie bycia wyrzuconą jak śmieć, o byciu zamkniętą jak przestępczyni. Przypomniała sobie zasłyszane historie o tym, jak rodzice trzymali dzieci z dala od społeczeństwa. Za zdeformowane kończyny, wybuchowe charaktery, upośledzoną inteligencję i rozszczepione wargi chowano je za drzwiami na najwyższym piętrze domu rodzinnego albo ukrywano na ciemnych strychach. Czy to właśnie robił jej ojciec? Czy był tak zawstydzony tym, że jego córka kochała kogoś, kogo on nie akceptował, że chciał ją ukryć? Albo czy naprawdę wierzył, że lekarze sprawią, że zrozumie swój błąd, że będzie się dało ją zmusić, by poślubiła mężczyznę, którego nie kochała? A może naprawdę wierzył, że była chora? Przyłożyła pióro do kartki i napisała w dzienniku.

*Mój ojciec pozbywa się mnie, odsyła mnie. Nie jestem pewna, co chce tym uzyskać. To tylko zwiększa moją determinację, że kiedy zostanę wypuszczona, będę żyła tak, jak chcę, i ucieknę od niego. Mój ojciec wysyła mnie do Willard. Zastanawiam się, czy powinnam się tego obawiać.*

Kilka minut później siostra Yott weszła do jej pokoju. Uśmiechnęła się



do Clary i spojrzała jej w oczy, w przeciwieństwie do reszty lekarzy i pielęgniarek, którzy wydawali się patrzeć przez nią. Clara zastanawiała się, czy nie powiedzieć pielęgniarce, że ją odsyłają, ale wiedziała, że nie ma to sensu. Dziewczyna nie mogła nic wskórać. Patrzyła, jak siostra Yott wyciąga kufer z szafy i kładzie go bokiem na podłodze. Pielęgniarka obróciła się na palcach, podchodząc, żeby otworzyć wieko. Jej nogi, ubrane w białe pończochy, i blade dłonie poruszały się powoli i rozmyślnie, jak u baleriny tańczącej układ. Clara przypuszczała, że są w podobnym wieku. Siostra Yott mogła być dwa, trzy lata starsza. Wyobrażała sobie rodziców młodej kobiety uśmiechających się i dumnych z tego, że skończyła szkołę dla pielęgniarek. Łzy napłynęły jej do oczu i spojrzała na palce siostry Yott, by sprawdzić, czy jest zamężna. Na jej lewej dłoni widniał pierścienek zaręczynowy.

Nagle Clara poczuła na sobie ciężar, jakby przywalił ją ogromny głaz. Poczowała ucisk w piersi, aż się przygarbiła pod wpływem dojmującego żalu. Była pewna, że usłyszała, jak serce jej pęka. W jednej chwili poczuła, że będzie miała nudności. Wstała, pośpieszyła w kierunku kosza na śmieci i padła na kolana. Grzanka, którą zjadła wcześniej, wróciła, drażniąc jej gardło, a potem był już tylko ból i kwas. Wiele razy splunęła do kosza, a potem stanęła na drżących nogach. Siostra Yott podeszła do niej i położyła dłoń na jej ramieniu, a na jej twarzy była wypisana troska.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Clara wytarła usta wierzchem dłoni.

– Nie – powiedziała. – Nic nie jest w porządku.

– Jesteś chora? Chcesz, żebym poszła po lekarza?

Clara owinęła się w taliu swetrem i usiadła na łóżku.

– Nie jestem chora – powiedziała. – Jestem w ciąży.

Siostra Yott wciągnęła powietrze. Clara zakryła twarz rękami i pochyliła się do przodu, kładąc łokcie na kolana. Jej barkami targnął wstrząs, a oddech stał się krótki i płytki.

Siostra Yott uklękła przy niej, głaszcząc jedną ręką plecy dziewczyny.

– No, już, już – powiedziała. – Wszystko będzie w porządku.

– Nie – odparła Clara. – Nic nie będzie w porządku. Tutejsi lekarze mają mi pomóc, ale jak mogą mi pomóc, skoro nie chcą słuchać? – Położyła się na łóżku i zwinęła na kocu. Siostra Yott przysunęła sobie krzesło sprzed biurka i siadła naprzeciwko Clary.

– Tak mi przykro – powiedziała. – Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Jeśli nie jesteś w stanie zabrać mnie stąd, zanim wywiozą mnie do Willard, to nic.

– Przepraszam, że pytam – powiedziała siostra Yott. – Ale co z ojcem dziecka? Czy wie o tym? Jesteście razem?

Clara podniosła się, a szalony pół śmiech, pół jęk wyrwał jej się z ust.

– Tak – powiedziała, a ślina strzeliła jej z ust. Wiedziała, że to nie była wina pielęgniarki, ale nie mogła opanować swojego gniewu. – Tak, jesteśmy razem. Nie widziałaś, jak przyszedł wczoraj wieczorem zabrać mnie na randkę? Jest wysoki, przystojny ma ciemne włosy, a na sobie miał swój najlepszy garnitur. Nie mogłaś go przeoczyć! – Głos miała wysoki i ściśnięty i przez chwilę zastanawiała się, czy jednak nie straciła rozumu.

Młoda pielęgniarka złożyła ręce na podołku i patrzyła przez chwilę w dół, zanim się odezwała. Kiedy podniosła głowę, jej oczy wypełniały łzy.

– Posłuchaj – powiedziała cicho. – Pracuję tu dopiero od pół roku. To nie jest moje wymarzone miejsce pracy, ale jedyne, jakie mogłam znaleźć. Mój narzeczony i ja chcemy się pobrać jak najszybciej, ale jest bezrobotny

i... – Przerwała i przygryzła dolną wargę, jakby zastanawiając się, czy powinna mówić dalej. – Od początku wiedziałam, że nie jesteś szalona. Nie wiem skąd, po prostu to wiedziałam. Proszę, nie mów nikomu, ale przysłuchiwałam się niektórym twoim wizytom u doktora Thorna, żeby się upewnić, czy nie myliło mnie przeczucie. Słyszałam, że twój ojciec posłał cię tutaj, bo nie chciałaś wyjść za mężczyznę, którego on chciał, żebyś poślubiła. Wiem, jak to jest. Mój ojciec nie akceptuje mojego narzeczonego. Dlatego potrzebuję tej pracy. Próbuję zaoszczędzić wystarczająco dużo pieniędzy, żeby jak najszybciej wyjść za mąż i wyprowadzić się z domu. Twój ojciec posłał cię tutaj, bo kochasz kogoś innego, prawda? Brunona Morettiiego?

Clara usiadła i zsunęła nogi za krawędź łóżka.

– Skąd wiesz, jak się nazywa? – zapytała. – Nigdy nie powiedziałam tego doktorowi Thornowi!

Oddech siostry Yott stał się płytszy, a jej pierś unosiła się i opadała coraz szybciej.

– Musisz mi obiecać, że nikomu nie piśniesz o tym ani słowa – szepnęła. – Jeśli ktokolwiek się o tym dowie, stracę pracę.

– Obiecuję – powiedziała Clara, czując, jak kręci jej się w głowie. – Powiedz mi tylko, skąd znasz jego imię? Był tutaj? Szukał mnie?

Siostra Yott zerknęła na drzwi, a potem pochyliła się do przodu.

– Widziałam listy, które pisałaś do niego.

Clara potrząsnęła głową, nie rozumiejąc.

– O czym ty mówisz? Jak mogłaś je zobaczyć? Po napisaniu wkładałam je do skrzynki pocztowej przy portierni!

Siostra Yott zacisnęła wargi i wstała. Przeszła się po pokoju, a potem

zaciśnęła ręce na oparciu krzesła, aż zbielały jej knykcie, i popatrzyła na Clare.

– Te listy nigdy nie zostały wysłane – szepnęła. – Siostra McCarn kazała mi przeglądać wychodzącą pocztę i je wyciągać. Powiedziała, że to na polecenie lekarza. Podejrzewam, że tak naprawdę to było polecenie twojego ojca.

Nagle Clara straciła oddech. Szyja i twarz jej płonęły, a przez piekącą grudę w gardle nie była stanie wydusić z siebie ani słowa. Nic dziwnego, że Bruno nie odpowiadał na jej listy! Jej ojciec zadbał o to, żeby ich nie dostał! Wstała z drżącymi kolanami i pchnęła krzesło w stronę biurka. Usiadła, wyciągnęła papeterię z szuflady, chwyciła pióro i zaczęła pisać, a jej palce trzęsły się, kiedy próbowała poskładać słowa w spójną całość.

– Błagam, wyślij ten list, zrób to dla mnie – powiedziała, mówiąc i pisząc tak szybko, jak to tylko możliwe. – Bruno nie wie, gdzie jestem ani dokąd mnie zabierają. Obiecuj mi, że wyślesz to do niego. – Zakończyła krótki list, złożyła go i włożyła do koperty, a potem spojrzała na siostrę Yott, czekając na jej zgodę.

Siostra Yott załamała ręce, zwiesiła chude ramiona, a oczy zaszyły jej łzami.

– Nie wiem – powiedziała. – A co, jeśli mnie złapią?

– Schowaj list – powiedziała Clara. – W biustonoszu albo w bieliźnie. Nieważne gdzie. Gdzieś, gdzie nikt nie będzie zaglądał. Kiedy wrócisz do domu, wyślij go stamtąd. – Zamknęła kopertę, napisała z przodu adres Brunona i wyciągnęła ją w stronę pielęgniarki.

Siostra Yott przyglądała się listowi, przygryzając kącik ust. Nagle na korytarzu dało się słyszeć głosy. Clara wstała i wcisnęła list do rąk pielęgniarki. Ta rozpięła górny guzik swojego mundurka i wepchnęła

kopertę do biustonosza. Niemal w tym samym momencie otworzyły się drzwi i siostra McCarn weszła z tacą z jedzeniem. Przystanąła i spojrzała na otwarty kufer na podłodze.

– Co tu się dzieje? – zapytała. – Dlaczego nie skończyłaś pomagać Clarze się pakować?

Siostra Yott odwróciła się z uśmiechem.

– Clara była zaniepokojona, a ja próbowałam pomóc, opowiadając, jak mili są lekarze i pielęgniarki w Willard. Myślę, że teraz czuje się lepiej. Prawda, Claro?

Pielęgniarki wpatrywały się w Clarę z wyczekiwaniem. Clara kiwnęła głową.

– Tak – powiedziała. – Dziękuję. – Podeszła do szafy i zaczęła wyjmować z niej ubrania, zanosząc je w równych stosach do kufra. Nogi miała jak z waty. Przyklękła i ułożyła swoje bluzki w kufrze, usiłując powstrzymać drżenie rąk.

Siostra McCarn westchnęła głośno.

– Sostro Yott – powiedziała. – Twoim zadaniem była pomoc pacjentce w pakowaniu się. Pamiętasz, że nie jesteś lekarzem? Proszę, trzymaj się wyznaczonych zadań albo będę zmuszona zgłosić twoją niesubordynację.

– Tak, proszę pani – powiedziała siostra Yott, zabierając tacę z jedzeniem. Położyła ją na biurku i odwróciła się do siostry McCarn. – Dopilnuję, żeby pacjentka dokończyła pakowanie i zjadła coś przed wyjściem.

Siostra McCarn patrzyła z zaciśniętymi wargami i zmrużonymi oczami na klęczącą przy kufrze Clarę. Ta spojrzała w górę, uśmiechając się do niej blado. W końcu siostra McCarn odwróciła się, by wyjść.

– Pośpieszcie się – powiedziała. – Pan Glen i siostra May kończą posiłek, a potem pan Glen pójdzie odpalić samochód. Macie niecałe pół godziny.

– Doskonale – powiedziała siostra Yott. – Dopilnuję, żeby Clara wkrótce czekała przed wejściem.

Jak tylko siostra McCarn wyszła z pokoju, siostra Yott podbiegła do drzwi.

– Zaraz będę z powrotem – powiedziała.

– Dokąd idziesz? – zapytała Clara, a ciarki przeszły jej po skórze ze strachu. Co jeśli odda list doktorowi Thornowi? Co jeśli to wszystko to tylko podstęp?

– Po prostu pośpiesz się i dokończ pakowanie – powiedziała. – Kiedy skończysz, włóż kurtkę i buty, ale nie zamykaj kufra. Zamkniemy go, kiedy wrócę. – Po tych słowach zostawiła Clare samą.

Kiedy ostatnie ubrania znalazły się w kufrze, Clara włożyła buty i wsunęła ramiona w rękawy płaszcza. Podeszła do okna i wyciągnęła szyję, żeby popatrzeć w stronę wejścia. Śnieg przestał padać i zobaczyła, jak pan Glen pali przy uruchomionym aucie marki DeSoto. Dym z jego papierosa i spaliny z samochodu wirowały wokół jego ciemnej sylwetki, przypominając jej scenę z filmu. To jednak nie był film, a pan Glen nie był bohaterem, który przyjechał ją uratować.

Clara podskoczyła, kiedy siostra Yott wpadła do pokoju z dodatkowym kocem w rękach.

– Trzymaj – powiedziała, biegnąc w stronę kufra. – Powiedziałam siostrze McCarn, że możesz potrzebować ciepłego koca na podróż. Przyklękła i rozwinęła koc. Listy Clary do Brunona rozsypały się na zawartość kufra. – Pomyślałam sobie, że chciałabyś je z powrotem.

Clara wciągnęła głośno powietrze i podniosła jedną z kopert. Siostra Yott wyrwała ją jej i wcisnęła razem z resztą listów pod ubrania Clary w kufrze. – Nie ma na to czasu – powiedziała, oddychając ciężko. Zamknęła kufer i postawiła go. – Może ktoś w Willard wyśle je dla ciebie.

Clara rzuciła się pielęgniarce na szyję.

– Dziękuję ci z całego serca – powiedziała, przelękając łzy. Siostra Yott odsunęła się i poprowadziła Clarę do drzwi, ale dziewczyna zdążyła zauważyć łzy napływające do oczu pielęgniarki.

Sobota kończąca pierwszy tydzień Izzy w szkole była gorąca i wilgotna, upalna bryza poruszała tylko najwyższe gałęzie drzew. Bliżej ziemi nie dało się oddychać. Izzy szła do pracy ocienionym chodnikiem, przesuwając palcami po liściach brzoź nad jej głową. Było jeszcze wcześniej rano i warstwa rosy nadal leżała na liściach, sprawiając, że były wilgotne i chłodne w dotyku. Peg i Harry wyjechali wcześniej niż zwykle, gdyż Peg nie mogła się doczekać, by zacząć otwierać walizki z Willard. Izzy poprosiła ich, by pozwolili jej przejść te trzy kilometry, które dzieliły ich dom od muzeum, zamiast jechać z nimi samochodem. Teraz była zadowolona, że tak zrobiła, wdzięczna za te kilka minut dla siebie. Pomiędzy szkołą, zadaniami domowymi i posiłkami z jej przybranymi rodzicami tydzień przeleciał jej błyskawicznie. Do tego wcale nie był to łatwy tydzień.

W ciągu tych kilku pierwszych dni, kiedy Izzy uczyła się poruszać po szkole, spóźniała się niemal na każde zajęcia. W kilku przypadkach, kiedy prosiła o pomoc w poszukiwaniu sali, niektórzy uczniowie podawali jej błędne informacje. Wydawało jej się, jakby robili to umyślnie, ale nie mogła zrozumieć ich motywacji. Nie zrobiła im nic złego. Próbowwała ignorować to, w jaki sposób ją traktowali, i zastanawiała się, czy traktowali tak wszystkich nowych uczniów, czy też powinna to odebrać osobiście. Tak czy inaczej, to bolało.

Na pierwszej lekcji wychowania fizycznego – kiedy w końcu zrozumiała, że sala gimnastyczna była osobnym budynkiem połączonym długim korytarzem ze stołówką – na drzwiach przebieralni dziewczyn wisiała informacja, że pomieszczenie jest tymczasowo zamknięte z powodu problemów z kanalizacją. Kiedy słyszała w oddali okrzyki i pisk trampek na drewnianej podłodze niosące się echem z innego miejsca budynku, żołądek



jej się ścisnął. Była spóźniona. Westchnęła, skrzyła za róg i niemal wpadła na przyjaciółkę Shannon, która klęcząc, wiązała sobie but przed szatnią chłopaków.

– Uważaj! – powiedziała dziewczyna, podpierając się jedną ręką.

– Przepraszam – powiedziała Izzy. – Nie zauważyłam cię. – Wyciągnęła rękę, by pomóc dziewczynie, ale ta zignorowała ją i skończyła wiązać but. *Jak ona miała na imię? Pomyślała Izzy. Crystal? Nicole? Tina?*

Dziewczyna podniosła się.

– Skąd ten pośpiech? – zapytała. Otrzepała kolana i spodenki, a potem przeczesała palcami cieniowaną grzywkę. Podobnie jak u Shannon i kilkunastu innych dziewczyn w szkole, jej fryzura była gładka i wielowarstwowa, podkręcana przy końcówkach, jak u Rachel z serialu *Przyjaciele*. Miała na sobie białe obcisłe spodenki gimnastyczne, a na krótkiej, zbyt dużej koszulce błyszcząca brokatowa litera „C”. *Crystal, tak się nazywała.*

– Chciałam się przebrać na zajęcia, ale... – zaczęła Izzy.

– Mamy używać szatni chłopaków, dopóki nie naprawią kanalizacji w naszej – powiedziała Crystal. – Lepiej się pośpiesz. Pani Southard każe nam robić okrążenie za każdą minutę spóźnienia.

– Ale co z... – powiedziała Izzy.

Crystal machnęła lekceważąco ręką.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Kanalizacja ciągle się psuje, przynajmniej raz na miesiąc. Chłopaki mają WF dopiero po przerwie obiadowej.

Izzy stała wrośnięta w podłogę, zastanawiając się, co zrobić.

– Czy będę miała problemy, jeśli wejdę na salę gimnastyczną i będę

miała na sobie klapki i dżinsy? – spytała.

Crystal zaśmiała się i przewróciła oczami.

– Zaufaj mi – powiedziała. – To gorsze niż spóźnienie. – Chwyła Izzy za ramię i pociągnęła ją w stronę szatni. – Chodź, ta jest tylko dla dziewczyn. Pokażę ci.

Izzy pozwoliła Crystal prowadzić się w stronę męskiej szatni, ale zatrzymała się, niepewna, przed wejściem. Crystal otworzyła drzwi i stanęła przed nimi, przytrzymując je i uśmiechając się. Izzy ani drgnęła.

– O mój Boże! – powiedziała Crystal. – Nie bądź takim tchórzem! Pójdę z tobą!

Izzy wzięła głęboki oddech. Jeśli Crystal chciała z nią wejść, to może wszystko było w porządku. Poszła za nią korytarzem bez sufitu kończącym się drugimi drzwiami. Smród potu i starego moczu uderzył w nozdrza Izzy, a w betonowym wnętrzu rozlegały się dźwięki zatraskiwanych szafek i wody lejącej się spod pryszniców. Słysząc było też głosy, ale to były głosy mężczyzn. Izzy stanęła jak wryta. Zanim zdążyła się odwrócić i uciec, Crystal chwyciła ją za nadgarstek i otworzyła kolejne drzwi. Za nimi czekały Shannon i Nicole. Trójka dziewczyn chwyciła Izzy i zaciągnęła ją do szatni chłopców, szarpiąc ją za ubrania i włosy i wbijając pomalowane paznokcie w jej ramiona. Zaparowane pomieszczenie było pełne nagich i półnagich chłopców. Kiedy zobaczyli dziewczyny, zaczęli się śmiać i gwizdać na nie, podrzucając swoje mokre ręczniki i tańcząc na ławkach. Izzy opuściła głowę i próbowała uciec, ale nie była w stanie. W przepychance straciła jeden kłapek i upuściła torbę ze strojem gimnastycznym.

Dziewczyny przeciągnęły ją przez przebieralnię do pomieszczenia z prysznicami. Pchnęły ją do przodu, do natrysków, odwróciły się i uciekły.

Bosa stopa Izzy poślizgnęła się na mokrej podłodze, przez co dziewczyna o mało nie upadła. Wilgotna ręka złapała ją za nadgarstek, żeby pomóc jej się utrzymać w pionie. Spojrzała w górę i zobaczyła, że stał tam Ethan. Mokre włosy oklejały mu czoło, a jego tors pokryty był pianą. Patrzyła mu w twarz tak samo, jak jeleń nieruchomo wpatruje się w reflektory nadjeżdżającego samochodu, a potem odwróciła się i wyszła, kuśtykając.

Wróciła przez szatnię z płonącymi policzkami, podnosząc swój kłapek i strój, cały czas usiłując wpatrywać się w podłogę. Chłopcy krzyczeli i gwizdali za nią, pytając, czy zobaczyła coś, co jej się spodobało. Kiedy mokre suspensorium trafiło ją w środek klatki piersiowej, zatrzymała się i spojrzała na nich wściekła.

– Widziałam większe penisy u dzieci, którymi się opiekuję – powiedziała, próbując zabrzmieć twardo.

Chłopcy zaśmiali się i pomachali jej, żeby już sobie poszła.

Kiedy wyszła z szatni, jedną nogawkę miała przemoczoną, a jej koszula miała nadszarpnięty rękaw. Shannon czekała z przyjaciółkami na korytarzu. Izzy zacisnęła dłonie w pięści i odeszła wściekła. Miała ochotę przyłożyć im w twarz, ale jednocześnie wiedziała, że szkoda było na to energii.

– Nie obrażaj się! – krzyknęła za nią Shannon. – To był tylko żart. Robimy to wszystkim nowym dziewczynom!

Przeklinając pod nosem i mając sobie za złe, że zaufała Crystal, Izzy szła dalej, dopóki nie dotarła do gabinetu dyrektora. Dyrektor powiedział, że poleci nauczycielowi higieny przygotować na kolejny apel wykład o znęcaniu się. I jeżeli Izzy kiedykolwiek by się czuła zagrożona, mogła iść do szkolnej pielęgniarki. Kiedy jednak spytał o nazwiska sprawczyń, Izzy odmówiła ich wydania. Jeśli zacząłby wypytywać Shannon i jej przyjaciółki, to drogo by za to zapłaciła. Izzy chciała, żeby wiedział, co

dzieje się w jego szkole, ale nie była gotowa na otrzymanie łatki donosicielki tylko po to, by mógł wykonywać swoje obowiązki. Tego wieczoru to było wszystko, co mogła zrobić, by nie wśliznąć się do sypialni Harry'ego i Peg i szukać żyletek.

Tak jakby incydent w męskiej szatni nie był dostatecznie mocny, jeszcze poprzedniego dnia przyłapała Shannon i Crystal przyklejające podpaszkę wysmarowaną keczupem na froncie jej szafki. Kiedy zauważyły nadchodzącą Izzy, pobiegły w przeciwnym kierunku, gdzie czekał na nie Ethan. Czoło miał zmarszczone, a jego usta były zaciśnięte, tworząc długą i cienką kreskę. Kiedy zobaczył Izzy, na jego twarzy pojawił się przez moment wyraz wstydu. Kiedy jednak Shannon i Crystal dobiegły do niego, odwrócił się i uciekł razem z nimi. W ręce ściskał pustą butelkę po keczupie. Najwyraźniej był tak samo wredny jak cała reszta. Oczywiście ledwo powiedział do niej dwa słowa, ale coś w jego uśmiechu i tym, że powstrzymał ją od upadku pod męskim prysznicem, sprawiło, że przez chwilę myślała, że może nie jest taki zły. Z bliżej nieokreślonych powodów odkrycie, że się myliła, zirytowało ją i zasmuciło.

Myśląc o tym teraz, czuła, jak jej serce bije szybciej. Musiała zrobić coś, co zakończyłoby znęcanie się Shannon nad nią. Tylko co? I jak? Było oczywiste, że nikt nie miał odwagi postawić się Shannon. Izzy widziała, jak inne dziewczyny idą za jej bandą, trzymając się w bezpiecznej odległości, nawet jeśli były już spóźnione na zajęcia. Niektóre dziewczyny odwracały się i szły w przeciwnym kierunku, jeśli korytarze były zatłoczone, choć tak naprawdę nie dało się uciec przed Shannon. Chłopcy, którzy nie śmiali się i nie przyklaskiwali, kiedy Shannon i jej przyjaciółki zrobiły komuś żart, albo odwracali wzrok, albo wyglądali na zakłopotanych, zamiast stanąć po stronie ofiar. Izzy nie mogła pojąć, że jedna osoba może mieć taką władzę

nad wszystkimi. Na tę myśl robiło jej się po prostu niedobrze.

Pójście na skargę do rodziców zastępczych nie miało sensu. O raz za dużo widziała rezultaty angażowania się rodziców w sprawy znęcania się w szkole. Rodzice, wściekli, że ktoś robi krzywdę ich dzieciom, biegli do nauczycieli i rady pedagogicznej, grożąc każdemu, kto miał ochotę słuchać. Nauczyciele i rada, z obawy przed procesem za wyciągnięcie konsekwencji wobec tylko niektórych winnych znęcania się, nie zrobiliby nic. Potem, bez cienia wątpliwości, ofiara znęcania się zapłaciłaby za angażowanie dorosłych. Ci, którzy się znęcają, zawsze znajdą sposób, by osiągnąć swoje ofiary, niezależnie od okoliczności. Jeśli powiedziałyby swoim przybranym rodzicom, a oni zgłosiliby sprawę dyrektorowi, prześladowanie tylko by się nasiliło. Musiała sama wymyślić, co zrobić z Shannon. Polegała na sobie, od kiedy skończyła dziesięć lat. Nie miała zamiaru zmieniać tego przyzwyczajenia.

Izzy zwolniła. Myślenie o Shannon sprawiało, że coś twardego i ohydneho naciskało na jej żebra, jakby jakaś bestia mocowała się z prętami swojej klatki. Nienawidziła tego węzła na żołądku, tego twardego, pulsującego bólu w zaciśniętej żuchwie. Zakręciło jej się przed oczami, więc przystanęła, przypominając sobie o oddychaniu. Musiała się pozbyć gniewu, zanim straci nad sobą kontrolę, jak to się stało z jej matką. Wzięła głęboki oddech, rozglądając się i upewniając, że nikt nie zobaczył, jak zatrzymuje się bez powodu na środku chodnika. Była pewna, że w takim momencie wygląda jak wariatka.

Wtedy zobaczyła aptekę po drugiej stronie drogi. Wbiła paznokcie w dłoń, walcząc z chęcią pobiegnięcia tam i kupienia paczki żyletek. Zrobiła krok do przodu i szła dalej, rozluźniając pięści i licząc do dziesięciu. Wyparła negatywne myśli, zdecydowana, że nie pozwoli

nikomu sprawić, by cofnęła się do tego ciemnego i samotnego miejsca, gdzie jej jedyną ulgą było zadawanie sobie kolejnych dawek bólu.

W końcu dotarła do magazynu. Zastała tam Peg czekającą na nią z szeroko otwartymi oczami i mówiącą z prędkością światła. Brązowe loki Peg były wysoko upięte, tworząc bezładną burzę na jej głowie. Na sobie miała sandały, długą kwiecistą sukienkę i jeden z bezrękawników Harry'ego. Po drugiej stronie magazynu Harry gestykulował i uśmiechał się, rozmawiając z grupą mężczyzn i kobiet.

Peg pokazała Izzy 427 walizek i kufrów z Willard, ułożonych na stołach i czekających, żeby w końcu odkryto ich zawartość. Zdyszana z ekscytacji podała Izzy gruby notatnik oprawiony w skórę.

– Chciałabym, żebyś spisała imiona i nazwiska właścicieli – powiedziała Peg. – Potem otworzę walizki i powiem ci, co jest w środku. Będziemy zapisywać wszystko, nawet najmniejszy drobiazg.

– W porządku – powiedziała Izzy. – Nie wydaje się zbyt trudne.

– Zrobimy jedną połowę, a Harry ze swoim zespołem drugą.

W tym samym momencie podszedł do nich mąż Peg z dwójką ludzi. Harry był wysokim, żyłastym mężczyzną z rzednącymi blond włosami, w okularach w srebrnej oprawie. Jak zwykle był nienagannie ubrany – tym razem w koszulę w prążki i czarne spodnie w kant. Obok niego dosłownie toczył się wielki siwobrody mężczyzna, przy którym wyglądał jak dziecko. Izzy nie mogła oderwać wzroku od wysokiego, potężnego olbrzyma idącego w jej stronę, od jego szerokiej, czerwonej twarzy i nóg grubych niczym pnie. Nigdy nie wdziała tak ogromnego człowieka. Aparat fotograficzny w jego rękach wyglądał jak zabawka dla lalek. Wtedy po raz pierwszy zauważyła osobę idącą obok olbrzyma. Niósł torby i statyw. Jego, gdyż był to chłopak, włosy miały kolor kruczych piór. Izzy poczuła, jak się

rumieni.

To był Ethan.

– To nasz przyjaciel Peter i jego syn, Ethan – powiedział Harry do Izzy.  
– Będą tu robić zdjęcia.

– A to jest moja asystentka, Isabelle – powiedziała Peg. – Mówimy na nią Izzy.

Peter uśmiechnął się i chwycił dłoń Izzy, a jej smukłe palce zniknęły w jego olbrzymiej dłoni. Ethan podał rękę Peg, a potem uśmiechnął się i powitał Izzy. Kiwnęła głową w jego stronę, a potem zerknęła na swoje stare trampki i zbyt luźne dzinsy. Peg kazała jej włożyć robocze ubrania, takie, których nie bałaby się zniszczyć. Teraz jęknęła w duchu, żałując, że nie włożyła gładkiej koszulki zamiast tej z nadrukiem zespołu New Kids on the Block i napisem „Kocham Jordana” na piersiach. Miała tę koszulkę od piętnastego roku życia i zazwyczaj w niej spała. Nie tylko jej ubrania były brzydkie i niemodne, ale na domiar złego postanowiła, że nie pójdzie pod prysznic przed pracą. Włosy miała spięte w kucyk, a tłuste kosmyki wpadały jej do nieumalowanych oczu. Już słyszała, jak wyśmiewają się z niej w szkole.

Peter i Ethan szli obok Peg i Izzy w stronę jednego końca magazynu, podczas gdy Harry wrócił do drugiej jego części. Na szczęście postura Petera była jak bariera pomiędzy Izzy a Ethanem. Mogła niemal udawać, że kolegi z klasy tam nie ma. Wykorzystywała te nieliczne chwile, by brać powolne, głębokie oddechy, próbując sprawić siłą woli, żeby jej czerwieniejąca szyja odzyskała właściwy kolor.

Kiedy dotarli do pierwszego bagażu – rozpadającej się skórzanej walizki z brązową rączką i metalową sprzączką – Ethan ustawił statyw i wyciągnął z torby ręczny reflektor. Peg i Izzy stanęły z tyłu, podczas gdy

Peter zrobił kilka zdjęć. Izzy skrytykowała się w duchu za to, że jej wzrok ciągle zbaczał na muskularną sylwetkę Ethana. Chłopak miał na sobie czarne buty wizytowe i obcisłe džinsy, a jego szerokie bicepsy napinały podwinięte rękawy białej koszuli. W jej głowie pojawił się na moment obraz: jego opalone, muskularne ciało, nagie i ociekające wodą w pomieszczeniu z prysznicami. *Dlaczego on musi tutaj być?* – pomyślała. *I dlaczego musi tak dobrze wyglądać?* Potem przypomniała sobie, jak trzymał butelkę keczupu i uciekał ze swoją dziewczyną, niczym przedszkolak, którego złapano na wkładaniu kota do toalety. Nieważne jak piękny był na zewnątrz, jego wnętrze było brzydkie. I nawet wszystkie te mięśnie i rysy wykute jakby z kamienia nie były w stanie tego zmienić.

W końcu Peg podeszła do walizki i przeczytała na głos treść przywieszki, literując imię i nazwisko, tak żeby Izzy mogła je zapisać – Madeline Small. Potem Peg wzięła głęboki oddech, włożyła lateksowe rękawiczki, a następnie powoli i ostrożnie otworzyła sprzączkę i uniosła wieko walizki. Peter przysunął się, by zrobić zdjęcia, zanim zawartość zostanie naruszona, pozostawiając Izzy i Ethana obok siebie. Kątem oka dziewczyna zauważyła, że Kruczoczarny patrzy na nią. Nie odwróciła się jednak w jego kierunku.

Wolnymi, nabożnymi ruchami Peg wyciągała z walizki wyschłe, kruche przedmioty – jeden po drugim, a Izzy zapisywała je w notesie:

*Jeden egzemplarz Biblii z trzema czarno-białymi fotografiami włożonymi między kartki. Jedna przedstawia młodego chłopca w białej koszuli i ciemnych spodniach, na odwrocie napis ołówkiem: „Charles – 1919”, druga dziewczynkę w falbaniastej sukience i ukwieconym czepku, napis ołówkiem na odwrocie „Esther –*



*1921”, trzecia przedstawia starszą kobietę stojącą na werandzie w fartuchu, na odwrocie napis ołówkiem: „Mama – chatka w Saratodze 1927”. Cztery sztuki srebrnych sztućców. Dwa czepki dziecięce z dzianiny, jeden z różowymi wstążeczkami do wiązania, drugi z niebieskimi. Jedna para bucików dziecięcych z białym haftem. Stan: dobry.*

Izzy czekała, aż Peg zacznie znowu dyktować, ale w walizce nie było już niczego, żadnych ubrań, ani nocnej koszuli, listów, ani rzeczy osobistych.

– To wszystko – powiedziała Peg z błyszczącymi oczami. Wzruszyła ramionami i spojrzała na Izzy, Petera i Ethana.

– Dlaczego ktoś wziął dziecięce ubranka do przytułku dla chorych psychicznie? – zapytała Izzy.

– Nie wiem – odpowiedziała Peg. – Może to były czepki i buciki jej dzieci. Może to były jedyne rzeczy, na jakich jej zależało? Rozumiesz już? Dlatego to robimy! Próbujemy dowiedzieć się więcej o ludziach, którzy zostawili te walizki.

– Ale jak? – Dla odmiany pytanie zadał Ethan. – Jak dużo możemy się dowiedzieć przez samo zaglądnienie do tych walizek?

– Mamy nadzieję, że uda nam się dotrzeć do części dokumentacji medycznej – powiedziała Peg. – Jest zapieczętowana, ale wybierzemy najbardziej interesujące przypadki i poprosimy Biuro ds. Zdrowia Psychicznego o pozwolenie na dokładniejsze badania.

– Chcesz, żebyśmy sfotografowali te przedmioty osobno czy wszystkie razem? – zapytał Peter.

Peg położyła ręce na biodrach, zastanawiając się.

– Myślę, że to zależy od tego, jak wiele przedmiotów znajdziemy w każdej z walizek. W tym przypadku chyba najlepiej będzie sfotografować je razem.

Ethan wyciągnął z torby czarną tkaninę i rozłożył ją przed walizką, a potem ustawił kolejny statyw na drugi reflektor. Peg dała Izzy parę rękawiczek i poprosiła ją o pomoc w ułożeniu czepków, zdjęć i sztuczków na tkaninie. Izzy, podnosząc kruche przedmioty, była wdzięczna za rękawiczki. Żałowała, że nie ma jednej z tych papierowych masek, jakie Peg zawsze nosiła na twarzy, kiedy konserwowała obrazy czy kiedy zdrapywała brud ze starych przedmiotów. Może to było głupie, ale nie chciała wdychać kurzu sprzed dziesięcioleci albo czuć odoru rozkładu promieniującego ze środka walizki i pożółkłych dziecięcych ubranek. Suchy i ostry zapach, z gorzkim akcentem śmierci, przypominał jej o starych grobach i o zapieczętowanej sypialni jej rodziców. Przynajmniej w muzeum antyki były wystawione na postumentach albo za szkłem. Nie należało ich dotykać. Tutaj było zupełnie inaczej. Niczym archeolog na wykopaliskach trzymała rzeczy, których nikt nie dotykał od dziesiątków lat. Pomagała odkryć zagrzebane tajemnice, wchodząc w bezpośredni kontakt z przedmiotami należącymi kiedyś do ludzi, którzy teraz byli tylko stosem gnijących w ziemi kości. Co więcej, właściciel tych rzeczy był szaleńcem. Wiedziała, że to głupia myśl, ale wyobrażała sobie, że mikroskopijne cząsteczki unoszą się z czepeków i sztuczków i roznoszą się w powietrzu, dostając się do jej płuc i układu krwionośnego, rozpoczynając tym samym psychotyczną reakcję łańcuchową, która po dotarciu do mózgu zgotowałaby jej taki sam los jak jej matce. Poczula zawrót głowy i usiłowała nie brać głębokich oddechów, mając nadzieję, że dzień szybko przeleci, a ona będzie mogła wrócić do domu i się wykąpać.

Peg i Izzy skończyły układać przedmioty, a potem Peter i Ethan zrobili zdjęcia. Izzy i Peg cofnęły się, czekając, czy Peter nie każe im zmienić ułożenia rzeczy z walizki. Cała ich czwórka pracowała w ciszy, pochylając się nad czepeczkami, sztućcami, zdjęciami i Biblią niczym zespół chirurgów i pielęgniarek nad stołem operacyjnym. Kiedy Peg okazała się zadowolona ze zdjęć Petera, razem z Izzy delikatnie włożyły rzeczy z powrotem do walizki, zamknęły wieko i przeszły do kolejnego bagażu.

Podczas gdy cała procedura powtórzyła się przy następnych czterech walizkach, Izzy zaczęła być świadoma każdego swojego oddechu i ruchu. Każdej pozycji swoich rąk i nóg. Czuła, że Ethan patrzy. Czuła zapach jego męskiej wody toaletowej, a drzewno-korzenny aromat przypominał jej o tym, że są młodzi i daleko im jeszcze do śmierci. Chciała stać blisko niego, by móc oddychać jego zapachem zamiast zatechłą wonią dochodzącą z walizek. Czasami przypadkowo otarła się o jego ramię albo stanęła mu na drodze, a on posyłał jej szeroki, biały uśmiech. Ignorowała go, patrząc w inną stronę, zirytowana tym, że się rumieniła. Co takiego miał w sobie, że czuła się tak bezbronna, niepewna i odsłonięta?

Motyle w brzuchu przypomniały jej o tym, jak się czuła, rozmawiając z osobami z opieki społecznej. To jednak było inne doznanie. Nie miało sensu. Ethan nie wiedział nic o jej przeszłości, jej teraźniejszości, trudnościach, z jakimi musiała się mierzyć, czy drodze, jaką przebyła. Nie miał pojęcia o jej nadziejach i marzeniach. Nigdy nie będzie wiedział. Był rozpieszczonym brutalem, podobnie jak jego dziewczyna. Izzy nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Musiała się zebrać w sobie, szczególnie że mieli jeszcze otworzyć kolejne dwieście walizek. Mając z jednej strony bliskość Ethana, z drugiej dyskomfort płynący z zajmowania się rzeczami dawno zmarłych, chorych psychicznie ludzi, jej myśli były niespójne

i rozproszone. Każdy ruch pochłaniał całą jej uwagę.

Walizki skrywały w sobie listy i fotografie, sztucce i egzemplarze Biblii, szelki i budziki, guziki i buty, haftowane chusteczki i kubki do golenia, mały posążek psa i porcelanową filiżankę oraz kołdrę uszytą w domu. Izzy spisywała każdy przedmiot, mrugając, by powstrzymać wilgoć napływającą do oczu. Nie mogła przestać wyobrażać sobie rodziców, małżonków i dzieci właścicieli tych walizek – jak są zawstydzeni i jak oplakują nieobecność ukochanych, mimo że fizycznie byli oni nadal na tym świecie. Jak trudne musiało być pytanie siebie, co poszło nie tak, czuwanie po nocach i zastanawianie się, czy nie można było czegoś dla nich zrobić. Zastanawiała się, czy najbliżsi pacjentów szpitala Willard byli zdruzgotani pograżeniem się członków ich rodziny w szaleństwo, czy spodziewali się tego dużo wcześniej. W każdym razie myśl o tym, że stracone były całe życiorysy – święta rodzinne, Boże Narodzenie, urodziny, romanse i opowieści na dobranoc, śluby i kończenie liceów – przez pomyłkę albo niewytłumaczalny chaos w czyimś mózgu, sprawiała, że ścisnęło ją w piersiach. To było niesprawiedliwe.

Do południa udało im się zrobić jedynie piętnaście walizek, a do Izzy zaczęło docierać, że ten projekt zabierze więcej czasu, niż się wydawało. W tym tempie spędzi w tym miejscu, pracując z Ethanem, sześć lub siedem dni. Czy zwróciłoby to czyjąś uwagę, gdyby poprosiła o możliwość pracy w zespole Harry'ego? Jeśli miała być szczerą, myśl o spędzaniu większej ilości czasu z Ethanem wywoływała w niej dreszczyk podniecenia. Bycie tak blisko niego sprawiała, że czuła się, jakby nie jadła nic albo nie spała przez wiele dni. Ledwo trzymała się na nogach i czuła się lekko zamroczone. To było jednocześnie wyczerpujące, irytujące i cudowne. *Co się ze mną dzieje, do cholery?* – pomyślała.

Na szczęście, kiedy nadszedł czas na przerwę, Peg spytała Izzy, czy nie chciałyby zjeść lunchu na zewnątrz. Zapakowała kanapki do lodówki samochodowej, więc mogli jeść w cieniu pod dębami, na szerokim pasie trawy obok parkingu. Peter, Ethan i reszta mieli pojechać do najbliższego McDonalda na hamburgery i shaki. W innych okolicznościach Izzy pojechałyby tam z chęcią, gdyż posiłki poza domem w rodzinach zastępczych były rzadkością, nawet jeśli to był bar szybkiej obsługi. Tym razem jednak poczuła ulgę, że mogła zostać, by mieć dla siebie trochę ciszy i spokoju, trochę czasu z dala od Ethana. Wtedy usłyszała, jak Peg rozmawia z innymi i żołądek jej się ścisnął.

– O nie! – powiedziała Peg. – Spakowałam wystarczająco dużo jedzenia dla nas wszystkich! Mam kanapki z szynką i serem, sałatkę z makaronem, hummus, chleb pita, chipsy, arbuza, mrożoną herbatę i lemoniadę. Mamy też dodatkowe koce i składane krzesła w bagażniku. Zostańcie, będzie świetnie!

– Przepraszam – powiedział Harry, szczerząc się. – Moja żona ma hopla na punkcie karmienia ludzi.

Peter i reszta mężczyzn gromko się zaśmiali. I, oczywiście, zgodzili się zostać. Poszli do samochodu Peg wyciągnąć krzesła. Ta odwróciła się do Izzy.

– Mogłabyś mi pomóc z jedzeniem? – zapytała.

– Oczywiście – odpowiedziała Izzy, z wewnętrznym jękiem. *Cała Peg, zawsze zajmuje się wszystkimi*, pomyślała. *Praca z Ethanem to jedno, ale teraz mam jeść razem z nim?* W ciągu ostatnich kilku minut przed przerwą poczuła głód, a jej żołądek burczał tak głośno, że była pewna, iż wszyscy to słyszeli. Teraz w brzuchu dosłownie jej grzmiało z dodatkową mieszanką euforii i strachu.

Wszyscy zebrali się pod rzędem potężnych dębów. Mężczyźni ustawili składane krzesła, a Peg i Izzy rozłożyły koc i układały jedzenie na rozkładanym stole. Męska część zespołu ustawiła się w kolejce, a Peg porozlewała napoje i rozłożyła sałatkę z makaronem na papierowe talerze, podczas gdy Izzy wyciągnęła kanapki z lodówki i rozdawała torebki z chipsami. Kiedy zobaczyła, że Ethan jest następny w kolejce, skupiła się na pracy z nadzieją, że usiądzie daleko. Wyciągnęła do niego rękę z kanapką, udając, że szuka w siatce torebki z chipsami, i poczuła, jak musnął ją palcami. Początkowo to zignorowała. Potem wręczyła mu torebkę chipsów, a on chwycił ją jednocześnie za rękę i za torebkę, zgniatając jej zawartość. Wtedy spojrzała w górę.

– Och, przepraszam – powiedział, uśmiechając się czarująco. – Nie spojrzałem, co chwytam. – Próbowала mu się wyrwać, ale jej nie puścił. – Dziękuję za kanapkę – powiedział – i za chipsy.

Przewróciła oczami.

– Czy mogę dostać moją rękę z powrotem? – zapytała nieco zgryźliwie.

– Dziękuję za miłą obsługę.

– Blokujesz kolejkę.

– Czy mogłabyś powiedzieć: „Proszę przejść dalej”?

Uszczypnęła skórę na grzbiecie jego dłoni.

– Proszę, rusz się – powiedziała, a jej głos ociekał sarkazmem. Puścił ją i zabrał chipsy.

– A co z „Nie ma za co”?

Izzy zignorowała go i uśmiechnęła się do następnego mężczyzny w kolejce.

– Dlaczego uśmiechasz się do niego, a do mnie nie? – zapytał Ethan.

Izzy zmusiła się do bladego uśmiechu, żeby w końcu dał jej spokój. – Tak lepiej – powiedział. – Teraz z przyjemnością mogę zjeść lunch.

Po odejściu Ethana dziewczyna westchnęła i spróbowała skupić się na pozostałych mężczyznach. Jej policzki poczerwieniały z gniewu lub z jakiegoś innego powodu. Nigdy nie spotkała takiego aroganta! Nie mogła uwierzyć, że stawała się przy nim taka nerwowa.

Później, gdy wszyscy już skończyli jeść, Izzy siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kocu pod dębem, skubiąc piętę, a Peg dolewała wszystkim napojów. Ethan siedział na składanym krześle kilka metrów dalej z Peterem i Harrym, rozmawiając i śmiejąc się. Raz po raz spoglądał na nią i widział, że ona także patrzy w jego stronę. Za każdym razem obiecywała sobie, że nie spojrzy więcej na niego, ale jej wzrok przyciągał dźwięk jego głębokiego głosu i jego zaraźliwy śmiech. Żałowała, że nie zabrała swojego dziennika lub książki do czytania, czegokolwiek, żeby wyglądało, że robi coś poza siedzeniem i gapieniem się. Zdążyła już spędzić zbyt wiele czasu w łazience, po tym jak rozdała jedzenie, myjąc ręce i poprawiając włosy, cały czas mając nadzieję, że kiedy wróci, wszyscy skończą jeść.

Niestety, nadzieja okazała się płonna. Peg zaproponowała im dokładki, śmiejąc się i błagając, żeby zjedli więcej, ponieważ nie chciała, aby jedzenie się zmarnowało.

Gdy Peg skończyła rozlewać resztę mrożonej herbaty i lemoniady, Izzy klęczała na kocu i pakowała puste pudełka i pozostałe serwetki, robiąc, co tylko mogła, żeby ten niezręczny piknik skończył się jak najszybciej. Kiedy wreszcie tak się stało, kobieta wróciła i usiadła pod szerokim dębem, opierając się o jego chropowatą korę. Westchnęła i otarła czoło nadgarstkiem.

– To było miłe – powiedziała. – Lubię pikniki, a ty?

– Aha – odparła Izzy.

– Niech to, przystojny z niego chłopak – powiedziała Peg. – Nie sądzisz?

Izzy sięgnęła po puste plastikowe dzbanki.

– Z kogo?

Peg roześmiała się.

– Przecież wiesz z kogo. Z Ethana.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i włożyła dzbanki do koszyka.

– Być może.

– Znamy jego rodziców od lat – kontynuowała Peg. – To najmiłsi ludzie, jakich można spotkać.

– Szkoda, że ich syn jest dupkiem – powiedziała Izzy, zbierając puste torebki po chipsach i wrzucając je do worka na śmieci.

– Czyj syn jest dupkiem? – spytał głęboki głos nad nimi.

Izzy odwróciła się, widząc, że Ethan stoi obok, jedną ręką trzymając się gałęzi nad swoją głową, a drugą wciskając głęboko w kieszeń spodni. Mrugnął do niej. Chciała wstać i zetrzeć mu ten pewny siebie uśmiezek z twarzy. Peg zrobiła Ethanowi miejsce na kocu.

– Chodź – powiedziała, poklepując pustą przestrzeń między sobą a podopieczną. – Siadaj. Mamy jeszcze parę minut, zanim będziemy musieli wrócić do pracy.

Izzy wepchnęła garść brudnych serwetek do kosza. *Co do cholery?* – pomyślała. *To, że lubisz rodziców Ethana, nie znaczy, że ja też muszę być jego przyjaciółką.*

– W porządku, pani Barrows – powiedział Ethan. – Mam wrażenie, że



w czymś przeszkadzam.

*Pani Barrows?* – pomyślała Izzy. *Ohyda. Co za lizus.*

– Nie, nie, wszystko w porządku – powiedziała Peg. – Właśnie mówiłam Izzy, jacy twoi rodzice są mili. Powiedziałam jej, że są naszymi dobrymi przyjaciółmi.

– W takim razie zgaduję, że to ja jestem dupkiem – powiedział Ethan, śmiejąc się.

– O nie. – Peg usiadła z szeroko otwartymi oczami i zaczęła machać rękami, jakby mogła wymazać komentarz z powietrza. – Ja nie...

– W porządku – powiedziała Izzy do Peg. – Nie musisz mnie tłumaczyć. – Chwyciła za brudne widelce i nóż do arbuza, owinęła je papierowym ręcznikiem i wepchnęła do kosza między pudełka i plastikowe dzbanki. Natychmiast poczuła ostry ból, kiedy nóż przeciął jej palec wskazujący. Wyciągnęła rękę z kosza, spojrzała na dwucentymetrową ranę i w tym momencie ugięły się pod nią kolana. Włożyła palec między wargi, a miedziany smak krwi wypełnił jej usta, po czym usiadła na kocu i zamknęła oczy, czekając, aż przejdą jej zawroty głowy.

– Co się stało? – zapytała Peg. – Zraniłaś się?

Izzy skinęła głową i ścisnęła drugą dłoń koczem, szukając czegoś, czego mogłaby się trzymać, podczas gdy świat wirował wokół niej. Potem poczuła, że ktoś dotyka jej nadgarstka, i otworzyła oczy. Ethan klęczał obok niej, delikatnie wyciągając palec z jej ust.

– Pozwól, że zobaczę – powiedział. Zbyt zamroczona, żeby się sprzeciwić, Izzy pozwoliła mu na wszystko. Jego palce i dłoń były ciepłe i jedwabiste gładkie, jak miękkie, nagi brzuch śpiącego szczeniaczka. Wirowanie w jej głowie zwolniło, a jej serce powróciło do normalnego rytmu. – Jest głęboka – powiedział. – Ale to nic poważnego. – Spojrzał na

Peg. – Ma pani może plaster albo trochę gazy?

– Wezmę apteczkę – odpowiedziała kobieta, zrywając się na nogi.

– Nic mi nie jest – cicho westchnęła Izzy, zabierając rękę. – Naprawdę.

– Ale było już za późno. Peg biegła po trawniku, a jej kwiecista spódnica furkotała w ślad za nią.

– Nie wyglądasz za dobrze – powiedział Ethan. Oderwał z rolki papierowy ręcznik. – Jesteś blada jak ściana.

– To mój normalny kolor – powiedziała, przyciskając pięść do brzucha.

– W takim razie oszukałaś mnie – powiedział Ethan. – Mógłbym przysiąc, że twój normalny kolor to wściekła czerwień. – Znowu spróbował chwycić ją za rękę, ale wyrwała mu się.

– Cha, cha – stwierdziła. – Bardzo śmieszne.

– Przyłóż to do palca, żeby zatrzymać krwawienie – powiedział, podając jej papierowy ręcznik.

Wzięła go i zrobiła tak, jak jej powiedział, chcąc, żeby już sobie poszedł. Był zbyt blisko, zbyt czysto pachniał, był zbyt ciepły, zbyt niewiarygodnie przystojny. Cofnęła się na kocu i wstała. Roześmiał się, patrząc na nią.

– Nie gryzę.

– Nie – powiedziała. – Nie wiem. – Podniosła wiklinowy kosz i ruszyła w stronę samochodu.

Wstał i poszedł za nią.

– A więc uważasz, że jestem dupkiem, tak? – W jego głosie słychać było rozbawienie. Sprawilo to, że żołądek jej się ścisnął.

– Nic nie uważam – powiedziała. – Nie znam cię. – Przyśpieszyła kroku. On również.

– Zgadza się, nie znasz. Więc może nie powinnaś rzucać obelg pod moim adresem?

– Och jej! – odparła, przewracając oczami. – Teraz widzę, jak to działa. Możesz robić to innym, ale sam nie potrafisz tego znieść!

– Co robić?

Zatrzymała się i odwróciła twarzą w jego kierunku.

– Nazwałam cię dupkiem i się zdenerwowałam. Ale jest okej, kiedy ty i twoja laska wykręcacie wredne numery innym. Czy o to ci chodzi?

Spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– Nie wiedziałem, że to twoja szafka.

– Nie ma znaczenia, czyja to była szafka! To było okropne i wredne.

– Masz rację, było – powiedział. – Ale Shannon...

– Shannon mówi tobie i wszystkim innym, co macie robić. I słuchacie jej jak jacyś bezmózgowi idioci!

– Nie, to nie tak. To znaczy... Ona...

Wtedy Izzy zobaczyła, że Peg spieszy od parkingu w ich stronę z białoniebieską apteczką w ręku. Harry biegł tuż obok, z zaniepokojonym wyrazem twarzy. Izzy pokręciła głową.

– To właśnie tak. Ale nie chcę o tym teraz mówić. Oboje musimy pracować razem, dopóki nie skończymy przeglądać tych walizek. Ustalmy, że mamy w tej sprawie odmienne zdania, dobrze?

Ethan podążył za jej spojrzeniem i zobaczył, że Peg i Harry zbliżają się do nich.

– Czy możemy porozmawiać o tym kiedy indziej? – zapytał. – W innym miejscu?

Izzy chwyciła kosz wiklinowy w obie dłonie, przyciskając świeżą ranę

do drewnianego uchwytu. Ostry ból odzwierciedlał uczucie rozdarcia w jej sercu i umyśle, kiedy sprzeczne emocje walczyły o przewagę. Instyktownie wiedziała, że ma trzymać się z daleka od Ethana, że sprawiłby jej tylko kłopoty. Jednocześnie nie mogła zaprzeczyć, że ją pociąga. Żołądek ścisnął się jej ze wściekłości.

– Dlaczego? – spytała.

W tym momencie Peg i Harry dotarli do nich.

Ethan wziął apteczkę.

– Zajmę się tym – powiedział. – To przeze mnie.

– Jesteś pewien? – spytała Peg. – Nie potrzeba szwów?

Ethan zachichotał.

– Izzy nie potrzebuje szwów. To mała ranka.

– Skoro tak twierdzisz. W końcu będziesz lekarzem. Posprzątam po pikniku, a ty zajmij się Izzy.

Zanim dziewczyna zdążyła zaprotestować, Peg i Harry zostawili ich samych, wracając pod drzewa, aby zabrać krzesła i lodówkę. Ethan otworzył drzwi pasażera samochodu Peg i kazał Izzy usiąść. Zrobiła, jak powiedział, siadając bokiem na ciepłym skórzanym siedzeniu, a jej długie nogi wystawały przez otwarte drzwi. Ethan uklęknął na chodniku tuż przed nią i położył apteczkę na ziemi. Potem wziął ją za rękę i delikatnie odwinął krwistoczerwony papierowy ręcznik z jej palca. Izzy skuliła się i odwróciła wzrok.

– Nie bądź takim dzieckiem – powiedział. – To nic gorszego niż przecięcie się kartką papieru. Już przestało krwawić.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś, że rana jest głęboka.

– To prawda, ale jest też nieduża. Wszystko będzie w porządku,

obiecuję.

Czuła, jak jego ciepłe, jedwabiste palce obejmują jej dłoń, ciągnąc ją ku sobie, aby mógł opatrzyć ranę. Zastanawiała się, co by pomyślał, gdyby wiedział, że kiedyś rozmyślnie się cięła. *Pewnie pomyślałby, że jestem szalona. I miałby rację.*

– Och, racja – powiedziała, próbując odwrócić jego uwagę. – Będiesz przecież kiedyś lekarzem.

– Moi rodzice chcą, żebym był lekarzem – powiedział Ethan. Otworzył apteczkę i zaczął w niej szperać. – Ale ja wolałbym być ratownikiem medycznym.

– Chyba nie potrafiłabym – powiedziała.

Patrzyła na Peg i Harry'ego przez zakurzoną szybę, próbując nie patrzeć na swój palec. W cieniu pod drzewami Harry szybko dał buziaka Peg, zanim wyjęła lodówkę z jego rąk. Kobieta uśmiechnęła się i poczochnęła jego włosy. Ta scena przypominała Izzy moment, gdy była na plaży z rodzicami. Jej matka i ojciec śmiali się i gonili po piasku. Ojciec chwycił matkę w tali i całując, zaniósł ją do wody. Izzy przypominała sobie, jak uśmiechała się, obserwując ich, czując się bezpieczna i zadowolona, a jej doskonały świat był pełen szczęśliwych ludzi, którzy się kochają, tak jak powinno być. Potem zaatakował ją obraz ojca leżącego na brzuchu w łóżku rodziców – prześcieradła były pokryte krwią, a w jego głowie ziała czarna dziura, z której sączyła się krew. Zauważyła, że matka przykucnęła w kącie sypialni i wpatrywała się prosto przed siebie, a strzelba myśliwska leżała u jej okrwawionych stóp. Izzy poczuła ucisk w żołądku. Ostatecznie wszystkie te uśmiechy na plaży, wszystkie świąteczne poranki i pocałunki na pożegnanie, wszystkie dowcipy przy stole były tylko iluzją. Zastanawiała się, jakie tajemnice niszczące perfekcyjne światy skrywali

przed sobą Peg i Harry.

– Oczywiście – powiedział Ethan, śmiejąc się. – Jesteś w niekorzystnej sytuacji, jeśli nie możesz znieść widoku krwi.

– Hmm... Co? – zapytała, wyrwana z własnych myśli.

– Wszystko w porządku? – spytał, patrząc na nią ze zmarszczonym czołem.

– Tak – odparła. – Przepraszam. Myślami byłam gdzieś indziej. – Odważyła się patrzeć, jak polewał jodyną jej palec, czekając na pieczenie, które się nie pojawiło.

– Mówiliśmy o tym, jak marny byłby z ciebie ratownik – przypomniał Ethan.

– Tak – odparła Izzy, odwracając wzrok w stronę Peg i Harry'ego. – Kiedy byłam mała, chciałam być weterynarzem. Ale nie mogę znieść widoku cierpiących zwierząt. Nie mogłabym ich operować, nawet jeśli miałyby to uratować im życie. – Słyszała, jak sama się przed nim otwiera, i wzdrygnęła się. Jak zwykle jej usta pracowały szybciej niż mózg. Może wciąż była zamoczona po skaleczeniu się w palec.

– Ja też – powiedział Ethan. – W zeszłym roku mojego żółtego labradora potracił samochód i płakałem przez wiele dni. Nie mogłem nawet chodzić do szkoły. To było żałosne.

– Ale bycie ratownikiem ci nie przeszkadza? Patrzenie, jak ludzie cierpią?

– To co innego.

– Jak to „co innego”? – spytała.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Po prostu tak jest. Zwierzęta są niewinne. Ludzie są...

Hmm, nie są niewinni. Zwierzęta są lepsze od ludzi.

Spojrzała na czubek jego kruczoczarnej głowy, szerokie ramiona, opaloną szyję i zapomniała o krwawiącym palcu. Przyłożył jej do palca gruby kawałek gazy i rozpakował rolkę plastra, każdy jego ruch był powolny i delikatny. Czy pod tą brawurą i siłą były serce i mózg? Czy była to kolejna z jego sztuczek? Przypomniała sobie, jak zwrócił się do Peg „pani Barrows”. Czy świadczyło to o jego uprzejmości? Wiedziała, że każdy nastolatek, którego kiedykolwiek spotkała, a który był tak uprzejmy dla dorosłych, zazwyczaj miał swoje za uszami. Jego uprzejmość wydawała jej się wymuszona. A jednak czuła, że po raz pierwszy widziała prawdziwego Ethana.

– Jak nazywał się twój pies? – zapytała.

– Lucy – odparł Ethan. – To była suka.

– Przykro mi z powodu Lucy – powiedziała.

– Dzięki. Moi rodzice kupili mi w zeszłym roku nowego psa, kolejnego żółtego labradora. Nazwaliśmy ją Lucy Dwa.

Okleił gazę dwoma kawałkami plastra, a potem uśmiechnął się do niej, a jego oczy były niebieskie niczym ocean. I tak samo głębokie. Kiedy zdała sobie sprawę, że gapi się na niego, wstała szybko, niemal go przewracając. Odruchowo złapał się drzwi auta.

Właśnie wtedy Harry i Peter pojawili się przy samochodzie, niosąc lodówki i krzesła w rękach.

– Widzę, że już przepadłeś – powiedział Harry, śmiejąc się.

Ethan zamknął apteczkę i wstał.

– Straciłem równowagę – odparł, rumieniąc się.

– Jasne, że tak – powiedział Peter z uśmiechem. – Otwórz bagażnik

Podczas gdy Ethan pomagał mężczyznom ładować sprzęt piknikowy, Izzy wzięła apteczkę i poszła w stronę magazynu. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, jak Ethan wkłada stos krzeseł do bagażnika, patrząc w jej stronę.

Kolejna walizka, jaką otworzyła Peg po powrocie do magazynu, należała do mężczyzny o nazwisku Lawrence Lawrence. Podczas gdy Peg wyliczała rozrzuconą zawartość rozpadającej się skórzanej torby – „jedna para męskich skórzanych butów, jedna para elastycznych szelek z białymi guzikami, niebiesko-biały kubek do golenia, pędzel do golenia z kruchą i żółtą szczeciną” – Izzy była wdzięczna za to, że miała wymówkę, dzięki której mogła patrzeć w notatnik. Skupiała się na dokładnym spisywaniu wszystkiego, próbując nie myśleć o Ethanie. Kiedy nadszedł czas, żeby ułożyć zawartość walizki i sfotografować ją, Ethan wziął lateksowe rękawiczki Izzy i przytrzymał jedną z nich, proponując, że pomoże jej założyć ją na skaleczony palec.

Poczuła ciepło rozlewające się na twarzy, wzięła rękawiczki i powiedziała:

– Dzięki, poradzę sobie.

Po tym, jak skończyła pomagać Peg przekładać zawartość walizki, zdjęła rękawiczki i znowu je odłożyła. Ethan podniósł je i włożył do kieszeni. Następnym razem, gdyby potrzebowała rękawiczek, musiałaby go o nie poprosić. Kiedy zauważyła, że znowu je podnosi, poszła po kolejną parę.

Przez kolejne trzy godziny przejrzeni dziesięć walizek. Jedna z nich zawierała wycinki z gazety „Philippine”, zdjęcie klasowe z Bryant Preparatory Academy w Salt Lake City, małą broszurkę należącą do Roberto Torresy zatytułowaną: *Moje szkolne wspomnienia z Ameryki*,



a także stary mundur żeglarski z niebieską wełnianą czapką. Izzy przeleciała wzrokiem broszurkę. Jedna z notatek głosiła:

*W szkole publicznej w Walbash uczyłem się następujących przedmiotów – angielskiego, gramatyki, arytmetyki, geografii, higieny, muzyki, ortografii i stolarstwa. Tutaj też zdobyłem trochę wiedzy na temat dzieł Henry’ego W. Longfellowa. Jest tu pięcioro uczniów z Azji, włącznie ze mną. Nie wiem, kiedy dokładnie będzie mi dane odzyskać wolność. Chciałbym napisać...*

Ostatnia strona broszurki była urwana w pół zdania.

– Zastanawiam się, czy to był jego ojciec – powiedziała Peg, podnosząc wycinek z gazety przedstawiający poważnie wyglądającego Azjatę.

– Musiał być jakimś bankierem, politykiem albo kimś podobnym.

Izzy spojrzała na jedną z wielu fotografii w walizce. Widniał na niej mężczyzna, który trzymał w rękach książkę, a jego przystojna twarz była spokojna i wyrażała sumienność. Z tyłu książki było napisane ołówkiem: Roberto Torres. Nie była w stanie wyobrazić sobie, jak długą i skomplikowaną podróż musiał przebyć Roberto z Filipin, żeby skończyć w przytułku dla obłąkanych w stanie Nowy Jork.

W innej walizce znajdowały się: Biblia, kartki wotywnie, zbiory hymnów, książeczka do modlitwy i list od zakonnicy do biskupa. Stara torba lekarska z imitacji krokodylej skóry zawierała dyplom z pielęgniarstwa i dokładnie owinięty komplet filiżanek do herbaty ze spodkami. W jednym wielkim kufrze znajdowały się garnki i patelnie, lampa, zestaw pojemników wykonanych z zielonego szkła z czasów kryzysu oraz para łyżew.

Ostatnim bagażem tego dnia był masywny kufer pokryty wyblakłymi naklejkami podróżnymi. Jedna miała wizerunek czarnego liniowca z napisem „Cunard-Boston do Europy” w kolorze czerwonym, a inna napis „Francja” pogrubionymi literami na tle różowej wieży Eiffla. Poza tym sporo naklejek z Zurychu, Włoch, Maine, Kairu, Londynu i Bremerhaven. Peg, Izzy, Ethan i Peter zebrali się wokół kufra i każdy z nich zagłębił się w swoich myślach, gdy oglądali tekowe wykończenia, mosiężne klamry i wyblakłe znaczki. Była to największa z walizek, gigant wśród morza normalnego bagażu.

Izzy próbowała sobie wyobrazić właściciela tego kufra. Na myśl przychodził jej stary człowiek, być może pisarz lub profesor, podróżujący po świecie w poszukiwaniu wiedzy z pierwszej ręki o rodzimych kulturach i ich tradycjach. Być może był naukowcem lub archeologiem, który po zwiedzeniu egipskich grobowców i starożytnych ruin ostatecznie uległ starości i stracił zmysły z powodu demencji lub choroby Alzheimera. W jakiś sposób trafił do Willard, nie mając rodziny, która mogłaby się nim zająć.

Po tym, jak Peter zrobił zdjęcia kufra pod każdym kątem, razem z Ethanem ustawili go w pozycji pionowej. Kiedy Peg przeczytała imię na przywieszce, Izzy była zaskoczona. Właścicielem kufra była kobieta – Clara Elizabeth Cartwright. Izzy zapisała to imię, a Peg przekreśliła mosiężny zamek i otworzyła klamry. Wzięła głęboki oddech i uchyliła wieko. Kiedy ukazało się wnętrze, Peg i Izzy westchnęły. Peter zaczął robić zdjęcia.

Z przegródek we wzór *paisley*, ze skórzanymi uchwytami, wyglądały pióra i jedwabne wstążki, perły i pastelowe koszule oraz ząbkowane krawędzie starych fotografii. Z poprzeczki na ubrania zwisały falbaniaste

bluzki, plisowane spódnice, koralikowe sukienki w stylu flapperek, jedwabne pończochy, kardigan damski z satynowymi wstążkami i wieczorowa suknia bez rękawów uszyta z połyskującego złotego materiału. W walizce poupychane były: dwa wyblakłe damskie kapelusze typu *cloche*, wyszywana koralikami torebka, kilka książek i para butów na wysokich obcasach. Pośród tego wszystkiego znajdowała się bezładna sterta listów w zamkniętych kopertach.

– Będziemy potrzebowały więcej miejsca, żeby to rozłożyć – powiedziała Peg podniesionym z emocji głosem. – Ethan, poprosiłbyś Harry’ego, żeby przyniósł jeszcze jeden stolik?

Chłopak spełnił jej prośbę i po chwili postawili spory stół obok skrzyni.

– Mam więcej czarnej tkaniny w ciężarówce – powiedział Ethan, wychodząc.

– Weź przy okazji jeszcze jedną rolkę filmu! – krzyknął Peter.

Kiedy Ethan ruszył do ciężarówki, Peter skorzystał z okazji i udał się do łazienki. Peg otwierała szuflady, a Izzy zaczęła wszystko spisywać:

*Jeden egzemplarz Wielkiego Gatsby’ego F. Scotta Fitzgeralda – stan idealny. Jeden egzemplarz Kochanka Lady Chatterley D.H. Lawrence’a – stan idealny. Jedna papierowa teczka z nutami. Pocztówki z Niemiec, Hiszpanii i Francji – stan dobry. Jedno różowe boa z piór. Trzy naszyjniki z pereł. Cztery srebrne bransolety z kamieniami półszlachetnymi. Czarno-biała fotografia, na której widniała młoda kobieta w sukience siedząca przy okrągłym stoliku, a za nią uśmiechały się cztery dziewczęta – chłopczyce. Na odwrocie napisano: „Osiemnaste urodziny – Cotton Club”. Zdjęcie tej samej kobiety i towarzyszącego jej, ubranego w smoking z wysokim*

*kołnierzem mężczyzny, podpisane „Bruno i ja – lipiec 1929”. Fotografia tej samej dziewczyny oraz starszego mężczyzny w kapeluszu i wełnianym płaszczu i starszej kobiety w futrze i przystrojonym piórami kapeluszu, podpis na odwrocie: „Matka i Ojciec, Święta Bożego Narodzenia – 1928”. Jeden zielony, oprawny w skórę dziennik, stan dobry.*

Uwieczniona na wszystkich fotografiach młoda kobieta, Clara, promieniała, a jej krótko obcięte włosy ułożone w drobne fale były rozpuszczone luźno lub też porządnie schowane pod kapelusikiem. Z jej urodą mogłaby być gwiazdą filmową – miała duże, okrągłe oczy, długie rzęsy, wydatne kości policzkowe i ciemne, pełne wargi. Na fotografii, na której była z rodzicami, kąciki ust jej ojca opadały pod sumiastym wąsem. Jej matka, drobna kobieta o szczupłej twarzy, spoglądała gdzieś w prawą stronę, jak gdyby planowała uciec, gdy tylko fotograf dokończy dzieła. Wyglądali na nieszczęśliwych.

Podczas gdy Peg zaczęła porządkować zawartość skrzyni, Izzy wzięła zdjęcie Clary i Brunona, by dokładniej się mu przyjrzeć. Bruno miał ciemne włosy, szeroką, kwadratową szczękę i nieskazitelną cerę. Obejmował Clare i był lekko ku niej zwrócony, jakby zaraz miał pocałować ją w policzek. Clara patrzyła łagodnie w obiektyw, uśmiechając się z zadowoleniem. Izzy wpatrywała się w zdjęcie i zastanawiała się, czy któremuś z nich przyszłoby do głowy, że ich życie potoczy się zgoła inaczej, niż mieli na to nadzieję. Gdyby ktoś natknął się na to zdjęcie w innym miejscu niż strych starego zakładu psychiatrycznego, z pewnością wyobraziłby sobie huczne wesele, po którym czarną limuzyną pojechaliby prosto do dużego domu, wypełnionego śmiechem pięknych dzieci. Wyobraziłby sobie, jak wiedli

długie, normalne życie, starzeli się razem i umarli szczęśliwi.

Gdy Izzy spostrzegła szczęście malujące się na twarzy Clary, przeszył ją smutek. Czy przeczuwała, że postrada zmysły? Czy przypuszczała, że jej życie odmieni się w tak straszliwy sposób? Izzy spojrzała na Brunona. Na ramionach miała gęsią skórkę. A co stało się z nim? Czy zdawał sobie w ogóle sprawę, że zakochał się w kimś chorym umysłowo? Miała nadzieję, że ten związek nie pozostawił w nim traumy.

Kiedy Peg ze schyloną głową przeglądała listy, Izzy coś mrocznego i brzydkiego wiło się w żołądku. Nie tego się spodziewała, zgadzając się pomagać w przeglądaniu walizek. Gdziekolwiek spojrzeć, wszystko przypominało jej, w jak niezgłębiany sposób zmieniło się jej własne życie. Sterty nieotwartych listów przywodziły na myśl szarą kopertę schowaną na dnie szuflady w jej komodzie. Koperta wypchana była po brzegi listami, pocztówkami z życzeniami urodzinowymi i świątecznymi – korespondencją od matki, której Izzy do tej pory nie przeczytała. Powiedziała pracownicy społecznej, że nie zamierza czytać tych listów, ponieważ nienawidzi swojej matki. Ale to nie była prawda. Niezależnie od tego, jak wściekła była na nią, jak jej żałowała, czy też jak bardzo obawiała się skończyć jak ona, Izzy nie nienawidziła jej. Prawdę powiedziawszy, tęskniła za matką tak samo jak za ojcem, a może nawet bardziej niż za nim. Wciąż miała w pamięci, jak matka piekła ciasteczka w zalanej słońcem kuchni, sadiła fiołki wokół ganku czy przewiązywała jej warkocz różową wstążką. Kobieta, za którą tęskniła i którą kochała Izzy, nie była tą samą osobą, która zastrzeliła ojca. W umyśle jej matki zaszły zmiany, które zmieniły ją w kogoś innego. Tylko to miało jakiś sens. Myśl o tym, że jej matka postradała zmysły, była przerażająca, lecz nie napawała Izzy nienawiścią. Zamiast tego czuła smutek i lęk. Musiała wierzyć, że matka nie miała wyboru. Pracownica

społeczna uznałaby Izzy za szaloną, gdyby ta wyznała jej prawdę – że nie chciała przeczytać listów, ponieważ obawiała się, że koperty były w pewien sposób splamione. A jeśli te listy były pełne chaotycznych wynurzeń wariatki? Czy słowa jej matki mogłyby wpłynąć na nią w jakiś sposób, zepchnąć ją w grząskie bagno szaleństwa? Najłatwiejszym sposobem, by to wszystko przetrwać i próbować żyć dalej, było udawać, że tych listów nie ma. Owszem, zabierała ze sobą tę dużą kopertę do każdej kolejnej rodziny zastępczej i dokładała kolejne, w miarę jak przychodziły. Nabrała jednak do nich takiego samego stosunku, jaki miała do oprawionego w ramkę zdjęcia ojca, które trzymała w zewnętrznej kieszeni walizki. Traktowała to zdjęcie oraz listy jak zwykłe rzeczy, część niewielkiego dobytku, który posiadała, na równi z bielizną czy parą dżinsów, jak nic godnego uwagi. Istniała jednak jedna zasadnicza różnica między listami Clary a tymi należącymi do Izzy. Na tych pierwszych brakowało znaczków oraz stempli pocztowych, ponieważ nigdy ich nie wysłano.

– Wszystkie mają tego samego adresata – rzekła Peg, patrząc na ostatnią kopertę.

– Bruno? – spytała Izzy.

– Tak! Bruno Moretti! Skąd wiedziałaś?

Izzy podniosła fotografię, na której byli Clara i Bruno. Peg wyteńczyła wzrok, przyjrzała się zdjęciu.

– Och! – westchnęła. – Jaka piękna para.

– Ciekawe, co się stało. – Izzy znów spojrzała na zdjęcie. – Ona wygląda tak zwyczajnie. Jakby była szczęśliwa.

Peg wzruszyła ramionami.

– Miejmy nadzieję, że zdołamy się dowiedzieć.

– Może to nam coś powie – odparła Izzy, sięgając po dziennik. Na

zielonej skórzanej oprawie widniały lilie heraldyczne, a grzbiet dziennika pokryty był czarną lakierowaną skórą. Otworzyła ten niewielki notatnik i zaczęła czytać na głos.

– „Styczeń, rok 1925. Drogi Pamiętniku, przebywam obecnie w Szwajcarii. Matka kupiła mi ten notes w pięknym sklepie z upominkami w Englebergu. Chciałabym móc tutaj mieszkać. William i ja świetnie się bawimy, zwiedzając okolicę. Ubóstwiam tutejsze góry i domki. Matce i Ojcu również się tutaj podoba. Ale jutro musimy wracać do domu”.

Izzy przerwała czytanie i otworzyła dziennik na ostatnich stronach. Przebiegła wzrokiem długie akapity i przeczytała ostatni wpis. „Ojciec wysłał mnie do Willard. Zastanawiam się, czy powinnam się niepokoić?” – Izzy spojrzała na Peg, próbując zapanować nad ściskającym się gardłem. Jakież to nieszczęście spadło na tę młodą kobietę, że musiała trafić do takiego miejsca jak Willard? Jeśli nie jakieś potworne przeżycie, to jaka ukryta, niewytłumaczalna choroba sprawiła, że jej umysł popadł w szaleństwo? Czemu jej własny ojciec wysłał ją do szpitala psychiatrycznego? Czy wydawała się normalna w jednej minucie, by w następnej zdradzać oznaki szaleństwa? Czy coś przytrafiło się jej albo Brunonowi? Czy zastrzeliła ukochanego w chwili szaleństwa, czy może zaślepiała ją gwałtowna zazdrość? Ethan i Peter wrócili z czarną tkaniną i nową rolką filmu. Izzy odłożyła pamiętnik i wróciła do układania zdjęć i pocztówek, próbując ukryć łzy. Szeptem zaklęła, wycierając zakatarzony nagle nos, z nadzieją, że nikt nie zauważy jej wzruszenia. Kiedy spojrzała na Ethana, ten przyglądał się jej, marszcząc brwi.

**N**a tylnym siedzeniu warczącego na drodze desoto, Clara opierała się o drzwi i patrzyła przez okno. Koc od siostry Yott okrywał jej nogi. Zachodzące słońce oświetlało rozrzedzone chmury, wypełniając niebo pierzastymi odcieniami różu i lawendy. Odległe budynki i drzewa ciemniały coraz bardziej, stając się sylwetkami na pastelowym niebie. Wtedy ten jeden jedyny raz Clara wyobraziła sobie, że człowiek może naprawdę zobaczyć ziemską wersję nieba i piekła, światła i mroku, dobra i zła. Ziemia i wszystko, co było na niej, pogrążyło się w mroku w tych ostatnich kilku chwilach światła słonecznego, tak jakby zło zawładnęło światem na ten krótki czas, zanim wzeszły gwiazdy i księżyc oświetlające noc i przypominające wszystkim i wszystkiemu, że naprawdę istniały światłość i dobroć we wszechświecie, że naprawdę były nadzieja i niebo. Teraz, gdy świat miał za moment okryć kompletny mrok, Clara wyobrażała sobie, że pan Glen będzie jechał i jechał, dopóki nie zostaną połknięci przez ciemność. Patrzyła w wyblakłe niebo w poszukiwaniu pierwszej gwiazdy i odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła punkcik światła migający nad gołymi gałęziami ciemnego drzewa.

Po sześciu godzinach ciszy w samochodzie pan Glen oznajmił w końcu, że przyjechali na teren Szpitala Psychiatrycznego Willard. Siostra May siedziała sztywna jak kołek obok Clary, z rękami na kolanach i ściągniętą twarzą. Przez cały czas patrzyła przed siebie. Trzy godziny wcześniej, po tym jak opuścili Dom na Long Island, Clara poprosiła pana Glena, by zatrzymał się na stacji benzynowej albo w przydrożnym zajeździe, by mogła skorzystać z toalety. Miała nadzieję na ucieczkę, może przez tylne drzwi restauracji albo okno w damskiej toalecie. Niestety pielęgniarka ani na chwilę nie spuściła z niej wzroku, wychodząc za nią nawet do ubikacji na stacji benzynowej i czekając pod drzwiami, gdy Clara się załatwiała.



Dziewczyna nawet rozglądała się po pomieszczeniu, gdy myła ręce, szukając z desperacją w oczach czegoś, by uderzyć siostrę May w głowę. Jediną rzeczą, którą znalazła, był wiklinowy kosz na śmieci. Był zbyt lekki, by mógł jej zaszkodzić. Poza tym Clara nie była pewna, czy byłaby w stanie w ogóle zrobić krzywdę tej kobiecie, nawet by się samej ratować.

Gdy Clara zobaczyła siebie w lustrze, z odbicia spoglądał na nią ktoś obcy. Do tej chwili, gdy zobaczyła swoje zmęczone rysy twarzy i rozczochrane włosy, czuła się, jakby ostatnie kilka godzin przydarzyło się komuś innemu. Czuła się oderwana, pewna, że wszystko dobiegnie końca, tak jak koszmar albo kiepski dowcip. Ktoś lub coś ją uratuje. Była tego pewna. W końcu była Clarą Elizabeth Cartwright, córką jedynej dziedziczki Bridge Bros. Clothing Emporium i właściciela Banku Swift. Uwielbiała gumę do żucia Teaberry, dalmatyńczyki, szminkę o smaku wiśni i charlestona. Podobne rzeczy nie przytrafiały się ludziom takim jak ona.

Zobaczyła jednak swoje puste oczy oraz bladą cerę i dotarło do niej, że to się jednak jej przytrafiało. Z jakiegoś powodu odsyłano ją do przytułku. Taki kurs obrało jej życie. Teraz niemożliwe było wyobrażenie sobie, że te usta były tymi samymi, które całował Bruno, policzki były tymi samymi, które delikatnie gładził. Zastanawiała się, co widzieli lekarze i siostry, gdy na nią patrzyli.

Po przystanku na stacji benzynowej jechali w ciszy, poza chwilami, gdy pan Glen pogwizdywał melodie z musicali na Broadwayu albo utworów jazzowych. Deszcz uderzał w metalowy dach, wiatr wył przez każdą szczelinę w samochodzie, jak zły duch z pustych pól, desperacko pragnący się dostać do środka.

Deszcz przestał padać i było wystarczająco widno, by Clara mogła rozróżnić kilka stodół i coś, co wyglądało jak sady i pola uprawne. Tu

ziemia była goła i można było dostrzec ścięte rzędy zbrązowiałych łodyg kukurydzy i żółtej pszenicy, tak jakby ktoś obhaftował glebę. Przed stodołami świnie i krowy jadły paszę w swoich zagrodach, a małe stado koni pasło się na ogrodzonych pastwiskach. Dalej znajdowały się kurniki, kuźnia i kilka budynków w stylu industrialnym. Podskoczyła, gdy pan Glen zaczął nagle mówić.

– Szpital Psychiatryczny Willard otwarto w 1869 roku i od tego czasu rozrósł się do rozmiarów pokaźnej wioski – powiedział. – Pacjenci pracują na farmie i na kolei, a nasze piekarnie i kuchnie dostarczają większość jedzenia dla nich i obsługi. Mamy własne sady i uprawiamy własne zboże, nasze zakłady produkują ubrania, buty i nawet sosnowe trumny używane do chowania zmarłych na cmentarzu Willard.

Włosy na karku Clary zjeżyły się. Nigdy nie wyobrażała sobie, by ludzie w Willard umierali. Myślała, że pomaga się im, a później odsyła do domu. Dlaczego zakład psychiatryczny potrzebował cmentarza?

– Co się stało pacjentom, którzy zmarli? – zapytała cicho.

– Różne rzeczy – powiedział pan Glen. – Gruźlica, tyfus, cholera, starość.

– Starość? – powiedziała Clara.

– Oczywiście – odparł pan Glen. – Niektórzy pacjenci spędzają dziesiątki lat w Willard.

– Nie ma potrzeby opowiadać o tym, panie Glen – powiedziała surowym głosem siostra May.

Clara przełknęła gulę w gardle i otuliła się kocem.

Kiedy minęli stację kolejową oświetloną lampami olejnymi, gdzie tuzin mężczyzn pchał taczki w kierunku elektrowni, zobaczyła w dali ciemną sylwetkę budynku wielkości fabryki przylegającego do potężnej centralnej

budowli, która wyglądała jak ogromny czteropiętrowy dwór. Gdy podjechali bliżej, ujrzała światło padające z wysokich okien bez firanek, przemieszczające się sylwetki, chodzące, zginające się, stojące nieruchomo w pobliżu szyb. W oknach zamontowano kraty. Clara poczuła ucisk w żołądku.

Właśnie wtedy pan Glen zaczął pogwizdywać *Someone to Watch Over Me*, serce Clary prawie się zatrzymało, paliło ją w gardle. Gdy siostra May zaczęła również nucić tę samą melodie, Clara miała ochotę krzyknąć. *Czy wybrali tę melodię celowo? Czy to był pierwszy krok w ich planie, by doprowadzić ją do szaleństwa?* Wbiła paznokcie w swoje dłonie, pewna, że to musi być sen, i mając nadzieję, że ból ją obudzi. Lecz to nie był senny koszmar. To było prawdziwe życie, jej życie. Wkrótce znajdzie się po drugiej stronie tych okien, wyglądając na zewnątrz, nie mając nikogo, komu by na niej zależało. Przepłynęła przez nią fala tęsknoty za domem, tak silna, że prawie się popłakała.

Po drugiej stronie szyby samochodu kilkupiętrowy budynek ciągnął się w dal, masywne skrzydła budowli łączyły się w odległych narożnikach, jakby tworząc schodki umieszczone pod kątem prowadzące do centralnego budynku. Próbowwała sobie wyobrazić, ile nieszczęsnych dusz cierpiało za ceglanymi murami Willard. Jeśli liczba budynków i okien była wyznacznikiem, było ich wiele. Ukłucie paniki, które wcześniej ścisnęło jej gardło, przerodziło się w wirującą masę w żołądku.

Desoto podskakiwał na pokrytej koleinami drodze, po czym skręcił w lewo, by przejechać przed frontem kolosalnej budowli. Za oknem samochodu, po prawej stronie, teren lekko opadał. Robiło się jednak zbyt ciemno, by coś więcej zobaczyć. W oddali, w głębokiej dolinie leżała jakby grupa niskich chmur, po czym teren znowu się podnosił. Ujrzała światło

odbijające się w dolinie i uzmysłowiła sobie, że patrzy na zbiornik wodny.

Pan Glen zatrzymał samochód przed frontem olbrzymiego budynku w stylu wiktoriańskim.

Był to główny budynek, z wieloma skrzydłami i przybudówkami. Podwójne schody zakrzywiały się z przodu budynku, a elektryczne oświetlenie jarzyło się z okien. Otworzyły się jedne z wielkich wrót, zza których wyszedł człowiek w czarnym garniturze, stając na kamiennym podejściu. Pan Glen wyłączył silnik i wysiadł.

– Czekać na mnie, aż po ciebie wrócę – zwróciła się do Clary siostra May.

Dziewczynę opanował strach. Jej ręce i nogi drżały. Krople potu skapywały na górną wargę. Pomimo tego, że nagle poczuła uderzenie gorąca, pozapinała każdy guzik w płaszczu, wzmacniając swoją jedyną warstwę ochronną. Pan Glen wy dobył kufer Clary z bagażnika desoto, po czym obszedł samochód i otworzył tylne drzwi pasażera. Pojawiła się siostra May i Clara wysiadła z samochodu. Jej wzrok spoczął na monolitycznym budynku wyrastającym tuż przed nią. Wyrzeźbiony w marmurze napis nad kamiennym portyku głosił „Chapin Hall”. Gdy Clara patrzyła na okna w stylu katedralnym, poddasza, ogromne kominy i trzypiętrową kopułę, zaschło jej w ustach. Był to zamek, forteca, więzienie bez możliwości ucieczki, a ją właśnie zabierano do środka.

Człowiek na podejściu do budynku zszedł wzdłuż zakrzywionej balustrady po kamiennych schodach i spotkał się z nimi na końcu chodnika.

– Jak minęła podróż? – zwrócił się do pana Glena. Skinął na powitanie siostrze May, po czym zmierzył wzrokiem Clare, trzymając ręce za plecami. Był małym, żylastym człowiekiem z dokładnie przystrzyżoną kocią bródką i nisko osadzonym brwiami, włosami zaczesanymi do tyłu

i opaloną twarzą.

Jego marynarka pasowała jak ulał, wysoki kołnierz był biały jak kreda. Skórzane buty odbijały światło gazowych lamp.

– Przez pierwszą godzinę jazdy droga była nieco uciążliwa – powiedział pan Glen. – Ale w końcu wyprzedziliśmy złą pogodę.

– Dobrze, dobrze – odparł mężczyzna. – Zatem to jest Clara?

– To Clara Elizabeth Cartwright, doktorze Roach – powiedziała siostra May. – Lat osiemnaście i w dobrym stanie fizycznym.

– Potrzeba izolacji?

– Doktor Thorn zapewniał nas, że nie była niebezpieczna i na nic nie choruje – powiedziała siostra May, po czym utkwiała wzrok w doktorze czekając na potwierdzenie.

– Sprawia ci jakiegokolwiek problemy? – Doktor Roach skierował zapytanie do pana Glena, ignorując spojrzenie pielęgniarki.

– Nie, proszę pana – odpowiedział tenże. – Była cicha jak myszka.

– W porządku, w porządku – powiedział. – Wprowadźcie ją do środka, a my ją już ulokujemy.

Clara zacisnęła zęby, potęgujący się ból pulsował jej pod czaszką. Mówili o niej, jakby jej tam nie było, jakby była człowiekiem gorszej kategorii, który nie potrafił nic usłyszeć, czuć, mówić. Wyciągnęła dłoń, mając nadzieję, że doktor zorientuje się, że to nie jest miejsce dla niej.

– Miło pana poznać, doktorze Roach – powiedziała, siląc się na uśmiech.

Roach zeszywniał i popatrzył na wyciągniętą dłoń. Jego ręce ciągle znajdowały się za plecami. Siostra May popchnęła rękę Clary z powrotem do tułowia, jej usta wykrzywiły się w grymasie obrzydzenia.

– Ręce przy sobie – powiedziała.

Doktor Roach odwrócił się i ruszył w kierunku budynku. Pan Glen skinął na kobiety, by także ruszyły za nim. Clara zastygła na chodniku, zastanawiając się, czy zdąży uciec. Być może byłaby w stanie biec szybciej niż siostra May, jednak była pewna, że pan Glen dogoniłby ją dość szybko. Wtedy pielęgniarka popchnęła ją w plecy, zmuszając do ruchu. Dziewczyna spojrzała na nią, po czym ruszyła w stronę Chapin Hall. Doktor Roach przytrzymał otwarte skrzydło podwójnych drzwi i poczekał, aż wejdą do środka, a jego zwężone oczy bacznie obserwowały Clare, jakby obawiając się, że znowu spróbuje go dotknąć. W środku pan Glen i siostra May zdjęli swoje płaszcze i powiesili je na żelaznym wieszaku. Dziewczyna nie zrobiła najmniejszego ruchu, by ściągnąć swój.

– Może na razie zostać w płaszczu – powiedział, właściwie nie wiadomo do kogo, doktor Roach głosem rozchodzącym się echem po przepastnym kamiennym foyer. – Zabierzemy ją na Oddział B dla kobiet. Panie Glen, proszę przynieść jej bagaż.

Doktor przeszedł przez foyer, trzymając ręce za plecami. Jego twarde obcasy stukały po podłodze z białego marmuru. Pielęgniarka siedząca za biurkiem obrzuciła ich przelotnym spojrzeniem, jej blada twarz była oświetlona światłem padającym z lampy na biurku, której trójkątny promień w ciemnym pokoju był jak światło latarni morskiej. Sufit znajdował się na wysokości co najmniej sześciu metrów, a w samym jego środku była umieszczona szklana kopuła otoczona zgaszonymi lampami gazowymi, ozdobionymi mosiężnymi liśćmi i grawerowanymi kulami. Marmurowa poręcz rozciągała się wokół całego pokoju, a oliwkowozielone ściany pokrywały obrazy pól uprawnych i pokrytych śniegiem Alp. Kanapa i kilka miękkich krzeseł tworzyły miejsce do siedzenia między pobliskimi

wielkimi oknami, sięgającymi od podłogi aż do sufitu, a drzwiami frontowymi. Z tyłu foyer wielkie schody z mahoniu prowadziły na drugie piętro.

Drzwi przypominały Clarze rezydencję jej rodziców, ale były znacznie większe. Kolana jej drżały. Zaczęła się tak trząść, że ledwie trzymała się na nogach.

Roach poprowadził ich poprzez foyer w kierunku krótkiego korytarza z kilkoma drzwiami, zatrzymując się dopiero naprzeciwko pierwszych drzwi po prawej.

– Siostrze May – powiedział, bacznie przyglądając się Clarze – proszę zabrać pacjenta do środka i pomóc dobrać jakąś rozsądną parę butów, bieliznę i trzy sukienki na co dzień z jej bagażu. Żadnych pończoch. Wydamy jej koszulę nocną, a resztę rzeczy osobistych umieścimy w przechowalni. Proszę pamiętać o zostawieniu płaszcza zimowego i butów do zajęć na zewnątrz.

– Tak, doktorze Roach – powiedziała zimnym głosem siostra May. Otworzyła drzwi i zaprowadziła Clarę do przebieralni, mrużąc coś pod nosem. Pan Glen podążył za nimi, z ciężkim chrząknięciem postawił kufer na długim stole i wyszedł, zostawiając kobiety same.

– Słyszałaś, co powiedział lekarz – zwróciła się do Clary siostra May. Zamknęła drzwi i usiadła ze skrzyżowanymi rękami na krześle opartym o przeciwległą ścianę. – Pośpiesz się.

Clara wzięła głęboki oddech i otworzyła zatraski kufra, mając nadzieję, że jej listy do Brunona nie wypadną ze środka. Stała blisko stołu, próbując zasłonić widok siostrze May i otworzyć wieko. Nie była pewna, czy powinna wyjąć kilka listów i ukryć je w kieszeni, czy może mieć nadzieję, że będzie miała dostęp do kufra później, gdyby udało się jej

przekonać kogoś, by je wysłał. Co jednak, gdyby siostra May ją nakryła i zabrała listy? Z jakiegoś powodu nastrój pielęgniarki znacznie się pogorszył od przyjazdu na miejsce. Co jeśli zdecyduje się wyładować swoją frustrację na Clarze? Dziewczyna zdecydowała się nie ryzykować. Zostawiła listy w kufrze.

Koperta z imieniem Brunona leżała w kufrze na jedwabnej koszuli. Położyła na niej rękę, złożyła koszulę i wepchnęła list głębiej w stertę ubrań. Wyciągnęła z szuflady swoje brązowe buty i położyła na stole, po czym starannie wyszukała bieliznę i trzy sukienki, starając się nie wymieszać reszty zawartości kufra. Gdy zobaczyła sukienkę koloru brzoskwiniowego, którą nosiła tego wieczoru, gdy poznała Brunona, aż ścisnęło ją w gardle. Czy kiedykolwiek znowu z nim zatańczy?

W końcu znalazła to, czego szukała – błękitną bawełnianą koszulę z okrągłym haftowanym kołnierzem, prostą brązową sukienkę, różową bluzkę wiązaną na szyi i zwykłą żółtą suknię do chodzenia po domu. Wyciągnęła je z bagażu i ułożyła na stole. Właśnie wtedy siostra May wstała. Clara zatrzasnęła kufer, zamknęła mosiężne zatrzaski, podniosła sukienki i obróciła się z przewieszonymi przez ramię ubraniami.

– Czy te mogą być? – zapytała

Siostra May krótko popatrzyła na sukienki, po czym zabrała je Clarze.

– Mogą – odpowiedziała z twarzą wykrzywioną gniewem.

Siostra May rzuciła ubrania na stół, otworzyła drzwi i wyprowadziła Clarę z powrotem na korytarz, gdzie czekali pan Glen i doktor Roach. Ten ostatni miał na sobie biały fartuch lekarski. Kolejna pielęgniarka stała za nimi: wysoka, masywna kobieta z szerokimi ramionami i kręconymi rudymi włosami. Jej szyja była gruba, a nadęte policzki wystawały poza usta jak przesadnie nadmuchane balony. Wąskie oczy były głęboko osadzone



w pucułowatej twarzy, a szminka wyróżniała usta na tle bladej cery, jak krew na śniegu. Choć cechy jej twarzy przypominały kogoś otyłego, wcale taka nie była. Większość masy jej ramion i nóg stanowiły mięśnie. Gigantyczna pielęgniarka trzymała w jednej ręce rąbek białego kitla.

– Panie Glen – powiedział doktor Roach, trzymając ręce w kieszeniach fartucha lekarskiego – proszę przenieść kufer Clary do foyer. Zajmiemy się nim z rana.

– Tak, proszę pana – odpowiedział pan Glen. Wszedł do pomieszczenia, by zabrać bagaż Clary, po czym ruszył w stronę foyer.

– Siostró May – powiedział doktor – może pani wrócić do budynku pielęgniarek. – Pierwszy raz, odkąd przyjechali, spojrzał podwładnej w oczy. Siostra się uśmiechnęła, lecz on szybko odwrócił głowę i mówił dalej: – Siostra Trench przejmie dalsze obowiązki.

– Mam wrócić do tego pokoju co zwykle, doktorze Roach? – zapytała siostra May, a jej oczy płonęły w oczekiwaniu.

– Może pani wrócić, do którego pokoju pani chce – powiedział doktor Roach. Wreszcie uśmiechnął się do niej uśmiechem pełnym samozadowolenia, skrywanego pod maską uprzejmości.

Siostra May skinęła głową, jej policzki zaczerwieniły się. Wpatrywała się w doktora dłużej, niż to było konieczne, jakby cicha zgoda przemknęła między ich spojrzeniami. Gigantyczna pielęgniarka odchrząknęła. Siostra May spuściła wzrok i podążyła za panem Glenem w głąb korytarza.

– Zakwaterujemy Clarę na noc – zwrócił się doktor Roach do siostry Trench. – Dokumentami zajmiemy się jutro. Już prawie cisza nocna, a nie będziemy przecież robić odstępstw od rozkładu.

– Tak, doktorze – powiedziała pielęgniarka.

Doktor dał Clarze znak ręką i ruszył korytarzem.

– Chodź za mną – powiedział.

Clara przygryzła wewnętrzną stronę policzka i ruszyła za lekarzem, a każdy nerw w jej ciele wibrował, jakby przebiegał w nim prąd, jej ręce i nogi drżały, jakby włożyła palec do kontaktu. Dokąd ją zabierali? Czy znajdzie się w pokoju z innym pacjentem, czy może dostanie własny? Nie dość, że ją tu wysłali, to jeszcze nie wiedziała, co się z nią stanie ani jak długo będzie zmuszona tu zostać, ani co będzie, jeśli zostanie zmuszona dzielić pokój z kimś obcym, kto może być agresywny lub mieć zaburzenia psychiczne. Sama ta myśl wydawała się ponad jej siły.

Szła szybciej, trzymając ręce w kieszeniach płaszcza i próbując dotrzymać kroku doktorowi Roachowi i siostrze Trench. Na końcu korytarza skręcili w lewo, po czym zatrzymali się przed nitowanymi drzwiami z małym okratowanym oknem pośrodku. Doktor Roach ustąpił miejsca pielęgniarce, która otworzyła skrzypiące drzwi. Lekarz gestem nakazał Clarze wejść i wkroczył zaraz za nią do chłodnego korytarza.

Ostry smród uryny i wybielacza uderzył w nozdrza Clary. Kroczyła za doktorem Roachem i siostrą Trench, żałując, że nie spróbowała uciec, gdy miała ku temu sposobność. Ucieczka przed panem Glenem wydawała się mało prawdopodobna, ale mogła spróbować. Wszystko byłoby lepsze niż zgoda na zabranie jej w to okropne miejsce.

Długi korytarz wydawał się tak szeroki, jakby był w stanie pomieścić dwa pociągi stojące obok siebie, a w wysokich ścianach znajdowały się niezliczone drzwi. Każdy budynek był chyba zaprojektowany tak, by pomieścić gigantów, a Clara nie mogła zrozumieć dlaczego. W połowie korytarza otworzyły się drzwi i dwóch pielęgniarzy wyciągnęło na korytarz kobietę, długie proste włosy opadały na jej pociągłą twarz, dolna część mokrej koszuli nocnej przyklejała się do gołych nóg. Z pomieszczenia

wypadła też siostra i podążyła za pielęgniarzami, gdy ci na wpół ciągnęli, na wpół nieśli kobietę, oddalając się od miejsca, gdzie była Clara. Kobieta krzyczała, jej bose stopy nie mogły znaleźć oparcia na podłodze. Clara zamarła, serce waliło jej jak młotem. Doktor Roach zawahał się i spojrzał na nią. Siostra Trench natychmiast odwróciła się, zacisnęła przerośniętą rękę na ramieniu Clary i pociągnęła ją naprzód.

– Chodź – powiedziała stanowczym głosem.

Clara próbowała się wyswobodzić z uścisku siostry Trench, ale nie było to możliwe. Ta parła naprzód, niewzruszona wysiłkami Clary. Twarz siostry była spokojna i bez wyrazu, tak jakby wyprowadzała pudła na spacer. Przez otwarte drzwi z lewej strony dobiegał krzyk pacjentów, leżących w czymś, co wyglądało jak spore łóżka z zamykanymi pokrywami. Clarze zachciało się wymiotować.

Na końcu korytarza znowu skręcili w lewo i przeszli przez kolejne zamykane żelazne drzwi prosto na korytarz identyczny jak poprzedni. Przy czwartych drzwiach na prawo zatrzymali się. Siostra Trench puściła ramię Clary.

– Daj mi swój płaszcz – powiedziała. Drżącymi palcami Clara rozpięła płaszcz i go zdjęła. Na szczęście ubrała sweter, zanim opuściła Dom na Long Island, nie wiedząc, że w Willard będzie tak zimo. – Buty też.

Ponownie Clara zrobiła to, co jej kazano, ściągając buty i stając w pończochach na podłodze zimnej jak lód.

– Przeprowadź ją na badanie do mojego gabinetu z samego rana – powiedział doktor Roach.

– Tak, doktorze – odpowiedziała siostra. – Będzie tam.

– Doskonale. – Lekarz spojrzał na Clarę. – Jesteśmy po to, by ci pomóc, pamiętaj o tym. Nie ma się czego bać. – Po czym delikatnie skinął głową

Clarze i ruszył szybko korytarzem.

Siostra Trench patrzyła, jak odchodzi. Język w jej ustach mlaskał. Zaciśnęła usta, potrząsnęła głową. Na jej przekrwionej twarzy rozbłysła krótka oznaka bólu. Otworzyła drzwi i weszła do pomieszczenia. Clara poczuła ucisk w żołądku. Siostra przytrzymała drzwi, czekała. Clara zerknęła do środka, cały czas trzymając dłonie na kołującym sercu.

Smród uryny i kału zdawał się tak gęsty jak bladozielona farba na ścianach. Clara zasłoniła dłonie rękawami swetra i przyłożyła je do ust. W lodowatym pokoju stało w rzędach pięćdziesiąt metalowych łóżek przykręconych do podłogi, na wszystkich leżały brudne poduszki, prześcieradła i materace z końskiego włosia. Pacjentki siedziały na łóżkach lub chodziły po sali, ubrane w koszule nocne, bez bielizny pod spodem, tak że wyraźnie rysowały się obwisłe kształty ich niepodtrzymywanych niczym piersi. Część z nich nosiła swetry i skarpety, większość jednak była boso. Kilka miało na sobie kaftany bezpieczeństwa. Jedna siedziała w rogu z obszarpaną lalką w ramionach, kołysząc ją i śpiewając. Dwie kobiety stały przy wysokim okratowanym oknie, jedna patrzyła w mrok, druga uderzała głową w drucianą siatkę chroniącą szybę. Cienka warstwa lodu pokrywała krawędź szyby.

– Cisza nocna! – wrzasnęła siostra Trench.

Kobiety rzuciły się w stronę łóżek. Kobieta z lalką stanęła na cienkich krzywych nogach i ruszyła w kierunku najbliższego posłania, owinąwszy lalkę w znoszony sweter. Siostra Trench stała w milczeniu, patrząc i czekając. Gdy wszystkie kobiety siedziały albo leżały w łóżkach, pozostało tylko jedno puste posłanie. Znajdowało się obok kobiety z lalką. Pościel wskazywała na to, że ktoś tam wcześniej spał, przebarwione prześcieradło i poduszka były zmięte i krzywo ułożone. Siostra Trench

wyciągnęła i rozłożyła kawałek materiału, który trzymała w ręku, i podała go Clarze. To była jej koszula nocna.

– Włóż to – powiedziała pielęgniarka.

Clara wstrzymała oddech.

– Tutaj?

– Pierwsza zasada Willard brzmi: „Rób, co ci każą” – powiedziała siostra Trench. – Przestrzegaj jej i będziemy się świetnie dogadywać.

– Czy w pobliżu jest toaleta? – zapytała Clara. – Jakies miejsce, gdzie się mogę w spokoju przebrać?

Siostra Trench uśmiechnęła się, podnosząc jeden kącik czerwonych ust odrobinę wyżej niż drugi.

– Druga zasada Willard to: „Nie podważaj moich poleceń”.

Clara spuściła wzrok i odwróciła się od pacjentek, a jej ręce i nogi drżały. Ściągnęła pończochy i sweter, następnie zdjęła sukienkę przez głowę i pozwoliła jej opaść na podłogę. Po czym odwróciła się do siostry, by odebrać koszulę nocną.

– Ściągaj wszystko – powiedziała Trench. – Lepiej mnie nie wystawiaj na próbę, dziewczyno.

Clara ściągnęła halkę i biustonosz, trzymając jedną dłoń na gołych piersiach, i ponownie sięgnęła po koszulę nocną. Tym razem siostra Trench dała jej koszulę. Clara nałożyła na siebie przez głowę cienkie ubranie i ściągnęła majtki. Zaczęła się schylać, by podnieść z podłogi sweter, ale się zatrzymała. Drżąc, spojrzała na siostrę Trench.

– Mogę? – zapytała, wskazując na sweter.

– Nie jestem bez serca – odpowiedziała siostra.

Clara zgarnęła sweter i włożyła ręce w rękawy, wdzięczna, że wełna

nadal była ciepła.

– Tylko pamiętaj, co powiedział doktor Roach – rzekła. – Jesteśmy po to, by ci pomóc. – Wskazała w kierunku pustego posłania. – Trudno pomóc komuś, kto tego nie chce.

Clara ruszyła w kierunku łóżka, jej żołądek się buntował. Cały czas przełykała ślinę, starając się nie zwymiotować. Kobieta w łóżku naprzeciwko bujała się w przód i w tył, wydając wysoki dźwięk „O-oo, o-oo, o-oo”. Inna ciągnęła za długie brudne włosy, śmiejąc się i wyrywając je sobie. Clara złapała się łóżka i usiadła, nadal trzymając sweter przy nosie.

– Cisza nocna! – ponownie krzyknęła siostra Trench.

Kobiety położyły się i nakryły kocami. Clara zrobiła to samo, wzdrygając się, gdy dotknęła brudnego materiału. Leżała na plecach, starając się nie myśleć, że przyłoży policzek do poduszki.

– Zostań dzisiaj w łóżku, Charlotte! – kolejny raz krzyknęła siostra.

W pokoju zapanowała ciemność.

Siostra Trench otworzyła drzwi i wyszła, a słaby blask światła podkreślił jej masywną sylwetkę. Drzwi zamknęły się z trzaskiem i pokój znów pograżył się w ciemności. Klucz obrócił się w zamku. Wtedy, dokoła Clary, kobiety zaczęły wydawać różne odgłosy. Skomleć, kaszleć, śpiewać, nucić, mamrotać, płakać. Clara usłyszała dźwięk sprężyn obok niej i poczuła, że ktoś otarł się o jej ramię. Ktoś stał przy łóżku, dysząc ciężko. Clara naciągnęła brudny koc na głowę i zwinęła się w kłębek. Zakryła mokrą twarz drżącymi rękoma i szlochała, modląc się o ranek.

W noc po rozpakowaniu pierwszej serii walizek z Willard Izzy rozciągnęła się na łóżku w samych majtkach i koszulce z zamiarem kompletnego odcięcia się od świata przy teledyskach na MTV. Bezskutecznie. Każda młoda, całująca się para przypominała jej o Clarze i Brunonie, no i o Ethanie, rzecz jasna. Również o jej rodzicach. Rwący ból palca opatrzonego gazą przypomniawszy jej chłopaka klęczącego u jej stóp. Jego delikatny dotyk i ciemne włosy, i błysk jego uśmiechu, kiedy podniósł głowę, żeby na nią spojrzeć. *Przecież on ma dziewczynę, powiedziała do siebie. A nawet gdyby nie miał, lepiej mu będzie z kimś innym. Poza tym to arogancki palant, pamiętasz? Pomaga swojej dziewczynie znęcać się nad innymi ludźmi. Dlaczego ty w ogóle o nim myślisz?*

O północy Izzy wyłączyła telewizor i przewróciła się na brzuch, licząc, że będzie mogła odpłynąć w błogą nieświadomość snu. Pomimo zmęczenia twarz Ethana nadal unosiła się pod jej zamkniętymi powiekami – jego kruczoczarne włosy, jego srebrne oczy. Nagle twarz chłopca przeobraziła się w twarz jej ojca. Jego martwe oczy wpatrywały się w nią, a z głowy lała się krew. Izzy wstała z łóżka i otworzyła okno, żeby wpuścić świeże powietrze. *Czy właśnie tak się to zaczyna? – pomyślała. Czy właśnie tak ludzie powoli tracą zmysły? Te same obrazy i myśli bezustannie wdzierają się do głowy, a oni nie mogą się ich pozbyć? Co jest ze mną nie tak?*

Poszła do łazienki, ponownie umyła zęby, wypila szklanek wody i spojrzała w lustro. Jej opuchnięte i przekrwione oczy były bez wątpienia skutkiem wcześniejszego płaczu. Spowodowały go Willard, walizki, Clara. To wszystko uderzyło zbyt blisko jej czułych punktów. Gdyby wiedziała, że projekt z walizkami przypomni jej te wszystkie okropne wspomnienia, które starała się wymazać z pamięci, starałaby się wywinąć od pomocy.

Mimo to nie chciała zawieść Peg i Harry'ego, niezależnie od ceny, jaką miała zapłacić.

Zaskoczyło ją, że pomimo upływającego czasu pamięć o jej rodzicach oraz okropne obrazy tego, co wydarzyło się tamtej nocy, nadal oddziaływały na nią tak mocno. Miała już prawie osiemnaście lat i powinna umieć o tym zapomnieć, potraktować jak przeszłość i iść do przodu. Kiedy jednak myślała o swojej matce i ojcu, czuła się, jakby znowu miała siedem lat – jak przerażona, zagubiona, porzucona dziewczynka. Do tego dochodził strach, że skończy jak jej matka, zamknięta na całe życie na oddziale psychiatrycznym albo w więzieniu. Przypuszczała, że to była prawdziwa przyczyna jej płaczu.

Jak miała normalnie żyć, jeśli geny w jej głowie czekały tylko na dogodną chwilę, żeby dać jej się we znaki? Jak mogłaby liczyć na życie w związku lub małżeństwie, wiedząc, że druga osoba jest zagrożona? Jak miałyby się spełnić w roli matki, wiedząc, że może porzucić swoje dzieci bez ostrzeżenia?

Przesunęła palcami po bliznach na przedramionach, walcząc z chęcią wbicia paznokci w skórę. *Nie*, pomyślała, ocierając łzy z policzków. *Zaszłam zbyt daleko, by teraz zawrócić.* Chwyciła krawędź umywalki, aż zbieleły jej knykcie. *Nie poddam się. Nie pozwolę, by moja przeszłość wpłynęła na przyszłość. Nie jestem moją matką.*

Wzięła głęboki oddech i opłukała twarz, po czym wróciła do łóżka, pozwalając chłodnej nocnej bryzie owiewać jej gołe nogi, a włosy odsunęła za poduszkę. Zgasiła światło, zamknęła oczy i zaczęła liczyć od tyłu, wiedząc, że to było głupie, ale zamierzała spróbować wszystkiego, by zatrzymać grad myśli i obrazów pojawiających się w jej głowie.

Wtem coś uderzyło w okno. Otworzyła oczy. Brzmiało to jak paznokcie



stukające w szkło i skrobiące po szybie. Dźwięk się powtórzył i wtedy usiadła. Coś uderzyło w elewację. Położyła stopy na podłodze i wstrzymała oddech, nasłuchując. Dwa kolejne uderzenia – *puk, puk* – na górnej szybie. Zapaliła światło.

– Izzy? – Męski głos z zewnątrz wyszeptał jej imię.

Ponownie zgasiła światło i wstała. Owinęła się kocem i podeszła do krawędzi okna. Kolejny głośne *puk* sprawiło, że podskoczyła.

– Izzy! – wyszeptał głos tym razem głośniejsze i bardziej ponagląco.

Zerknęła przez okno, próbując rozpoznać sylwetkę na ciemnym trawniku. Pełnia księżycza rzucała długie cienie na trawę, na której, w pobliżu sznurka do suszenia ubrań, rzędem stało pięć ludzkich sylwetek. Ich koszule i spodnie falowały na wietrze, długie, zmierzwiłone włosy powiewały niczym ciąg czarnych flag. Serce Izzy zamarło w piersi. Jej pierwszą myślą było to, że to wpatrywał się w nią gang piratów zombie z filmu Johna Carpentera *Mgła*. Po chwili jednak zdała sobie sprawę, że patrzy na ciemne sylwetki liści i gałęzi, drgające i trzepoczące na drzewie na zewnątrz jej pokoju. Odetchnęła z ulgą i mocniej owinęła koc wokół ramion.

– Tu, na dole! – zawołał głos.

Izzy podeszła bliżej okna i spojrzała na żwirowy podjazd. Ethan popatrzył na nią zza ściany garażu, jego twarz w mroku była niczym biała maska. Kiedy ją zobaczył, wypuścił kamienie z dłoni, podniósł latarkę i przytrzymał ją pod brodą.

– Niespodzianka! – krzyknął cicho. Wyszczrzył zęby, a światło rzucało cienie pod jego oczami i nosem niczym u upiora w Halloween.

Izzy wychyliła się przez okno.

– Co ty tutaj robisz? – zapytała, próbując zignorować łomotanie serca.

– Przyniosłem ci prezent – odparł chłopak. Trzymał coś płaskiego i kwadratowego, wielkości książki w miękkiej okładce.

– Jest środek nocy! – wyszeptała. – Zwariowałaś?

*Och, poczekaj, pomyślała, nieważne. To przecież ja zwariowałam.*

– Zejdź na dół! – powiedział Ethan

– Nie! – odpowiedziała Izzy. – Będę miała przez ciebie kłopoty!

Właśnie wtedy samochód wyjechał na drogę, omiatając reflektorami trawnik i podjazd. Ethan schował się za garażem. Gdy samochód odjechał, chłopak wyszedł z ukrycia.

– No chodź – powiedział. – To zajmie tylko chwilę. Obiecuję.

Izzy przygryzła wargę. Co on tu robi? Co ma dla niej? Była sobotnia noc. Dlaczego nie był z Shannon? Jej serce zaczęło bić szybciej. A co, jeśli to był podstęp? Co jeśli Shannon też tam była, czekając, aby zrobić kolejny dowcip?

– Nie zejdę na dół – powiedziała. – Powinieneś stąd iść.

– Serio? – dobiegł ją głos pełen wątpliwości. – Przyszedłem pod twoje okno w środku nocy z prezentem i mówisz mi, że mam sobie iść? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi. – Izzy już miała na końcu języka, że mógłby dać jej ten prezent w szkole, kiedy chłopak dodał: – Jeśli nie zejdiesz na dół, zadzwonię do drzwi i poproszę, byś zeszła.

Izzy westchnęła.

– Daj mi chwilę.

Zaciągnęła zasłony, rzuciła koc na łóżko i włożyła krótkie spodenki. Ruszyła do drzwi, po czym odwróciła się i weszła do łazienki, aby spojrzeć w lustro. Jej włosy były poskręcane, tusz do rzęs rozmazany. Polizała palec i zrobiła, co mogła, by usunąć resztki makijażu, a następnie przesunęła

grzebieniem po włosach i związała je w kucyk. Ściągnęła koszulkę i pośpieszyła do szafki, aby znaleźć bluzę.

W kuchni chwyciła sandały, po czym prześlizgnęła się przez przesuwne drzwi werandy i przeszła na palcach przez ganek na tyłach domu. Na trawie wsunęła sandały i pośpieszyła do garażu, lekko pochylona. Na szczęście sypialnia Peg i Harry'ego była po drugiej stronie domu, więc prawdopodobnie nic nie słyszeli. Ethan czekał za garażem, opierając się o cedrowe deski, i oświetlał latarką małą, otwartą książkę, którą trzymał w ręku. Kiedy zobaczył Izzy, zamknął ją i wyprostował się.

– Co ty tu robisz? – zapytała.

– Ciebie też miło widzieć – powiedział, uśmiechając się.

– Czego chcesz?

– Jak twój palec?

Wyciągnęła skaleczony palec, a biała gaza świeciła jak mały duszek w ciemnościach.

– W porządku – odpowiedziała i skrzyżowała ramiona. – Dobra, zesłam, jak chciałeś. Co to za wielka niespodzianka?

Podniósł książkę i oświetlił okładkę latarką. Światło odbijało się od zielonej lilii heraldycznej wygrawerowanej na skórze, migocząc na czarnym grzbiecie. Dziennik Clary.

Izzy wyrwała go z jego rąk.

– Co ty z tym robisz? – zapytała. – Nie masz do niego prawa!

– Spokojnie – powiedział. – Tylko go pożyczyłem.

– To nie twoja sprawa! – syknęła

Ethan wykrzywił się.

– Czytałaś go. Poza tym ta wariatka już dawno nie żyje...

– To bez znaczenia! Nie powinieneś był go zabierać!

– Widziałem, jak na niego patrzysz, i myślałem, że chcesz go przeczytać.

– Wiesz, jakie możesz mieć przez to kłopoty? – zapytała, zaskoczona swoim wybuchem gniewu. – To własność państwowa!

– Jezu! – odparł Ethan, przewracając oczami. – Wyluzuj. Możemy go zwrócić, jak przeczytasz. Po prostu włóż go z powrotem do kufra, gdy wrócimy do magazynu w przyszłą sobotę. Wielkie rzeczy. Nikt nigdy się nie zorientuje, że go nie było.

Wyciągnęła przed siebie dziennik.

– Weź go z powrotem.

– Dobra – powiedział, wzruszając ramionami. – Wybacz, że ci zawracałem głowę. – Wziął dziennik i ruszył. – Do zobaczenia

Zacisnęła zęby. On miał rację. Z jakiegoś powodu chciała przeczytać dziennik Clary bardziej niż cokolwiek innego. Jednak nie w ten sposób. Nie, kiedy musiała się martwić, że będzie miała kłopoty przez to, że go zabrali. Tylko co, jeśli nigdy nie będzie drugiej szansy?

– Zaczekaj – powiedziała.

Odwrócił się z uśmiechem.

– Zmieniłaś zdanie?

– Może.

Oparł się o ścianę garażu i podał jej dziennik.

– Wiesz, mówią, że jest nawiedzony – powiedział z zagadkowym uśmiechem.

Zmarszczyła czoło zdezorientowana.

– Co jest nawiedzone?

– Szpital Psychiatryczny Willard.

Izzy spojrzała na dziennik.

– Och! – powiedziała, mając nadzieję, że nie zauważy jej gęsiej skórki.

– Kilku moich kumpli włamało się tam kilka tygodni temu i prawie umarli ze strachu. Jeden z nich został podrapany w szyję w skrzydle dla kobiet i obaj słyszeli coś, co przypominało jęki w skrzydle szpitalnym.

Izzy zadrżała.

– To okropne – powiedziała.

– Ja myślę, że to niesamowite – powiedział Ethan, śmiejąc się.

– Cóż, jesteś dziwny.

– Dziennik to nie jedyny powód, dla którego tu jestem – powiedział nagle poważnym głosem. – Chciałem przeprosić za to, że pomagałem Shannon umieścić te... Te rzeczy na twojej szafce. Masz rację, to było okropne i wredne. Gdy czytałaś dziennik tam w magazynie, widziałem, że płakałaś i...

Izzy zeszywniała.

– Słuchaj – powiedziała. – W końcu wszystko zaczyna mi się układać i nie zamierzam tego zepsuć. Jeśli Peg i Harry dowiedzą się, że mam ten dziennik, prawdopodobnie każą mi się wynosić.

– Przeczytaj go przez weekend i przynieś do szkoły w poniedziałek. Zabiorę go z powrotem. Nikt nigdy się nie dowie, że go miałaś. Obiecuję.

Izzy westchnęła i przeciągnęła palcami po zielonej skórzanej oprawie. Przez te wszystkie lata nie chciała niczego więcej, jak tylko poznać myśli matki, żeby spróbować zrozumieć, co sprawiło, że osoba sprawna umysłowo nagle oszalała. Nie mogła zapytać lekarzy. Oświadczyli, że jej matka jest zdrowa. Ale Izzy wiedziała lepiej. W tym dzienniku mogła

znaleźć odpowiedzi, których szukała. Właśnie miała zapytać Ethana, czy powinna dać mu to w klasie, gdy pojawiła się u niej kolejna myśl.

– Co z Shannon? – zapytała. – Chyba nie będzie zbyt zadowolona, gdy się dowie, że tu byłeś.

Ku jej zaskoczeniu Ethan zamilkł, podrapał się po szyi i spuścił wzrok na chodnik. Po czym spojrzał z powrotem na Izzy i zmarszczył czoło.

– Nie jest taka zła, jak myślisz – powiedział.

– Jest – odparła Izzy. – Najpierw zachowuje się, jakby chciała być moją przyjaciółką, następnie zaczyna mi robić wredne dowcipy. Jest okropna.

– Może się taka wydawać w towarzystwie innych ludzi, lecz gdy jesteśmy sami...

– Aha – powiedziała Izzy, skrzyżowawszy ramiona. – Więc nie obchodzi cię, jak traktuje innych, dopóki jest miła dla ciebie?

– Nie – powiedział Ethan. – Nie o to chodzi. Byliśmy razem od ósmej klasy, dopiero od roku zaczęła się zachowywać... No nie wiem... Inaczej. Ona sporo przeszła.

Izzy przewróciła oczami.

– To żaden powód. Powinna wznieść się ponad to, co się jej przytrafiło, a nie ciągle tkwić w tym samym miejscu. Nie cierpię, gdy ludzie winią wszystkich oprócz siebie za swoje zachowanie.

– Jej ojciec ją zostawił, a matka jest alkoholiczką.

– To nie daje jej pozwolenia na bycie jedzą! – W chwili, gdy wypowiedziała te słowa, natychmiast ich pożałowała.

Ethan westchnął i opuścił ramiona.

– Ojciec ją bił i znęcał się nad jej matką. Gdy Shannon miała dwanaście lat, stanęła w obronie matki i wylądowała w szpitalu ze wstrząsem mózgu

i złamaną ręką. Jej matka nie chciała powiedzieć lekarzom prawdy. Skłamała i powiedziała, że Shannon skoczyła z dachu ganku, bo myślała, że umie latać.

Izzy przełknęła ślinę. Nie mogła sobie wyobrazić ojca, który krzywdzi swoje dziecko. Albo matki, która by go nie chroniła. Jasne, matka Izzy zastrzeliła jej ojca, ale była szalona. Izzy chciała wierzyć w to, że jej matka nie myślała o konsekwencjach. Musiała być szalona, by nie pomyśleć o tym, że Izzy będzie zdruzgotana stratą ojca, że gdy policja się dowie, co zrobiła, Izzy straci oboje rodziców. Tylko osoba chora psychicznie by tego nie przemyślała. Ironią było to, że przed tą fatalną nocą matka Izzy była nadopiekuńcza – nie pozwalała jej chodzić do szkoły z przyjaciółmi, chociaż szkoła była tylko przecnicę dalej, kazała nosić kamizelkę ratunkową na plaży, podczas gdy inne dzieci mogły swobodnie taplać się w wodzie i grzebać w piasku, bez ciężkiej i grubej pomarańczowej kamizelki. Ojciec Izzy uwielbiał ją, kupował jej ładne sukienki i zabierał na lekcje tańca, obiecywał nawet, że kupi jej kucyka na dziesiąte urodziny. Nawet teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło, Izzy nie wyobrażała sobie, by któreś z jej rodziców celowo ją skrzywdziło.

– Po tym – kontynuował Ethan – ojciec Shannon wyczyścił ich konto bankowe i nie pozostawił im niczego. Nie widziały go od tej pory. – Ethan spojrzał w ziemię, po czym popatrzył na Izzy błagalnym wzrokiem. – Proszę, nie mów nikomu o tym, co ci powiedziałem. I tak już zbyt wiele wiesz. Wszyscy wiedzą o rodzicach Shannon, ale zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała, że to ja ci o tym powiedziałem. Po prostu chcę, byś wiedziała, skąd to się u niej wzięło.

Izzy westchnęła.

– Słuchaj – powiedziała. – Jest mi jej żal. Naprawdę. Ale szczerze?

Wiedząc o tym, wszystko wydaje mi się bardziej zagmatwane. Nie rozumiem, dlaczego chce krzywdzić innych, wiedząc, jak to jest cierpieć.

– Myślę, że tak bardzo obawia się zranienia, że stara się, by nikt nie zrobił jej krzywdy. Wierzy w jakąś wielką hierarchię czy coś takiego i uważa, że musi być na szczycie, by być bezpieczna.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak – powiedział Ethan. – Próbowałem z nią rozmawiać, pokazać, by zrozumiała, że nie musi być... – Spojrzał w bok z wyrazem bólu na twarzy. – Czuję się, jakbym był wszystkim, co ma. Jestem jedyną osobą, która wie, dlaczego jest, jaka jest. Jej matka ma wszystko gdzieś, a pozostali tańczą, jak im zagra, bo się jej boją.

O Boże, pomyślała Izzy. *Naprawdę ją kocha.* Skupiła myśli na swoim ojcu, który nie miał pojęcia, że poślubił kobietę, która pewnego dnia oszaleje. Chciała powiedzieć Ethanowi, aby był ostrożny. Zamiast tego wzięła głęboki oddech i zmieniła temat.

– Jak mam ci przekazać dziennik w tajemnicy przed Shannon? Wydawała się bardzo zdenerwowana, gdy stanąłeś w mojej obronie.

– Tak – powiedział. – Robi się bardzo zazdrosna, więc musimy być ostrożni.

Izzy otworzyła usta, żeby powiedzieć, że Shannon ma naprawdę nie po kolei w głowie, ale zmieniła zdanie.

– Po prostu zostaw dziennik w swojej szafce – powiedział Ethan. – Odbiorę go między lekcjami.

– Dobrze. Mój numer szafki to... Czekał – powiedziała, uśmiechając się – już wiesz, jaki to numer.

Ethan uniósł dłonie.



– Przyznaję się do winy, wysoki sędzie.

## *Willard – dzień po przyjęciu*

Wypełnione kurzem snopy promieni słonecznych wpadały przez okratowane od podłogi do sufitu okna, przecinając przyćmione światło w pomieszczeniu o wysokim suficie, ale niewiele to pomagało w odganianiu chłodu. Po jednej stronie pod ścianą stało sześć wanien na lwich nogach, każda z nich miała zasłonę z materiału przyczepioną do metalowych rurek otaczających ją z każdej strony. Podłoga była wyłożona kratkami ściekowymi, a czarna pleśń pokrywała popękane kafelki. Pielęgniarki wyrzaskiwały polecenia, a pacjentki kłóciły się, krzyczały i szarpały, próbując uniknąć zanurzenia w wannach pełnych lodowatej wody.

Clara stała naga przed wanną. Jedną rękę trzymała w poprzek klatki piersiowej, a drugą próbowała zasłonić okolice intymne. Pod stopami czuła zimną jak lód podłogę pokrytą czarno-białymi płytkami. Drżała z zimna, podczas gdy pielęgniarka wsypywała do wody kostki lodu. Siostra Trench i muskularna pacjentka z opadającą powieką stały przy kranach i czekały. W wannie obok blada twarz kobiety wyglądała z usztywnionego otworu w zasłonie. Jej usta były sine. Po drugiej stronie pomieszczenia dwaj sanitariusze wyjęli nieprzytomną kobietę z wody i nieśli ją w kierunku stojącego pod ścianą stołu do badań.

– Wchodź – powiedziała siostra Trench do Clary.

– Ale ja... – zaczęła dziewczyna.

– Rób, co ci każą, pamiętasz? – przypomniała pielęgniarka. – To dla twojego dobra.

– Ale ja... – powiedziała słabym głosem Clara.

Siostra Trench zrobiła krok do przodu i mocno chwyciła ramię Clary

dłonią w olbrzymiej rękawicy. – Jesteśmy tu, żeby ci pomóc – powiedziała mocnym głosem. – To cię zrelaksuje i oczyści twój umysł.

Zanim Clara zdążyła się zorientować, co się dzieje, siostra Trench podniosła ją i włożyła do wanny pod zimną wodę. Klatkę piersiową Clary przeszył wstrząsający ból, gdy powietrze zostało wydarte z jej płuc. Przypadkowo zrobiła wdech, krztusząc się wodą wypełniającą jej usta. Złapała za brzeg wanny i wynurzyła się na powierzchnię, a jej ręce ślizgały się po mokrej porcelanie. Za wszelką cenę starała się utrzymać w pionie, kaszłąc i próbując oddychać. Na moment wszystko stało się czarne i była pewna, że zaraz zemdleje. Wtedy jednooka pacjentka złapała ją za ramię i zaczęła szorować jej twarz i szyję, drapiąc skórę szorstką, wyblakłą tkaniną. Clarze w końcu udało się nabrać pełne płuca powietrza. Pacjentka szorowała ją pod pachami i między nogami, szarpiąc kończynami bardziej, niż to było potrzebne.

Lodowata woda sprawiała wrażenie, jakby tysiąc noży wbijało się w jej skórę. Ze wszystkich sił starała się nie wstać i nie wyjść z wanny. Pozwoliła pacjentce szorować się, przeraźliwie trzęsąc się z zimna i mając nadzieję, że im szybciej tamta skończy, tym szybciej będzie mogła wyjść. Siostra Trench stała przy jednym końcu wanny i obserwowała ją, z masywnymi ramionami skrzyżowanymi na obfitym biuście, a lewą część jej nalanej twarzy wykrzywiał czerwony uśmiezek.

– Proszę – powiedziała Clara, patrząc na nią. – Jestem...

– Cicho! – Siostra Trench pogroziła grubym palcem w powietrzu. – To eleganckie życie w Domu na Long Island tak cię wydelikaciło, nic więcej.

Clara zaciskała mocno powieki, czekając, aż pacjentka skończy czyścić jej włosy ługiem. Kiedy wylewano na jej głowę wiadra lodowatej wody, Clara przyciągnęła kolana do piersi i objęła je rękami. Była bliska omdlenia

i trzęsa się tak, że serce niemal wyskoczyło jej z piersi. Wreszcie brutalne mycie skończyło się i jednooka pacjentka cofnęła się, dysząc z wysiłku.

– Wyjdź – nakazała siostra Trench.

Clara wygramoliła się z wanny, kaszłąc i plując. Jednooka pacjentka szybko wytarła ją szorstkim ręcznikiem.

– Normalnie kazalibyśmy ci zostać tutaj dłużej – zaczęła pielęgniarka – ale masz dziś pierwszą wizytę u doktora Roacha. A teraz rób, co ci każą, a wszystko będzie dobrze.

Jednooka pacjentka wręczyła Clarze jej żółtą sukienkę domową i bieliznę. Dziewczyna nie mogła opanować szczękania zębów, a nogi miała tak słabe, że ledwo mogła na nich ustać. Jakimś sposobem udało jej się włożyć ubranie i zawiązać buty. Siostra Trench kazała iść jej za sobą i pomaszerowała w stronę drzwi. Dziewczyna robiła, co jej kazano, a woda z mokrych włosów kapła jej na twarz i kark. Wytarła czoło swetrem, schowała się za plecami siostry Trench i szła za nią. W korytarzu położyła sobie rękę na brzuchu. Czy jej nienarodzone maleństwo będzie w stanie przetrwać takie traktowanie? Oczy wypełniły się jej łzami, a serce na chwilę zwolniło, jakby obciążone jakąś czarną masą. Jeśli coś złego stałoby się dziecku Brunona, nie wiedziała, czy byłaby w stanie to przetrwać.

Clara szła za pielęgniarką przez szerokie korytarze Chapin Hall, przez podwójne drzwi i dookoła półkolistego korytarza do innego skrzydła. Przeszły obok biura telegraficznego i apteki, po czym dotarły do krótkiego korytarza zakończonego drzwiami. Przed gabinetem doktora Roacha na jednym z trzech krzeseł siedziała ze zwieszoną głową drobna, blada kobieta w czerwonym płaszczu. Trzymała ręce na skórzanej portmonetce leżącej na jej kolanach. Spojrzała w górę i uśmiechnęła się.

– Dzień dobry, sostro Trench – powiedziała. Wyglądała na młodą.

Mogła być w wieku Clary. Miała wysokie kości policzkowe, platynowe włosy i porcelanową skórę. Kiedy się uśmiechała, jej twarz promieniała. Jednak w oczach było widać smutek. Wtedy Clara zauważyła wystający brzuch kobiety. Nie była w stanie wyobrazić sobie, co może tutaj robić ciężarna dziewczyna, czekając na wizytę u doktora Roacha.

– Dzień dobry, pani Roach – odpowiedziała siostra Trench. – Jak długo już pani czeka?

Clara spuściła oczy, starając się ukryć szok. Dlaczego piękna, młoda kobieta wyszła za starszego od siebie o dwadzieścia lat mężczyznę, tym bardziej lekarza pracującego w szpitalu dla obłąkanych?

– Oj, nie wiem – odparła pani Roach – ale nieszczególnie długo.

– Czy on wie, że pani tu jest? – zapytała pielęgniarka, kładąc wielką dłoń na drzwiach gabinetu.

Pani Roach pokiwała głową.

– Zadzwoiłam, zanim tutaj przyszłam, jak zwykle. Powiedział mi, że wyjdzie i porozmawia ze mną, jak będzie miał czas.

– Proszę siedzieć i czekać w gotowości – powiedziała siostra Trench, uśmiechając się. – Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

Pielęgniarka pchnięciem otworzyła drzwi i wprowadziła Clarę do środka. Na środku pokoju stało misternie rzeźbione biurko, a na ścianie za nim wisiał portret starszego, łysego mężczyzny z monoklem w złotych ramach. Dookoła portretu wisiały oprawione w ramki dyplomy uzyskanych tytułów medycznych i czarno-białe zdjęcia mężczyzn w cylindrach i kobiet w długich sukniach z turniurami, pozujących przed Chapin Hall. Na pozostałych ścianach wisiały zdjęcia przedstawiające kolej, fabryki i sady lub stały pod nimi półki apteczne wypełnione tysiącami szklanych butelek.

Przy biurku siedział doktor Roach z fajką w ustach i uśmiechał się do

siostry May, która przysiadła na małym krzeselku ze skrzyżowanymi nogami odzianymi w białe pończochy, a rąbek jej spódnicy był podwinięty aż do połowy uda. Gdy drzwi się otworzyły, skoczyła na równe nogi, a jej policzki oblały się rumieńcem. Doktor Roach spojrzał zaskoczony w górę. Siostra Trench prowadziła Clarę w kierunku biurka.

– Ile razy cię prosiłem, żebyś pukała, zanim wejdiesz do mojego gabinetu? – zapytał doktor Roach.

– Proszę wybaczyć, panie doktorze – powiedziała siostra Trench z płonącymi oczami. – Wydaje mi się, że nie przywykłam do pańskich nowych zasad. Może zapamiętałabym je, gdyby nie zmieniały się co tydzień.

– Proszę zostawić pacjentkę – odparł doktor Roach ściśniętym głosem.  
– Siostrze Trench, może pani odejść. Poproszę siostrę May, aby odprowadziła ją do stołówki, kiedy skończymy.

– Pańska żona czeka na korytarzu, panie doktorze – powiedziała siostra Trench, piorunując wzrokiem siostrę May. – Czy mam ją poprosić?

Doktor Roach wstał.

– Nie – powiedział. – Sam wyjdę i porozmawiam z nią.

– Bardzo dobrze – skomentowała wielka pielęgniarka. Prychnęła i odwróciła się, a następnie wyszła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Siostra May patrzyła na doktora Roacha, a na jej ustach drgał nerwowy uśmiech. Lekarz zmarszczył czoło i skierował się w stronę drzwi na prawo od biurka.

– Proszę zabrać pacjentkę do pokoju zabiegowego – zarządził. – Zaraz wrócę.

Siostra May wzięła kartę z biurka i otworzyła drzwi.

– Tędy, Claro – powiedziała głośniej, niż to było konieczne.

Dziewczyna szła za nią do pokoju zabiegowego, próbując opanować drzenie. Żeliwny kaloryfer zasyczał i brzęknął pod ośmiokątnym oknem, wypełniając gabinet wilgocią i odrobiną ciepła. Clara pragnęła uklęknąć na podłodze i oprzeć się o niego.

– Stań na wadze, Claro – powiedziała siostra May, wciąż mówiąc głośno, jakby pacjentka była ograniczona, miała problem ze słuchem albo nie znała angielskiego.

Siostra May zanotowała w karcie wzrost i wagę Clary, a także zmierzyła jej temperaturę i ciśnienie krwi. W końcu doktor Roach wszedł do gabinetu i zamknął drzwi. Siostra May przyciągnęła mały schodek i postawiła go obok stołu do badań.

– Zdejmij sukienkę, Claro, i usiądź na stole – poleciła.

– Wiem, że mówi pani do mnie – odparła dziewczyna. – Wiem, jak mam na imię.

– Słucham? – zapytała siostra May, a jej pomalowane kredką brwi uniosły się ze zdziwienia.

– Nie musi pani krzyczeć ani powtarzać mojego imienia – powiedziała Clara, rozpinając sukienkę. Zdjęła sweter, a pozostałe ubrania ściągnęła przez głowę i przewiesiła je przez ramię. – Mówię po angielsku i słyszę dobrze. Nie jestem idiotką. – Clara wspięła się na nakryty papierem stół do badań i usiadła.

Siostra May z gniewną miną złapała ubrania Clary i przerzuciła je na krzesło. Patrzyła na doktora Roacha szeroko otwartymi oczami, jakby oczekiwała, że będzie jej bronił. Doktor Roach podszedł do umywalki, wyszorował ręce, ubrał gumowe rękawiczki, a następnie zdjął swój stetoskop z wieszaka i włożył końcówki do uszu. Przyłożył zimną głowicę

do lewej piersi Clary i słuchał ze ściągniętymi brwiami. Zapach gumy i brylantyny wypełnił nozdrza dziewczyny tak, że niemal się zakrztusiła. Teraz, kiedy już powoli wracało do niej ciepło, żołądek zaczął podchodzić jej do gardła i poczuła kwaśną mieszaninę głodu i mdłości.

– Naprawdę nie rozumiem, dlaczego to jest konieczne, doktorze – powiedziała Clara. – Zapewniam pana, że nic mi nie jest.

– To tylko część procedury przyjmowania do szpitala – odparł doktor Roach. Posłał jej protekcyjny uśmiezek i powiedział. – Nie ma się czym martwić.

– Ale nie ma potrzeby, abym była tu przyjmowana – zapewniła Clara. – Czuję się doskonale.

– Uhm... – powiedział, odbierając kartę od siostry May i coś notując.

Pielęgniarka wpatrywała się w niego, niczym pies czekający na nagrodę.

– Co ona powiedziała? – zapytała.

Doktor Roach spojrział na nią gniewnie.

– Porozmawiamy o tym później – powiedział, rzucając jej srogie spojrzenie.

– Proszę – powiedziała Clara. – Proszę mnie posłuchać. Nie ma potrzeby, żebym tutaj została. Po prostu mój ojciec...

– To tylko badanie fizykalne – przerwał jej doktor Roach. – Porozmawiamy o tym, jak przyjdiesz tu na kolejną wizytę. A póki co współpracujemy, dobrze?

– Kiedy? – zapytała Clara.

– Pielęgniarka cię przyprowadzi, jak będzie trzeba – odpowiedział doktor Roach.



Clara westchnęła i zacisnęła zęby z frustracją. Doktor Roach wręczył kartę siostrze May, która chwyciła ją obiema rękami, przez kilka sekund przytrzymując palce na dłoni doktora. W końcu uśmiechnął się do niej z porozumiewawczym błyskiem w oczach. Siostra May rozluźniła ramiona. Doktor Roach sprawdzał Clarze odruchy gumowym młotkiem, a następnie zajrzał jej do uszu. Poprosił, aby zeszła ze stołu i pochyliła się, żeby mógł zbadać krzywiznę kręgosłupa. Zrobiła, jak jej polecono, a doktor przejechał palcami wzdłuż kręgosłupa, po czym pociągnął jej rękę do tyłu i szarpnął za nadgarstki.

– Czy odczuwa pani bóle kręgosłupa lub ramion? – zapytał, opierając się miednicą o jej pośladki.

– Nie – odpowiedziała Clara, krzywiąc się.

Doktor Roach puścił ją i wyprostowała się, rozmasowując nadgarstki. Wciąż stojąc za nią, lekarz położył jej ręce na ramionach i pociągnął je do tyłu. Dotykał kręgów szyjnych i dociskał palce do skóry głowy, sprawdzając kształt czaszki. Dotykał obojczyków i okolic, po czym wypchnął jej ręce do góry i na boki, instruując ją, aby ich nie opuszczała, podczas gdy badał ją pod pachami.

– Sostro May – powiedział – czy dziś też będziesz spać w domu pielęgniarzek?

– Tak, doktorze Roach – odpowiedziała głosem ociekającym słodyczą.

– Co pani sądzi o zakwaterowaniu? Wie pani, ile wysiłku wkładamy tutaj, w Willard, w to, żeby nasi pracownicy czuli się komfortowo?

– Tutaj, w Willard, zakwaterowanie jest najlepsze, z jakim dotąd się spotkałam – odparła siostra May.

Zanim Clara zdołała się zorientować, co się dzieje, ręce doktora Roacha były już na jej piersiach. Ścisnął je raz i drugi, po czym uszczypnął

brodawki i puścił. Stało się to tak szybko, że nie wiadomo było, czy to część badania, czy coś innego. Szybko spuściła ramiona i skrzyżowała je, zasłaniając piersi. Odwróciła twarz w kierunku doktora, a policzki jej płonęły. Doktor Roach ignorował ją, zdejmując rękawiczki. Podeszedł do umywalki i ponownie szorował ręce, namydając i spłukując je dwa razy. Wytarł dłonie w czysty ręcznik, znów założył rękawiczki, po czym wyjął drewnianą szpatułkę ze szklanego słoja stojącego na szafce z lekami.

– Na stół, Claro – polecił.

Dziewczyna weszła na stół do badań, wciąż zasłaniając rękami piersi.

– Więc naprawdę podoba ci się tu u nas, w Willard, siostrze May?

– Och, tak – potwierdziła pielęgniarka, przysuwając się, jakby ona też musiała spojrzeć na gardło Clary. – Bardzo mi się tutaj podoba.

Doktor Roach uśmiechnął się pod nosem i wyciągnął szpatułkę.

– Otwórz usta – powiedział do Clary. – Powiedz „aaa”.

Clara zrobiła, co jej kazał, i doktor Roach docisnął jej język drewnianą szpatułką. Tego już było za wiele. Clara zakrztusiła się i wymiotowała na rękę doktora Roacha i przód jego fartucha. Odskoczył i spojrzał na swoje ubranie, rozkładając ręce i wykrzywiając usta z obrzydzenia. Siostra May z trudem złapała oddech ze zdziwienia i upuściła kartę Clary na podłogę, tak że wylądowała w kałuży wymiocin. Przez chwilę oboje stali nieruchomo i patrzyli na nią szeroko otwartymi oczami.

Wreszcie siostra May oprzytomniała. Otworzyła drzwi z szafką z lekami i wyjęła stos ręczników, po czym przekroczyła kałużę wymiocin i zaczęła ścierać je z fartucha doktora Roacha, który stał nieruchomo z ustami zaciśniętymi tak mocno, że tworzyły cienką linię. Siostra May rozpięła mu fartuch i ostrożnie zdjęła go z jego ramion, uważając, aby nie dotknąć nim ubrań. Potem zdjęła mu rękawiczki, wyrzuciła je i szybko

umyła ręce. Doktor Roach cofnął się, ostrożnie przekraczając kałużę, po czym podszedł do umywalki i szorował ręce twardą szczotką tak mocno, że aż zaczerwieniła mu się skóra. Siostra May złapała Clarę za ramię, mocno wbijając jej paznokcie w skórę.

– Jak mogłaś? – wysyczała. – Chcesz, żeby zamknęli cię w izolatce? Tego chcesz?

– W porządku – powiedział doktor Roach, wycierając ręce. – Nie sądzę, że zrobiła to specjalnie. Po prostu posprzątaj ten bałagan i będzie po wszystkim.

Siostra May skrzywiła się, wyciągając więcej ręczników z szafki.

– Czy mam zawołać siostrę Trench, żeby się tym zajęła? – zapytała.

– Nie – odparł doktor Roach. – Daj Clarze ręcznik, żeby się wytarła, i kończmy już.

– Przepraszam – powiedziała dziewczyna, wycierając rozbryzgane plamy z rąk i nóg. – Nie chciałam. Ja po prostu....

– Źle się czujesz? – zapytał doktor Roach. – Chorowałaś ostatnio?

– Nie – odpowiedziała Clara. Zrobiła wdech i zatrzymała powietrze, wahając się, czy powinna powiedzieć mu prawdę. Może byłaby lepiej traktowana, gdyby wiedzieli, że spodziewa się dziecka? Może by ją wypuścili? Przytułek dla obłąkanych nie był odpowiednim miejscem na urodzenie potomka. Z pewnością doktor zgodziłby się z tym. Przygryzała wewnętrzną stronę policzka, siłą powstrzymując się, żeby znowu nie wymiotować.

– Nie jestem chora. Jestem w ciąży.

Doktor Roach zmarszczył brwi, ściągając je.

– Może jesteś po prostu zdenerwowana albo coś ci zaszkodziło –

stwierdził.

Clara potrząsnęła głową.

– Nie – powiedziała. – Mam narzeczonego i to jest jego dziecko.

Doktor Roach podniósł brodę i pokiwał głową, jakby na znak potwierdzenia.

– Opowiesz mi o tym później – zdecydował. – Jestem tu, żeby ci pomóc, pamiętasz? A teraz dobrze by było, gdybyś poszła do stołówki i zjadła śniadanie.

– Ale jest pan lekarzem – powiedziała Clara. – Może pan przecież stwierdzić, czy jestem w ciąży, czy nie. Z pewnością zgodzi się pan ze mną, że przytułek nie jest odpowiednim miejscem dla ciężarnej kobiety.

– Mamy tu lekarkę, która wykonuje badania ginekologiczne – powiedział doktor Roach. – Ale wydaje mi się, że dziś akurat jej nie ma.

Clarze przeszło przez myśl, żeby zapytać go, dlaczego w takim razie czuł potrzebę, żeby zbadać jej piersi, skoro mają tutaj lekarkę od takich badań, ale wiedziała, że byłaby to tylko strata czasu. Najważniejsze było to, żeby przekonać doktora, że spodziewa się dziecka. Położyła sobie ręce na brzuchu.

– Proszę spojrzeć na mój brzuch – powiedziała. – Jest powiększony.

Doktor Roach wskazał na ubrania Clary leżące na krześle.

– Ubierz się – powiedział. – Jeśli naprawdę jesteś w ciąży, to niedługo się o tym przekonamy, prawda? Siostrze May, proszę zaprowadzić Clarę do stołówki.

Siostra May zmywała właśnie podłogę na kolanach ze skrzywioną miną. Wstała i poczekała, aż Clara się ubierze.

– Czy mam przysłać tutaj siostrę Trench, żeby dokończyła? – zapytała

ponownie.

Doktor Roach potrząsnął głową.

– Nie, ona zajmuje się dziś rano innymi pacjentami. Poproś jednego z sanitariuszy, żeby ci pomógł.

Twarz siostry May poczerwieniała, a jej zuchwa zaczęła drżeć ze złości. Clara, zapinając sweter, myślała, że póki co będzie musiała robić to, co jej każą. Doktor Roach powiedział, że porozmawiają później. Nadal miała więc szansę, żeby go przekonać, pokazać mu, że nie ma żadnej potrzeby umieszczenia jej w zakładzie. Podążyła za siostrą May, która prowadziła ją z gabinetu, przez Chapin Hall, aż do końca pierwszego skrzydła. Sanitariusz otworzył podwójne żelazne drzwi i wpuścił je do środka, a zgrzyty i trzaski metalu odbijały się echem od korytarzy. Siostra May prowadziła Clarę w dół po wąskich schodach do piwnicy, gdzie przeszły krótkim przejściem do stołówki.

Cementowe ściany stołówki były obskurne, pokryte szarymi cętkami, a w górnych rogach i na krawędziach pomieszczenia prześwitywała pokrywająca je wcześniej biała farba. Niebieska podłoga była porysowana i podziurawiona, brakowało okrągłych kawałków, jakby ktoś wydłubał kamień łyżką. Powietrze w środku pachniało zepsutym mlekiem, kapustą i tłuszczem. Kilkadziesiąt pacjentek siedziało i stało przy długich stołach, podczas gdy dyżurni przechadzali się dookoła obszaru wyznaczonego na jadalnię i obserwowali je podczas jedzenia. Siostra Trench i dwie inne pielęgniarki chodziły tam i z powrotem na drugim końcu stołówki, pilnując, aby pacjentki stały w kolejce. Pacjentki nosiły tace, odbierając swoje porcje od pracowników znajdujących się po drugiej stronie długiej lady. Wśród stojących w kolejce były kobieta z lalką oraz ta, która stale chwiała się w przód i w tył na swoim łóżku. Wszędzie, gdzie Clara popatrzyła, widziała

puste spojrzenia, opuchnięte oczy i skrzywione twarze.

– Czas na pójsie do Słonecznego Pokoju! – krzyczał jeden z sanitariuszy do pacjentów siedzących przy stołach. – Posprzątajcie po sobie!

Pacjenci stali i odbierali swoje dania, ale kilku wciąż siedziało, przeżuując śniadanie w otumanieniu. Sanitariuszki spychali nieposłuszne kobiety ze stołków, wyrywając im sztucce z dłoni. Jedna z pacjentek próbowała wspiąć się na stół, stając bosymi stopami na talerzu. Sanitariusz dosięgnął ją i złapał za rękę. Przeklinał, gdy ściągał ją w dół. W końcu sanitariuszom udało się sprawić, że wszyscy pozbiali swoje zastawy i wyszli z pomieszczenia. Czterech pracowników stołówki zbierało pozostałe sztucce i talerze, podczas gdy kobiety z oddziału Clary szły do stolików, powłócząc nogami i niosąc tace. Siostra May prowadziła Clare przez pokój w stronę siostry Trench.

– Ta pacjentka zrobiła bałagan w pokoju zabiegowym doktora Roacha – powiedziała do pielęgniarki. – Doktor mówił, żebyś po śniadaniu wzięła do pomocy jakiegoś sanitariusza i posprzątała.

– Nie mam na to czasu – odpowiedziała Trench, marszcząc brwi. – To ty jesteś tam siostrą przełożoną. Ty masz dbać o jego gabinet.

– Ja tylko wykonuję polecenia – powiedziała May z wysoko uniesioną głową. – Powiedział, żebym cię do niego przysłała. – Odwróciła się na pięcie, żeby odejść, ale nagle zmieniła zdanie.

– Jeszcze jedno. – Wskazała palcem na Clare. – Ona twierdzi, że jest w ciąży. – To ostatnie zdanie powiedziała głośno, jakby ogłaszała komunikat.

Siostra Trench otworzyła oczy ze zdziwienia. Opuściła skrzyżowane ramiona i zrobiła krok naprzód w kierunku Clary, ale było już za późno.

Sześć pacjentek upuściło swoje tace i pospieszyło w jej kierunku, jedna złapała Clarę za brzuch, inna dotykała jej włosów, a trzecia zaczęła zawodzić i szarpać ją za twarz. Clara skuliła się i schowała głowę w ramionach, żeby się osłonić. Brudne paluchy dotykały jej ust i drapały ją po policzku. Siostra Trench i sanitariusze odciągali kobiety na bok, wrzeszcząc na nie, żeby odsunęły się od Clary. Siostra May zrobiła krok do tyłu i obserwowała sytuację z uśmiechem satysfakcji na ustach.

– Zostawcie ją w spokoju! – krzyczała na pacjentki siostra Trench. – Pozbierajcie swoje tace i wracajcie do stołu! Natychmiast albo będziecie zamknięte w izolatce! – Większość kobiet posłuchała poleceń. Jedna z nich upadła na podłogę, wyjąc i chowając głowę w dłoniach. Dwóch sanitariuszy szarpnięciem postawiło ją na nogi i wywlekło ze stołówki. Siostra Trench spojrzała na siostrę May z ogniem w oczach.

– Doniosę na ciebie za to, co zrobiłaś – powiedziała.

Siostra May wzruszyła ramionami.

– Jeszcze jedno – powiedziała. – Tak się zastanawiam, czy doktor Roach zdaje sobie sprawę, jak niewielką kontrolę masz nad swoimi pacjentami?

– Pracuję z doktorem Roachem od ponad piętnastu lat – powiedziała przez zaciśnięte zęby Trench. – Będę jeszcze z nim pracować długo po tym, jak ty odejdiesz.

Siostra May przewróciła oczami i wyszła ze stołówki. Siostra Trench wzięła Clarę za rękę i zaprowadziła ją do lady, żeby mogła dostać śniadanie.

– Pomijając, czy to, co ona powiedziała, jest prawdą, czy po prostu zmyślasz – powiedziała pod nosem – lepiej o tym nie mów. To, że wszystkim powiesz, ani trochę ci nie pomoże. Lekarze nie będą się

przejmować, a inne pacjentki cię rozszarpią.

Zostawiła Clarę w kolejce i odeszła. Kolejna grupa kobiet zaczęła pojawiać się w drzwiach na drugim końcu pomieszczenia. Clara wzięła tacę przy ladzie i próbowała złapać oddech, podczas gdy serce tłukło się jej w piersi. Na tacy znajdował się masywny, mlecznobiały kubek wypełniony czymś, co wyglądało jak słaba herbata, a także talerzyk z czterema suszonymi śliwkami i twardy kawałek chleba. Odebrała tacę, zaniosiła ją do stolika i znalazła wolne miejsce. Jak tylko usiadła, kobieta siedząca obok porwała chleb z jej talerza. Clara zasłoniła sobą jedzenie i drżącymi rękami sięgnęła po herbatę. Nie miała apetytu, ale wiedziała, że musi jeść i pić dla dziecka. Wzięła łyk herbaty. Była ledwie ciepła i smakowała jak mocz. Przełknęła ją jednak jakoś. Śliwki były suche i twarde i gdy włożyła je do ust, o mało się nimi nie zakrztusiła.

Sanitariusze chodzili tam i z powrotem po stołówce, mówiąc kobietom, żeby pośpieszyły się, aby zrobić miejsce dla kolejnej grupy. Na drugim końcu stołu kobieta z lalką wstała i zaczęła krzyczeć, szarpiąc inną pacjentkę za włosy i ręce. Kolejna pacjentka biła kobietę po rękach, próbując ją odepchnąć. Sanitariusze pobiegli, aby opanować bójkę.

– Moja mała córeczka umiera z głodu! – skrzeczała kobieta, trzymając w zaciśniętych palcach kawałek chleba na tacy innej kobiety. – Słyszysz, jak płacze? Ona potrzebuje jedzenia!

Sanitariusz złapał krzyczącą kobietę pod ręce i odciągnął ją od stołu. Inny uderzył ją w twarz, wyrwał jej lalkę i rzucił nią przez całe pomieszczenie. Kobieta zawyła i pobiegła za nią, z twarzą wykrzywioną cierpieniem. Upadła na kolana i podniosła lalkę, kołysząc ją na rękach i płacząc. Sanitariusze postawili ją na nogi i zaprowadzili z powrotem do stołu, ich twarze nie zdradzały żadnych emocji. Kobieta usiadła i zaczęła



śpiewać kołysankę, pochylając się rytmicznie w przód i w tył, a posklejane włosy opadały jej na twarz. Wszyscy powrócili do przerwanej jedzenia.

Clara patrzyła na ostatnią pomarszczoną śliwkę na swoim talerzu i zaczęła odczuwać narastające mdłości. Zastanawiała się, czy nie dać jej kobiecie z lalką, ale włożyła ją do ust, starając się nie wymiotować, i przeżuwając, połknęła.

Poniedziałkowego popołudnia dziennik Clary wciąż leżał na górnej półce szafki Izzy, spoczywając na podręcznikach do matematyki i angielskiego. Niestety, nie dostarczył on jej żadnych odpowiedzi. Przeciwnie, sprawił, że była jeszcze bardziej zdezorientowana. Przeniesienie się na krótko do życia w latach dwudziestych było fascynujące, a słowa pisane przez Clary czytało się jak pamiętnik zwykłej, młodej kobiety zmagającej się ze zmieszaniem i frustracją, jakie zwykle towarzyszą osobom u progu dorosłości. Nie było tam jednak niczego, co wskazywałoby na to, że Clara oszalała. Absolutnie niczego. Z wyjątkiem zbyt surowego wychowania, a także żalu z powodu utraty brata, wydawało się, że przyszłość Clary z pewnością będzie pomyślna. Do momentu gdy poznała Brunona. To właśnie wtedy wszystko się zmieniło.

Czy strach Clary przed tym, że nie będzie jej wolno być z mężczyzną, którego kochała, mógł w końcu przekształcić się w jakąś chorobę psychiczną? Czy surowe wychowanie mogło sprawić, że stała się nerwowa, popadła w paranoję i cierpiała na urojenia? Nie, to nie brzmiało wiarygodnie. Dziennik Clary czytało się jak wypowiedź młodej kobiety pewnie stąpającej po ziemi. Izzy wiedziała, że w tamtych czasach lekarze nie rozumieli w pełni ani depresji, ani kobiet, u których występowały jej objawy, ale jednocześnie ledwo mogła zrozumieć, dlaczego ojciec Clary odesłał własną córkę jedynie dlatego, że zakochała się w mężczyźnie, którego on uważał za wywodzącego się z niższej klasy społecznej. Jeszcze bardziej niewiarygodne było to, że matka Clary zgadzała się z decyzją męża! Trudno było sobie wyobrazić całą tę sytuację. Historia Clary dręczyła Izzy. Teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek pragnęła dowiedzieć się, co się z nią stało po tym, jak została odesłana do Willard.

W trakcie krótkiej przerwy między ósmą a dziewiątą lekcją Izzy stała

obok swojej szafki, przygryzając wargę i zastanawiając się, dlaczego Ethan jeszcze nie odebrał dziennika. Był tego dnia w szkole – widziała go, jak spacerował z Shannon po korytarzach. Kiedy Izzy przechodziła obok, zignorował ją, jakby była niewidzialna, śmiejąc się i rozmawiając ze swoimi kolegami. Jedyne, co mogła zrobić, to powstrzymać się, żeby do niego nie podejść i nie zapytać, czy uważa ją za idiotkę. Wiedziała, kiedy inni próbowali ją nabierać. Wyszarpnęła książkę do psychologii spod torby gimnastycznej i zatrzasnęła drzwi szafki. Co on, do cholery, planował? Miał przecież mnóstwo czasu na to, żeby odebrać dziennik.

Zadzwonił dzwonek i ruszyła szybko korytarzem, czując ucisk w piersi i myśląc o tym, że to prawdopodobnie ona będzie musiała zwrócić dziennik do muzeum. Zastanawiała się, co by zrobiła Peg, gdyby ją z nim nakryła. Nagle, w połowie drogi do klasy, zdała sobie sprawę, że zostawiła wypracowanie *Jak zrozumieć umysł przestępcy* w innym zeszyt. Odwróciła się i ruszyła biegiem korytarzami, przeklinając pod nosem, gdyż wiedziała, że się spóźni. Gdy dobiegła do szafki, Ethan już tam był, próbując sięgnąć po dziennik. Podskoczył, gdy ją zauważył.

– Nareszcie! – powiedziała. – Już zaczynałam się zastanawiać, czy wtedy pieprzyłeś głupoty.

– Przepraszam – powiedział zaczerwieniony, próbując złapać oddech. – Shannon bardzo dziwnie się dziś zachowywała. Chciała, żebym odprowadzał ją na wszystkie zajęcia, nawet jeśli przez to miałbym spóźnić się na swoje.

– A czy przypadkiem nie macie teraz razem psychologii?

– Taa – powiedział. Zmierzył wzrokiem cały korytarz. – Powiedziałem jej, żeby zajęła mi miejsce, bo idę do ubikacji.

– Dlaczego zachowujesz się tak dziwnie?

– Myślę, że ona wie, że coś jest na rzeczy.

– Co masz na myśli?

– Ona wie, że pracuję z tobą w muzeum – powiedział Ethan. – Nie jest z tego powodu zadowolona.

Izzy przewróciła oczami.

– I co z tego? Przecież to nie znaczy, że coś jest na rzeczy!

– Nie znasz Shannon.

Izzy parsknęła.

– Oj, wydaje mi się, że jednak ją znam. Jak się dowiedziała, że pracujemy razem?

W tym momencie Ethan zerknął za plecy Izzy. Twarz mu stężała, a Izzy odwróciła się, by zobaczyć, o co chodzi. Shannon stała z założonymi rękami na końcu korytarza, obserwując ich.

– Cholera! – wyszeptał Ethan. Wepchnął dziennik do rąk Izzy i pospieszył w kierunku Shannon. – Cześć, kochanie – powiedział, starając się, aby brzmiało to naturalnie. – Zamek w szafce Izzy się zaciął i poprosiła mnie, żebym jej pomógł otworzyć.

Shannon wpatrywała się w niego aż do chwili, gdy znalazł się przy niej, a następnie posłała Izzy gniewne spojrzenie. Dziewczyna odłożyła dziennik na miejsce, zamknęła szafkę i ruszyła w ich kierunku, przyciskając podręcznik do piersi niczym tarczę. Shannon ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na Izzy, aż do chwili gdy Ethan wziął ją za rękę i poprowadził w stronę sali, gdzie miały się odbyć zajęcia z psychologii. Izzy szła za nimi, mając nadzieję, że nie będzie musiała siedzieć obok nich. Shannon co chwilę zerkała do tyłu, szepcząc coś swojemu chłopakowi na ucho i śmiejąc się. Głośno i z rozmysłem trajkotała, jakby mówiła o jakimś ich prywatnym

zarcie. Kiedy Shannon i Ethan znaleźli się przed salą, w której trwały zajęcia z psychologii, zatrzymali się przed drzwiami. Shannon zarzuciła Ethanowi ramiona na szyję i pocałowała go otwartymi ustami. Chłopak odwzajemnił jej pocałunek, po czym odsunął się od niej.

– No chodź już – powiedział. – Przecież jesteśmy spóźnieni.

Shannon spojrzała na Izzy i z odrazą wydeła usta.

– Kto by się tym przejmował – powiedziała. – Powiemy, że to przez Izzy Pop.

Ethan otworzył drzwi i wciągnął Shannon do sali. Dziewczyna szła za nimi, walcząc z pokusą, żeby nie powiedzieć Shannon, dlaczego tak naprawdę Ethan znalazł się obok jej szafki. Na przodzie sali pan Defoe gryzmolił coś kredą po tablicy, wypłowiałe dzinsy miał wpuszczone do markowych butów górskich, a na jego niebieskiej koszuli pod pachami pojawiały się mokre półkola potu. Nosił buty górskie niezależnie od pory roku. Krążyły plotki, że żył w mieszkaniu nad dworcem kolejowym i większość pieniędzy przeznaczal na cele dobroczynne. Spojrzał badawczo spod grubych szkieł okularów na Ethana, Shannon i Izzy.

– Miło, że do nas dołączyliście – powiedział. – Pośpieszcie się i zajmijcie miejsca.

Na szczęście dla Izzy z tyłu sali było wolne miejsce. Szybko podeszła, aby je zająć, podczas gdy Ethan i Shannon usiedli na wolnych miejscach z przodu.

Pan Defoe skończył pisać na tablicy, usiadł przy biurku i poprosił uczniów, aby podali mu swoje wypracowania. Kiedy zebrał już wszystkie, wstał, aby wygłosić wykład.

– Dzisiaj porozmawiamy o tym, co sprawia, że pozornie normalny człowiek nagle popełnia potworną zbrodnię – powiedział. – Jak na przykład

zamordowanie współmałżonka albo przyniesienie do szkoły pistoletu, by zastrzelić kolegów z klasy. – Zaczął chodzić tam i z powrotem, powłócząc nogami w górskich butach. – Co jakiś czas w wiadomościach pojawiają się wstrząsające historie o tym, jak przeciętni, zwyczajni ludzie bez żadnego ostrzeżenia robią odrażające rzeczy. Popełniają zbrodnie, które szokują wszystkich, nawet tych, którzy doskonale ich znali. Wszyscy są wstrząśnięci, nie wiedzą, co powiedzieć, i próbują zrozumieć to, co się stało. Kiedy większość z tych ludzi dowiaduje się o przestępstwie, ich pierwszą myślą jest, że to niemożliwe, aby osoba, którą znali, była sprawcą...

Izzy osunęła się na swoim krześle, starając się nie dopuszczać do siebie słów pana Defoe. Wzięła długopis i narysowała w zeszycie kwadrat, a następnie obrysowywała go dookoła, przyciskając coraz mocniej, tak że końcówka długopisu przebiła się przez okładkę.

– Zatem pytanie jest takie – powiedział pan Defoe – czy działania tych ludzi wynikają tylko z charakteru, czy też tendencja do ujawnienia się ich mrocznej strony osobowości cały czas była obecna? Co pani o tym sądzi, panno Stone?

Izzy podniosła wzrok. Kilkoro uczniów odwróciło się na swoich miejscach, aby na nią popatrzeć z uniesionymi brwiami.

– Yyy... – powiedziała. – Przepraszam, mógłby pan powtórzyć pytanie? Wszyscy zaczęli się śmiać.

– Byłbym wdzięczny, gdyby przestała pani bazgrać i zaczęła słuchać bardziej uważnie, panno Stone – odparł nauczyciel.

Shannon podniosła rękę i pan Defoe wskazał na nią.

– Tak, panno Mackenzie?

– Mam pomysł – odpowiedziała Shannon. – Może powinniśmy zaprosić

tutaj matkę Izzy, żeby wyjaśniła nam, co się dzieje w umyśle przestępcy?

Izzy poczuła, jak krew napływa jej do policzków. Nikt nigdy nie dowiedział się o jej matce tak szybko. Rzuciła Shannon wściekłe spojrzenie.

– Co masz na myśli? – spytała Nicole z udawanym zmartwieniem w głosie, a na jej pokrytych błyszczącym ustach pojawił się złośliwy uśmiezek. – Co zrobiła matka Izzy?

– Och, tak mi przykro – odparła Shannon, udając zdziwienie. – Myślałam, że każdy wie... – Zmarszczyła brwi i spojrzała na Izzy z dezaprobatą. – Matka Izzy zastrzeliła jej ojca, kiedy spał. Odsiaduje teraz dożywocie w Bedford.

Salę wypełnił dźwięk wciąganego powietrza. Morze głów odwróciło się w kierunku dziewczyny. Wszyscy patrzyli na nią oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Dziewczyny zasłaniały otwarte usta dłońmi, a chłopacy przybijali sobie piątki, śmiejąc się. Nagle wszyscy zaczęli rozmawiać.

– Czy jest w celi śmierci? – zapytał jeden z chłopaków.

– Może przyprowadzisz ją tutaj na lekcję pokazową? – zaproponował Luke, parskając.

– Czy pomarańczowy to jej ulubiony kolor? – zapytała Nicole.

Pan Defoe zrobił krok naprzód.

– W porządku, uspokójcie się – powiedział, unosząc dłonie do góry. – Proszę wszystkich o ciszę!

Nikt jednak nie słuchał. Dziewczyna siedząca obok Izzy wstała i przesiadła się na inne miejsce. Luke stał na krześle z wyciągniętymi dłońmi ułożonymi w kształt pistoletu, a jego palce wskazujące tworzyły lufę.

– Pif! Paf! – Udawał odgłosy strzałów, kierując wyimaginowaną broń w stronę Izzy. Strzelał do swoich przyjaciół, a kilkoro z nich spadło z krzeseł na podłogę, jęcząc i udając martwych.

Izzy wstała na miękkich nogach, pozbierała swoje książki i ruszyła w kierunku drzwi. Ethan wstał i zatrzymał ją, kładąc jej rękę na ramieniu.

– Zaczekaj – powiedział do niej, a potem krzyknął: – Zamknijcie się wszyscy! Może byście tak wreszcie dorośli i przestali być takimi dupkami?!

– Uczniowie przerwali rozmowy i popatrzyli na niego szeroko otwartymi oczami.

– Ethan, o co chodzi, do cholery? – zapytał Luke. – Lecisz na Izzy Pop?

– Taa, Ethan – powiedział piegowaty, rudowłosy chłopak. – Czy twoja dziewczyna wie o tym, że lecisz na inną? – Jego głos był wysoki, niemal kobiecy, co jaskrawo kontrastowało z jego masywną posturą. Nie był gruby, raczej szeroki i muskularny, jak byk albo ciężarówka. Z tego, co Izzy pamiętała, miał na imię Josh.

Shannon wstała i gwałtownym ruchem strąciła rękę Ethana z ramienia Izzy.

– Co ty robisz? – wysyczała, a jej twarz wykrzywił gniew.

Podczas gdy wszyscy czekali na to, co zrobi Shannon, sala ucichła.

– Wszyscy na miejsca! – zarządził pan Defoe, przejmując kontrolę nad sytuacją. – Jeśli ktokolwiek powie jeszcze choć słowo, to wszyscy zostajecie po lekcjach!

Shannon odciągnęła Ethana od Izzy i usiadła z nadąsaną miną. Izzy popatrzyła na nią gniewnie płonącymi oczami, a potem skierowała się do wyjścia.

– Proszę wrócić na swoje miejsce, panno Stone – powiedział pan Defoe.



– Niech pani nie pozwala, żeby ta banda znudzonych młodocianych przestępców wyprowadziła panią z równowagi. – Izzy zatrzymała się naprzeciwko drzwi, a serce tłukło się jej w piersi. Mrugając, chciała powstrzymać łzy napływające jej do oczu. Nie była pewna, czy powinna zostać, czy wyjść, gdyż nie wiedziała, w jakie kłopoty wpadłaby po wyjściu z sali. Wtedy pan Defoe powiedział:

– Panna Mackenzie będzie przez tydzień zostawała po lekcjach.

– Co? – wyjęczała Shannon. – Co ja takiego zrobiłam?

– Co ja zrobiłam? – zapytał kpiącym tonem głos z tyłu sali. – To, co zwykle. Troszkę się zabawiłam cudzym kosztem. – Izzy odwróciła się, żeby zobaczyć, kto to powiedział. To była Alex. Opierała się o parapet okienny i krzywiąc się, mówiła sarkastycznym tonem. – Każdy wie, że moja mama jest alkoholiczką, a mój tata odszedł. Więc mogę się wywinąć, od czego tylko chcę, bo jestem biedną, zagubioną dziewczynką.

– Zamknij się! – krzyknęła Shannon. Wyskoczyła ze swojego miejsca i rzuciła się w kierunku Alex. Ethan zatrzymał ją.

– Panno Mackenzie! – wykrzyknął pan Defoe. – Czy chce pani być zawieszona?

– Ona kłamie! – wykrzyknęła Shannon, próbując uwolnić się z uścisku Ethana.

Niektórzy uczniowie spoglądali po sobie, potrząsając głowami i przewracając oczami. Inni z kolei spuścili oczy, jak gdyby byli zakłopotani, widząc, jak Shannon traci opanowanie.

– Uspokój się! – powiedział Ethan do Shannon.

– Jesteś dziwką! – krzyknęła Shannon do Alex. – Tak jak twoja matka!

– Dość tego – powiedział nauczyciel. – Ethan i Shannon, idziecie do

dyrektora! Natychmiast stąd wyjdźcie!

Ethan złapał Shannon za nadgarstek i wyciągnął ją z sali. Dziewczyna przez cały czas wykrzykiwała przekleństwa. Wśród uczniów rozgorzały pełne wzburzenia dyskusje. Izzy stała przy drzwiach wejściowych z książkami przyciśniętymi do piersi, czując w gardle palącą kulę. Nie mogła się zdecydować, czy powinna wrócić na swoje miejsce, czy poprosić o to, żeby mogła iść do toalety, i tam się pozbierać. Pan Defoe starał się odzyskać kontrolę nad klasą. Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Izzy otarła łzy i wróciła na swoje miejsce. W końcu wszyscy się uspokoili i pan Defoe dokończył wykład. Izzy nie słyszała ani jednego słowa.

Po tym wszystkim Izzy szybko poszła do swojej szafki, wsunęła pracę domową i dziennik Clary do plecaka, po czym poszła do damskiej toalety. Nie mogła się doczekać, kiedy ten dzień się wreszcie skończy. Dziś wieczorem, w domu, powie Peg, że ma ten dziennik. Miała nadzieję, że opiekunka jej wybaczy i nie odeśle do innej rodziny zastępczej. Izzy pchnęła z impetem drzwi łazienki i skręciła w stronę rzędu kabin, po czym stanęła jak wryta. Shannon opierała się o kaloryfer, jej twarz była czerwona, a oczy spuchnięte. Crystal i Nicole stały po jej bokach, trzymając chusteczki i rozmasowując jej ramiona.

– Wynoś się stąd! – wrzasnęła.

Izzy skierowała się do wyjścia, ale nagle zmieniła zdanie. Odwróciła się, żeby stawić jej czoło.

– Słuchaj – powiedziała, stając blisko wyjścia. – Nie wiem, czemu tak bardzo mnie nienawidzisz, ale rozumiem, przez co przechodzisz. Ciężko jest mieć porąbanych rodziców.

Shannon pociągnęła nosem i wyprostowała się.

– Słuchaj, ty, morderczyni. – Uśmiechała się szyderczo, rzucając w Izzy

zużyta chusteczką. – Nic o mnie nie wiesz i nigdy się nie dowiesz.

Izzy przygryzała policzek od środka, walcząc z pokusą, żeby nie wykrzyknąć czegoś Shannon prosto w twarz. Najbardziej chciała powiedzieć jej, żeby dorosła i przestała wyładowywać swój gniew na wszystkich dookoła. Ale obawiała się, że jak zacznie krzyczeć, to nigdy nie przestanie. Poza tym nie doprowadziłoby to do niczego dobrego. Ona i Shannon mogłyby dojść do porozumienia. A przynajmniej mogłyby być dla siebie uprzejme aż do zakończenia szkoły. Warto było spróbować. Jak zawsze powtarzała jej babcia – muchy chętniej przylatują do miodu niż do octu.

– Cóż – powiedziała. – Może mogłybyśmy czasem pogadać? Kiedy po raz pierwszy tu trafiłam, wydawało mi się, że chciałaś się zaprzyjaźnić. Możemy jeszcze zacząć od nowa?

– Jedyna rzecz, jaką możesz zacząć od nowa, to praca. Nie chcę, żebyś dłużej pracowała z moim chłopakiem.

Izzy wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

– Przykro mi, ale tak się nie stanie.

Shannon ruszyła w jej kierunku. Crystal i Nicole podążyły za nią z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Jeśli wiesz, co jest dla ciebie dobre, to zrobisz wszystko, żeby tak się stało – powiedziała Shannon.

Zanim Izzy zdołała odpowiedzieć, dziewczyny złapały ją i przycisnęły do ściany.

Izzy szarpała się, próbując uciec i wykręcając ramiona w różne strony. Shannon stanęła za nimi, blokując jakąkolwiek szansę ucieczki. Dziewczyny trzymały ją za ramiona, a Shannon położyła palec na ustach, udając zamyślenie.

– Hmm – powiedziała. – Co powinnam zrobić, żeby dać ci nauczkę?

W tym momencie ktoś kopnięciem otworzył drzwi jednej z kabin, a głośny, metaliczny dźwięk rozległ się jak grzmot w pomieszczeniu z wysokim sufitem.

– Zostawcie ją! – krzyknął kobiecy głos.

Dziewczyny puściły Izzy, która potykając się, zrobiła krok do przodu. Alex stała obok umywalk, ciężko oddychała, a jej twarz była cała czerwona.

– Serio?! – Alex krzyknęła na Shannon. – Napadacie na nową? Nie uważacie, że czas dorosnąć?

– Przeginasz dzisiaj – odparła Shannon. Mocno popchnęła koleżankę, aż ta straciła równowagę. Alex usiłowała wrócić do pionu, łapiąc za krawędź umywalki, zanim upadła. Shannon ruszyła w jej kierunku, a Izzy stanęła między nimi.

– Zostaw ją – powiedziała.

Shannon zbliżyła twarz do twarzy Izzy.

– Co mi zrobisz? – warknęła. – Zabierzesz mamusi pistolet i mnie zastrzelisz?

– Nie – odparła Izzy. – Po prostu odbiję ci chłopaka. Wydawał się bardzo zainteresowany, kiedy przyszedł do mnie do domu ostatniego wieczoru.

Oczy Shannon rozszerzyły się, a jej twarz zrobiła się purpurowa. Wrzasnęła i gwałtownie rzuciła się w kierunku Izzy, a jej pomalowane szpony sięgnęły w stronę jej szyi. Alex odciągnęła ją na bok i obie ruszyły w kierunku wyjścia z łazienki, potem biegły korytarzami, aż znalazły się na zewnątrz, kierując się w stronę przystanku autobusowego.

– Dzięki – powiedziała Izzy, usiłując złapać oddech.

– Nie ma sprawy – odparła Alex. – Mówiłam ci, żeby na nią uważać. – Odwróciła się i spojrzała za siebie. – O cholera!

Izzy spojrzała przez ramię. Shannon, Crystal i Nicole pędziły za nimi chodnikiem.

– Chodź – powiedziała, ciągnąc ją w kierunku parkingu. Lawirowały między trzema rzędami samochodów, omijając otwarte drzwi i innych uczniów. W końcu dotarły do samochodu Alex. Dziewczyna otworzyła drzwi i wgramoliła się do środka. Włożyła kluczyk do stacyjki i zapaliła silnik. – Zapnij pasy.

– Ale ja muszę złapać autobus do domu – powiedziała Izzy. – Nie wolno mi jeździć z nikim, kogo Peg i Harry nie znają, pamiętasz?

– Wsiadaj – ponagliła ją Alex, chwytając za dźwignię zmiany biegów. Wskazała ruchem głowy na linię autobusów. – Zobaczymy, czy dasz radę dobiec do autobusów przed nimi.

Izzy wyjrzała przez przednią szybę. Autobusy stały po przeciwnej stronie parkingu, oddzielone chodnikiem i szerokim pasem trawy. Shannon i jej przyjaciółki przeciskały się między dwoma samochodami, trzy miejsca parkingowe dalej.

– Obiecuj, że wpadniesz kiedyś, żebyśmy się lepiej poznały, dobrze? – zwróciła się Izzy do Alex.

– Jasne – odparła, wrzucając bieg. Ruszyła z miejsca, skręciła w lewo i z piskiem opon wyjechała z parkingu, a pawie pióra przyłączone do wstecznego lusterka kołysały się w przód i w tył. Kiedy odjechały, Izzy odwróciła się i zobaczyła Shannon, Crystal i Nicole stojące na chodniku z czerwonymi twarzami i rozwianymi włosami. Shannon trzymała środkowy palec w powietrzu.

Alex spojrzała we wsteczne lusterko.

– O szlag! – powiedziała. – Już na zawsze będziemy na jej czarnej liście!

– A ty dlaczego w ogóle znalazłaś się na jej czarnej liście? – zapytała Izzy.

Alex sięgnęła do torebki i wyjęła z niej paczkę papierosów, proponując jej jednego.

– Nie, dzięki – odparła Izzy.

Alex zębami wyjęła papierosa z paczki i zaczęła grzebać w torebce, szukając zapalniczki.

– Byłyśmy kiedyś najlepszymi przyjaciółkami – powiedziała z papierosem w zębach. Zapaliła go, wrzuciła zapalniczkę do torebki i zaciągnęła się głęboko. Otworzyła okno i wypuściła dym na zewnątrz. – Aż do chwili, gdy moja matka powiedziała jej matce, co jej ojciec jej robił.

– Myślałam, że jej matka wiedziała, że on ją bije.

Alex spojrzała na Izzy i zmarszczyła brwi.

– Skąd wiesz, że ojciec ją bił?

– Ethan mi powiedział.

– Naprawdę przyszedł do ciebie do domu?

– Pewnie.

Alex zagwizdała.

– Myślałam, że powiedziałaś to tylko po to, żeby wkurzyć Shannon. Jak to się stało? W sensie co on tam robił?

– Pracujemy razem w muzeum – powiedziała Izzy. – Chciał mnie przeprosić za to, że zrobił mi kawał. Chce się ze mną przyjaźnić.

– Wow – odpowiedziała Alex. – No to na pewno jesteś już na

pierwszym miejscu czarnej listy Shannon! – Zaśmiała się i zaciągnęła papierosem jeszcze raz. – Ale przynajmniej teraz nie będzie już skupiać uwagi tylko na mnie.

– Czemu ona tak cię nienawidzi?

Alex zatrzymała się na światłach i popatrzyła na Izzy tak, jakby mogła ocenić jej lojalność po kolorze oczu.

– Jeśli ci powiem – odrzekła – to nie możesz tego zdradzić nikomu. Nigdy.

– Okej – odpowiedziała Izzy.

– Nie chodzi o to, że staram się jakoś chronić Shannon czy być lojalna wobec niej. Zachowuje się wobec mnie tak podle, że nie jestem jej nic winna. Chcę po prostu jakoś przetrwać ten rok, w miarę możliwości bez dramatów, i wyrwać się z tego miasta po skończeniu szkoły. Wyjeżdżam i nie mam zamiaru oglądać się za siebie.

– Nie powiem nikomu – obiecała Izzy.

Światła się zmieniły i Alex przejechała przez skrzyżowanie, kolejny raz zaciągając się papierosem. Izzy czekała i wstrzymywała oddech.

– Nie będę mówić o tym, że ojciec Shannon ją bił – zaczęła opowiadać bezbarwnym głosem Alex. – Tutaj chodzi o coś gorszego.

Izzy wzdrygnęła się. Po chwili w jej głowie pojawiło się kolejne pytanie. Przełknęła ślinę i zapytała:

– Co on jej zrobił?

Alex zgasiła papierosa w popielniczce i zamknęła okno.

– Jak ci już mówiłam – kontynuowała dziewczyna – Shannon i ja byłyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Zawsze chciała zostawać u mnie w domu na noc w weekendy, ale nigdy nie chciała, żebym to ja nocowała

u niej. Nie zastanawiałam się nad tym i właściwie to nawet czułam jakąś ulgę, bo jej ojciec zawsze przyprawiał mnie o gęsią skórkę. Czułam się tak, jakby zawsze mnie obserwował. Pewnego dnia, gdy obie miałyśmy około dwunastu lat, znalazłam ją płaczącą w domku na drzewie i od razu wiedziałam, że stało się coś złego. Powiedziała mi, że ojciec przychodzi do jej łóżka w nocy, no i... wiesz...

Izzy poczuła, jak coś obrzydliwego skręca się jej w jelitach, a ściśnięte złością szczęki rozluźniają się i pojawia się w nich coś pustego i zimnego.

– O Boże! – powiedziała. Płomienny gniew, który gromadził się w jej głowie niczym gorące powietrze w balonie, ulotnił się błyskawicznie.

– Shannon kazała mi przysiąc, że nikomu o tym nie powiem – powiedziała Alex. – Nigdy. Przez kilka dni nie wiedziałam, co robić. Nie przychodziłam do jej domu ani nie gadałam z nią w szkole, nic a nic. Byłam w szoku i nie mogłam ogarnąć tego rozumem, wiesz? W końcu stwierdziłam, że nie mogę utrzymać tego w tajemnicy. Musiałam pomóc Shannon. Ona była moją najlepszą przyjaciółką. Więc powiedziałam o tym mojej matce, a moja matka powiedziała matce Shannon. Tylko że matka Shannon już o tym wiedziała.

Izzy wzdrygnęła się i przewróciło się jej w żołądku.

– Matka Shannon o tym wiedziała i nic z tym nie zrobiła? I przyznała się do tego?

– Tak i nie. Po konfrontacji z moją matką matka Shannon powiedziała w końcu coś jej ojcu. Zrobiła się straszna awantura i doszło do rękoczynów, jak zawsze. Ale tym razem Shannon próbowała obronić matkę przed ojcem i wylądowała w szpitalu. Kiedy przyszłam ją odwiedzić, była wściekła. Powiedziała, że stanęła między rodzicami w obronie matki, bo to był pierwszy raz, kiedy ta w ogóle próbowała ją chronić. Mówiła mi też, że



matka o wszystkim wiedziała, a to, że nie umiałam utrzymać języka za zębami, tylko pogorszyło sprawę. Stwierdziła, że nie chce mnie już nigdy więcej widzieć. Wróciłam z płaczem do domu, a moja matka wezwała policję.

– Aresztowali go?

– Nie. Opieka społeczna nie miała szansy się wykazać. Tamtej nocy wyszedł i nigdy nie wrócił. Tylko Shannon, jej matka, moja matka i ja wiemy o tym, co robił.

– Jasna cholera! – powiedziała Izzy. – Czyli udało mu się z tego wywinąć.

– No praktycznie tak.

– Ale czekaj, dalej nie rozumiem, dlaczego Shannon tak cię nienawidzi?

– Bo złamałam obietnicę. Powiedziałam matce o tym, co się działo.

– Próbowалаś pomóc.

Alex spojrzała na Izzy oczami mokrymi od łez.

– A ty byś chciała, żeby ktokolwiek wiedział o tym, że twój ojciec się do ciebie dobierał?

– Po pierwsze, to nie sędzę, że bym na to pozwoliła.

– Nie wiesz tego. On zaczął to robić, gdy ona była naprawdę mała, zbyt mała, żeby rozumieć, co się dzieje.

Izzy spuściła wzrok na swoje trampki, czując mdłości.

– To straszne.

– Najgorsze.

– Ale po tych wszystkich latach Shannon nadal nie może zrozumieć, że ty powiedziałaś o tym komuś, bo zależało ci na niej?

– Pomyślałabyś pewnie, że ona była zadowolona z tego, że ich zostawił

i prawda nie wyszła na jaw. Ja myślę, że ona tak naprawdę najbardziej martwiła się o to, żeby nikt się nie dowiedział. I tak się stało. Moja matka i ja nigdy nikomu o tym nie powiedziałyśmy. A może powinnyśmy były powiedzieć. Może dla Shannon byłoby lepiej, gdyby uciekła też od matki. Można by pomyśleć, że mogła o wszystkim zapomnieć i wybaczyć mi. Ale ja zawiodłam jej zaufanie, tak samo jak zrobili to jej rodzice. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek była w stanie zrozumieć, że ktoś się o nią troszczy. I nie wydaje mi się, że kiedykolwiek zrozumie, jak to jest kochać i być kochaną. Ona nie wie jak to jest, gdy ktoś o ciebie dba i cię chroni. Nigdy tego nie czuła, nie dali jej tego nawet rodzice. Jak więc mogła spodziewać się takiego czegoś ode mnie?

– A co z Ethanem?

– Ethan jest tylko trofeum w rękach Shannon, przystojnym mięśniakiem, którego chciałyby mieć wszystkie dziewczyny. Shannon szaleje z zazdrości, ale nie przejmuje się nim. Sypia z połową drużyny piłkarskiej i mydli temu chłopakowi oczy.

– Czy on wie, co ojciec jej zrobił?

– Nie sądzę. Nie potrafię sobie wyobrazić, że byłaby w stanie kiedykolwiek mu o tym powiedzieć.

Izzy wbiła palce w krawędź siedzenia i patrzyła przez przednią szybę. Z jednej strony było jej żal Shannon. Z drugiej jednak wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego Shannon rani innych. Żeby poczuć się lepiej? Izzy rozumiała, jak to jest czuć złość i chcieć ją wyładować. Tylko ona wybrała ranienie siebie zamiast kogoś innego. To, że ojciec Shannon był potworem, nie znaczy, że ona też musi nim być.

To sprawiło, że zaczęła myśleć o Clarze. Jej ojciec był potworem, ale w innym sensie. I jej matce też nie udało się jej ochronić. Zarówno Clara,

jak i Shannon zostały zdradzone przez swoich rodziców. Izzy nie była w stanie tego zrozumieć. Pomyślała o swoim ojcu. Był dobrym człowiekiem, najlepszym ojcem, jakiego dziewczyna mogła sobie wymarzyć. Miała przynajmniej to. Ale on nie żył. To matka jej go zabrała. *Dlaczego ludzie chcą mieć dzieci, skoro mają zamiar je potem zniszczyć?*

– Więc teraz już wiesz – powiedziała Alex, wyrywając Izzy z rozmyślań. – Ty i ja mamy coś wspólnego. Mój ojciec też nie żyje.

– Przykro mi – odparła Izzy. – Co się z nim stało?

– Zginął w wypadku samochodowym, jak miałam dziewięć lat – powiedziała Alex.

– Więc jesteście same z mamą?

Alex wzruszyła ramionami.

– Tak, ona jest super, ale dużo pracuje. A kiedy nie pracuje, to ciągle odwiedza jakieś medium i chodzi na seanse spirytystyczne. Też uwielbiam tego typu rzeczy, ale ona ma obsesję na punkcie tego, że próbuje porozumieć się z moim ojcem.

– Przynajmniej wiesz, że go kochała – odrzekła Izzy.

– Tak przypuszczam – potwierdziła Alex. – Ej, mogę cię o coś zapytać?

– Pewnie – zgodziła się Izzy.

– Ale jak nie chcesz o tym gadać, to powiedz.

– O czym? – zapytała Izzy.

– Dlaczego twoja matka zastrzeliła ojca?

Izzy wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odpowiedziała, a łzy zaczęły napływać jej do oczu.

– A, to kiepsko – odparła Alex.

– Tak – potwierdziła Izzy. – Zgadza się.

Po tym jak Alex wysadziła ją pod domem Peg i Harry'ego, Izzy odrobiła zadania, wzięła prysznic i położyła dziennik Clary na stole w kuchni. A potem z sercem w gardle czekała, aż Peg i Harry wrócą do domu.

Pierwsza zima Clary w Willard była najdłuższą w jej życiu. Prawie co tydzień wściekle burze przysłały widok z okna gęstą śnieżycą, pokrywając szyby lodową kurtyną. Gdy wszystkie okna były zasypane mokrym śniegiem i jedynym, co Clara mogła zobaczyć przez małe szczeliny w zwałach śniegu, były popielate chmury nisko na niebie, czuła się, jakby była uwięziona w gigantycznej lodowej fortecy. Wyobrażała sobie, że inni pacjenci też byli z lodu, w każdej chwili gotowi roztrzaskać się albo eksplodować. Ten lód składał się z łez zmieszanych z błotem oraz krwią i czuła tę słoną mieszankę na swoich spierzchniętych wargach.

Jak wszyscy pacjenci w trakcie swych pierwszych tygodni w Willard była zmuszona siedzieć w Słonecznym Pokoju osiem godzin dziennie, siedem dni w tygodniu. Pacjenci mogli opuszczać pomieszczenie wyłącznie na posiłki i zaplanowane wizyty w ubikacji. Przez resztę dnia, aż do kolacji, wymagano od nich, by siedzieli na twardych ławkach wokół ścian, podczas gdy sanitariusze pilnowali, żeby nikt nie naruszał porządku lub nie próbował wstać. Clara starała się przerzucać swój ciężar z jednego biodra na drugie, ale pod koniec pierwszego tygodnia pośladki bolały ją, jakby były obdarte ze skóry i krwawiły.

Pewnego sobotniego poranka, gdy wstała po raz pierwszy bez pozwolenia i poprosiła o możliwość skorzystania z ubikacji, łązy bólu paliły jej oczy. Sanitariusze, którzy byli tego dnia na zmianie – Dan i Richard – siedzieli na składanych krzesłach na środku pomieszczenia, grając w pokera przy stoliku do gry w karty. Pozostali pacjenci siedzieli ze zwieszonymi głowami, opierając się o ściany, śpiąc, płacząc, śliniąc się, nucąc lub rozglądając się po pokoju jakby za niewidzialnymi ludźmi.

– Chyba mi niedobrze – powiedziała Clara, trzymając się za brzuch.

Richard odłożył swoje karty na stół i wstał. Odwrócił się w jej stronę z surową miną.

– Siadaj – powiedział, wskazując nieogolonym podbródkiem w kierunku ławki. – Za godzinę będzie przerwa na wyjście do łazienki.

– Ale ja muszę iść teraz – powiedziała. – Proszę.

Richard ruszył w jej kierunku z ramionami odchylonymi do tyłu. Zatrzymał się kilka kroków od niej.

– Powiedziałem ci, siadaj.

– Nie możecie tego robić ludziom – powiedziała, kręcąc głową. – To nie w porządku!

Richard przewrócił oczami i wystawił język, przedrzeźniając ją. Clara poczuła się, jakby patrzyła na sześciolatka bijącego się na szkolnym podwórku. Pielęgniarz zrobił krok w jej stronę.

– Mam nakaz dopilnować, żebyś cały czas siedziała – powiedział, a jego górna warga drgała.

Clara ruszyła, próbując go wyminąć, trzymając rękę na ustach. Mężczyzna chwycił ją za ramię, a jego palce zacisnęły się jak szpony na jej nadgarstku. Uderzyła go, a on szarpnął ją w kierunku środka pokoju. Wykręciła nadgarstek, próbując się uwolnić, ale nic to nie dało. Chwyty Richarda były zbyt silny.

– Puść mnie! – krzyknęła. – Powinniście pomagać ludziom, a nie ich torturować! – I wtedy, nie mogąc się dłużej powstrzymać, zwymiotowała na podłogę, niemal trafiając w buty Richarda.

Drugi sanitariusz wstał. Jeden z pacjentów zaczął krzyczeć i płakać, inny pobiegł w kierunku drzwi. Kolejny podniósł się, bujając się w przód i tył, a następny zaczął stukać w podłogę, kiwając głową i zaciskając dłonie.

Siostra Trench wkroczyła do pomieszczenia i zmusiła pozostałych pacjentów, by usiedli.

– Zabrać ją do pokoju C! – krzyknęła.

Richard wywlókł Clare z pomieszczenia i pociągnął korytarzem, jakby była dzieckiem. Otworzył drzwi i z gniewnym, pełnym obrzydzenia chrząknięciem wepchnął ją do pomieszczenia bez okien z jednym łóżkiem. Po czym sam wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Potknęła się, po czym odzyskała równowagę. Ruszył w jej stronę, a ona się cofnęła. Jej ramiona i nogi drżały. Dotknęła plecami ściany. Zanim się zorientowała, że ją uniósł, dłoń Richarda uderzyła ją w twarz i przeszyła ją czarna błyskawica bólu. Jej głowa odskoczyła w bok, a włosy rozsypały się po twarzy. Przyłożyła dłonie do gorącego, pulsującego policzka i spojrzała na niego oczami piekącymi od łez.

Chwycił ją za ramiona, szarpnął w kierunku łóżka stojącego na środku pokoju, podniósł i rzucił na brudny materac. Do pokoju wszedł drugi sanitariusz i przytrzymał ją. Jego gorące dłonie unieruchomiły ramiona Clary z miażdżącą siłą. Szarpała się na łóżku, ze wszystkich sił starając się wyrwać.

Nadaremnie. Gdy drugi sanitariusz ją przytrzymał, Richard zapinał skórzane pasy wokół jej nadgarstków i kostek, przywiązując ją do łóżka.

– Dlaczego to robisz?! – wrzasnęła. – Chciałam tylko skorzystać z łazienki!

Drzwi się otworzyły i do pomieszczenia weszła pielęgniarka z lśniącą strzykawką. Wślizgnęła się między Richarda a krawędź łóżka, uszczypnęła ramię Clary i wbiła igłę w skórę dziewczyny.

– Nie! – krzyknęła Clara. – Puśćcie mnie!

– To dla twojego dobra – powiedziała pielęgniarka.

Richard i drugi sanitariusz odsunęli się i spojrzeli na Clare, ich czoła były lśniące od potu, a ramiona unosiły się ciężko w górę i w dół.

– Wygląda na to, że z nikim nie da się po dobroci – powiedział Richard, ocierając czoło dłonią.

– Proszę – wyszeptała Clara. – Wypuście mnie.

Pielęgniarka i sanitariusze zignorowali ją i opuścili pomieszczenie, zatraskując za sobą żelazne drzwi. Klucze zazgrzytały w przekręcanym zamku. Kilka minut później piskliwy zgrzyt metalu trącego o metal spowodował, że się skuliła, gdy ktoś otworzył czworokątny, zakratowany otwór w górnej części drzwi. Podniosła głowę, by spojrzeć w tamtą stronę, ale zobaczyła tylko czoło i dwoje błyszczących oczu. Okienko zostało zasunięte, a Clara usłyszała przytłumione głosy na korytarzu. Dziewczyna położyła głowę na materacu. Sufit zaczął się rozmywać i ciemnieć. Spojrzała na ściany. Rogi pomieszczenia wydawały się zawijać do środka, linie i kształty pulsowały z każdym uderzeniem jej łomoczącego serca. Nagle poczuła, że znowu robi jej się niedobrze. Przekręciła głowę i zwymiotowała, kaszląc i dławiąc się własnymi wymiocinami. Jej powieki stały się ciężkie, mrugnęła dwa razy, po czym świat się rozpląnął.

Pierwszym, co dotarło do Clary, był ból brzucha i pieczenie skóry na nadgarstkach i kostkach. Czowała się, jakby uczestniczyła w bójkę – każdy mięsień pulsował i był obolały. Próbowwała się obrócić na bok, ale była przypięta do łóżka. Prześcieradło pod nią było zimne i mokre, powietrze wypełniał zapach wymiocin i uryny. Wszystko się jej przypomniało. Znajdowała się w izolatce.

Podniosła ciężką głowę, rozglądając się po pokoju i próbując wyostrzyć wzrok. Kopulasta lampa wypełniała pomieszczenie mglistą, żółtawą



poświata. Ściany zaczęły wirować, więc położyła głowę, czekając, aż zawroty ustąpią. Gdy poczuła, że może bezpiecznie otworzyć oczy, spojrzała na koniec łóżka, w kierunku drzwi. Zaczęła wołać o pomoc, po czym zauważyła siostrę Trench siedzącą w kącie i czytającą książkę.

– Proszę, czy możesz mnie odwiązać? – zapytała Clara słabymi i ochrypłym głosem.

Siostra Trench jęknęła cicho z zaskoczenia i gwałtownie podniosła głowę.

Ku zaskoczeniu Clary oczy pielęgniarki wyglądały na zaczerwienione i wilgotne. Siostra Trench wytarła swoje policzki i wstała, kładąc książkę na krześle. Podeszła do łóżka. Spojrzała na Clare, marszcząc czoło.

– Nie wiem – odpowiedziała. – Będziesz się zachowywać?

– Proszę – powiedziała Clara. – Zimno mi i jestem głodna.

– Może trzeba było o tym pomyśleć, zanim zrobiłaś takie zamieszanie w Słonecznym Pokoju.

– Nie pozwolili mi skorzystać z łazienki, a ja...

Siostra Trench pokręciła głową.

– Zasady są ustalone nie bez powodu – powiedziała. – Jak mamy ci pomóc, jeśli ich nie przestrzegasz?

– Ale powiedziałam, że jest mi niedobrze i będę...

– Sanitariusz powiedział, że wstałaś bez pytania.

– Tak, ale...

– Nie powiedziano ci, żeby pytać, zanim wstaniesz?

Clara skinęła głową.

– Właśnie – kontynuowała siostra Trench. – Zanim cię wypuszczę, musisz mi przyrzec, że będziesz o tym pamiętać.

– Będę pamiętała – odpowiedziała Clara.

– Od teraz będziesz słuchała poleceń?

– Tak.

– Musisz mi to powiedzieć, Claro.

– Od teraz będę robiła to, co mi każą.

– Bardzo dobrze! – powiedziała z uśmiechem siostra Trench. – Możesz spać dzisiaj na oddziale, chyba że znowu będziesz się zachowywać niewłaściwie. Wtedy znowu znajdziesz się tutaj. Zrozumiałaś?

Clara skinęła głową

– Zrozumiałam – powiedziała.

Siostra Trench opuściła barierki wokół łóżka, odpięła skórzane pasy i zrobiła krok w tył. Clara usiadła i potarła nadgarstki, w głowie pulsowało jej boleśnie. Przerzuciła nogi poza krawędź materaca i odgarnęła włosy z twarzy. Były sztywne i śmierdziały wymiocinami. Pokój przechylił się na jedną stronę. Zamykając oczy i biorąc głęboki oddech, postarała się zachować równowagę. W końcu pokój przestał się kręcić i ześlizgnęła się z materaca, a mokra koszula nocna przyłgnęła do jej nóg. Objęła się ramionami, usiłując powstrzymać drżenie.

– Czy mogłabym się umyć i dostać czystą koszulę nocną? – spytała, dzwoniąc zębami.

– Już na to za późno – powiedziała siostra Trench, patrząc w stronę drzwi. – Już prawie cisza nocna. Musisz zaczekać do jutra.

– Ale nie jadłam nic od rana – powiedziała Clara.

– Od wczorajszego poranka – odparła siostra Trench. Podniosła książkę i odwróciła się w kierunku Clary, trzymając ją na swojej szerokiej piersi. – Spałaś przez dwa dni.

Clara położyła rękę na brzuchu.

– Muszę czekać na jedzenie do jutra rana? – Otworzyła usta, by powiedzieć coś o swojej ciąży, ale się powstrzymała. Siostra Trench powiedziała jej, by nigdy więcej nie wspominała o dziecku.

– Przykro mi – powiedziała pielęgniarka, sięgając w stronę drzwi. – Łamanie zasad jest karane.

Clara przygryzła wargi. Jakoś musi dotrzeć do tej kobiety, by pokazać jej, że nie jest taka jak reszta pacjentów. Siostra Trench musi mieć serce, gdzieś w środku tej szorstkiej męskiej powierzchowności. Clara spojrzała na książkę w dłoni pielęgniarki. Na okładce widniała kobieta, która garbiła się pod drzewem. Jej głowa była opuszczona, a oczy zamknięte. Była to książka Ernesta Hemingwaya zatytułowana *Słońce też wschodzi*. Clara przypomniała sobie ten dzień, gdy ona i siostra Trench nakryły doktora Roacha i siostrę May. Siostra Trench była zła, zniesmaczona, że doktor kazał czekać swojej żonie w holu, podczas gdy flirtował z kochanką. Lecz było jeszcze coś innego w oczach pielęgniarki, coś, co wyglądało jak ból spowodowany złamanym sercem.

Clara przełknęła ślinę, starając się zignorować pusty żołądek i szum w głowie.

– Było mi żal głównej postaci w tej książce – powiedziała. – A pani?

Siostra Trench skrzywiła się i zmarszczyła brwi. Wyglądała, jakby miała powiedzieć coś, wyrazić swoją opinię o książce, jednak zmieniła zdanie. Zebrała się w sobie, uchyliła drzwi i skinęła podbródkiem w kierunku korytarza.

– Idziemy – powiedziała.

Clara przeszła przez próg, miała nogi jak z waty.

– Łamie mi się serce, gdy nie mogę być z człowiekiem, którego kocham

– powiedziała, starając się nadać głosowi przyjazny ton. – Nazywa się Bruno. – Siostra Trench zignorowała ją i szła dalej korytarzem, ściskając w przerośniętej dłoni książkę. Clara mówiła dalej: – Nie mogę sobie wyobrazić, jak bardzo by bolało kochać kogoś bez wzajemności.

– Dość gadania – powiedziała pielęgniarka.

– Szczególnie gdyby był zakochany w kimś innym – powiedziała Clara.

– Kiedy wiedziałabym, że on nie mógłby być mój. To byłaby czysta tortura.

Siostra Trench zatrzymała się i odwróciła twarzą do Clary, wskazując ręką w głąb korytarza.

– Mogę cię umieścić z powrotem w tym pokoju, jeśli chcesz – powiedziała z purpurową twarzą.

Clara pokręciła głową i spuściła wzrok. Siostra Trench chrząknęła i ruszyła dalej, ze zgarbionymi ramionami i ustami wykrzywionymi z frustracji.

Od tego dnia Clara siedziała na ławkach w Słonecznym Pokoju bez słowa, próbując wyobrazić sobie ciemne włosy Brunona i jego błyszczące oczy lub nucąc po cichu słowa ulubionych piosenek, próbując wszystkiego, by odciągnąć myśli od dających się we znaki pośladków i zdrętwiałych nóg. Starła się ocierać łzy z oczu, zanim rozlały się po policzkach, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Na szczęście pod koniec drugiego tygodnia stwierdzono, że można jej na tyle zaufać, by mogła pracować. W dniu, gdy została wysłana do kuchni, by obierać ziemniaki, podziękowała za to w modlitwie, a serce jej pękało na myśl o tych nieszczęsnych kobietach, które nie dostały takiej możliwości.

Główna kuchnia była umieszczona w grupie dużych budynków za Chapin Hall, w pobliżu środka gigantycznego, nieregularnego U stworzonego przez połączone oddziały. W budowli, podobnej do fabryki,

mieściły się główna kuchnia, piekarnia, kotłownia oraz pomieszczenie na węgiel. Z kuchni jedzenie było dostarczane na oddziały siecią podziemnych tuneli i wind ręcznych.

Każdego dnia tej długiej zimy Clara siedziała na drewnianym taborecie, obierając ziemniaki w gorącej kuchni. Siedzisko taboretu było popękane i twarde, mebel chwiało się na boki na przykrótkiej nodze, ale przynajmniej Clara mogła wstać, kiedy chciała, i zmienić pozycję. Nie mogła sobie wyobrazić pacjentów, którym nie pozwolono pracować, i musieli spędzać dzień po dniu, siedząc na ławkach w Słonecznym Pokoju. Jeśli nie byli szaleni, gdy przybyli do Willard, to teraz z pewnością już się tacy stali. Clara nie mogła pojąć, dlaczego lekarze myśleli, że taka tortura może być dla kogokolwiek dobra.

Bez względu na pogodę Clara cieszyła się, kiedy przychodziła na nią kolej, by wyjść tylnymi drzwiami kuchni i wynieść obierki z ziemniaków na ogrodzone podwórko i rzucić na stertę kompostu, z której miały zostać zabrane, by nakarmić nimi kury i świnie z Willard. Nawet w zimie, gdy twarz tężała od mroźnego powietrza, a przejmujący wiatr sprawiał, że oczy łzawiły, starała się pozostać na zewnątrz tak długo, jak mogła, wiedząc, że to może być jej jedyna odskocznia na całe dni. Rankami, gdy powietrze było czyste i pogoda bezwietrzna, mogła usłyszeć piski i sapanie nadjeżdżających lokomotyw i głębokie trzaski lodu przemieszczającego się na jeziorze, brzmiące jak głuchy gulgot gigantycznego odpływu. Chociaż nie mogła zobaczyć jego tafli zza Chapin Hall, czuła z nim pokrewieństwo – oboje czekali zamrożeni w czasie.

Pod koniec lutego, patrząc na swoje kościste ramiona i nogi, mogła stwierdzić, że jest chudsza niż kiedykolwiek. Poza małym, wystającym guzkiem poniżej jej pępka nic nie wskazywało na to, że jest w ciąży. Przez

większość czasu czuła się osłabiona i oszołomiona, tak jakby rozwijające się w niej dziecko wysysało siły z jej ciała. Starła się jednak jeść każdy otrzymany posiłek, nawet gdy była to tylko miska cienkiego bulionu albo jajko w koszulce, które powodowało u niej odruch wymiotny, gdy próbowała je przełknąć. Podczas codziennej pracy w kuchni chowała ziemniaka w stercie obierków, podjadając go, gdy nikt nie patrzył. Surowe ziemniaki smakowały jak ziemia, ale i tak je jadła.

W marcu, w szary i deszczowy dzień, przez podwórko nieopodal kuchni przebiegł tłusty i mokry szczur. Zbiegł ze szczytu kompostu i przemknął przez mały otwór na dole wysokiego drewnianego ogrodzenia. Clara podeszła do ogrodzenia, postawiła kosz z obierkami i uklękła na błotnistej ziemi. Otwór miał wielkość piłki do baseballa, drewno wokół niego było rozmoczone i popękane. Wstała i kopnęła deski wokół otworu, próbując je rozbić, po czym uklękła i urywała kawałki gołymi rękami. Drzazgi wbijały się jej w dłoń, lecz pracowała nadal, odrywając kawałek wielkości miski. Popatrzyła przez szczelinę i zobaczyła więcej błota, a kilkanaście metrów dalej fundamenty innego budynku. Rzuciła odłamane fragmenty drewna przez otwór, po czym zakryła go stertą obierek z ziemniaków i warzyw. Następnego dnia usunęła więcej kawałków ogrodzenia. Pod koniec tygodnia jej dłonie i palce były pokaleczone, ale otwór był na tyle duży, by mogła się przez niego przecisnąć.

Kolejnego popołudnia poszła do sterty kompostu, wyrzuciła obierki i znowu oderwała kawałek drewna. Położyła się plecami na rozmoczonej ziemi obok ogrodzenia, tak by nie skrzywdzić dziecka, po czym przeczołgała się tyłem, aż jej głowa i ramiona znalazły się po drugiej stronie. Wbiła się piętami w ziemię i próbowała przepchać do końca, lecz jej brzuch był zbyt duży. Dziecko utrudniało sprawę. Gdy miała się

wycofać i powiększyć otwór ktoś złapał ją za kostki i wyciągnął z otworu, ciągnąc po błocie.

– W porządku? – zapytał mężczyzna, dysząc nad nią. Miał na sobie wełnianą kurtkę w kratkę oraz brudny kombinezon roboczy, jego buty pokrywał szlam. – Przewróciła się?

Clara usiadła

– Ja... – wydusiła, a jej serce kołatało jak nadjeżdżający pociąg.

– Próbujesz się wydostać? – Wpatrywał się w nią jednym okiem. Drugie, które było spuchnięte, miał zamknięte.

Clara pokręciła głową i spróbowała wstać. Mężczyzna wyciągnął dłoń, by jej pomóc, drugą pokazując ogrodzenie.

– Nic nie da przejście przez płot – powiedział. – Tam jest kotłownia. Nie ma jak ominąć.

– Jak się tu dostałeś? – zapytała, ocierając ręce o ubranie. Czuła swoje sztywne i zimne włosy na szyi, a jej ramiona i nogi były z tyłu mokre od błota.

Mężczyzna splunął na ziemię, a sznurek śliny zwisał z kącika jego ust. Wskazał na płot w pobliżu tylnej ściany kuchni.

– Drzwi są tam – powiedział. – Dostaliśmy nowe świnie. Szef przysłał mnie po więcej resztek. Zobaczyłem cię tu na ziemi i...

Clara zmrużyła oczy, patrząc w kierunku ogrodzenia, próbowała dojrzeć drzwi. Jediną wskazówką, że było tam wejście, był odrobinę większy odstęp pomiędzy dwiema deskami. Ledwie go zauważyła. Wewnątrz ogrodzenia leżała łopata i taczki, przechylone obok sterty kompostu. Przebrnęła przez błoto do furtki i zagłębiła paznokcie w szczelinie, próbując podważyć drzwi. Otwór niestety był zbyt wąski. Jej palce nie

mieściły się wystarczająco, by znaleźć punkt zaczepienia.

– Jak je otwierasz? – zapytała mężczyzny.

Podszedł do niej i zatrzymał się przed drzwiami.

– SzeF dał mi klucz, żebym mógł wchodzić – odpowiedział. – Pokazał sztuczkę, jak wyjść. – Uderzył pięścią w drewno i drzwi się otworzyły. Złapał za krawędź i je zamknął. – Widzi?

– Mogę spróbować? – zapytała.

Wzruszył ramionami i odsunął się. Clara uderzyła pięścią w tym samym miejscu. Drewno zawibrowało, ale drzwi się nie otworzyły.

– Mówiłem, że to sztuczka – odpowiedział mężczyzna, szczerząc zęby.

Clara wzięła głęboki oddech i uderzyła w drewno ponownie, używając całej swojej siły. Tym razem krawędź drzwi wysunęła się z ogrodzenia. Chwyciła ją i szarpnięciem otworzyła na oścież. Po drugiej stronie wzdłuż budynku biegła droga pokryta koleinami, po czym skręcała za kamiennym narożnikiem i znikła. Clara wyskoczyła zza ogrodzenia, biegnąc tak szybko, jak mogła, słysząc bicie swojego serca w uszach. Kilka metrów od narożnika mężczyzna złapał ją od tyłu i podniósł z ziemi, jego ramiona zacisnęły się wokół jej brzucha, ściskając ją tak mocno, że ledwie mogła oddychać. Zaniósł ją z powrotem za ogrodzenie, postawił na ziemi i zatrzasnął drzwi, ciężko dysząc.

– Ty mnie oszukałaś – powiedział, a jego czerwona twarz była pełna gniewu. – SzeF powiedział, żeby nie pozwalać nikomu innemu korzystać z tych drzwi. Nigdy.

– Przepraszam – powiedziała Clara, próbując odzyskać oddech. – Po prostu ja... Ja nie powinnam tu być.

– Nie można stąd wyjść – powiedział mężczyzna, kręcąc głową. – To



jest łamanie zasad. Wpadniesz po uszy w kłopoty, jeśli złamiesz zasady.

– Wiem – powiedziała. – To jest... – Zawahała się, próbując znaleźć odpowiednie słowo. – Tak przy okazji, jak masz na imię?

– Stanley – odpowiedział. – Ojciec dał na imię Stanford, ale matka mówiła do mnie Stanley.

– Jesteś tu pacjentem, Stanley? – zapytała, mając nadzieję, że dzięki temu zrozumie, że są po tej samej stronie.

– Dwadzieścia lat – odpowiedział Stanley, potakując. – Odkąd miałem siedemnaście lat.

Żołądek Clary zwinął się w kłębek.

– Dlaczego cię tu wysłali?

– Rodzice umarli – odpowiedział. – Sprawiałem same kłopoty i byłem za stary na sierociniec.

– Nie chciałabym, żebyś popadł w większe kłopoty, Stanley – powiedziała. Przygryzła wargę, próbując wymyślić inne podejście. – Gdy dorastałam, wychowywałam się na farmie. Kocham zwierzęta. Myślisz, że możesz mi pokazać nowe świnie?

– Nie – odparł. – Szefowi by się to nie spodobało. Szef mówi, że nikt inny nie może zbliżyć do chlewika.

– To może mnie po prostu przepuścisz przez te drzwi? – powiedziała. – Nikt nie musi wiedzieć.

Stanley pokręcił głową, poruszając się, jakby maszerował w miejscu bez podnoszenia nóg z ziemi. Wtedy ryk silnika samochodu zbliżył się z drugiej strony ogrodzenia.

– Muszę wrócić do roboty – powiedział Stanley, mrugając zdrowym okiem. – Szef wraca. – Podeszedł szybko do taczek, podsunął je bliżej sterty

kompostu i zaczął napełniać resztkami warzyw.

Clara ruszyła za nim.

– Kiedy zazwyczaj zabierasz kompost? – zapytała. – O której się tu pojawiaasz?

Stanley wbił widły w kuchenne resztki i wrzucił stertę obierek z warzyw do taczek.

– Zanim słońce wzejdzie – powiedział, trzymając nisko głowę. – Gdy wszyscy śpią i nikt mi nie zawraca głowy.

Pod płotem zatrzymał się pojazd, zgrzytając skrzynią biegów. Ciężkie drzwi się otworzyły, po czym zamknęły, uderzając o metal. Furtka w płocie została otwarta i wszedł przez nią mężczyzna w ubłoconym kombinezonie.

– Co ci, do licha, zajmuje tyle czasu, Stanley? – zapytał. – Miałeś się ze mną spotkać na drodze dziesięć minut temu!

Stanley nadal pracował, z przygarbionymi ramionami.

– Szef wybaczy – powiedział. – Ta pani utknęła w ogrodzeniu i musiałem pomóc jej wyjść.

Mężczyzna spojrzał na dziurę, po czym na Clarę i zmarszczył brwi.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał.

– Nic. – Clara podniosła swój koszyk i ruszyła w stronę kuchni. – Tylko rozmawialiśmy.

Mężczyzna poszedł za nią.

– Zostaw Stanleya w spokoju – powiedział. – Słyszysz mnie? To dobry pracownik i trzyma się z dala od kłopotów. Zapamiętaj to sobie dobrze.

Clara szła dalej, a szef Stanleya skręcił w innym kierunku. Spojrzała przez ramię i zobaczyła, jak przechodzi między zmywakami do naczyń a blatami do przygotowywania posiłków, po czym skręca w lewo i znika.

Clara podeszła do swojego stanowiska i wróciła do pracy, próbując powstrzymać przypływ paniki. Z pewnością szef Stanleya na nią doniesie. Pozostałe kobiety gapiły się na nią, niewątpliwie zastanawiając się, dlaczego jej ramiona i nogi są pokryte zasychającym błotem.

Kilka minut później do kuchni weszli szef Stanleya i pucowała kierowniczką kuchni. Zgarbiona kobieta podreptała w kierunku Clary, jej podbródek przekrzywił się w jedną stronę. Musiała mieć co najmniej sześćdziesiąt lat, jednak na jej bladych, grubych rękach były widoczne naprężone mięśnie.

– Co to za opowieści o tym, że znaleziono cię tkwiącą w ogrodzeniu? – zapytała.

– Przewróciłam się w błocie – powiedziała Clara. – Noga wpadła mi przez ogrodzenie. To był wypadek.

Kierowniczką chwyciła ją za rękę i wyciągnęła na zewnątrz. Stanley czekał przy płocie z pełnymi taczkami. Opuścił wzrok, bawiąc się nerwowo krawędzią kurtki.

– Czy to ty zrobiłaś tę dziurę? – spytała Clary kierowniczką.

– Nie – odparła dziewczyna. – Powiedziałam, że się przewróciłam i...

– Zabijcie zaraz ten otwór deskami! – nakazała szefowi Stanleya kierowniczką. Potem pociągnęła Clary z powrotem do środka i wzięła ją do gabinetu doktora Roacha.

– Dokąd byś poszła, Claro, gdyby udało ci się uciec? – zapytał doktor Roach. – Willard rozciąga się na dziesiątkach hektarów, są tu też gęste lasy. Najbliższe miasto leży kilometry stąd.

– Nie wiem – powiedziała, trzymając zaciśnięte dłonie na podołku. –

Wiem tylko tyle, że muszę się stąd wydostać.

– A co, jeśli coś by ci się przydarzyło? Jak wytłumaczyłbym to twojemu ojcu?

– Nie obchodzi mnie mój ojciec! – Nieomal krzyknęła. – Może mu pan mówić, co tylko pan chce. Zarówno on, jak i pan wiecie, że nie powinnam tu być.

Doktor Roach zmarszczył brew, wyraźnie zaskoczony.

– Nic o tym nie wiem – powiedział. – Jesteś tu z pewnych powodów, Claro. Chcę tylko ci pomóc wyzdrowieć.

– Tak jak panu mówiłam poprzednio – odparła – jestem tu dlatego, że pokłóciłam się z ojcem. Nie potrzebuję pomocy!

– Ale czyż nie widzisz tego? – zapytał doktor Roach. – Próba ucieczki tylko potwierdza moją opinię, że nie myślisz trzeźwo. Kobieta o twojej pozycji i delikatnej budowie nie powinna urządzać sobie samotnych wycieczek na łonie natury. To niebezpieczne!

– Nie jestem tak bezradna, jak pan uważa.

– Wiesz, jakim szpitalem jest Willard, prawda?

– Oczywiście, że wiem – powiedziała. – To przytułek dla umysłowo chorych. Ale ja nie słyszę głosów, nie mam halucynacji. Wiem, że mój ojciec powiedział panu, że oszalałam, ale on kłamie!

– Kłamie? – powiedział doktor Roach. Uśmiechnął się do niej smutno. – Moja droga Claro, dlaczego miałyby to robić?

– Żeby mnie tu zatrzymać.

– Czy naprawdę tak uważasz?

– Tak! Z początku myślałam, że chce tylko dać mi nauczkę i że potem pozwoli wrócić do domu. Teraz uważam, że jest zadowolony z tego, że się

mnie pozbył.

Doktor Roach potrząsnął głową, marszcząc czoło.

– Martwisz mnie, Claro – powiedział. – Nadal myślisz, że twój ojciec spiskuje przeciwko tobie, że trzymamy cię tutaj, by w jakiś sposób ci szkodzić.

– Proszę – powiedziała. – Tylko mnie stąd wypuście. Może pan powiedzieć ojcu, że nadal tu jestem. Proszę mu powiedzieć, że całkowicie oszalałam i że musicie zamknąć mnie na resztę życia. Nie obchodzi mnie to. Tylko mnie wypuście. On nie musi wiedzieć!

– Zachowujesz się nieracjonalnie, Claro – powiedział. – Jestem lekarzem. Składałem przysięgę, że będę pomagał ludziom. To właśnie próbuję robić.

– Nigdy nie myślałam bardziej racjonalnie niż teraz – odparła Clara. – Trzyma pan mnie w przytułku dla umysłowo chorych wbrew mojej woli. Został mi tylko mój umysł i zapewniam pana, że myślę absolutnie trzeźwo. Nie jestem jak inni pacjenci, wierzący ślepo w to, co pan mówi, pozwalający się zamykać jak zwierzęta. Tak nie powinien postępować lekarz. To przestępstwo.

Doktor Roach zachmurzył się i zmrużył oczy.

– Być może potrzebujesz przerwy – powiedział. – Może trochę czasu do namysłu dobrze ci zrobi. Próba ucieczki jest poważnym przewinieniem, które skutkuje ciężkim leczeniem. Jestem jednak skłonny popatrzeć na to przez palce, bo jesteś dość inteligentna, by uczyć się na błędach...

Sięgnęła przez biurko i chwyciła go za rękę, a wyschnięte błoto ubrudziło czystą bibułę. Wzdrygnął się i próbował się odsunąć, a cichy okrzyk zaskoczenia wyrwał mu się z ust. Wzmocniła chwyt.

– A jak by się pan czuł, gdybym nie chciała pana puścić? – zapytała. –

Wiem, że nie lubi pan, kiedy się pana dotyka. Nie wiem dlaczego, ale przeraża to pana. W razie gdyby pan o tym nie słyszał, to moralnie żyjący mężczyźni nie zdradzają swoich żon. Być może to panu potrzeba pomocy, panie doktorze. Może to pana trzeba zamknąć? Jak by się to panu spodobało?

Wstał i wyrwał swoje ręce z jej dłoni. Jego twarz była czerwona, a nozdrza rozwarte.

– Nie wiem, w jakie gierki próbujesz tu grać – zaczął mówić – ale nie zamierzam się na to zgadzać. – Zamknął teczkę. – Porozmawiamy jeszcze przy następnej wizycie. Tymczasem... Nie jestem twoim wrogiem, Claro. Być może do twojej następnej wizyty zmienisz o mnie zdanie.

Przez następne sześć dni Clara siedziała zamknięta w śmierdzącym pokoju o cementowych ścianach na oddziale z izolatkami. Jedynym jego wyposażeniem była toaleta i metalowe łóżko przykręcone do podłogi. Dwa razy dziennie ktoś wsuwał tackę z suchym chlebem i miską bulionu przez klapkę w nitowanych drzwiach. Jedynym sposobem na odróżnienie dnia od nocy była goła żarówka na suficie, która zapalała się i gasła. Pobrząkiwanie łańcuchów i trzaskanie metalowymi drzwiami rozlegały się echem w holu, przerywane krzykami i jękami. Szóstego dnia siostra Trench otworzyła drzwi, by wypuścić Clare, cmokając z dezaprobatą. Zbyt słaba, by wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, Clara bez słowa poszła za pielęgniarką na oddział.

W połowie kwietnia, na około dwa miesiące przed terminem porodu, jak oszacowała Clara, jej brzuch wystawał tak, że suknie zaczęły ją opinać. Widziała jednak, że inne pacjentki miały podobnie wyglądające brzuchy – być może były otyłe, zanim niemal zagłodzono je w Willard – więc miała świadomość, że nie było nic szczególnego w kobiecie ze sterczącym

brzuchem. Nikt nie zwracał uwagi, że powiększał się on nieomal z dnia na dzień. Nikt nie wierzył albo nikogo nie obchodziło, że rzeczywiście miała rodzić, i nie zadał sobie tyle trudu, żeby sprawdzić, czy mówiła prawdę.

Ostatniego dnia maja, w dniu jej wizyty u doktora Roacha, Clara siedziała na krześle naprzeciw jego biurka, a sztywne siedzisko uciskało jej miednicę. Kości bolały ją, jakby nie miała dziewiętnastu lat, tylko pięćdziesiąt. Nie była pewna, czy jej ciało zesztyniało dlatego, że była w ciąży i cierpiała z powodu nieodpowiedniego żywienia, czy przez cienkie, nierówne materace, na których próbowała spać przez ostatnich pięć miesięcy.

Każdej nocy jej niespokojny sen wypełniały koszmary o porodzie na oddziale, gdzie oprócz innych pacjentów nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc. W tym śnie krzyczała na brudnym łóżku, a inne kobiety zbierały się wokół niej, kołysząc się w przód i w tył, śliniąc się i zawodząc. Wstała, ściskając krawędzie materaca i parła z całej siły, a jej twarz była wykrzywiona z wysiłku. Kobieta z obszarpaną lalką wyrwała noworodka spod nóg Clary i wybiegła z oddziału, a za nią wlokła się zakrwawiona pępowina.

Clara siedziała jak zwykle z jedną dłonią na brzuchu, czekając, by poczuć, kiedy dziecko się poruszy. Jej największą obawą było to, że płód obumarł, a ona nie miałaby o tym pojęcia aż do samego porodu. Jak zwykle nie czuła nic. Jediną porą, kiedy czuła ruchy, była noc, ale nawet wtedy martwiła się, że tylko je sobie wyobrażała, tak nikły był trzepot pod jej ręką. Po raz milionowy myślała, że dziecko było albo nienaturalnie małe, albo coś było naprawdę nie tak. Ta myśl sprawiała, że ścisnęło się jej serce.

Po drugiej stronie biurka doktor Roach obserwował ją, unosząc pióro nad jej kartą historii choroby. Spojrzała na ozdobne, grawerowane pióro

w jego dłoni. Jakże była głupia, sądząc, że będzie miała dostęp do atramentu i przyborów do pisania, by móc pisać listy do Brunona, i naiwna, licząc, że kiedykolwiek skłoni kogoś do wysłania ich. Nikogo w Willard nie obchodziło, dlaczego tu była, nie mówiąc już o jej poprzednim życiu. Myślała o siostrze Yott. Z jakiegoś powodu młoda pielęgniarka od razu poznała, że Clara nie jest szalona. Dlaczego nikt w Willard nie doszedł do tego samego wniosku? Clara sądziła, że siostra Yott zmieniła zdanie albo została przyłapana. W przeciwnym razie Bruno do tego czasu przybyłby ją uratować. Tępy, pusty ból gryzł ją pod zębami.

– O czym teraz myślałaś, Claro? – spytał doktor Roach głębokim i odprężonym głosem.

– Zastanawiałam się, jak chce pan pomagać pacjentom, jeśli nigdy pan ich nie widuje.

Zmarszczył brew.

– Obawiam się, że nie rozumiem, o co ci chodzi – powiedział.

– Jestem tu od pięciu miesięcy, a to dopiero moja druga wizyta u pana. Poprzednim razem, kiedy pana widziałam, to było wtedy, kiedy wpadłam w kłopoty.

Oparł się o oparcie swojego krzesła, gładząc krawędzie swojej równo przystrzyżonej koziej bródki.

– W Willard mamy ponad trzy tysiące pacjentów – powiedział. – Mężczyzn i kobiety. Nie spodziewasz się chyba specjalnego traktowania? To nie jest Dom na Long Island.

– Nie proszę o specjalne traktowanie – odparła. – Ale twierdzi pan, że chce mi pomóc. Jak może mi pan pomóc, jeśli mnie pan nie widuje? Zaczynam dochodzić do wniosku, że Willard nadaje się tylko do zamykania ludzi.



– Ten zakład powstał w oparciu o przekonanie, że szaleństwo może zostać uleczone przez stanowcze, ale ludzkie traktowanie. Ma być przystanią chroniącą od napięć, jakie występują w życiu. Bezpieczną przystanią chroniącą przed stresem, pozwalającą na odpoczynek i regularną pracę. Wszystko to dostajesz, nieprawdaż, Claro?

Clara przesunęła się na krześle, a jej plecy rozdarł ból.

– Po pierwsze, nie jestem szalona. Po drugie, to nie jest bezpieczna przystań chroniąca przed stresem. Trzymacie mnie tu wbrew mojej woli. Czy to ma mi przynieść pokój i bez troskę?

– Jak mogę ulżyć twojemu napięciu, Claro?

– Proszę mnie wypuścić. Jestem tutaj wystarczająco długo i jestem pewna, że nawet mój ojciec by się z tym zgodził.

Doktor Roach potrząsnął głową.

– Obawiam się, że się mylisz – powiedział. – Twój ojciec liczy na to, że cię wyleczę. Niestety, nie powiedziałaś nic, by pokazać, że poczyniłaś postępy.

– Co pan chce, żebym powiedziała? Proszę mi powiedzieć, a powiem to.

– Czy nadal uważasz, że twój ojciec przysłał cię tu, żeby się ciebie pozbyć?

Ramiona jej opadły.

– Zadał mi pan to pytanie dziesiąty raz.

– Moja praca polega na zadawaniu pytań.

– Ale przekręca pan moje odpowiedzi, żeby pasowały do pańskich, przyjętych z góry założeń. Jest pan przekonany, że coś jest ze mną nie tak, dlatego, że tu jestem.

– Proszę, odpowiedz tylko na pytanie.

Wzięła głęboki oddech i głośno westchnęła.

– Mój ojciec wysłał mnie tutaj, tylko tyle wiem. Jeśli odeśle mnie pan do domu, zrobię wszystko, co będzie chciał.

– Czy w końcu zrozumiałaś, że twój ojciec chce tylko tego, co jest dla ciebie najlepsze?

Przygryzła wewnątrz policzka i kiwnęła głową. W tej chwili zgodziłaby się na wszystko, jeśli mogłaby odzyskać wolność. Cokolwiek by czekało na nią w domu, było lepsze od zamknięcia. Doktor Roach pisał coś w jej karcie, a jego czoło było zmarszczone w skupieniu. Potem podniósł wzrok.

– Czy kiedykolwiek myślałaś o samobójstwie, Claro?

Potrząsnęła głową.

– Dlaczego pan w ogóle mnie o to pyta? Nie dałam panu żadnego powodu, by pan przypuszczał, że...

– Nie wiem, czy jesteś świadoma tego, ale skłonność do samobójstwa może być cechą rodzinną. Chciałbym się tylko upewnić...

– Nie – powiedziała. – Jak już wcześniej panu powiedziałam, chcę tylko szansy na normalne życie, by być z mężczyzną, którego kocham, by móc wychowywać nasze dziecko. Ale nie mogę tego zrobić, dopóki trzyma mnie pan tutaj.

– Rozumiem, że mówi pani o Brunonie.

Clarze zaparło dech w piersi.

– Skąd pan zna jego imię? Czy mój ojciec powiedział panu o nim?

Doktor Roach zerknął w jej kartotekę, marszcząc brwi i obracając pióro między palcami. Potem spojrzał na nią, wpatrując się w jej twarz.

– Obawiam się Claro, że nadszedł czas, by powiedzieć ci prawdę.

Pochyliła się do przodu na swoim krześle, a serce łomotało jej w piersi

– Prawdę o czym? – spytała.

– Masz rację co do jednego – powiedział doktor Roach. – Twój ojciec powiedział mi o Brunonie Morettim.

– Tak? – powiedziała, nie mogąc złapać oddechu. – Co panu powiedział?

Doktor Roach odłożył pióro i złożył ręce na biurku.

– Claro – powiedział z litością na twarzy – Bruno Moretti nie istnieje.

Do pierwszego czerwca wiosenne deszcze w końcu ustąpiły. Teraz, kiedy tereny Willard wyschły, pacjentom wolno było wychodzić na spacer pod nadzorem sanitariuszy. Każdy oddział tworzył osobną grupę ustawioną czwórkami, przez co pacjenci wyglądali jak bezładna orkiestra marszowa. Niektórzy z nich skręcali w lewo, kiedy grupa skręcała w prawo, jedni się oddalali, nie mogąc dotrzymać kroku reszcie. Kobiety zostały wysłane w jednym kierunku, mężczyźni w drugim. Mrużąc oczy w palącym słońcu, Clara szła za innymi kobietami z jej oddziału, patrząc ponad skrzącymi się wodami jeziora Seneca.

Wysoka, szczupła kobieta idąca obok Clary nuciała coś, podwijając rękawy i odwracając twarz do słońca. Esther była w Willard od sześciu tygodni, przysłana tu przez męża, kiedy przyłapał ją na całowaniu innego mężczyzny. Nawet bez makijażu, ubrana w prostą, niebieską sukienkę domową, wyglądała jak gwiazda filmowa z jej gęstymi blond włosami i jasną, ale rumianą cerą. Kiedy po raz pierwszy zobaczyła ją w stołówce, oglądając się na innych pacjentów oczami pełnymi lęku, Clara wiedziała, że tak samo jak ona, Esther nie pasowała do Willard. Później na oddziale

Clara ostrzegła ją przed Słonecznym Pokojem i powiedziała, że jedyną drogą ucieczki jest właściwe zachowanie. Od tego momentu zawiązała się ich przyjaźń, a Clara była niewymownie wdzięczna za to, że miała kogoś, z kim mogła porozmawiać.

Po drugiej stronie Esther szła Madeline, drobna, dwudziestokilkuletnia kobieta przyjęta do Willard ponad rok wcześniej po stracie dwójki dzieci i opuszczeniu znęcającego się nad nią męża. Razem z Clarą zaprzyjaźniły się podczas pracy w kuchni, gdzie Madeline zmywała naczynia.

– Tak właśnie świeciło słońce, kiedy przyjechałam do Willard – powiedziała Madeline, podnosząc podbródek do nieba. – Budynki i jezioro wyglądały tego dnia tak pięknie. Myślałam, że w końcu ktoś się mną zajmie.

– Nikt się nami nie zajmie w tym miejscu – powiedziała Esther. – Kiedy stąd wyjdę, znajdę sobie sponsora i już nie będę się musiała przejmować, czy ktoś się mną zajmuje.

– Może tak powinnam była zrobić – powiedziała Madeline, szczerząc zęby w uśmiechu. – Powinnam była znaleźć sponsora, który płaciłby czynsz tej nieszczęsnej staruszce.

– I tak doniosłaby na ciebie na policję – powiedziała Esther. – Pewnie powiedziałyby, że jesteś prostytutką, czy coś w tym stylu.

– Myślałam, że leżałaś chora w łóżku, kiedy przyszła po ciebie policja – powiedziała Clara. – Czy nie dlatego nie mogłaś pracować i zapłacić za czynsz?

– Nie byłam chora – odparła Madeline. – Tylko właśnie wróciłam od męża po tym, jak byłam prosić go o trochę pieniędzy na jedzenie. Stłukł mnie na kwaśne jabłko. Minał tydzień, zanim mogłam wyjść z łóżka w innym celu niż do toalety. Po tym, jak przywieźli mnie gliniarze, doktor

powiedział, że fizycznie jestem poniżej normy i że powinnam iść do szpitala. Ale ta cholerna właścicielka powiedziała, że używam wulgarnego języka i mówię do siebie, więc posłali mnie do wariatkowa.

Clara potrząsnęła głową. Poparzyła na starsze kobiety idące przed nimi, szurające nogami, z opuszczonymi głowami albo przygarbionymi plecami. Kobiety, które jak ona, Esther i Madeline wierzyły, że ich życie będzie zwyczajne i szczęśliwe. Oczywiście niektóre z nich naprawdę były chore i miały problemy, przez co nie potrafiły radzić sobie w życiu. Ale ile z nich było ofiarami okoliczności, kobietami, które były bez grosza, bo ich mężowie odeszli od nich albo umarli, które straciły dzieci i potrzebowały pomocy w poradzeniu sobie z nieznośnym żalem, wyrzuconymi przez rodziców, którzy nie podzielali ich decyzji? Ile z nich było w Willard przez jeden wybuch gniewu albo dlatego, że zestarzały się i zostały porzucone przez dzieci lub straciły rodziców w młodości i dorosły w sierocińcu? Jak wiele z nich było zdrowych psychicznie, kiedy tu przyszły, ale po miesiącach znęcania się nad nimi i nadużywaniu kąpieli lodowych i środków uspokajających nigdy nie odzyskają równowagi?

Jakiś czas wcześniej Madeline opowiedziała Clarze historię Ruby, imigrantki z Włoch, która przyjechała z mężem do Ameryki dwanaście lat temu. Dwa lata po ich przybyciu mąż zginął w katastrofie budowlanej. Głodująca i bezdomna Ruby zajęła się prostytutką na ulicach Nowego Jorku, znając jedynie kilka słów po angielsku. W końcu została aresztowana i wysłana do Willard. To było dziesięć lat temu. Teraz siedziała w Słonecznym Pokoju codziennie, w ciszy skubiąc skórę na ramionach.

Zamknięcie było wystarczająco trudne do zniesienia, ale Clara nie potrafiła sobie wyobrazić tortury, jaką była niemożność komunikacji, brak odpowiednich słów, żeby wyjaśnić, jak się tu znalazła, albo tego, że jest

całkiem zdrowa. Dlaczego lekarze nie znaleźli nikogo, kto mówił w języku Ruby? Co jeśli Ruby miała rodzinę we Włoszech i ktoś zastanawiał się, gdzie była i co się z nią stało? A jeśli wystarczy zwykły list, żeby wyciągnąć ją z tego piekła? Na myśl o całej tej niesprawiedliwości Clara czuła w piersi głuchy, pusty ból.

– Jak się dzisiaj czujesz? – spytała Esther. – Już niedługo będzie tu twoja córka.

Clara położyła opiekuńczo dłoń na swoim brzuchu, a jej serce wypełniła dziwna mieszanka miłości i strachu. Opowiedziała Esther i Madeline o wszystkim, o Brunonie i jej ojcu, o tym, że była przekonana, że jej dziecko będzie dziewczynką.

– W porządku – powiedziała. – Jestem trochę słaba, ale poza tym...

– Jak myślisz, co się stanie po tym, jak urodzi się mała? – Esther spytała Madeline. – Myślisz, że Clary wypuszczą?

Madeline wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – powiedziała. – Nigdy nie słyszałam o tym, żeby któraś z kobiet tu rodziła. – Odwróciła się w stronę jeziora, unikając oczu Clary.

Clara wzięła głęboki oddech, próbując zignorować przecucie, że Madeline nie była całkiem szczerą. Nie mogła jednak jej za to winić. Jeśli Madeline wiedziała coś i nie chciała o tym powiedzieć, to chciała tylko być miłą. Madeline rozumiała, że jeśli Clara pozwoli sobie wybiegać myślami dalej niż poza dzień narodzin dziecka, może nie wystarczyć jej sił, żeby stawiać jedną stopę przed drugą. Na razie Clara musiała wierzyć, że sprawy potoczą się lepiej. Nie było innego wyboru.

– Mam nadzieję, że mnie wypuszczą – powiedziała Clara. – To nie jest miejsce, w którym można wychowywać dziecko.

– Myślę, że masz rację – powiedziała Esther, uśmiechając się. –

Wypuszczą cię.

Grupka kobiet szła główną drogą Willard w stronę gęstego sosnowego zagajnika rosnącego po drugiej stronie Creek Mears, długiego, szerokiego potoku, który wpadał do jeziora Seneca. Po tygodniach wichur i deszczu potok o porośniętych trawą brzegach pędził na zachód jak rozszalała rzeka, niemal występując z brzegów, a gałęzie i liście wirowały w rwącej, szarej wodzie. Kobiety przeszły przez drewniany most, a szum wody zagłuszył ich głosy. Clara myślała o tym, by skoczyć przez barierkę i pozwolić, aby silny prąd porwał ją do jeziora, gdzie zabrać ją mogła przepływająca łódź albo skąd by mogła się przedostać na drugi brzeg. Jednakże strumień był zbyt głęboki, a prąd zbyt silny, gwałtowna woda łamała grube gałęzie na głazach i skałach. Poza tym nie umiała pływać, a jedyne, co robiła w wodzie, to było chlapanie i brodzenie na Coney Island. Nawet gdyby nie była w ciąży, ryzyko było zbyt duże. Cóż by jej było po wolności, gdyby zginęła?

Za mostem kobiety skręciły w prawo, idąc polną drogą w stronę jeziora. Po prawej, między drogą a sosnowym zagajnikiem, było pole wypełnione rzędami żelaznych tablic nagrobnych, a każda z nich była wysoka na sześćdziesiąt centymetrów i szeroka na trzydzieści. W tylnym rzędzie mężczyzna w gumowych butach i kombinezonie kopał dziurę w ziemi. Kiedy dostrzegł kobiety, przerwał pracę, wbił łopatę w kopiec świeżej ziemi, ściągnął czapkę i pomachał.

– To grabarz, Lawrence Lawrence – powiedziała Madeleine. – Jest w Willard od ponad trzydziestu lat i może robić praktycznie wszystko, co mu się podoba. Słyszałam, że pewnego lata zaczął sypiać w tamtej chacie przy cedrowym zagajniku. – Pokazała palcem mały, jednopiętrowy dom na krawędzi lasu, z dachem obsypanym szyszkami i igłami.

Clara nie miała pojęcia, jak długo to siedlisko stało puste, ale wydało jej

się rudera, gotową runąć w zakurzony stos, a wyschnięte na wiór drewno wymieszane z zatechłym powietrzem poddasza uformowałoby olbrzymią chmurę trocin i ostrych drzazg. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogło być w środku tego domu.

– Lawrence poprosił lekarzy, żeby mógł tam zostać, zamiast na oddziale dla mężczyzn. Powiedział im, żeby się nie przejmowali. Nigdzie się nie wybierał, bo nie miał dokąd pójść.

– Nigdy nie próbował odejść? – spytała Esther z szeroko otwartymi oczami.

– Twierdzi, że jest tam szczęśliwy.

– Musi być szalony – powiedziała Esther. – Nikt nie mógłby być tam szczęśliwy.

Po lewej stronie drogi stał czteropiętrowy budynek z dachem z zielonych dachówek. Dach był na środku zapadnięty, jak gdyby podtrzymywał jakiś niewidoczny ciężar. Najwyraźniej kiedyś ten ceglany budynek był pomalowany na biało, a teraz odsłonięty kamień wyglądał chropowato i miał różowawy kolor z popielatymi łatami odpadającej farby pod okapem dachu i framugami okien. Metalowe kraty przecinały brudne okna, jak czarna nitka cerowaną skarpetę. Obok budowli wysokie, ciemne drzewo wyciągało powykręcane konary do nieba.

Na trawniku z boku budynku dwie grupy pacjentów przechadzały się po poszarpanym obrzeżu zachwaszczonej trawy. Część z nich miała związane dłonie, część szła w kaftanach bezpieczeństwa albo skórzanych rękawicach połączonych łańcuchem, a wszyscy byli przywiązani do siebie sznurami opasującymi ich w talii. Jedną grupę stanowili mężczyźni, drugą kobiety. Ich białe szpitalne koszule były podarte i brudne, a nogi, ramiona i włosy pokrywała warstwa odchodów, wymiocin i uryny. Jedna z kobiet co chwilę



upadała i była wleczona przez inne pacjentki, dopóki sanitariusze nie zatrzymali grupy na tyle długo, by mogła wstać. Co około dziesięć kroków kobieta znów się przewracała. Kilka pacjentek potykało się lub kulało, a niektóre wołały o pomoc. Jedna próbowała bić wszystkich wokół, a kolejna próbowała się odwrócić i pójść w innym kierunku. Jeden z pacjentów, w kaftanie bezpieczeństwa, przy każdym kroku wysuwał do przodu barki – najpierw lewy, potem prawy – jak piłkarz ćwiczący swoje ruchy. Jeden z mężczyzn miał na ustach kaganiec, a kilkoro z nich przeklinało na cały głos.

Clara próbowała odwrócić wzrok, ale nie mogła.

– Co to za ludzie? – zapytała Esther.

– To ci, którzy są zbyt agresywni, żeby mogli przebywać w społeczeństwie – powiedziała Esther. – Lekarze trzymają ich tutaj, w Rookie Pest House. Słyszałam, że nie ma tu ogrzewania i że pacjenci przykuci są do łóżek.

Clarą wstrząsnął dreszcz, chociaż nie było jej zimno. Dziewczyna spojrzała na jezioro. Łódź z drewna tekowego wycinała białą linię na falach, a sznur z kolorowymi flagami rozpięty między masztem a dziobem powiewał na wietrze. Zmrużyła oczy, próbując dojrzeć ludzi siedzących na otwartej przestrzeni za kabiną, i zastanawiała się, co myśleli, kiedy patrzyli ponad wodą w stronę Willard. Czy wiedzieli, co to za miejsce? Czy uważali pacjentów za prawdziwych ludzi, czy za nie ludzi, którzy nigdy nie mieli szans na normalną egzystencję? Czy byli zadowoleni, że zamknięto tych pacjentów, i czuli ulgę, bo mogli cieszyć się życiem, którego nie obciążali ci, co mieli problemy? Czy byli świadomi, że większość z tych pacjentów kiedyś miała własne marzenia i nadzieje? Czy wiedzieli, że część z nich zamknięto wbrew ich woli?

Clare wyrwały z tych przemyśleń jakieś krzyki. Nagi mężczyzna wybiegł z Rookie Pest House. Miał dziki wzrok i potargany zarost. Pobiegnął w stronę jeziora tak szybko, jak tylko pozwoliły mu na to patykowate nogi. Dwóch sanitariuszy biegło za nim. Nagi mężczyzna potknął się o pień drzewa i upadł, ale zaraz się podniósł. Sanitarisze dobiegli do niego i powalili na ziemię. Potem szarpnięciem postawili go na nogi i zaciągnęli w stronę ceglanego budynku. Clara odwróciła wzrok, czując ulgę, że sanitariusze prowadzili ich grupę w przeciwnym kierunku, w stronę hangaru na łodzie i przystani, z dala od Rookie Pest House.

Później, w kuchni, nie mogła przestać myśleć o mężczyźnie z Rookie Pest House, zastanawiając się, przed jakimi horrorami uciekał. Jak mogło istnieć takie miejsce jak Willard, gdzie ludzi traktowano jak bydło, podczas gdy wszyscy inni żyją swoim własnym życiem? Zastanawiała się, czy jej ojciec był świadomy tego, jak okropny jest Willard, i czy w ogóle go to obchodziło. Z miejsca, gdzie siedziała, obierając ziemniaki, mogła dostrzec Madeline myjącą naczynia. Widziała, jak pot kapie jej z czoła. Kobieta odpowiedzialna za kuchnię nie pozwalała pracownikom na rozmowy, ale Clara była wdzięczna za samą obecność Madeline, za to, że mogły się uśmiechnąć albo pomachać do siebie, żeby przypomnieć sobie, że ona i inni w Willard byli zdrowi. Kobieta siedząca na stołku na lewo od Clary nigdy nie odezwała się ani słowem. Siedziała tylko z opuszczoną głową, obierając ziemniaki i mamrocząc do siebie.

Madeline, jakby czytając Clarze w myślach, obróciła się i uniosła namydloną dłoń. W jej oczach było widać zmęczenie, ale się uśmiechała. Wtedy właśnie szefowa kuchni przeszła przez pokój, a jej usta były wykrzywione w wyrazie determinacji. Madeline obróciła się, przykładając kciuk do nosa i wystawiając język, robiąc minę za plecami szefowej. Mokry

talerz wysliznął się jej z drugiej dłoni, rozbijając się na posadzce na setki białych odłamków.

Szefowa kuchni zatrzymała się i odwróciła się dookoła, sprawdzając, co się stało. Bez wahania ruszyła w stronę Madeline. Dziewczyna wycofywała się, aż doszła do rogu pomiędzy ścianą i metalowym zlewem. Szefowa wbiła palce w ramiona Madeline, pociągnęła ją do przodu i pchnęła na blat. Tył głowy dziewczyny uderzył o szafki z głuchym odgłosem, wstrząsając sztućcami w ociekaczu. Kobieta uniosła dłoń, by uderzyć Madeline, krzycząc coś o koszcie wyposażenia. Clara upuściła obieraczkę i ruszyła w ich stronę.

– Zostaw ją! – krzyknęła.

Chwyciła nadgarstek szefowej, próbując oderwać ją od Madeline. Kobieta z zaczerwienioną twarzą odwróciła się, dysząc, i odepchnęła Clare obiema rękami. Dziewczyna poleciała do tyłu jakby w zwolnionym tempie, wymachując ramionami, z szeroko otwartymi oczyma. Usiłowała złapać równowagę, ale pośliznęła się na mokrej podłodze, a potem upadła i uderzyła głową o kafelki z przyprawiającym o mdłości odgłosem. Błyskawica bólu przeszła jej czaszkę. Spojrzała w górę i zamrugała oczami, bo czarne zasłony nieprzytomności groziły, że opadną ją ze wszystkich stron. Potem poczuła ciepły, mokry strumień między nogami i zemdlała.

Clara zamrugała i otworzyła oczy, próbując skupić wzrok na jasnych kulach świecących nad nią. Przemieszczała się, stopami w kierunku jazdy, a śmierdzące powietrze owiewało jej twarz i ramiona. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Potem zrozumiała, że rozmyte światła przesuwające się nad nią to lampy. Obróciła głowę i zobaczyła słabo oświetlone sale i szpitalne

łóżka, pielęgniarki pochylające się nad pacjentami, robiące zastrzyki, sprawdzające puls, piszące coś w kartach. Leżała na noszach i wieziono ją przez szpitalne korytarze. Bez ostrzeżenia jej żołądek się skręcił i szarpnął, jak nóż wbijany w dolną część jej brzucha. Usiłowała wstać, podciągając kolana pod brodę, i zwinąć się w kłębek, ale silna ręka pchnęła ją z powrotem w dół. Spoglądając, kto pchał nosze, zobaczyła nieznaną pielęgniarkę.

Ta skręciła noszami i wjechała nimi do pokoju badań, gdzie czekał lekarz. Wyglądał jak ropucha, niski i opuchnięty, a jego policzki zwisały fałdami po bokach podwójnego podbródka.

– Co się stało? – spytał pielęgniarki.

– Przewróciła się i uderzyła w głowę – powiedziała pielęgniarka, stając przy noszach. – Właśnie się obudziła.

– Jak długo była nieprzytomna? – zapytał lekarz. Pochylił się i rozchylił powieki Clary, oświetlając jej źrenice przy pomocy małej, jasnej latarki.

– Może piętnaście minut – powiedziała pielęgniarka.

– Jak się czujesz? – zapytał głośno Clare. – Masz zawroty głowy?

Clara potrząsnęła głową. Rozpoczął się kolejny skurcz i podciągnęła kolana do góry, próbując powstrzymać ten rozdzierający, palący ból w dolnej części brzucha. Czowała, jakby coś miało ją rozerwać w pól. Przygryzła wargę, jęcząc cicho.

– Boli cię głowa? – zapytał lekarz.

– Nie – powiedziała Clara. – Rodzę.

Brwi lekarza podskoczyły do góry i spojrzał pytająco na pielęgniarkę. Kobieta wzruszyła ramionami.

– Czy jesteś w stanie wstać i przejść na stół do badań? – spytał Clare.

Dziewczyna podniosła się na drżących ramionach, a głowa pulsowała jej w tym samym tempie, co mocno bijące serce. Opuściła nogi z materaca i zeszła z noszy, trzymając jedną rękę na brzuchu. Ciepły płyn polał się po wewnętrznej stronie jej nogi, mocząc jej skórzane buty. Lekarz podszedł do zlewu, żeby umyć ręce.

– Będzie musiała ściągnąć majtki – powiedział do pielęgniarki.

Clara ściągnęła buty, nie rozwiązując ich, a ból w jej brzuchu sprawiał, że nie mogła się wyprostować. Pielęgniarka podeszła do niej i zaczęła podnosić sukienkę Clary, sięgając do jej bielizny. Dziewczyna odepchnęła ręce pielęgniarki i ściągnęła majtki, próbując się nie przewrócić. Weszła na stół do badań, usiłując oddychać powoli i głęboko.

Lekarz wyciągnął strzemiona na stopy i gestem nakazał Clarze, żeby się położyła. Zrobiła, jak jej kazano, kładąc głowę na małej, nierównej poduszce. Lekarz włożył jej stopy w strzemiona, a ona zamknęła oczy, próbując wyobrazić sobie twarz Brunona, jego ciemne włosy i biały uśmiech. Kiedy lekarz jej dotknął, drgnęła i odwróciła głowę, wpatrując się w swoje odbicie w szybie białej szafki wypełnionej szpatułkami, bawełnianymi kulkami i błyszczącymi, ostrymi instrumentami. Kiedy badanie się skończyło, lekarz poklepał ją po kolanie i kazał jej usiąść.

– Ta biedna dziewczyna zaraz będzie rodzić – powiedział pielęgniarence.

– Zawieźmy ją na salę.

Pielęgniarka zerknęła na Clarę z zaciśniętymi ustami, a potem podniosła podkładkę z kartą i podała ją lekarzowi.

– Kto jest jej lekarzem? – spytał, pisząc coś w karcie.

– Doktor Roach – odpowiedziała. – Mam wziąć wózek?

– Tak – odpowiedział lekarz. – Proszę się pośpieszyć. – Pielęgniarka wyszła z sali, a lekarz zwrócił się do Clary. – Wiesz, kto jest ojcem?

Clara kiwnęła głową, niepewna, czy może odpowiedzieć. Skurcze stawały się coraz częstsze.

– Mój chłopak, Bruno – powiedziała, łapiąc powietrze.

– Gdzie teraz jest Bruno?

– Nie wiem – wydusiła z siebie Clara

– Jest tutaj pacjentem? – spytał lekarz.

Clara potrząsnęła głową, a kropelki potu wystąpiły jej na czoło i górną wargę. Pielęgniarka wróciła do pokoju, prowadząc wózek, i wyciągnęła szpitalną koszulę z szafki. Clara zeszła ze stołu i usiadła na wózku, zginając się wół na siedzeniu. Wydawało jej się, że wydostają się z niej wnętrzności i za chwilę będą leżeć zakrwawione na jej podołku. Nagle opanowała ją chęć podniesienia się i spróbowała wstać z wózka.

– Siadaj! – rozkazała pielęgniarka, popychając ją z powrotem na siedzenie. Zanim Clara zdążyła zaprotestować, pchnęła wózek przez salę.

– Dziecko wychodzi! – wrzasnęła Clara.

Lekarz otworzył gwałtownie drzwi, a pielęgniarka wypchnęła Clarę na korytarz. Skręciła w prawo i pobięła korytarzem, krzycząc na inne pielęgniarki i pacjentów, żeby usunęli się z drogi. Jakiś sanitariusz pchał wózek prosto na nich, jedną ręką próbując utrzymać siedzącego na nim nieprzytomnego pacjenta. Mężczyzna nie zdążył skręcić i niemal się zderzyli. W końcu pielęgniarka skręciła w krótki korytarz i wjechała z Clarą do małego pokoju z pojedynczym łóżkiem.

– Wstań – powiedziała kobieta.

Inna pielęgniarka pomogła Clarze wstać z wózka i zaczęła ją rozbierać.

– Ubierzemy cię w szpitalną koszulę – powiedziała, ściągając Clarze biustonosz. – Będziesz rodzić. Rozumiesz to?

– Tak – powiedziała Clara, wciągając powietrze. – Powiedziałam doktorowi Roachowi, że jestem w ciąży, ale jego to nie obchodziło. – Wsunęła ramiona w koszulę i weszła na materac, kładąc się na plecach. Kolejny pierścień bólu zacisnął się na jej talii i znowu poczuła nieodpartą chęć, by przeć.

Pierwsza pielęgniarka przykryła Clarę cienkim prześcieradłem, a druga trzymała ją za kostki, składając jej nogi razem i mówiąc, żeby nie parła, dopóki nie przyjdzie lekarz. Clara rzucała się na łóżku, walcząc z chęcią parcia. Miała wrażenie, że jej ciało jest rozrywane na pół, ścięgni i mięśnie skręcają w przeciwnie strony, a żyły się naciągają, niemal pękając. W końcu na salę wbiegł lekarz, każąc pielęgniarkom przygotować koce, ręczniki i miednicę z gorącą wodą.

– Będziemy potrzebowali morfiny i skopolaminy – powiedział, a w jego głosie słychać było ponaglenie.

Pielęgniarki wybiegły z pokoju, a on zbadał Clarę jeszcze raz. Dziewczyna podniosła się na łokciach i popatrzyła na lekarza, wypatrując w jego twarzy jakichkolwiek znaków, które mogłyby jej coś powiedzieć o stanie dziecka. Łomoczące serce zatykało jej gardło.

Jeśli dobrze obliczyła, to dziecko zaczęło wychodzić dwa tygodnie za wcześnie. A teraz z powodu nagłego rozpoczęcia porodu do jej lęków dołączyła obawa, że jej córka przychodzi na świat za wcześnie i nie przeżyje. Wtem, tak nagle jak się zaczął, potężny skurcz ustąpił. Clara, dysząc, padła na poduszki.

– Czy coś jest nie tak? – spytała.

– Leż tylko spokojnie, tak jak teraz – powiedział lekarz. – Zajmę się tobą.

Pielęgniarki wbiegły z powrotem do sali obładowane ręcznikami,

z miednicą, torbą lekarską i dzbankiem parującej wody. Brzuch Clary znów się ścisnął i rozpoczął się kolejny skurcz, a każdy jej mięsień bolał, jakby był ściskany w ogromnym imadle. Wzięła głęboki oddech, położyła dłonie na kolanach i zaczęła przec. Dziecko już wychodziło. Czuła jego szeroką, wilgotną głowę wydostającą się z jej ciała na świat.

Clara miała atak paniki, brała szybkie i krótkie oddechy. Strumień płynu wypłynął między jej nogami. Ukłucie igłą sprawiło, że podskoczyła. Obróciła się i zobaczyła, jak pielęgniarka wbija jej w ramię igłę strzykawki, a jej usta są zaciśnięte w cienką, prostą linię. Clara usiłowała ponownie wstać, ale opuściły ją wszystkie siły. Spojrzała na lekarza, a widok zdeterminowania na jego twarzy był ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, zanim świat okryły ciemności.



## Willard

Izzy siedziała na tylnym siedzeniu mitsubishi Harry'ego i Peg. Obgryzała paznokcie i patrzyła na budynki Willard Street, które mijali za oknem samochodu. Ogrzewało ją słońce świecące na niebieskim, wrześniowym niebie, wypełnionym dużymi, białymi chmurami – sugerującymi możliwość późniejszego załamania pogody. Z lewej strony rozciągał się widok na lśniące w oddali jezioro Seneca. Płytkie fale uderzały o daleki brzeg. Wierzchołki drzew kołysał delikatny wiatr, a na starym, pokrytym gontem dachu hangaru dla łodzi zebrały się mewy.

Pomimo tej pięknej pogody teren i budynki ośrodka wydawały się martwe. Wszystko stało w miejscu – nie drgnęło nawet źdźbło trawy, ani jeden liść lub bluszcz. Nad dachami nie przeleciał ani jeden ptak i nie usiadł na żadnym z kominów. Okna oddziałów wyglądały jak czarne, wypalone dziury w ścianach z czerwonej kostki – zupełnie tak, jakby wewnątrz budynków zniszczył pożar lub jakby zapanowała tam ciemność tak ogromna, że światło nie było już w stanie jej przeniknąć.

Izzy nie mogła uwierzyć, że znowu tu jest. Zaraz wejdzie do opuszczonego szpitala, by przejrzeć starą dokumentację medyczną. Oddychała głęboko, usiłując odpędzić strach. Starła się skupić na tym, że być może uda się jej odnaleźć nowe informacje na temat Clary.

Trzy dni wcześniej – po tym, jak odrobiła pracę domową i zjadła kolację – Izzy wyznała Peg, że przeczytała dziennik Clary. Peg była zawiedziona, lecz nie zdenerwowana. Zrozumiała, jak bardzo Izzy była zafascynowana Clary, i wiedziała, że nie zamierza go sobie przywłaszczyć. Podziękowała jej, wygłaszając przy tym krótką mowę o zaletach szczerości. Wydawała się podekscytowana tym, co Izzy odnalazła w dzienniku.

– Dziękuję, że się na mnie nie złościysz – powiedziała Izzy.

– Następnym razem po prostu mnie spytaj, dobrze? – odrzekła Peg.

– Dobrze – obiecała Izzy.

– Wiem, jak bardzo zależy ci na tym projekcie – powiedziała Peg. – Może masz ochotę wybrać się z nami do Willard w sobotę? Władze stanowe pozwoliły nam przejrzeć dokumentację medyczną – wciąż nie mogę w to uwierzyć!

– Będziecie przeglądać teczkę Clary? – spytała Izzy.

– Przykro mi, ale nie – odpowiedziała Peg, kręcąc głową. – Dowiedzieliśmy się o niej wystarczająco dużo na podstawie tego, co znaleźliśmy w jej kufrze. Nie jest jedną z osób, której przeszłość zdecydowaliśmy się zbadać – jak sama powiedziałaś, jej dziennik także wiele wyjaśnia. Ale jeśli zdecydujesz się wybrać z nami do szpitala, możesz poszukać jej starej teczki. Pozwolono nam spędzić tam tylko kilka godzin, więc musiałabyś się pośpieszyć.

Teraz zbliżali się do szpitala, a serce Izzy biło coraz szybciej. Harry wjechał na wąską drogę podjazdową i zaparkował przy czteropiętrowym, ceglanym budynku. Wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Izzy wysiadła za nim, patrząc, jak dwa samochody podjeżdżają pod ten sam blok i parkują obok nich. Peg i Harry podeszli do bagażnika i otworzyli go. Z pierwszego pojazdu wysiedli dwaj pracownicy muzeum. Izzy nie widziała, kto siedział w drugim samochodzie, który stał zaparkowany po przeciwnej stronie drogi. Wiedziała jednak, że było to auto ojca Ethana, ponieważ Peg powiedziała jej, że dołączy do nich fotograf. Z samochodu wysiadł Peter. Całe auto aż zatrzeszczało, gdy je opuszczał. Izzy wstrzymała oddech. Nie wiedziała, czy będzie z nim Ethan. Peter jednak sam podszedł do tyłu auta i również otworzył bagażnik. Nikt inny nie wysiadł.

Izzy poczuła coś, co musiało być pewnym rodzajem ulgi: nie będzie musiała się starać unikać chłopaka, tylko będzie mogła całkowicie skupić się na poszukiwaniu dokumentów Clary. Od tamtej „akcji” na zajęciach psychologii minęły już cztery dni, a on wciąż się do niej nie odezwał. Mijała go i Shannon na szkolnym korytarzu, lecz oni tylko ją ignorowali. Nikt nie wspominał o jej mamie ani jej nie dokuczał. Izzy czuła się, jakby przestała istnieć. Jediną osobą, która ją zauważała, była Alex. Chociaż sama nie potrafiła powiedzieć dlaczego, zdawało jej się, że spokój Shannon jest ciszą przed burzą. Nawet Alex uważała, że Shannon zachowuje się dziwnie.

Izzy podeszła do bagażnika, gdzie ze zdziwieniem odkryła, że Peg i Harry wkładają szpitalne fartuchy na swoje ubranie. Dostała dla siebie zielony komplet od Peg, która dołączyła do niego latarkę.

– O co tu chodzi? – spytała Izzy.

– To stary szpital, pełen azbestu i ołowianej farby – odpowiedział Harry. – To miejsce może być dla nas toksyczne. Musimy się odpowiednio zabezpieczyć.

Izzy spojrzała na pracowników muzeum. Stali przy swoim samochodzie i również wkładali fartuchy. Peter podszedł do nich powolnym krokiem. Na jego twarzy malował się szeroki uśmiech, a na plecach niósł swój sprzęt fotograficzny i coś, co przypominało wielką latarkę. Peg i Harry zawiesili na szyjach papierowe maski i ruszyli w stronę budynku. Harry miał latarkę i sportową torbę, a Peg niosła płócienną siatkę. Izzy wraz z resztą grupy szła za nimi. Przywitały ich drzwi zamknięte na kłódkę i łańcuch, zabite deskami od środka. Peggy dała wszystkim po parze ochraniaczy na buty.

– Nie masz czegoś, co mógłbyś nałożyć na swoje ubranie? – spytał Harry Petera.

– Nic mi nie będzie – odpowiedział lekceważąco Peter, machając ręką.

– Nałóż chociaż to – powiedziała do niego Peg, podając mu maskę i parę ochraniaczy. Peter założył maskę, lecz gdy pochylił się, by założyć ochraniacze na swoje ogromne buty, okazało się, że są za małe. Uśmiechnął się i naciągnął je na uszy. Wszyscy się roześmiali.

– Ethan nie przyjechał z tobą? – spytała Izzy.

– Baseball – odpowiedział Peter i uśmiechnął się do niej. – Dziś ma trening, ale prosił, by cię pozdrowić i przekazać, że żałuje, że go tu nie ma.

Izzy poczuła, że się czerwieni. Schyliła się i naciągnęła ochraniacze na swoje buty. Dlaczego Ethan kazał ją pozdrowić, jeśli nie starczało mu odwagi, by porozmawiać z nią w szkole? O co mogło mu chodzić? Bał się przyznać, że są przyjaciółmi? A może bał się swojej dziewczyny? Izzy zacisnęła usta i wyprostowała się, mając nadzieję, że nikt nie dostrzeże jej rumieńców.

Harry wyjął pęk kluczy z kieszeni, otworzył kłódkę i zdjął łańcuch owijający mosiężne klamki.

– To jest ta nowsza część szpitala – powiedziała Peg. – Na samym początku działalności w Chapin Hall znajdowały się oddziały medyczne, sale operacyjne i kostnica. Później pacjentów z chorobami zakaźnymi przeniesiono do starej szopy i wybudowano ten budynek, który został głównym szpitalem.

Harry otworzył drzwi na oścież. Ze środka buchnęło stęchłe powietrze, wyrzucając na zewnątrz kilka zwitków starego papieru. Prostokątny strumień światła padał na ciemną podłogę, odsłaniając warstwy brudu i zastygniętej pleśni. Wszyscy nałożyli maski, po czym weszli do środka. Harry włączył latarkę i się rozejrzał. Pożółkłe kartki papieru, fragmenty ścianek działowych, kawałki złuszczonej farby i inne śmieci leżały na

podłodze, stary wózek inwalidzki opierał się o równie starą ścianę, a na środku korytarza leżał wywrócony metalowy stolik na kółkach. Miliony drobinek kurzu unosiły się w powietrzu, sprawiając wrażenie starej, prześwitującej zasłony. Wyglądały jak stado larw pływających w morskiej wodzie.

– Myślisz, że będziemy w stanie cokolwiek zobaczyć? – spytała Peg. Jej głos był przytłumiony przez maskę.

– Tak – odpowiedział Harry. – Peter przyniósł latarkę akumulatorową. Przez okno powinno wpadać trochę światła. Będzie dobrze. Powiedzieli nam, że sala, gdzie trzymano dokumenty, znajduje się na końcu korytarza w lewo.

Izzy szła za grupą, oświetlając latarką wnętrza pomieszczeń, które mijala. Pod butami chrobotał jej gips i stara farba. W pokoju po prawej zobaczyła rząd umywalek przy pokrytej pleśnią ścianie. Były wypełnione odłamkami tynku i pokryte kurzem, a ich dawno nieczynne krany były przeżarte rdzą. Kilkanaście sitek prysznicowych zwisało z długiej rury pod sufitem. Następne pomieszczenie było pełne wózków inwalidzkich – lecz materiał ich siedzeń został zastąpiony deskami sedesowymi bez klap. W jednym pomieszczeniu znajdował się tylko niezwykle brudny materac i kawał spleśniałego gipsu zwisający z sufitu. W oddali słyhać było echo kapiącej wody.

W końcu dotarli do zamkniętych drzwi z tabliczką „Archiwum”. Harry próbował otworzyć je trzema różnymi kluczami, zanim odnalazł ten właściwy. Otworzył drzwi i wszyscy weszli za nim do środka, gdzie przez dwa wysokie okna wpadało trochę światła. Powietrze było stęchłe i wszędzie unosił się kurz rozświetlony promieniami słońca.

Peg położyła rękę na piersi i rozejrzała się szeroko otwartymi oczami.

Pomieszczenie było wypełnione stołami o różnej wielkości, szafkami na dokumenty, komodami i półkami, pełnymi teczek, pudełek i stosów papierów. Pojedyncze, podarte kartki walały się na podłodze, a inne leżały w półmetrowych stosach sklejonych taśmą, z której dawno wyparował klej. Zdjęcia rentgenowskie i inne dokumenty po prostu leżały na podłodze, zupełnie jakby ktoś je tam rzucił i po prostu wyszedł, nie oglądając się za siebie.

– Jak my mamy cokolwiek znaleźć w tym bałaganie? – spytała Peg.

– Nie mam pojęcia – odparł Harry. – Ale mamy niewiele czasu.

Peter postawił swoją latarkę w rogu pokoju, oświetlając jego środek. Zdjął pudełka z jednego z mniejszych stolików i postawił go w miejscu, gdzie padało światło. Zaczął przygotowywać swój sprzęt. Peg poszła w najbardziej oddalony zakątek pomieszczenia, gdzie znalazła grubą teczkę. Popatrzyła na nią przez kilka sekund, po czym odłożyła ją i wzięła następną.

– Ktoś tu chyba próbował kiedyś zorganizować dokumenty alfabetycznie – powiedziała, gdy przejrzała kilkanaście teczek.

– Niech każdy z nas wybierze sobie jednego pacjenta i poszuka jego dokumentów – powiedział Harry.

– Dobry pomysł! – odpowiedziała Peg. Wyjęła ze swojej torebki kartkę z listą pacjentów i wyznaczyła po jednym dla każdego oprócz Izzy i Petera.

– Zapiszcie tu dane pacjenta i wszystkie informacje, jakie znajdziecie na jego temat – powiedziała, rozdając podkładki do pisania. – Peter, zrób tyle zdjęć dokumentów, ile tylko możesz. Mamy tylko jedną szansę, więc musimy ją wykorzystać. I to szybko. Izzy, ty będziesz mi pomagać.

Wszyscy rozeszli się po pomieszczeniu i zaczęli przeglądać sterty papierów. Izzy i Peg poszły na drugi koniec pokoju.

– Jak mogę ci pomóc? – spytała Izzy.

– Nazwisko pacjenta, którego szukam, zaczyna się na C, tak jak Clary – powiedziała. – Może tu uda się nam coś znaleźć.

Wyjęła grubą teczkę i obie pochyliły się nad pierwszą stroną. Do dokumentów dołączone były dwie czarno-białe fotografie: pierwsza przedstawiała kobietę w średnim wieku, ubraną w bluzkę z koronkowym kołnierzykiem. Jej włosy były zwinięte w kok. Uśmiechała się nieśmiało, patrząc przyjaźnie w obiektyw. Na ścianie za nią było umieszczone pięć liczb – czarnych cyfr na białym pasku. Druga fotografia przedstawiała tę samą kobietę, lecz znacznie starszą – miała szarą, pomarszczoną skórę i wielkie worki pod oczami. Jej twarz była wykrzywiona w grymasie, a usta zniknęły w bezzębnych dziąsłach. Izzy pomyślała, że był to najsmutniejszy widok, jaki kiedykolwiek widziała.

– Esther Baldwin – powiedziała Peg. Zamknęła teczkę i ją odłożyła. – Jesteśmy w sekcji „B”.

Poszła wzdłuż ściany, zdjęła następną teczkę z szafki i otworzyła ją. Izzy skupiła spojrzenie na Peg, unikając widoku kolejnej fotografii przedstawiającej osobę wyniszczoną latami spędzonymi w ośrodku.

– Dmitry Cabell – powiedziała Peg. Odłożyła teczkę i powiedziała szeptem – Dotarliśmy do „C”. Zobacz, czy uda ci się znaleźć dokumenty Clary.

Izzy poszła wzdłuż ściany i zdjęła teczkę z półki. Należała do kogoś o nazwisku Cahill. Odłożyła ją na miejsce i z niższej półki wyjęła kolejną. Ta należała do kobiety o nazwisku Callahan. Izzy wyjęła kolejną teczkę i następną, nie mogąc znieść widoku tych złamanych spojrzeń i bezzębnych twarzy. Nie potrafiła zrozumieć, w jaki sposób tak wiele osób mogło trafić do ośrodka, i tego, że część z nich już nigdy z niego nie wyszła.

Zastanawiała się, ile z nich podzieliło los Clary, nagle wyrwanej z normalnego życia i zamkniętej pod kluczem. Jak wyglądałby los pacjentów, gdyby pytano ich, co się im stało, a nie co im dolega? Większość teczek była bardzo gruba i opisywała całe lata spędzone w zakładzie. Izzy poczuła nieprzyjemne, zimne mrowienie w brzuchu.

*Dlaczego właściwie to robię?* – zastanawiała się, myśląc o całym poświęceniu i wysiłku, jaki włożyła w odkrycie losów kobiety, która od dawna nie żyła. Losów kobiety, której nigdy nie dana była szansa na normalne życie, na jakie zasługiwała. Przecież sama miała tak wiele problemów, dlaczego więc musiała jeszcze grzebać w cudzych?

Jeden z pracowników muzeum przyszedł z teczką na środek pomieszczenia, gdzie Peter robił zdjęcia starej dokumentacji medycznej z tabelami i zdjęciami rentgenowskimi. Izzy patrzyła na nich przez chwilę, po czym sięgnęła w stronę cienkiej teczki. Nie wzięła jej jednak do ręki. Jej uwagę zwróciła schowana pod nią gruba teczka. Wyjęła ją, otworzyła i prawie upuściła na podłogę: ze zdjęcia przestraszonym wzrokiem patrzyła na nią Clara. Miała zaciśnięte usta, jakby bardzo starała się nie rozplakać. Pod jej nazwiskiem widniał drukowany napis ZABURZENIA PARANOIDALNE. UROJENIA I HALUCYNACJE.

Izzy połknęła ślinę, czując, jak w jej oczach zbierają się łzy. Usiadła na wysokim stołku niedaleko szafki i wyciągnęła latarkę. Miała nadzieję, że nikt na nią nie patrzy. Położyła grubą teczkę na kolanach, przewróciła pierwszą stronę i zaczęła czytać.

*1 stycznia 1930: Pacjentka jest w dobrym stanie: utrzymuje czystość w swoim otoczeniu i zdaje się przyzwyczajać do życia na oddziale. Jest cicha i spokojna, lecz również zamknięta w sobie. Zdaje się*



*zupełnie nie rozumieć, dlaczego została tu przysłana. Doktor Thorn powiedział nam, że pacjentka nie wierzy, że jest chora psychicznie. Możliwe halucynacje i urojenia. Współpracuje i nie sprawia większych problemów, je i śpi dobrze.*

*2 stycznia 1930: Badania nie wykazały żadnych widocznych przyczyn fizycznych dolegliwości pacjentki. Temperatura i puls w normie. Badania kręgów piersiowych i kręgosłupa nie wykazały żadnych nieprawidłowości. Pacjentka wierzy, że jest w ciąży, lecz badania nic nie wykazały. Jest dość szczupła. Urojenia pacjentki mogą być rezultatem coraz częstszych halucynacji.*

Izzy wstrzymała oddech. Clara wierzyła, że jest w ciąży? Dlaczego nie wspomniała o tym w swoim dzienniku? Czy tak bardzo chciała uciec z ośrodka, że zaczęła wierzyć w to, że będzie mieć dziecko? A może w taki sposób odczuwała rozłąkę z Brunonem? Izzy szybko przeglądała następne strony, czytając najszybciej, jak tylko potrafiła.

*5 marca 1930: Pacjentka próbowała uciec. Ulega paranoi i urojeniom, wciąż nie rozumiejąc, dlaczego została umieszczona w ośrodku. W czasie rozmowy była wrogo nastawiona. Pacjentkę wysłano na sześciodniową izolację w celu ograniczenia jej paranoi.*

*31 maja 1930: Pacjentka wciąż ulega paranoi i urojeniom. Wierzy, że jest zakochana w mężczyźnie o imieniu Bruno – dokładnie tak, jak opisał to w liście jej ojciec, Henry Cartwright, informując nas, że ten mężczyzna nie istnieje. Wszelkie próby wytłumaczenia tego pacjentce nie powiodły się.*

*1 czerwca 1930: Pacjentka zakłóciła spokój i porządek podczas pracy w kuchni. Została pozbawiona przytomności. Potem skarżyła się na silny ból brzucha. Uraz głowy nie zagrażał życiu. Kilka godzin później pacjentka urodziła dziecko: zdrową dziewczynkę z lekką niedowagą. Ojciec nieznany.*

Izzy czuła się tak, jakby zaraz miało wyskoczyć jej serce z piersi. Nie była w stanie uwierzyć w to, co właśnie przeczytała. Clara i Bruno mieli córkę! Ojciec Clary powiedział jej lekarzowi, że Bruno nie istnieje! Izzy nie potrafiła sobie wyobrazić ojca, który wysłałby własną córkę do szpitala psychiatrycznego tylko dlatego, że zakochała się w kimś, kogo nie akceptował. Nie mogła przestać myśleć o ich dziecku. Czy niemowlęta są wystarczająco silne, by przeżyć? Czy trzymano je w Willard? Wyobraziła sobie dwie tablice na szpitalnym cmentarzu: matki i córki, które nigdy nie mogły żyć jak normalna rodzina, leżących obok siebie przez całą wieczność. Łzy przesłoniły jej spojrzenie. Starła się myśleć, że wszystko mogło potoczyć się inaczej, lecz nie była w stanie.

Przeglądała dokumenty w teczce, szukając więcej informacji: następne strony zawierały wpisy opisujące kolejne przypadki paranoi, urojeń i halucynacji. Wraz z upływem stron wpisy stawały się coraz rzadsze i dotyczyły głównie zdrowia fizycznego Clary i jej stosunków z innymi pacjentami. Izzy znalazła tabelki wypełnione przez kilkanaście różnych osób i listę leków podanych Clarze wraz z inicjałami lekarzy, którzy je przepisali. Zajrzała na ostatnią stronę, szukając zapisu z sekcji zwłok lub aktu zgonu. Jednak teczka nie zawierała takiego dokumentu.

Myślała o tym, czy Bruno wiedział, gdzie była Clara przez te wszystkie lata. Czy wiedział, że ma córkę? Czy może zapomniał o niej i ułożył sobie

życie z kimś innym? Przypomniały się jej te wszystkie koperty w jej kufrze, te wszystkie listy, które napisała do Brunona i które nigdy nie zostały wysłane. Spojrzała ponownie na zdjęcie Clary.

*Dowiem się, co stało się z twoją córką, myślała. Jeśli jakimś cudem wciąż żyje, odnajdę ją. Dam jej twój dziennik i twoje zdjęcia, na których jesteś z Brunonem. Powiem jej, jak bardzo ją kochałaś i że już nie musi się bać. Opowiem jej, jak było naprawdę.*

## *Chapin Hall*

*Wrzesień 1930*

**N**a zewnątrz liście na gałęziach drzew zaczęły powoli zmieniać kolory, a słońce migotało nad jeziorem Seneca niczym tysiąc rozbitych lusterek. Jeśli Clara wszystko dobrze wyliczyła, spędziła w tym pokoju w Chapin Hall prawie cztery miesiące. Widziała, jak szare, majowe deszcze zmieniają się w letnie dni pełne ulotnego słońca. Trawa na szerokich trawnikach Willard zmieniała kolor na brązowy, spalona gorącym, sierpniowym słońcem, które świeciło na niebie całymi dniami. Dostawała posiłek trzy razy dziennie, a dwa razy dziennie opróżniano jej nocnik. Raz w tygodniu pielęgniarka prowadziła ją pod prysznic, by mogła się umyć. To było więzienie, lecz pomimo tego czuła się tu lepiej niż na oddziale.

Wywnioskowała, że musiał być drugi tydzień września. Zastanawiała się, ile jeszcze czasu będzie mogła tak spędzić. Siedziała w wygodnym, wyściełanym metalowym krześle, ogrzewana tylko promieniami słońca wpadającymi przez brudne okna. Ogrzewanie wciąż było wyłączone. Kaloryfer był tylko kawałkiem zimnej stali pod ceglanym parapetem. Pielęgniarki twierdziły, że jeszcze za wcześnie na włączenie ogrzewania, chociaż w nocy pokój stawał się zimny, a w ciągu dnia nigdy w pełni się nie nagrzewał. Clara musiała spać w skarpetkach i swetrze.

Wyjrzała przez okno. Nad jeziorem wydawało się być cieplej niż w pokoju. Tak bardzo pragnęła móc otworzyć okno i wpuścić trochę świeżego powietrza. Pamiętała, jak wyglądał świat poza murami ośrodka: jesienny wiatr był delikatny i chłodny, a dzień pachniał świeżością natury, mieszaniną zapachu ziemi i suchych liści. Oddałaby wszystko, by jeszcze

raz go poczuć. Szpital był wypełniony przytłaczającym zapachem spleśniałych ścian, odpadającej farby, moczu i środków dezynfekujących. Clara była przekonana, że czuła w powietrzu ciepły, żelazny smak krwi, przypominający jej o wszechobecnej śmierci. Wyobrażała sobie, że jej nos i płuca powoli wypełniają się kurzem i czarną pleśnią i że zarazki i choroby, które były wszędzie dookoła niej, zaczynają ją dusić.

Jej oczy napełniły się łzami, gdy spojrzała na swoją córkę. Beatrice Elizabeth Moretti smacznie spała w jej ramionach, a ona poczuła, jak wypełnia ją uczucie ogromnej miłości. Zrobiłaby dla niej wszystko. Czy kiedykolwiek wypuszczą ją z Willard? Czy jeszcze kiedyś będzie mogła spędzić dzień w świetle słońca, oddychając świeżym powietrzem? Ten zamknięty, zatęchły szpital nie był miejscem, w którym można było wychowywać dziecko. Brudne powietrze pełne zarazków nie mogło być dobre dla małych płuc Beatrice. Clara poczuła ukłucie zimnego strachu. Czuła je kilkakrotnie w ciągu dnia. Prawie się rozplakała.

– Przepraszam, że przeze mnie tu trafiłaś – wyszeptała. – To wszystko moja wina. Powinnam wtedy po prostu wyjść za Jamesa. Mogłabym powiedzieć, że jesteś jego córką, i wtedy miałabyś wszystko. Ale nie wiedziałam. Nie wiedziałam, że mój ojciec zrobi mi coś takiego. Nie wiedziałam, że przestanie mnie kochać.

Doktor Roach powiedział jej, że poinformował jej rodziców o narodzinach dziecka, lecz nie uzyskał od nich żadnej odpowiedzi. Clara mogła tylko się domyślać, jak wściekły był Henry, słysząc, że urodziła nieślubne dziecko. Wiedziała, że od tej pory były z Beatrice zdane tylko na siebie, jeśli w ogóle uda im się przeżyć.

Gdy szła na swoją cotygodniową kąpiel, trzymając przy piersi Beatrice zawiniętą w kocyk, usłyszała, jak lekarze i pielęgniarki rozmawiają

o gruźlicy, tyfusie brzuszny, cholery i dyfteryście. Zrozumiała, że najbardziej chorzy pacjenci są trzymeni na osobnym piętrze, odizolowanym od reszty szpitala. Jednak pomimo opieki codziennie dochodziło tam do zgonów i wszyscy obawiali się rozprzestrzenienia potencjalnej epidemii. Co stałoby się z nią i jej dzieckiem, gdyby obie zachorowały?

Pielęgniarki chciały potrzymać Beatrice i umyć ją, lecz Clara im na to nie pozwoliła. Odkąd Beatrice przysła na świat, nie pozwoliła nikomu jej dotknąć. Bała się, że ktoś może ją czymś zarazić. Jeśli cokolwiek stałoby się jej córce, Clara nie musiałaby nigdy opuszczać Willard: wiedziała, że wtedy naprawdę straciłaby zmysły.

Starła się odepchnąć od siebie te obawy. Nie mogła sobie pozwolić na panikę i histerię. Musiała zachować trzeźwość umysłu, jeśli zamierzała przetrwać. Strach, który do tej pory odczuwała, zaczął się zmieniać w gniew, który rósł z każdym jej oddechem. Jak rodzice mogli zrobić jej coś takiego? Jak mogli ją zostawić na łasce lekarzy i pielęgniarek, którzy nic o niej nie wiedzieli? Czy rzeczywiście zamierzali porzucić ją i Beatrice, zostawić je w tym pokoju, by naprawdę oszalały, zachorowały i w końcu umarły? Myślała o swojej matce, zastanawiając się, czy niektóre kobiety mogą nie odczuwać instynktu macierzyńskiego. Jaka kobieta może nazywać się matką, jeśli nie obchodzi jej, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy własne dziecko?

Pomyślała o dniu, w którym urodziła się Beatrice. Kiedy Clara obudziła się po porodzie, padało na nią jasne światło i stały nad nią dwie niewyraźne sylwetki. Mrugnęła kilka razy, aż odzyskała wzrok: to był doktor Roach i pielęgniarka. Patrzyli na nią.

– Gdzie jest moje dziecko? – spytała, czując, jak wypełnia ją panika. Serce biło jej jak szalone i nie mogła złapać tchu. Usiłowała usiąść, lecz

poczuła nagle ukłucie bólu głęboko w brzuchu. Zignorowała je. Musiała wiedzieć, gdzie jest jej córka, czy wszystko z nią w porządku.

– Połóż się – powiedział doktor Roach.

– Twoje maleństwo jest tutaj – powiedziała pielęgniarka, kładąc dłoń na drewnianej kołysce. – To dziewczynka. Jest zdrowa.

Clara poczuła, że się uspokaja. Wypuściła powietrze z płuc, a jej serce zaczęło zwalniać swój szalony rytm. Podniosła się na drżących ramionach i spojrzała na swoją córeczkę: była owinięta w kocyk i smacznie spała. Gdy położyła się z powrotem na poduszki, poczuła ponowne ukłucie bólu, jakby ktoś wbił jej nóż w podbrzusze.

– Musisz teraz leżeć spokojnie. Nie możesz się ruszać – powiedział doktor Roach. – Uderzyłaś się w głowę. Myślę, że nic ci się nie stało, ale musisz przez parę dni zostać w łóżku.

– Co się ze mną dzieje? – spytała Clara, dotykając ręką brzucha.

– Doktor Slade musiał cię operować – powiedział doktor Roach spokojnym tonem. – To mała operacja. Nie musisz się martwić. Niedługo poczujesz się znacznie lepiej.

– Jaka operacja? – spytała. – Co on mi zrobił?

– Jestem lekarzem – powiedział doktor Roach, podchodząc do przodu jej łóżka. Wziął jej kartę, a z kieszeni fartucha wyjął długopis. – I mam pewne obowiązki. Muszę dbać o dobro ogółu społeczeństwa. Jeśli mamy się rozwijać, musimy zachęcać osoby z dobrymi genami do rozmnażania i zniechęcać do tego te ze złymi. Sterylizacja to powszechny zabieg w państwowych ośrodkach. Mamy lekarski obowiązek, by nie pozwolić osobom chorym na przekazanie dalej genu szaleństwa.

Clara poczuła, jak serce staje jej w gardle. Pomyślała o Brunonie. Pamiętała, jak zaświeciły mu się oczy, gdy rozmawiali o ślubie i o tym, że

będą mieć dzieci. Chciał mieć dwóch synów i dwie córki.

– Jak mogłeś! – krzyknęła.

– Porozmawiamy później – powiedział doktor Roach. Zapisał coś na jej karcie i odwiesił ją na łóżko. – Kiedy poczujesz się lepiej.

– Nie mogłeś tego zrobić! Nie mogłeś podjąć za mnie takiej decyzji! – krzyczała. Musiała się powstrzymać, by nie poderwać się z łóżka. Chciała go udusić. – Nic mi nie jest i ty dobrze o tym wiesz!

Doktor Roach odwrócił się do niej plecami i ruszył w stronę drzwi. Jego wypolerowane buty stukały o podłogę.

– To dziecko Brunona! – zawołała za nim Clara. Głos się jej trząśł. – Bruno istnieje. Mój ojciec cię okłamał!

Doktor Roach odwrócił się w jej stronę.

– Tak jak powiedziałem, porozmawiamy o tym za kilka dni, kiedy poczujesz się lepiej. Teraz przynajmniej już nic ci nie grozi. Powinnaś odpocząć.

Dziecko zaczęło się ruszać i pochlipywać. Szykowało się do płaczu. Doktor Roach wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

– Spokojnie, spokojnie – powiedziała do niej pielęgniarka. Podeszła do kołyski i podniosła dziecko. Było całe czerwone na twarzy i głośno płakało.

– Musisz myśleć o swojej córce – powiedziała do Clary. Podeszła do niej i ściągnęła kołdrę w dół do jej brzucha, kładąc płaczące dziecko w jej ramionach. Zgrubiałymi palcami rozsunęła jej koszulę nocną, odsłaniając spuchniętą pierś. Clara zasłoniła ją dłonią, czerwieniąc się z wściekłości i wstydu. Po raz pierwszy, odkąd się obudziła, poczuła, że jej sutki są obolałe. Zrozumiała, że gdy spała, ktoś przykładał jej dziecko do piersi.

– Mała lubi zjeść – powiedziała pielęgniarka.



Clara spojrzała na swoją córeczkę. Jej maleńką twarzyczkę zasłaniały łzy. Zapomniała o pielęgniарce. Jej dziewczynka miała delikatne, różowe policzki, jak podbrzusze jagnięcia. Miała długie czarne rzęsy, zupełnie tak jak Bruno. Dotknęła jej malutkiej, delikatnej dłoni. Poczwała, jak dziewczynka obejmuje jej palce swoimi malutkimi paluszkami. Malutkimi, różowymi usteczkami szukała sutka mamy. Gdy go znalazła, uspokoiła się i zamknęła oczy. Clara czwała ból głowy i brzucha, który przyplwał i odpływał niczym fale wraz z tym, jak córka ssała jej pierś. Pocałowała ją w czoło i spuściła głowę. Zaczęła się trząść. Myślała, że pęknie jej serce, gdy czwała, jak wypełniają ją przeogromna miłość i nieskończony smutek.

Teraz siedziała z nią w swoim pokoju. Ciepłe światło padało na nią przez brudną szybę. Clara dotknęła wąskiej, twardej blizny na swoim brzuchu i pocwała ogromny żal. Chociaż szwy usunięto dawno temu, ten fragment jej ciała wciąż był wrażliwy. Nadal czwała wściekłość z powodu tego, co zrobili lekarze bez jej zgody. Czwała, jakby jej palce dotykały żywego, krwawiącego ciała. Dotknęła policzka swojej śpiącej córeczki, usiłując nie myśleć o cieniu krat na jej bladej skórze. Pomyślała o swojej matce. Czy Ruth czwała taką samą ogromną miłość, gdy trzymała Clarę na rękach jako bezbronne niemowlę? Jak kobieta mogła urodzić córkę i potem już nigdy z nią nie porozmawiać? Jaka matka pozwoliłaby, by jej córka została zamknięta w zakładzie, i nie obchodziłoby jej to, że jest tam narkotyzowana, dręczona i że została wysterylizowana? Dlaczego nie pragnie dowiedzieć się, jak czuje się jej córka, czy jest głodna, czy jest jej zimno, czy się boi? Nie potrafiła tego zrozumieć.

Każdego dnia kochała Beatrice coraz bardziej. Czwała, że jej serce może pęknąć z miłości. Nie sądziła, że mogłaby kiedykolwiek przestać ją kochać. W te wszystkie długie, samotne miesiące w ciemnym szpitalnym pokoju

Beatrice leżała koło niej na łóżku i spoglądała na nią swoimi oczami ciekawymi wszystkiego. Clara opowiadała jej o wróblach i drozdach siedzących na gałęziach drzew za oknem, a Beatrice słuchała uważnie każdego słowa, reagując w odpowiednich momentach. Clara wymyślała dla niej historie o zamkach i księżętach i mówiła jej o jeziorze, trawie i drzewach. Czekoladowe oczy Beatrice robiły się szerokie, gdy opisała jej Brunona. Zupełnie jakby rozumiała wszystko, o czym Clara do niej mówi. Opowiedziała jej o tym, jak się poznali, i o tym, jakim wspaniałym będzie ojcem, jeśli tylko kiedyś zostaną wypuszczone ze szpitala.

Ku zaskoczeniu Clary doktor Roach zaczął się nią interesować bardziej niż kiedykolwiek. Nie była w stanie zrozumieć dlaczego. Odwiedzał ją co tydzień i pod koniec każdej wizyty zostawał na chwilę, by spytać, jak się czuje jej dziecko. Czy jest zdrowe i silne? Gdy podczas ostatniej sesji podszedł do kołyski i zaczął ściągać z Beatrice kocyk, by się jej lepiej przyjrzeć, Clary przeszył dreszcz. Wzięła córkę na ręce i podeszła do okna.

– Proszę, nie zbliżaj się do niej – powiedziała. – Nie chcę, by ktokolwiek jej dotykał.

– Ale ja jestem jej lekarzem – powiedział doktor Roach. – Nie musisz się mnie bać. Chcę dla was obu tylko tego, co najlepsze.

– Ona nie potrzebuje lekarza! – krzyknęła Clara. – A jeśli naprawdę chcesz dla nas tego, co najlepsze, wypuść nas stąd!

– Nie mogę. Chciałbym, ale nie mogę wypuścić stąd żadnej z was – odpowiedział. – Wciąż jesteś chora, Claro. Musisz tu zostać, dopóki nie stwierdzę, że czujesz się lepiej.

– Słucham? – przerwała mu Clara. – Jak to? Będziesz nas tu trzymał bez końca?

– Nie, nie – odpowiedział. – Czekam na wiadomość od twojego ojca,

a potem...

– Mojego ojca? – Clara straciła dech w piersiach. – Myślałam, że nie rozmawialiście od porodu? Powiedziałaś mu, że nie chcę od niego ani grosza? Że jedyne, czego pragnę, to wolność?

– Nie, nie – odpowiedział, kręcąc głową. Ścisnął usta w pogardliwym geście. – Nie mam z nim kontaktu.

– O czymś mi nie mówisz – powiedziała Clara. – Co się dzieje?

– Twój ojciec może potrzebować trochę czasu, by dotarło do niego to, że ma wnuczkę – odpowiedział. – Jestem pewien, że był to dla niego spory szok, szczególnie jeśli nie wiemy, kim jest jej ojciec.

– Bruno jest tatą Beatrice – odpowiedziała Clara, czując, jak narasta w niej wściekłość. – Spytaj mojego ojca!

– Spytałem – odpowiedział doktor Roach, idąc w stronę drzwi. – I to jego odpowiedź zadecyduje o tym, co się z wami stanie... Jeśli w ogóle nadejdzie.

Od tamtej chwili Clara pragnęła tylko tego, by jej ojciec powiedział doktorowi Roachowi prawdę. Po co miałyby trzymać ją tu dłużej? Przecież teraz nie mogła już zostać żoną Jamesa Gallaghery. Jej ojciec musi tylko powiedzieć doktorowi, że Bruno istnieje i jest prawdziwy, i wtedy będzie mogła stąd wyjść. Czy oczekiwała zbyt wiele?

Wtuliła twarz we włoski Beatrice – miały taki sam kasztanowy kolor i były tak samo pofalowane jak włosy Brunona – i poczuła jej niewinny, dziecięcy zapach. Chciała, by obu im starczyło sił. Przez ostatnie kilka dni Beatrice była wyjątkowo niespokojna. Clara zastanawiała się, czy to przez to, że nadchodził czas, w którym powinna przejść na pokarmy stałe. Clara nigdy wcześniej nie miała kontaktu z dziećmi, a Ruth nie przekazała jej żadnej wiedzy o macierzyństwie. Pomimo to zdawała sobie sprawę, że jej

mleko wkrótce przestanie być wystarczającym źródłem pożywienia dla Beatrice. Poprosiła pielęgniarki o poradę, lecz one zbyły ją tylko i powiedziały, że postarają się przynieść jej coś odpowiedniego dla dziecka.

Z zaskoczeniem zauważyła, że jej szpitalne posiłki przypominały te, które pamiętała z Domu na Long Island: na śniadanie otrzymywała tosty i sadzone jajka, na lunch kanapki z serem i szynką, a na obiad kurczaka lub wieprzowinę z bułką i fasolą, kukurydzą lub groszkiem do wyboru. Gdy wspomniała o tym jednej z pielęgniarek, ta zaskoczyła ją jeszcze bardziej, informując, że to doktor Roach poprosił, by otrzymywała właśnie takie posiłki – chciał mieć pewność, że będzie w stanie zapewnić dziecku wystarczająco dużo mleka. Jednak pomimo tej zbilansowanej diety jej piersi produkowały go coraz mniej. Zdecydowanie za mało dla rozwijającego się dziecka.

Pielęgniarki zaskoczyły Clare niedługo po porodzie: przyniosły jej pieluszki z delikatnego materiału i trzy stroje dla niemowlęcia. Były połatane i miały poprzecierane łokcie, ale były lepsze od szpitalnych ubrań, w które Clara musiała zawijać Beatrice. Ponieważ pielęgniarki pomogły jej raz, Clara miała nadzieję, że pomogą jej również później – w znalezieniu odpowiedniego jedzenia dla dziecka, takiego jak płatki ryżowe i przetarte owoce lub chociażby mleko.

Z rozmyślań wyrwał ją odgłos otwieranego zamka. Wstała i odwróciła się w stronę drzwi, trzymając Beatrice w ramionach. Kto to mógł być o tej porze? Było za wcześnie na lunch, a doktor Roach miał przyjść do niej z wizytą dopiero pod koniec tygodnia. Czyżby jej ojciec odpisał na jego list? Clara wstrzymała oddech i patrzyła na otwierające się drzwi.

Do pokoju weszła pielęgniarka i przytrzymała drzwi, by się nie zamknęły. Clara rozpoznała ją: to była jedna z pielęgniarek, które

przyniosły jej pieluszki i stroje dla dziecka. Wtedy uśmiechała się do Beatrice i mówiła jej, że jest śliczną dziewczynką. Teraz patrzyła w podłogę, jakby bała się spojrzeć Clarze w oczy. Doktor Slade i kobieta w cywilnym ubraniu weszli za nią. Oboje mieli surowe miny. Kobieta była ubrana w długi, wełniany płaszcz i zielony kapelusz, spod którego wymykały się kosmyki kasztanowych włosów. W jednej ręce trzymała różowy koc. Rozejrzała się dookoła, zaciskając usta. Zmarszczki na jej górnej wardze wyglądały jak milimetry na linijce. Za doktorem i kobietą weszło dwóch sanitariuszy, którzy zamknęli za sobą drzwi. Clara nie rozumiała, dlaczego doktor Slade przyszedł ją odwiedzić. Ostatni raz był u niej wiele tygodni temu.

– O co chodzi? – spytała.

– To pani Mason – odpowiedział doktor Slade. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Ruszył w stronę Clary. Kobieta szła za nim. – Z Agencji Pomocy Dzieciom.

Pani Mason skinęła głową w stronę Clary i spojrzała na Beatrice. Sanitariusze stali przy drzwiach i obserwowali je obie. Pielęgniarka stała ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w podłogę. Trzymała rękę na biodrze. Coś było nie tak. Clara cofnęła się, ściskając Beatrice. Serce biło jej coraz szybciej.

– Czego chcecie? – spytała.

– To nie jest miejsce dla dziecka – powiedziała pani Mason. – Obiecuję, że znajdę dla niej dobry dom.

Clara poczuła, jak cierpienie wypełnia ją od środka. Czuła się, jakby ogromna ręka sięgnęła pomiędzy jej żebra i wyrwała jej serce. Oddychała bardzo szybko, a jej brzuchem targały skurcze. Czuła się, jakby ból miał zaraz pozbawić ją przytomności.

– Nie! – krzyczała. – Ona jest moja! Nie możecie mi jej zabrać!

Odsunęła się do tyłu, aż uderzyła plecami o ścianę przy oknie. Miała nogi jak z waty i trzęsły się jej ręce. Poczowała gulę w gardle. Była pewna, że zaraz zwymiotuje.

Doktor Slade i pani Mason minęli jej łóżko i byli coraz bliżej Clary. Pani Mason rozłożyła na nim kocyk i sięgnęła po Beatrice.

– Nie! – krzyknęła Clara. Uciekła od ich wyciągniętych rąk w daleki kąt pokoju. Sanitariusze ruszyli w jej stronę spod drzwi. Wyglądali groźnie. Doktor Slade i pani Mason również szli w jej kierunku, osaczając ją samotną w rogu. Wyciągali do niej ręce, tak jakby byli myśliwymi zbliżającymi się do dzikiego zwierzęcia.

– Po prostu daj nam to dziecko – powiedziała pani Mason. – Nie chcesz go upuścić, prawda?

– Zostawcie nas w spokoju! – krzyczała Clara. – Nie pozwolę wam jej zabrać!

Doktor Slade skoczył do przodu i złapał Clarę za nadgarstek. Trzymał ją obiema dłońmi, dysząc z wysiłku. Pani Mason sięgnęła po Beatrice, usiłując wyrwać ją z objęć matki. Miała szorstkie dłonie. Clara odepchnęła ją i pani Mason zatoczyła się do tyłu, machając rękoma. Zrobiła wielkie oczy. W tym momencie Beatrice otworzyła oczy, zbudzona hałasem. Zaczęła płakać, a jej twarzą szybko stała się czerwona i pomarszczona. Pani Mason odzyskała równowagę i znowu zaczęła zbliżać się do Clary z wyciągniętymi dłońmi. Ta próbowała się wyrwać z silnego uścisku doktora Slade'a. Kopnęła go w piszczel, lecz on tylko zaklął i ścisnął ją jeszcze mocniej. Jego grube palce wbijały się w jej mięśnie. Sanitariusze byli przy niej, zanim zdążyła cokolwiek zrobić. Jeden z nich trzymał ją za rękę, a drugi stał z przodu, upewniając się, że nie upuści dziecka. Pani

Mason rozluźniła jej dłonie.

Clara wyrwała się doktorowi Slade'owi i uderzyła ją pięścią prosto w twarz. Pani Mason dotknęła dłonią dolnej wargi i odsunęła się do tyłu. Zszokowana patrzyła na krew na swoich palcach. Sanitariusze wykręcili Clarze ręce za plecy. Pani Mason patrzyła na nią, gdy wycierała sobie usta, rozsmarowując krew na brodzie. Clara tuliła Beatrice do piersi jedną ręką i ze wszystkich sił usiłowała się wyrwać z uścisku sanitariuszy. Bez skutku. Byli za silni.

– Nie! – krzyczała, zdzierając gardło. – Błagam! Nie możecie zabrać mojego dziecka!

– Możemy i zabierzemy – odpowiedziała pani Mason.

Z pomocą doktora Slade'a wyrwała Beatrice z jej objęć. Uśmiechała się, była z siebie zadowolona. Zdobywając się na ostatni, nieludzki wysiłek, Clara wyrwała się sanitariuszom i złapała ją za twarz. Drapała paznokciami jej policzki i chwyciła swoją córkę. Pani Mason zaczęła krzyczeć, łapiąc się za poranioną twarz. Clara przytuliła Beatrice do siebie i odwróciła się w stronę drzwi, zamierzając uciec z pokoju, jednak sanitariusze złapali ją za ramiona. Doktor Slade wyrwał jej Beatrice z objęć. Jego twarz wykrzywił grymas zdeterminowania.

– Nie, nie – mówiła Clara, płacząc. – Proszę. Nie zabierajcie jej.

– Przykro mi – powiedział doktor Slade. – Kiedyś zrozumiesz, że to dla jej dobra.

Pielęgniarka wycierała policzek pani Mason. Jej oczy były wypełnione łzami. Kobieta wyrwała jej ręcznik z dłoni i otarła krew z policzka. Podeszła do łóżka i rozłożyła na nim koc. Doktor Slade podał jej Beatrice, podtrzymując dłonią jej czarnowłosą główkę. Pani Mason położyła ją na kocu i owinęła go wokół nóżek. Wzięła zawinięte i płaczące dziecko

w ramiona.

– Podjął pan dobrą decyzję – powiedziała do doktora Slade’a. – Przecież ta kobieta w ogóle nie nadaje się na matkę.

Doktor Slade tylko skinął głową. Wciąż usiłował złapać oddech.

– Neeeeee! – krzyczała Clara, aż poczuła krew ściekającą po jej zdartym gardle. Rzucała się i kopała, z całych sił usiłując ponownie wyrwać się sanitariuszom. Gdy pani Mason ruszyła w stronę drzwi, opadła na podłogę. Każdą cząstką siebie odczuwała ogromny ból i potworny smutek. Wszystkie jej mięśnie i kości były nimi wypełnione. Sanitariusze przycisnęli ją do podłogi. Z hukiem uderzyła policzkiem o zimne kafelki. Poczowała ukłucie na ramieniu i resztką sił odwróciła głowę w stronę wyjścia. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, była pani Mason zabierająca jej córkę. Wychodziła z pokoju, trzymając ją w ramionach. Różowy koc zwisał z boku jej wełnianego płaszcza. Beatrice krzyczała i płakała.

Clara odwróciła głowę na sztywnej poduszce. Szare światło wczesnego poranka wpadało do pokoju przez kraty w oknie. Widziała cedry i mężczyznę w gumowych butach idącego wzdłuż drogi z łopata na ramieniu. Wtedy usłyszała czyjś krzyk. Usiadła na posłaniu i rozejrzała się po pokoju. Kilka kobiet siedziało na brudnych, metalowych łózkach. Każda z nich była do niego przykuta łańcuchem. Clara spojrzała w dół. Wokół jej kostki też był łańcuch. Była w Rookie Pest House.



W chłodny niedzielny wieczór na początku października księżyc w pełni wisiał na kobaltowym niebie. Wyglądał jak pokryty niebieskimi cętkami glob otoczony miliardem świetlnych punkcików. Mając na sobie dzinsy, trampki i bluzę z kapturem, Izzy jechała, siedząc na skórzanym siedzeniu należącego do Alex beamera, próbując zagłuszyć poczucie winy z powodu tego, że po raz kolejny okłamała Peg i Harry’ego. Najpierw nie powiedziała im, że to Ethan wziął dziennik, a teraz to. Fakt, to było jedynie drobne kłamstewko: powiedziała, że jest u Alex, lecz tak naprawdę pojechała na kemping z uczniami ostatniej klasy z Lakeshore oraz pobliskiego Romulus Central. Jednak nawet tak błahe kłamstwo sprawiło, że czuła się paskudnie.

Alex bębniła palcami po kierownicy, śpiewając z ryczącą z radia Alanis Morissette *You Oughta Know*. Gdy zjechały z dwupasmowej autostrady na wąską, zakurzoną drogę, Izzy poczuła ucisk w klatce piersiowej. Ciągle nie była pewna, czy to był dobry pomysł. Alex zwolniła na wyboistej drodze i ściszyła radio, gdy wjechały do czarnego, liściastego tunelu, który uformowały nisko rosnące drzewa, schylając się, gdy gałąź drapała dach samochodu. Światła podskakiwały na żwirze, łapiąc niewielkie, świecące w poszyciu oczy.

– Jesteś pewna, że to właściwa droga? – zapytała Izzy.

– Jasne – odpowiedziała Alex. – Ciągle organizujemy tu sobie imprezy. Nikt nigdy nie sprawdza tej okolicy. To własność stanu, część dawnego Szpitala Psychiatrycznego Willard.

Izzy przełknęła ślinę. Z całą pewnością był to błąd.

– Chyba nie powinnam była tu przyjeżdżać – odparła, spoglądając w kierunku lasu. – Biorąc pod uwagę to, co przydarzyło się Shannon, i resztę. Nie chcę żadnych kłopotów.

– Będzie tu tyle ludzi, że nawet nie będziesz wiedziała, że tutaj jest. Po prostu ją ignoruj.

– A co, jeśli ona mnie nie zignoruje?

– Będziesz ze mną i z moimi przyjaciółmi z Romulusa. Oni również nie będą tolerować bzdur, które Shannon wygaduje. Nic ci się nie stanie.

– No nie wiem...

– Odpręż się i pożyj trochę. To ostatni rok szkoły! Masz szaleć, póki możesz!

*Nie, dzięki, pomyślała Izzy. Właśnie tego staram się NIE robić.*

Na końcu zakurzonej drogi wjechały na trawiastą polanę pełną samochodów, ciężarówek i motocykli. Izzy przygryzła wargę. Pomiedzy drzewami po drugiej stronie parkingu widziała grupę młodych ludzi, którzy pili, palili i tańczyli wokół ogromnego ogniska na brzegu. Czerwone iskry strzelały w nocne niebo niczym fajerwerki, które wirując, zboczyły z trajektorii. W tle, niczym ogromna czarna misa, wyłaniało się jezioro Seneca, a księżyc odbijał się od powierzchni wody szerokimi, falującymi pasami. Izzy przeczytała gdzieś, że słowo „lunatyk” miało pochodzić od zgubnego wpływu promieni księżyca na ludzkie umysły. Miała nadzieję, że tej nocy tak się nie stanie.

Alex zaparkowała i obie wysiadły z beamera i wyciągnęły z bagażnika bawełniane torby, koce i namiot. Dudniące basy głośnej muzyki wybijały rytm, jak gdyby w piersi Izzy biło drugie serce. Chłodna bryza niosła przyjemny zapach ognia, palącego się drewna, gnijących ryb i mokrych wodorostów oraz zimnej wody w żelaznym kubku.

Izzy wzięła dodatkową kurtkę, zarzuciła torbę na ramię i podążyła za Alex na drugą stronę parkingu. Przeszły przez drewniany mostek zawieszony nad mokrym, bagnistym trzęsawiskiem, a następnie weszły na

wijącą się ścieżkę, mijając wysokie drzewka i piaszczyste łąchy, aż dotarły do brzegu jeziora. Tuziny młodych ludzi zebrały się na plaży: jedni stali, drudzy rozsiadali się na rozłożonych wokół ogniska krzesłach kempingowych. Inni stawiali namioty, gromadzili się na kocach, zjadając pizzę i frytki, paląc trawkę i popijając piwo. Jedna grupa siedziała wokół fajki wodnej, inna grała w siatkówkę, a jeszcze inna przekazywała sobie butelkę Jacka Daniels'a. Ktoś wjechał samochodem na piasek i otworzył bagażnik, z którego wydobywały się dudniące dźwięki, wprawiając w wibracje cały samochód. Impreza zaczęła się o trzeciej po południu, ale Izzy i Alex się spóźniły, bo miały sporo pracy.

– Tam się rozłożymy – zaproponowała Alex, wskazując puste miejsce obok opadającej krawędzi trawiastej wydmy. Izzy przeciskała się przez tłum w ślad za koleżanką, spoglądając na twarze ludzi w poszukiwaniu znajomych, i zastanawiała się, czy ktokolwiek zapyta ją, co ona tu, u diabła, robi. Widziała, jak jakiś facet stawał na głowie, a Luke i Josh trzymali go za nogi i wlewali piwo do lejka z węzłem umieszczonym w jego ustach. Tłum zgromadził się, dopingując: „Szybciej, szybciej, szybciej!”, podczas gdy chłopak próbował przełknąć piwo, nie rozlewając go.

Izzy dostrzegła kilka par siedzących przy ognisku ze splecionymi dłońmi. Gdy zobaczyła otulonych kocem Ethana i Shannon, którzy rozmawiali i śmiali się wraz z Crystal i jej chłopakiem, Dave'em, odwróciła wzrok.

– Okazuje się, że plotki chyba nie są prawdziwe – stwierdziła Alex, kładąc torbę na piasku. – A przynajmniej jeszcze nie.

– Jakie plotki?

Alex skinęła w kierunku Ethana i Shannon.

– Wszyscy mówią, że Ethan zamierza rozejść się z Shannon, by móc

umawiać się z tobą – odparła.

Izzy poczuła, jak krew napływa jej do policzków.

– Tak się nie stanie.

– Co się nie stanie? Nie zerwie z nią czy nie umówi się z tobą?

– Ani jedno, ani drugie.

– Twierdzisz, że nie jesteś zainteresowana? – zapytała Alex, szeroko się uśmiechając. Przyklęknęła, aby rozwinąć namiot.

– Nie jestem. A już z pewnością nie chcę, aby szkolna dręczycielka się za mną uganiała.

– Więc gdyby nie Shannon, to byłabyś zainteresowana.

– Nie to miałam na myśli.

– Och, czaję. Jeszcze masz chłopaka ze starej szkoły.

Izzy potrząsnęła głową.

– Po prostu skupiam się na przejściu przez ten rok, to wszystko. Muszę ustalić, co będę robić, gdy skończę osiemnaście lat. Nie chcę, aby jakiś głupi związek komplikował mi życie.

– Aha – przytaknęła Alex.

W tym momencie przyszła grupa dziewczyn i chłopców niosących koce, namiot, torby z materiału i chłodziarkę. Chłopaki zamocowali chłodziarkę i przeszli do rozstawiania namiotu, a dziewczyny witały się z Alex. Alex przedstawiła je Izzy.

– To jest Kim i Jackie z Lakeshore. – Wskazała na chłopców. – To Chris z Lakeshore oraz Fin i Turtle z Romulusa.

– Cześć – przywitała się z uśmiechem Izzy.

Jackie sięgnęła do chłodziarki i podała Izzy i Alex napój chłodzący z dodatkiem wina. Była wysoka i smukła, splotła piaskowe włosy

w warkocze i miała gładką i opaloną skórę. Wyglądała, jakby wyjęto ją prosto z reklamy Coppertone. Kim była niska i pulchna, z ognistymi włosami i grubymi okularami. Chłopcy przestali pracować, wzięli kilka piw i przyłączyli się do dziewczyn.

– Czy Alex powiedziała ci, dlaczego nazywają Turtle’a „Żółwikiem”? – zapytał Fin Izzy.

Ta potrząsnęła głową, a Turtle uderzył Fina w ramię.

– Zamknij ryj! – powiedział.

Fin wskazał na jego krocze.

– Bo wygląda jak wyzierająca główka żółwika.

Wszyscy się śmiali, a Turtle wskoczył na plecy Fina, próbując powalić go na piasek.

– Nie zwracaj na nich uwagi – powiedziała Jackie. – To idioci.

– Aha – powiedziała Alex. Patrzyła gdzieś za Izzy, w kierunku ogniska. Jackie i Kim powiodły wzrokiem za Alex, unosząc brwi ze zdumienia. Izzy odwróciła się, a jej serce zaczęło bić dwa razy szybciej. Ethan, Shannon, Josh, Crystal i Dave szli w ich kierunku. Izzy spojrzała na Alex, zastanawiając się, co zrobić. Dziewczyna wzruszyła ramionami. Gdy Ethan i cała reszta do nich dotarli, chłopaki uderzyli się na niby pięściami, wzniesli piwa do góry i powiedzieli „na zdrowie”. Izzy utkwiała wzrok w ziemi.

Shannon i Crystal przywitały się z grupą, a ich słowa dosłownie ociekały lukrem. Alex przewróciła oczami. Jackie, Kim i chłopaki powitali wszystkich, oferując napoje chłodzące na bazie piwa i wina. Chłopaki zaczęli rozmawiać o samochodach i piłce nożnej, a dziewczyny o tym, ile poduszek przywiozły ze sobą, i o wygrzewaniu się na słońcu. Izzy nie spuszczała wzroku z Alex, Kim i Jackie. Wtedy ktoś dotknął jej ramienia

i podskoczyła. To była Shannon.

– Mogę z tobą porozmawiać? – zapytała słodkim głosem. – Na osobności?

Izzy upiła spory łyk wina i spojrzała na Alex, która zmarszczyła brwi. Shannon spojrzała na Izzy smutnymi oczyma, niemal podwijając dolną wargę.

– O czym chcesz z nią porozmawiać? – zapytała głośno Alex.

Ethan i Fin przestali żartować, a Dave podniósł głowę, by zobaczyć, co się dzieje. Podszedł bliżej, a na jego twarzy malowało się zaniepokojenie.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Shannon wzięła go za rękę. Crystal pociągnęła Dave'a za koszulkę i powiedziała mu, żeby się uciszył. Wszyscy po kolei zamilkli. Izzy miała niepokojące przeczucie, że przygotowywali się do przeprowadzenia na plaży rytuału, w którym miano złożyć ją w ofierze.

– No dobra, w porządku – powiedziała Shannon, przewracając oczami.

– Powiem to tutaj przed wszystkimi.

– To powinno być interesujące – wymamrotała Alex.

– Wiem, że byłam wredną suką, i przepraszam – przyznała Shannon. – Naprawdę. Mówię to na serio. To nasz ostatni rok i chcę pozostawić po sobie dobre, a nie złe wspomnienia. Miałam zamiar zacząć od przeproszenia Izzy. Wiem jednak, że muszę przeprosić i ciebie, Alex.

Alex zaśmiała się w głos.

– Naprawdę myślałaś, że to będzie takie proste? „Wredna suka” to mało powiedziane.

– Może posłuchasz, co ma do powiedzenia? – zawarczała Crystal.

– Przecież słucham, prawda? – odparła Alex.

– W porządku, Crystal – powiedziała Shannon. Potem jakby nagle zrobiło się jej zimno, potarła ramiona i przysunęła się do Ethana. Ethan zdjął kurtkę i okrył nią Shannon. Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek, a następnie spojrzała na Alex i Izzy z drżącym podbródkiem. Odnosiło się wrażenie, że jest to przedstawienie grane dla nich wszystkich.

– Ciężko mi o tym mówić – zaczęła Shannon – ale Alex ma rację. Zachowałam się gorzej niż jakaś suka. Byłam wredną i okropną osobą. Traktowałam ludzi jak gówno i jest mi przykro. Nie ma dla mnie usprawiedliwienia.

– Więc – odparła Alex, w której głosie przebijała wątpliwość – po latach terroru z twojej strony mamy uwierzyć, że nagle dostrzegłaś błąd w swoim zachowaniu. Mamy tak po prostu łyknąć te bzdury i stwierdzić: „Mniem, co za dobre żarcie”?

Shannon gapiła się na nią, a jej policzki nabierały coraz intensywniejszego koloru.

– Wiem, że proszę o wiele – powiedziała. – Ale przez te wszystkie lata, gdy słyszałam, co ludzie mówią o moich rodzicach... – Spuściła wzrok. – Wiem, że pewnie myślicie, że mam serce z kamienia. Ale tak nie jest. Gdy słyszę, co ludzie mówią o mojej rodzinie, to boli. Sądzę, że po prostu... sama nie wiem. Chciałam zaszaleć i w odwecie zranić innych. Wiem, że postąpiłam źle.

Izzy usłyszała słowa wypływające ze swoich ust, zanim mogła je powstrzymać.

– Ludzie i tak będą mówić – powiedziała. – Nic nie możesz na to poradzić. Po prostu ich ignoruj.

Shannon przechyliła głowę i uśmiechnęła się do Izzy jak mała dziewczynka, która zobaczyła szczeniaka w witrynie sklepu ze zwierzętami.

– Widzicie? – zapytała. – Wiedziałam, że Izzy zrozumie. Przepraszam, że powiedziałam całej klasie, że twoja mama jest w więzieniu.

– Boże, właśnie znowu to zrobiłaś! – wykrzyknęła Alex, podnosząc głos. – Izzy właśnie poznała moich przyjaciół, a ty papłasz bzdury przy wszystkich!

Shannon położyła dłoń na ustach.

– Ups! – rzuciła. – Nie zrobiłam tego celowo. Nie tym razem, naprawdę!

Alex potrząsnęła głową.

– No nie wiem – powiedziała. – To wygląda, jakbyś wykorzystała okazję, by znowu zrobić Izzy wstyd.

Shannon wbiła wzrok w Izzy, a jej oczy napełniły się łzami. Stojący obok niej Ethan oglądał piwo, które trzymał w ręce, piasek, Fina i Turtle'a, by tylko nie spojrzeć na Izzy. Słowa Shannon, ton jej głosu, jej gesty, sposób, w jaki drżała jej warga, gdy mówiła – to wszystko wydawało się prawdziwe. A mimo to Izzy mogła przysiąc, że widziała gorący przebłysk furii, który ciągle gościł w oczach Shannon. Jednak przynajmniej tego wieczoru postanowiła się dostosować.

– Nie mogę mówić za wszystkich – powiedziała – ale jestem skłonna dać ci kolejną szansę.

Prawda była taka, że jej ulżyło. Nawet jeśli Shannon wróci do swojego złego postępowania, gdy w poniedziałek pójdą do szkoły, to chociaż przez jedną noc Izzy może się odprężyć, dobrze bawić i zawrzeć nowe znajomości.

– Mówisz poważnie? – Alex zapytała Izzy. – Masz zamiar jej tak po prostu wybaczyć?



– W porządku, Alex – odparła Shannon. – Wiem, że traktowałam cię gorzej niż kogokolwiek innego. Masz pełne prawo nigdy się już do mnie nie odzywać. Nie musisz mi wybaczać, jeśli nie znajdujesz tego w swoim sercu. Mam nadzieję, że możemy być chociaż dla siebie uprzejme aż do ukończenia szkoły.

Wszyscy patrzyli na Alex, czekając na jej reakcję. Izzy drgnęła, mając nadzieję, że Alex nie jest na nią zła za to, że tak szybko uległa.

W końcu Alex przewróciła oczami.

– Niech ci będzie – powiedziała. – Dam ci kolejną szansę, bo mam dość kłótni i wbijania sobie nawzajem noża w plecy. Ale ostrzegam cię, nie próbuj ze mnie zadrwić. Nie wybaczę ci ponownie.

– W porządku! – odparła Shannon. Ruszyła w kierunku Alex z otwartymi ramionami, ale ta się cofnęła, podnosząc rękę. Shannon gwałtownie się zatrzymała. – W porządku – powiedziała, uśmiechając się. – Rozumiem. Nie jesteśmy jeszcze na tym etapie. – Wyprostowała rękę, trzymając napój na odległość ramienia.

– Czy możemy chociaż napić się za nowy początek?

– Pewnie – powiedziała Alex, unosząc swój napój.

Gdy wszyscy się już napili, Shannon oznajmiła:

– Nasz namiot znajduje się przy brzozowym zagajniku. Gdy się rozłożycie, wpadnijcie do nas.

– Zobaczymy – odparła Alex.

Shannon zwróciła się do Izzy:

– Przyjdiesz do nas na chwilę? – zapytała.

Izzy wzruszyła ramionami.

– Pewnie – odparła.

– Świetnie – powiedziała Shannon, uśmiechając się. – Josh przyniósł petardy. Poczekamy na ciebie, zanim je odpalimy! – Pocałowała Ethana i odciągnęła go, strzepując małe chmurki piasku, który opadał, gdy pospieszyła w kierunku ogniska. W połowie drogi podniosła swojego drinka i krzyknęła:

– Baaawmy się!

Fin i chłopaki wrócili do stawiania namiotów, a Jackie i Kim rozkładały krzesła i koce. Izzy uklękła na ziemi, aby pomóc Alex w postawieniu namiotu.

– O co w tym wszystkim, u diabła, chodziło? – powiedziała ściszym głosem, tak aby inni jej nie słyszeli.

– Nie mam pojęcia – odparła Alex. – Ale znasz to stare powiedzenie: „Trzymaj przyjaciół blisko, a swoich wrogów jeszcze bliżej”?

– Sądzisz, że to właśnie próbuje zrobić? – zapytała Izzy.

– Z całą pewnością – odparła Alex. – Co oznacza, że musisz być niesamowicie ostrożna.

– Ja? – odparła Izzy. – Dlaczego?

– Bo to, moja naiwna przyjaciółko, był pierwszy raz, kiedy kogokolwiek przeprosiła. Kiedykolwiek. To prawie ją zabiło. Naprawdę musisz stanowić dla niej zagrożenie.

Izzy ścisnęło w żołądku. Miała nadzieję, że przeprosiny Shannon były szczere, że naprawdę miała zamiar zacząć wszystko od nowa. Izzy wykazała się wyjątkową naiwnością. Nic nigdy nie było takie proste.

Do północy połowa uczniów ostatniej klasy leżała nieprzytomna na piasku, w namiotach lub siedziała, dyskutując podniesionymi głosami i niewyraźnie wypowiedzianymi słowami o polityce i religii. Alex, Izzy,

Jackie i około tuzina innych osób, wśród nich także Shannon i Ethan, siedzieli przy dogasającym ognisku na wyrzuconych na brzeg kłodach. Izzy dźgała pomarańczowe, pulsujące niedopałki końcówką długiego kija, odłamując zwęglone kawałki od palącego się drewna, podczas gdy Alex i Fin odbywali zagorzałą dyskusję na temat globalnego ocieplenia. Noc mijiała lepiej, niż Izzy przypuszczała. Naprawdę się odprężyła i pośmiała. Rzucała petardy do ognia i przyglądała się, jak niektórzy chłopcy i dziewczyny pływali w jeziorze. Właśnie miała powiedzieć Alex, że wraca do namiotu, gdy Josh wstał i obszedł ognisko, podążając w jej stronę. Ciągle dziwiła się jego wielkiemu rozmiarom i cienkiemu głosikowi. Był gwiazdą drużyny piłkarskiej i nie mogła powstrzymać śmiechu, gdy myślała, jak dopinguje drużynę swoim „No dalej!” na boisku.

– Cześć, może przyda ci się towarzystwo? – zagadnął, spoglądając na nią z góry. Nie miał butów ani koszulki, a jego szeroką klatkę piersiową pokrywały rude włoski.

Izzy po cichu zaklęła.

– Właściwie to miałam już wracać – powiedziała.

Zignorował ją i przycupnął obok na kłodzie. Wyglądał teraz niczym ogromna rycząca żaba. Kiedy jego masywne udo dotknęło jej uda, Izzy od razu się odsunęła.

– Więc jak ci się podoba życie na pięknym brzegu jeziora Seneca? – zapytał.

Siedział na kłodzie, opierając ramiona na kolanach, trzymając w muskularnej, piegowatej dłoni butelkę piwa.

Izzy utkwiała wzrok w żarzących się węgielkach.

– Jest w porządku.

– Sądzę, że teraz będzie łatwiej, skoro ty i Shannon się przyjaźnicie.

Spojrzała na niego. Oczy mu się szklily, a jego twarz była purpurowoczerwona od nadmiaru słońca i alkoholu. Nie wyglądał jednak na pijanego. Izzy wyobraziła sobie, że mógłby wypić całą beczkę piwa i nic nie poczuć.

– Miejmy nadzieję – odparła. – Od jak dawna ty i Shannon się przyjaźnicie?

Josh zmarszczył brew, szybki błysk niepewności przemknął przez jego twarz. Potem zmieszanie ustąpiło i uśmiechnął się.

– Przyjaźnię się z nią od bardzo dawna. Byliśmy przyjaciółmi od przedszkola. Całowaliśmy się za pianinem.

– Ethan wie, że chodziłeś z jego dziewczyną? – zapytała Izzy. Była to marna próba bycia zabawną, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy. Choć może próbowała dowiedzieć się czegoś więcej o Ethanie i Shannon.

Josh wykonał ręką gest oznaczający „A co tam”.

– Ethan i ja kolegujemy się. Wie, że ja i Shannon byliśmy przyjaciółmi.

– Byliście?

Josh przechylił grube uda na jedną stronę, jakby myślał nad tym, co powiedział.

– Jest teraz z Ethanem. On jest teraz jej najlepszym przyjacielem. Ciągłe jednak się przyjaźnimy.

– A, rozumiem – odparła Izzy. Nagle poczuła ciężką rękę Josha na ramionach. Jej nozdrza wypełnił gorzki odór potu i piwa.

– Może ty i ja będziemy najlepszymi przyjaciółmi? – zapytał.

– Ehm – odparła Izzy. Strząsnęła jego rękę z ramion i wstała. – Chyba już pójdę do wyrka.

Josh chwycił ją za ramię, a jego wielka ręka była niczym robak.

Zacisnął spoconą dłoń wokół jej nadgarstka.

– Usiądź – powiedział, ciągnąc ją. – Nie możemy po prostu pogadać przez parę minut? Poznać się trochę lepiej?

Wyzwoliła się z uścisku.

– Przepraszam – powiedziała. – Ale jestem zmęczona i idę spać.

Właśnie w tej chwili wstał Dave, podszedł do samochodu i wyłączył wieżę stereo.

– Cześć wszystkim! – wykrzyknął i wrócił do dogasającego ogniska. – Jest północ. Wiecie, co to oznacza!

Josh wstał i przeciął pięścią w powietrze.

– Tak! – wykrzyknął. – Zróbmy to!

Kilka tuzinów młodych ludzi zerwało się na równe nogi, mówili z podekscytowaniem, zabierając latarki i piwo. Po drugiej stronie dogasającego ogniska stał Ethan i wypróbowywał swoją latarkę. Shannon i Crystal ubrały kaptury i czekały z tajemniczymi uśmiechami, wierząc nogami w oczekiwaniu.

– Zróbmy co? – zapytała go Izzy.

– Wybieramy się do Willard – odpowiedział Josh. Dopił resztę piwa i rzucił butelkę w żar. – Chodź! Przyniosłem dodatkowe latarki.

Izzy zaczęło się przelewać w żołądku. Obok niej stali Fin i Alex. Składali koc, który wcześniej zarzucili na ramiona.

– Nie idziesz, prawda? – zapytała Izzy.

– No jasne, że idę! – odparła Alex, a jej oczy błyszczały. – Uwielbiam duchy, seanse i te wszystkie bzdety. Będzie rewelacyjnie. Kiedyś szliśmy brzegiem aż do szpitala Willard i weszliśmy do starego hangaru na łodzie. Było tam strasznie jak nie wiem, ale nigdy niczego nie widzieliśmy. Teraz

możemy przeszukać wszystkie budynki!

– W takim razie baw się dobrze – odparła Izzy. – Ja tu zostanę i trochę się prześpię.

– No daj spokój – powiedziała Alex. – Nie bądź zołą! To tylko dwa i pół kilometra spaceru.

– Nie martwię się spacerem – odparła Izzy.

Alex przechyliła głowę.

– No coś ty. Jeśli zrobi się zbyt strasznie, to wrócimy. Obiecuję.

– Jeśli nie chce iść – stwierdził Josh – to nie musi. Zostanę tutaj i dotrzymam jej towarzystwa. – Po czym ponownie zarzucił Izzy rękę na ramiona, przyciągając ją do pulchnego, spoconego ciała. Izzy odczepiła jego palce od ramienia i wywinęła się z jego uścisku.

– Po namyśle – powiedziała Izzy – sądzę, że może spacer dobrze mi zrobi.

Wszyscy włożyli buty i koszulki, trzecioklasiści udali się na brzeg z latarkami w dłoniach, a ich światła przeskakiwały po skałach, niebie, piasku i lesie. Księżyc w pełni odbijał się od jeziora, nadając wodzie niebieskawy połysk, jakby nie z tego świata. Luke i Josh szli na przedzie, wybierając najkrótszą drogę pomiędzy przewróconymi drzewami i głazami wielkości samochodu, przenosząc niektóre dziewczyny nad bagnistymi kałużami, aby nie zmoczyły sobie stóp. Gdy hangar Willard oraz dok pojawiły się w polu widzenia, Luke zatrzymał się i odwrócił do wszystkich.

– Podzielmy się na grupy – powiedział. – W ten sposób obejdziemy więcej terenu. Jeżeli ktoś coś zobaczy, przegrupujemy się i razem to sprawdzimy. Kilkoro moich przyjaciół zeszło tunelami poniżej Chapin Hall i natknęło się na kostnicę. Blisko krypty, w której trzymano ciała, znaleźli coś, co przypominało zwłoki kobiety.

Crystal i jedna z jej przyjaciółek zapiszczały i przytuliły się, chichocząc. Luke podniósł rękę, by je uciszyć.

– Twarz tej kobiety była nabrzmiała i czarna – dodał. – Jakby była pod wodą czy coś w tym rodzaju. Otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć, a potem zniknęła.

– O Boże! – krzyknęła jedna z dziewcząt.

– Cicho bądź! – powiedział ktoś.

– Lekarze stosowali terapię elektrowstrząsami w piwnicy Chapin Hall – powiedział Luke. – W latach czterdziestych doszło do wielkiej powodzi i wielu pacjentów się tu utopiło. Chyba z pięćdziesiąt osób. Sądzymy, że kobieta była jedną z ofiar.

– Pierdzielisz! – wykrzyknął jeden z chłopaków.

– Możecie dać mi znać, jak wam idzie. – Jackie zwróciła się do Alex: – Ja wracam.

– No daj spokój – odparła Alex. – To tylko dla zabawy.

Jackie potrząsnęła głową.

– To dla mnie za mocne.

– Pójdę z tobą – powiedziała Izzy.

– Nie możecie mnie obie zostawić! – powiedziała Alex. – Proszę cię, Izzy. Musisz zostać.

Izzy jęknęła w myślach.

– No dobra. – Przynajmniej może uda jej się czegoś dowiedzieć na temat Clary i jej córki.

– Jeśli ktoś chce wracać – ogłosił Josh – to niech śmiało idzie. Reszta wchodzi. A teraz zaczynamy. Ja, Bryan, Paul i Ethan będziemy przewodnikami grup. Jedna grupa wejdzie na oddziały, inna do kostnicy

pod Chapin Hall, jedna do Hadley Hall i jedna do Rookie Pest House. Luke i Dave, co powiecie na przeszukanie kostnicy?

– Wchodzimy w to – powiedział Dave i otoczył ramieniem Crystal, która uśmiechnęła się i przytaknęła, wyrażając tym samym swoją aprobatę.

– Ja również – powiedział Luke.

– Rewelacja! – stwierdził Josh. Spojrzał na Alex i Izzy. – Chcecie być w naszej grupie?

Alex spojrzała na Izzy.

– Byłoby świetnie sprawdzić kostnicę.

Izzy wzdrygnęła się.

– Wszystko mi jedno, w której jestem grupie.

– Wygląda na to, że w to wchodzimy – zwróciła się Alex do Josha.

– W takim razie mam już grupę – ogłosił Josh.

Izzy zacisnęła szczęki. Przystąpienie progów szpitala Willard było wystarczająco okropne za dnia, a co dopiero wejście do kostnicy pod Chapin Hall w nocy! I to z kilkoma przyjaciółmi Shannon. Wyglądało to na naprawdę zły pomysł. Co jednak miała zrobić? Jeśli spróbowałyby wrócić, Josh pewnie zaproponowałby, że wróci razem z nią. Nie miała zamiaru przyznawać się, że się boi. Przynajmniej w grupie było bezpiecznie. Najlepsze, co można było zrobić, to mieć to za sobą.

– Niech wszyscy wyłączą latarki, wchodzimy do budynków – zapowiedział Josh.

Wlekli się po trawiastym wzniesieniu w kierunku budynku Willard o zamkniętych okiennicach, a światło księżyca i ich cienie omiatały teren. Gdy dotarli do Chapin Hall, wszyscy zatrzymali się i wpatrywali w budynek, świecąc w zakratowane okna i ciemne okna mansardowe.



Ogromny wiktoriański budynek wyglądał dziesięć razy bardziej przerażająco w nocy. Izzy poczuła pierwszy trzepot niepokoju w piersi. Jakim cudem trafiła tutaj po raz trzeci? I to jeszcze udaje się w nocy do kostnicy?

– O Boże! – powiedziała Crystal. – To najstraszniejszy budynek, w jakim kiedykolwiek byłam.

– Założę się, że kostnica jest jeszcze straszniejsza – powiedziała Alex, uśmiechając się.

Crystal chwyciła rękę Dave'a.

– Ohyda! – powiedziała, przeskakując z jednej nogi na drugą. – Jestem tak przerażona, że chyba się posikam!

Na rozpadającej się, wyboistej drodze przed Chapin Hall grupy się rozdzieliły. Grupa Ethana skierowała się na oddział, Bryana do Rookie Pest House, grupa Paula do Hadley Hall, a Josha poszła do kostnicy.

Josh poprowadził grupę wokół oddziałów na tyły Chapin Hall. Ceglane, dwupiętrowe budynki z niezliczonymi skrzydłami i dobudówkami pod dachami wyglądały jak zbieranina małych prostopadłościanów dobudowywanych bez planu. Sterty opadłych liści gromadziły się przy narożnikach, a stare ptasie gniazdo zwisało z wysokiego okapu.

Za budynkiem Chapin Hall Josh stanął u podstawy przeżartych rdzą schodów. Podobnie jak drogi pożarowe na oddziałach dla pacjentów, schody na piętrach i parterze otoczone były drucianą klatką. Izzy nie zwróciła na to wcześniej uwagi, ale u podstawy schodów znajdowała się kolejna klatka mogąca pomieścić tuzin lub więcej osób, zamykana od zewnątrz na drucianą kłódkę. W przypadku wybuchu pożaru ludzie znajdujący się w środku mogli wyjść przez drzwi i zejść schodami, ale musieli czekać w klatce na kogoś, kto ich wypuści. Izzy zadrżała,

uświadamiając sobie, że był to sposób na przeciwdziałanie ucieczce.

Josh podał Izzy latarkę, mówiąc, żeby poświeciła nią w kierunku klatki u podstawy drogi pożarowej. Wzdłuż krawędzi stalowego więzienia widać było podłużne rozcięcie.

– Właśnie tędy dostali się moi kumple – stwierdził.

Wczepił masywne palce w romboidalne oczka drucianej siatki, odgiął ją i wpełznął do środka. Wszyscy oprócz Izzy poszli za nim. Luke, Dave i Crystal pospieszyli do żelaznych stopni prowadzących do podestu na drugim piętrze, ich tenisówki tupwały po metalu. Tymczasem Alex czekała na Izzy. Josh przyklęknął w klatce i wyciągnął rękę, by pomóc jej wejść na górę. Zignorowała go i wgramoliła się do środka.

Dave poświecił latarką nad wyjściem na szczycie schodów. Kawałek sklejkę pokrywał górną połowę drzwi.

– Jak się tam dostaniemy? – zapytał.

– Poczekaj! – powiedział Josh. – Poradzę sobie.

Alex i Izzy czekały u podstawy schodów, podczas gdy Josh pospieszył po schodach na górę. Chwycił podstawę sklejkę i wyszarpnął ją z drzwi, aż jego paznokcie zazgrzytały po ich powierzchni. Za sklejką znajdowała się pusta rama okienna.

– Twój wielki tyłek się tam nie zmieści! – krzyknął ze śmiechem Dave.

– Chcesz się założyć? – zapytał Josh. Obrócił się bokiem i przecisnął tułów przez otwór, a nogi zawisły mu w powietrzu. Dave zaśmiał się, myśląc, że Josh utknął. Wtedy nogi Josha zniknęły i nastąpiło głuchoe tąpnięcie. A potem nic.

Dave zbliżył się do krawędzi drzwi, świecąc latarką w kierunku okna.

– Wszystko w porządku, olbrzymie? – zapytał Dave, rechocąc.

W tym momencie, Josh wskoczył do ciemnego korytarza, wykrzywiając twarz i młóćąc rękami powietrze.

– Wypuście mniiiiiee! – wrzeszczał. Wszyscy podskoczyli.

Dave wdrapał się przez otwór, jego twarz nabiegła czerwienią, a nozdrza falowały.

– Zabiję cię! – powiedział, wciskając się do środka.

Jeden po drugim przeczołgali się przez przejście. Gdy wszyscy już przeszli, Dave i Josh poprowadzili ich wzdłuż holu, idąc powoli i świecąc latarkami wzdłuż ścian. Reszta grupy poszła za nimi, pod stopami chrzęściły im kawałki farby i tynk. Sufity były tak wysokie, że miało się wrażenie, że nic nie znajdowało się nad ich głowami, jak gdyby nie było tam dachu, tylko ciemna dziura czarnej przestrzeni. Szarozielona farba zwisała ze ścian w poszarpanych płatach niczym mięczaki przyczepione do zatopionego wraku. Przesiąknięty wilgocią papier, plastikowe dzbanki i kawałki tektury zaśmiecały podłogę. Dźwięk kapiącej wody rozchodził się po przejściu.

Izzy spojrzała na wszystkie pozamykane drzwi, mając nadzieję, że znajdzie pomieszczenie z aktami. W głębi ducha usilnie próbowała zignorować obrazy, które podpowiadała jej wyobraźnia. Alex szła obok niej, jej ręka zacisnęła się na łokciu Izzy w żelaznym uścisku. Przed nimi, w głębi holu wysokie zamknięte łukiem drzwi prowadziły do ciemnej otchłani.

– O Boże! – zapiszczała Crystal. – Co to?

Wszyscy się zatrzymali.

– Co? – zapytał Josh, okręcając się.

– Tam, na górze! – powiedziała Crystal, wskazując na koniec pomieszczenia.

Josh skierował latarkę w stronę drzwi. Po drugiej stronie w przejściu znajdował się fotel i coś, co wyglądało jak część koła, przechylona na jedną stronę jak zdeformowany karzeł.

– To tylko wózek inwalidzki! – stwierdziła Alex.

– Jezu! – powiedział Dave. – Nie rób tego więcej!

Crystal odetchnęła.

– Przepraszam – powiedziała.

Ruszyli dalej. Nagle Dave i Josh się zatrzymali.

– O co chodzi? – zapytał Luke. – Dlaczego się zatrzymujemy?

– Właśnie coś usłyszałem – powiedział Dave.

– Ja również – potwierdził Josh.

– Co to było? – zapytał Dave.

– Brzmiało, jakby coś poruszyło się w pokoju obok. Jakby coś zaszeleściło czy coś w tym rodzaju.

– Nie ma drzwi do pokoju obok – powiedział Dave.

– I co z tego? – powiedziała Alex.

– Wchodź pierwsza – zwrócił się do niej Josh, wskazując latarką w stronę czarnego, pustego wejścia po jego lewej stronie.

Alex chwyciła swoją latarkę, wzięła głęboki oddech, stanęła przed wejściem, kierując promień w stronę pokoju.

– Ohyda – powiedziała i przeszła przez wejście. Wszyscy poszli za nią.

Światło przeciekało przez zakratowane, brudne okna, rzucając długie, pasiaste cienie na kafelkową podłogę. Wielkie kawałki tynku zwisały z sufitu, ukazując stare belkowanie i grube grudy czarnej pleśni. Poniżej okien cegły prześwitywały przez wyszczerbione dziury w tynku. Pośrodku pokoju wyrastał z podłogi cienki metalowy pręt, zagięty z jednej strony

w kształt przedłużonej litery S. Na końcu zakrzywionego pręta znajdowało się niebieskie, plastikowe siedzenie z klamrą, które wisiało w powietrzu niczym huśtawka dla dzieci. Izzy skręciło w żołądku, gdy pomyślała o setkach torturowanych istot, które siedziały na tym właśnie krześle i kto wie, co z nimi wyprawiano. Po lewej stronie widać było zakurzony rurociąg i pół tuzina porcelanowych rurek tworzących emaliowaną ściankę. Rurki otoczone były metalowymi ramkami i wszystkie, z wyjątkiem jednej, przykryte były brudnymi podartymi kawałkami płótna. Płótna były naciągnięte na metalowe ramki, ze wzmocnionym otworem przeznaczonym na głowę pacjenta, który ział niczym otwarte usta. Izzy zadrżała, żałując, że nie starała się bardziej, aby jakoś wywinąć się od przyjścia w to miejsce.

– Co to jest, do cholery?! – zapytał Luke, siedząc na plastikowym krześle przyczepionym do pręta. Odepchnął stopy od podłogi i zakręcił się na krześle.

– Nie mam pojęcia – odparła Alex. – Ale te rurki były stosowane podczas kąpieli lodowych. Zanurzano pacjentów w lodowatej wodzie i trzymano ich tam tak długo, aż stracili przytomność.

– Dajcie spokój – powiedział Josh. – Sądziłem, że przyszliśmy tutaj, aby zobaczyć kostnicę.

– Dobra – odparł Dave. – Chodźmy.

Izzy poszła za grupą, czując ulgę, gdy opuszczała ten przygnębiający pokój. Na końcu holu skręcili w prawo, przepychając się pomiędzy wózkami inwalidzkimi, łózkami na kółkach, drewnianymi skrzynkami oznaczonymi „Willard”, poplamionymi materacami i przerdzewiałymi noszami na kółkach. W końcu doszli do końca klatki schodowej. Izzy naciągnęła rękawy bluzy na rękę, chwyciła się poręczy i zeszła za Alex. Nie chciała dotykać poręczy, ale wolała to, niż spaść na twarz ze schodów na

Bóg wie co.

Pierwsze piętro było zagracone zepsutymi wózkami inwalidzkimi, małymi stołami i siedzeniami z paskami pokrytymi winylem i nogami na kółkach. Nad drzwiami umieszczone były tabliczki: Blok Chorób Chronicznych, Blok Chorób Ostrych, Blok Epileptyków, Blok Chorych i Zniedołężniałych. Im dalej grupa posuwała się w głąb labiryntu pomieszczeń, tym więcej odnajdywała pokoi pozbawionych drzwi. Izzy huśtała latarką pośród ciemnych wejść, oświetlając metalowe łóżka, spleśniałe pudełka, plastikowe pojemniki z oznaczeniami „Brudne prześcieradła”, wózki napchane urządzeniami do EKG, stoły do badań ze strzemiączkami. Izzy przebiegła wzrokiem po wypełnionych śmieciami szafkach na akta, ale nie widziała w nich żadnych dokumentów. Zastanawiała się, czy Clara urodziła córkę w jednym z tych pokoi. Jak potworne musiało być dla niej urodzenie dziecka w tak ohydny miejscu.

W końcu odnaleźli tabliczkę z napisem „Piwnica” ze strzałką w prawo. Podążyli krótkim korytarzem do windy towarowej i dalej do podwójnych drzwi z zielonym napisem „Kostnica”. Josh pociągnął za drzwi, otwierając je, i zaczął schodzić w dół po schodach. Izzy, Luke i Alex poszli za nim, a Dave i Crystal podążali z tyłu. Wreszcie grupa się zatrzymała. Izzy przełknęła ślinę.

Szerokie cementowe tunele rozchodziły się we wszystkich kierunkach: w lewo, w prawo i prosto. Kruche, ciekące rurki różnych rozmiarów ciągnęły się wzdłuż sufitu obok metalowych osłon przewodów elektrycznych. Co trzy metry kamienny łuk otaczał każde z przejść, sprawiając, że tunele wyglądały jak lochy średniowiecznego zamku. Izzy miała wrażenie, że stoi pomiędzy dwoma lustrami, w których odbicie łukowatego przejścia powielalo się tysiąc razy we wszystkich kierunkach.

Wyobraziła sobie, że się zgubiła i nigdy nie odnalazła drogi powrotnej. Nad łukowatym przejściem naprzeciw niej widniał napis „Leczenie elektrowstrząsami”. Nad przejściem po lewej znajdowała się tabliczka z napisem „Kostnica”. Na prawo od klatki schodowej stała otwarta, szeroka winda towarowa. Zardzewiała mosiężna krata była częściowo zamknięta. W środku stało łóżko szpitalne z odłamanym kółkiem oraz obrzydliwym, podartym prześcieradłem.

– W taki sposób musieli przewozić ciała – powiedziała Alex.

– Faj! – rzuciła Crystal.

Josh ruszył przejściem w kierunku kostnicy. Jego ogromna sylwetka prawie całkowicie zasłaniała światło latarki, które skakało przed nim po podłodze.

– Tędy – powiedział.

Dave i Crystal podążyli za nim.

– Poczekajcie! – zawołała Alex. – Sprawdźmy najpierw pomieszczenie, w którym przeprowadzano leczenie pacjentów elektrowstrząsami.

– Chodź! – powiedział Dave. – Idziemy do kostnicy! – W jego głosie pobrzmiwała irytacja. Izzy zastanawiała się, dlaczego tak mu się spieszyło. Może starał się gniewem pokryć strach.

– Zajrzę tam – powiedziała Alex.

Josh stęknął i począpał za nimi, niechętnie dołączając do grupy.

– Tylko szybko – powiedział.

Na lewo od tunelu, za czwartym łukiem, znaleźli pomieszczenie do przeprowadzania elektrowstrząsów. Pokój z niskim sufitem był wypełniony tabelami z wynikami, zardzewiałymi wózkami i przykutymi do podłogi metalowymi pudełkami, które wyglądały jak wielkie baterie z czarnymi

tarczami i wychodzącymi z nich drutami. Wzdłuż ściany stały łuszczące się szafki na leki z na wpół otwartymi szufladami, z których wysypywały się szpulki z drutami, gumowe ochraniacze na zęby i coś, co wyglądało jak joysticki do gier wideo. Izzy szła wzdłuż ścian, szukając szafek z aktami lub czegokolwiek, co mogło służyć do przechowywania dokumentów. Niczego tam nie znalazła.

– Musieli traktować elektrowstrząsami więcej niż jedną osobę za jednym razem – powiedział Dave. – Wygląda to tak, jakby znakowali tu stado bydła.

– Chyba tak, tak to wygląda – zgodziła się Alex. – Powiedziałeś, że była powódź i ludzie tu zginęli.

– Tak – rzucił Josh, grzebiąc w szufladzie. Odwrócił się, by na nią spojrzeć, kierując światło latarki na jej twarz.

Alex podniosła rękę, zasłaniając oczy.

– Chłopie – powiedziała – oślepiasz mnie.

Skierował promień latarki na dół.

– Przepraszam.

– To takie ohydne – stwierdziła nagle Crystal.

– Zastanawiam się, czy przeprowadzano tu lobotomię – powiedziała Alex.

– Chodźcie już – rzucił niecierpliwie Dave. – Mieliśmy oglądać kostnicę, a nie tracić tu czas.

– Tak – powiedziała Izzy. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. – Chodźmy stąd.

Gdy szli w stronę kostnicy, powietrze robiło się coraz bardziej wilgotne i zimne. Izzy wcisnęła ręce do kieszeni bluzy i naciągnęła kaptur na głowę.



Obok niej Crystal pacnęła pustą przestrzeń nad głową, przerażona pajęczyną, która mogła zaczepić się o włosy lub zamajaczyć przed twarzą. Nagle, bez ostrzeżenia, Josh stanął jak wryty, świecąc latarką w kierunku otwartych drzwi po lewej. Dave szedł dalej, potem zatrzymał się i odwrócił.

– Chodźcie – powiedział. – Już prawie dotarliśmy!

Josh wychylił się w stronę otwartych drzwi.

– Co to jest, do cholery?! – zapytał, a w jego głosie pobrzmiwała odraza.

Dołączył do niego Dave.

– O jasny gwint! – powiedział.

Obaj zniknęli w pomieszczeniu. Wszyscy poszli za nimi.

Ściany kamiennego pomieszczenia otoczono żelaznymi klatkami wykonanymi z metalu o grubości pięciu centymetrów, a pręty złączono ze sobą nitami, tworząc kratkowany wzór podobny do luźnej plecionki w koszyku.

– Co to za miejsce? – zapytała Crystal.

– W tych klatkach trzymano ludzi – odparł Josh, śmiejąc się nerwowo.

– Może tutaj trzymano agresywnych pacjentów – zasugerowała Alex.

– Mogli tutaj trzymać pacjentów chorych na gruźlicę czy tyfus – stwierdziła Izzy.

– To straszne – powiedziała Alex. – Nie dziwi mnie, dlaczego szpital Willard jest nawiedzony.

– Możemy iść do tej kostnicy i mieć już to za sobą? – zapytała Izzy, starając się, aby jej głos nie drżał.

– Tak – powiedział Josh. – Możemy tu przyjść innym razem.

Grupa wyszła z pomieszczenia i skręciła w lewo. W końcu ich oczom

ukazały się podwójne drzwi z wyblakłym zielonym napisem „Kostnica”. Na końcu tunelu widać było kolejne wejście z wybitymi szybami w wyższej części podwójnych drzwi. Docierało tu przytłumione światło księżyca przefiltrowane przez brudne szkło, jarząc się niczym niebieskie, świecące oczy. Stosy trumien piętrzyły się przy ścianach blisko drzwi niczym góry ogromnych książek.

– O Boże! – powiedziała Crystal. – To ohydne!

Wychylili się przez podwójne drzwi do kostnicy, poruszając się powoli, jakby coś po drugiej stronie na nich czekało. Dave i Josh świecili latarkami po pomieszczeniu. Wzdłuż najdłuższej ściany rozciągał się głęboki, trzykomorowy zlew, jego porcelanowa lada była wypełniona żółtymi plastikowymi dzbankami i zmatowiałymi butelkami. Puszki i spleśniałe pudła zaśmiecały poplamioną, cementową podłogę obok skorodowanego wózka do przeprowadzania autopsji i kilku składanych krzeseł. Lampy przemysłowe zwisały z łuszczącego się sufitu nad stołem ze stali nierdzewnej. Po obu jego stronach, blisko środka, biegły kwadratowe kanały, a na jednym z końców znajdowała się misa z czarnym wężem. Obok stołu stał ogromny zbiornik na kółkach z gumowym wężem wychodzącym ze szczytu. Na metalowym boku widniał napis „Płyn do balsamowania”.

Na odległym końcu pomieszczenia znajdowała się sześciodrzwiowa drewniana krypta do przechowywania ciał, zajmując jedną czwartą powierzchni wnętrza. Jej zawiasy i rączki były zaśniedziałe. Obok krypty leżał czarny, skorodowany silnik używany do chłodzenia magazynu. Drzwi na szczycie krypty były stosunkowo czyste, ich drewniane obicie odbijało światło latarki. Czworoboczne drzwi było poplamionych zaciekami czegoś, co wyglądało jak smoła, jakby coś za nimi zgniło i się stopiło,

ściekając po nich na podłogę. Słaby zapach formaldehydu, pleśni i czegoś, co przypominało rozgrzane monety, wisiał w powietrzu.

Izzy zakryła ręką usta, walcząc z pokusą ucieczki z pomieszczenia na świeże powietrze. Potem jej oczom ukazała się dwuszufladowa szafka na dokumenty stojąca w rogu pomieszczenia. Pospieszyła w jej kierunku i pociągnęła górną szufladę, świecąc latarką do środka. Stos akt, prawie szarych od kurzu i pokrywających je pajęczyn, ześlizgnął się na tył szuflady. Alex podeszła do niej, by sprawdzić, co robi.

– Co to jest? – zapytała. – Co znalazłaś?

Izzy podała jej latarkę.

– Potrzyj ją – poprosiła.

Alex skierowała światło latarki na środek szuflady, a Izzy przerzucała akta, wstrzymując oddech. Wszystkie były puste. Otworzyła dolną szufladę i znalazła stos pomieszanych pożółkłych papierów. Wzięła pierwszą z góry kartkę i zabrała Alex latarkę. Był to niewypełniony wzór świadectwa śmierci wystawiony przez stan Nowy Jork.

– Czego szukasz? – zapytała Alex.

– Pracujemy w muzeum nad projektem dotyczącym Willard – powiedziała Izzy. – Staram się znaleźć coś, co mi się przyda.

– Jak to wyjaśnisz swojej zastępczej mamie? – zapytała Alex.

– Później będę się tym martwić – odparła Izzy.

W tym momencie pojawiła się Crystal.

– Chodź – powiedziała, biorąc Alex za rękę i ciągnąc ją w stronę stołu do przeprowadzania autopsji. – Zobaczmy, czy uda nam się wywołać tę kobietę jeszcze raz. Niech wszyscy ustawią się w kole i zapytamy, czy jest tutaj.

Izzy przeszukała resztę papierów. Cały stos zawierał jedynie puste świadectwa śmierci.

– Pospiesz się – zwróciła się do niej Alex. Izzy przewróciła oczami i zamknęła szafkę.

– Niech wszyscy tu podejda – powiedziała Crystal. – Urządzimy sobie seans.

– Zarąbiście! – zakrzyknął Dave i podbiegł do Crystal. – Świetny pomysł, kochanie.

Luke zepchnął rozmiękłe tekturowe pudło ze stołu do przeprowadzania autopsji i zawołał:

– Hej, Josh, przyjdź tu i połóż się! Zrobimy ci masaż, którego nigdy nie zapomnisz.

Josh zaśmiał się i odwrócił się w stronę krypty. Otworzył jedne ze środkowych drzwi i oświetlił wewnątrz latarką. W środku pełno było dziwnych śladów i pleśni.

– Położę się tam – oznajmił. – Jak tylko ty położysz się tutaj.

Wyciągnął zardzewiałą płytę, wypełniając pomieszczenie dźwiękiem piszczącego metalu.

– A ile mi za to dasz? – zapytał Luke.

– Pięć dolców – odparł Josh.

– Damy ci dziesięć, jeśli pozwolisz, abyśmy cię wepchnęli do środka i zamknęli drzwi – powiedział Dave.

– Chłopaki, czy wy wreszcie przestaniecie rozrabiać? – zapytała Crystal. – Sądziłam, że przyszliśmy się dowiedzieć, czy to miejsce jest nawiedzone.

Josh podszedł do stołu, pozostawiając drzwi do krypty lekko uchylone.

– Dobra, dobra – uspokajał. – Nie bądź w gorącej wodzie kąpana.

– Zamkniesz się wreszcie? – zapytała Crystal. – To jest na poważnie.

Wyjęła małą, grubą świecę z kieszeni kurtki, poprosiła Dave’a o zapalniczkę i podpaliła krótki knot. Następnie umieściła ją na środku stołu do przeprowadzania autopsji, przesuwając ją powoli i ostrożnie, aby płomień nie zgasł, a jej palce nie dotknęły poplamionej powierzchni.

– No dobrze, zbierzcie się – powiedziała. – Niech wszyscy staną wokół stołu i zgaszą latarki.

Wszyscy zgasili latarki i przysunęli się bliżej stołu. Izzy stała pomiędzy Joshem a Dave’em, tyłem do krypty, z latarką pod pachą, a ręce wcisnęła do kieszeni bluzy. Crystal wzięła Dave’a za rękę i sięgnęła do Alex, a migoczący ogień tworzył niepokojące cienie pod jej oczami.

– Musimy być cicho – powiedziała. – I musimy trzymać się za ręce.

Alex przygryzła wargę i chwyciła za rękę Crystal i Luke’a. W tym samym momencie Dave i Josh sięgnęli po dłonie Izzy. Przez chwilę trzymała ręce w kieszeni, ale potem zdecydowała się je wyciągnąć. Im szybciej skończy się ten głupi seans, tym szybciej będzie mogła stąd wyjść. Dłoń Josha była jak przemoczona piłka do koszykówki. Skręciło ją w żołądku. Wtedy Luke i Josh uświadomili sobie, że stoją obok siebie.

– Nie będę trzymał faceta za rękę – oznajmił Luke.

– Ani ja – odparł Josh.

– Po prostu to zróbcie! – powiedziała Crystal, patrząc na nich spode łba.

– To nie zadziała, jeśli nie podejmiemy do tego na poważnie!

– Ma rację – powiedziała Alex. – Musimy trzymać się za ręce.

– Dlaczego? – zapytała Izzy. – Co to znaczy?

– W razie gdyby którykolwiek z duchów, którego przywołamy, okazał

się zły – wyjaśniła Alex – będziemy bezpieczni. Jeśli trzymamy się za ręce, zły duch nie może nikogo zaatakować.

– Widzicie? – powiedziała Crystal. – Mówiłam wam. A teraz rozpoczniemy wreszcie.

Josh przewrócił oczami i wyciągnął rękę do Luke'a, który niechętnie dotknął koniuszków palców Josha.

– Jeśli usłyszę jakiegokolwiek plotki o tym, to... – pogroził Luke.

– Będziemy milczeć jak grób – odparł Dave, udając, że posyła całusy w jego stronę.

Crystal nadepnęła mu na stopę.

– Zapomniałeś, po co tu przyszliśmy? – zapytała.

Dave skrzywił się z bólu.

– Jezu! – krzyknął. – Dobrze, już dobrze.

– Wszyscy gotowi? – zapytała Crystal, zwracając się zwłaszcza do Josha i Luke'a.

Obaj przytaknęli, próbując przestać się podśmiechiwać.

Crystal odczekała jedną lub dwie sekundy, a potem zamknęła oczy.

– Czy ktoś jest tu z nami? – zapytała przytłumionym i pełnym powagi głosem. Jeden z chłopców wydał z siebie krótkie parsknięcie, jakby próbował powstrzymać śmiech. – Nie jesteśmy tu, aby cię skrzywdzić.

– Jeśli jest tu ktoś z nami – dodała Alex – czy możesz dać nam znak?

Izzy otworzyła oczy, by spojrzeć na Alex, zaskoczona, że ta przemówiła. Jej oczy były zamknięte, a głowa spuszczone na brodę. Obok niej stał Luke ze zgarbionymi ramionami, a jego twarz pogrążona była w napięciu, jakby spodziewał się, że ktoś może go w każdej chwili uderzyć. Izzy ponownie zamknęła oczy. Zastanawiała się, co by się stało, gdyby

wypowiedzieli imię Clary. Zastanawiała się, czy im tego nie zasugerować, ale zmieniła zdanie. Wszyscy pytaliby, skąd zna imię pacjentki. Teraz chciała po prostu, aby się to wreszcie skończyło.

– Zapraszamy cię, abyś do nas dołączył – powiedziała Crystal. – Możesz dotknąć naszych włosów, pukać w ściany, zrobić cokolwiek, co sprawi, że będziemy świadomi twojej obecności.

– Jeśli ktoś mnie dotknie, to się stąd zmywam – zapowiedział Luke.

– Ciii! – powiedziała Crystal. Wzięła długi, głęboki oddech, a potem wypuściła powietrze, czekając. Następnie powiedziała: – Proszę, daj nam znać, że jesteś pośród nas. Chcemy zrozumieć, dlaczego ciągle tu jesteś, uwięziony wśród murów szpitala psychiatrycznego.

– Pomożemy ci odnaleźć spokój – dodała ponownie Alex – abyś mógł przenieść się z tego miejsca i dołączyć do bliskich, którzy przeszli już na drugą stronę.

Wtedy ciche *pum-pum* zabrzmiało za plecami Izzy. Alex wydała z siebie pisk, jakby chciała stłumić krzyk.

– Ciii – powiedziała Crystal. – Wszystko w porządku. Uspokój się. Jeśli to ty, to czy możesz powtórzyć ten dźwięk?

*Pum-pum.*

Spocona ręka Josha zacisnęła się na ręce Izzy. Dziewczyna próbowała wykręcić palce, próbując poluzować uścisk. Na próżno.

– Słyszemy cię – powiedziała Crystal.

– Czy byłeś pacjentem w tym szpitalu? – zapytała Alex. – Czy byłeś zamknięty w tym potwornym miejscu?

*Pum-pum. Pum-pum.*

Serce Izzy przyspieszyło. *Czy to się dzieje naprawdę?* Przyszła do tego

potwornego miejsca, aby sprawić Alex przyjemność, a nie posikać się ze strachu. Jediną rzeczą gorszą od przebywania w starym strasznym zakładzie psychiatrycznym byłoby zobaczenie duchów dawnych pacjentów.

– Jesteś tu sam? – zapytała Alex. – Czy inni są z tobą?

– Czy możesz wydać inny dźwięk? – zapytała Crystal. – Coś, co pozwoli nam wiedzieć, że to naprawdę ty?

W tym momencie Izzy usłyszała, jak ktoś puka trzy razy za jej plecami, jakby uderzał pięściami o wewnętrzną stronę drewnianej krypty. Włoski na ramionach stanęły jej dęba. Nagle powietrze stało się ciężkie i gorące, jakby ktoś włączył piec. Pomimo wątpliwości skuliła ramiona i zacisnęła ręce na dłoniach Dave'a i Josha.

– Czy możesz powtórzyć pukanie? – zapytała Alex.

*Puk, puk, puk, puk.*

– Jesteśmy tu, aby ci pomóc! – zawołała Crystal. – Możesz nam powiedzieć, jak masz na imię?

*Puk, puk, puk, puk, puk, puk, puk, puk.*

Alex krzyknęła. Izzy otworzyła oczy i wyrwała się z rąk chłopaków. Upuściła latarkę. W tym momencie świeca zgasła, pograżając kostnicę w ciemnościach. Alex zaczęła krzyczeć.

– Zejdź ze mnie! Zostaw mnie w spokoju! Co robisz? – Nagle zaczęła mamrotać, jakby ktoś zakrył jej usta ręką.

Izzy pobiegła w stronę drzwi, zderzając się twarzą z Joshem. Ku jej zaskoczeniu wziął ją za rękę i okręcił ją wokół siebie. Przez ułamek sekundy straciła poczucie czasu i myślała, że Josh pomaga jej stąd uciec. Może drzwi znajdowały się po jej prawej stronie, a nie po lewej. Pokój wypełniły odgłosy powłóczenia nogami i walki. Wtedy Josh otoczył



ramionami klatkę piersiową Izzy i ją podniósł, a jego przesiąknięty piwem oddech był gorący i szybki. Sądziła, że wyniesie ją w bezpieczne miejsce, ale ktoś chwycił ją za kostki i podniósł jej nogi z podłogi.

– Co robicie, do cholery?! – wrzeszczała Izzy, kopiąc gdzie popadnie.

Jedna stopa zderzyła się z czyjąś głową, dzięki czemu uwolniła nogę. Ktoś zaklął. To był Dave. Wykręcała się i wiała, aby wyrwać się z uścisku Josha. Dave chwycił ponownie jej kostkę i przeniósł ją po pomieszczeniu.

– Wypuście mnie!

Metal zgrzytał o metal. Był to dźwięk wysuwanej płyty krypty. Wtedy Izzy upuszczono na zimny blok. Tył jej głowy uderzył o metal. Silne ręce wciąż ją przytrzymywały. Metal zazgrzytał ponownie i dziewczyna poruszyła się do przodu, jakby ześlizgiwała się wzdłuż poziomej zjeżdżalni, tylko że ta zjeżdżalnia poruszała się wraz z nią. Została wepchnięta do krypty, a płyta trzasnęła o tylną ścianę z wibrującym dudnieniem. Uniosła ramiona, aby przytrzymać zamykające się drzwi, drapiąc łokciami po szorstkim wnętrzu komory. Jej przedramiona zderzyły się z drzwiami, miażdżącymi mięśnie i zdzierającymi skórę. Krzyczała. Brutalne ręce wepchnęły jej ramiona do środka. Potem drzwi się zatrzasnęły, pogrążając ją w absolutnej ciemności.

## *Rookie Pest House*

Gdy liście na dębie rosnącym za oknem Rookie Pest House zwijały się na krawędziach i opadały jeden po drugim, Clara siedziała na brudnym łóżku i obserwowała, jak Lawrence Lawrence popychał taczki pomiędzy rzędami żelaznych płyt na cmentarzu po drugiej stronie drogi. Pracował tam przynajmniej trzy razy w tygodniu, a jego plan dnia wyglądał zawsze tak samo. Najpierw zatrzymywał się na wybranym miejscu, rozpinął płaszcz i zdejmował czapkę, jaką noszą roznosiciele gazet, wygładzając ręką siwe włosy. Potem robił znak krzyża na piersi i opuszczał głowę, przyciskając czapkę do serca. Po długiej chwili skupienia spoglądał w stronę nieba, nakładał czapkę z powrotem na głowę, wyciągał łopatę z taczki i zaczynał kopać, przestając jedynie po to, aby usunąć wykopany kamień na krawędź dołu lub odnieść go gdzieś na bok. Nie zatrzymywał się dopóty, dopóki nie wykopał dołu, a z góry ziemi obok niego nie zostały wybrane wszystkie korzenie i kamienie. Gdy skończył, ponownie zdejmował czapkę, wygładzał włosy, ocierał pot z brwi i nakładał czapkę na głowę. Nawet w te dni, kiedy grabił liście lub przycinał trawę, pracował bez przerwy, dopóki nie wykonał swojego zadania.

Wraz z upływem tygodni, gdy Clara czuła, że się poddaje i staje się coraz słabsza, dziwiła się wytrzymałości grabarza. Nawet gdy śnieg zginał cedry i gromadził się między kratami za oknami, grabarz zgarniał śnieg, torując sobie ścieżki na cmentarzu, aby wykopać kolejnemu pacjentowi ostatnie miejsce spoczynku. Wreszcie, niedługo przed końcem grudnia, zrezygnował z kopania w zamrożonej ziemi, ale tylko na krótki czas. Kilka tygodni później, po niespotykanej długiej styczniowej odwilży, gdy Clara mogła dojrzeć białe brzegi Creek Mears niemalże zalane lodowatą wodą,

Lawrence Lawrence wrócił do pracy.

Każdego wieczoru modliła się, aby grabarz już wkrótce wykopał grób dla niej. Z wyjątkiem czasu przeznaczanego na posiłki oraz wyprowadzania do toalety dwa razy dziennie, spędzała dni i noce przykuta do łóżka, śpiąc lub gapiąc się przez pokryte brudem okna. Jak u większości kobiet w Rookie Pest House, jej potrzeby fizjologiczne nie zawsze odpowiadały szpitalnemu rozkładowi dnia. W wyniku tego jej szpitalny szlafrok pokryty był zaschniętym moczem, krwią i ekskrementami, a prześcieradła i cienki koc były brudne i cuchnące. Gdy dostała okres, otrzymywała szmaty, które wkładała sobie pod bieliznę, i mogła je uprać dopiero wtedy, gdy korzystała z łazienki. Jeśli miała szczęście, dostawała czysty szlafrok po cotygodniowej kąpieli lodowej. Często zdarzało się, że nie było wystarczająco dużo czystych ubrań, które można było rozdać.

Krzyki i wrzaski dochodziły zazwyczaj z innych części budynku, ale oprócz dźwięków szlochania, kasłania i rozmów między kobietami w pokoju Clary było dość cicho. Pracownicy Rookie Pest House byli jedynie niewyszkolonymi strażnikami, stąd codzienne wieczorne dawki laudanum sprawiały, że pacjenci dryfowali pomiędzy stanem nieświadomości a oszalamiającym, sennym stuporem.

Clara pokochała z czasem gorzki smak tego środka. Smakował jak czarna lukrecja zmieszana z cukrem i brudem, a drętwienie języka oznaczało, że wkrótce miała nadejść błoga nieświadomość. Dzięki temu nie musiała znosić ciężkiej masy żalu, który przytłaczał ją niczym dom wybudowany na jej piersi, sprawiając, że ledwie mogła wziąć kolejny oddech. Pomimo lekarstwa każdej nocy śnił się jej ten sam koszmar. Beatrice była w nim wychudzona i kwiliła w swojej ubrudzonej koszulce nocnej. Jej metalowa kołyska znajdowała się pośrodku oddziału z setkami

innych kołyszek, a w każdej z nich znajdowało się krzyczące, wycieńczone dziecko.

Każdego ranka, gdy lek przestawał działać i Clara otwierała przesłonięte łzami oczy, wspomnienie odebrania jej Beatrice sprawiało, że coś złego i podłego burzyło się w jej żołądku. Leżała tam, pragnąc śmierci, a miazdzący żal zamieniał jej krew w żelazo, serce w kamień, a mięśnie w granit. Zamykała oczy i chciała ponownie zanurzyć się we śnie, ale smutek zawsze przywracał ją do rzeczywistości, tak jak gdyby zasługiwała na karę. Cierpienie niemal ją pochłoneło.

Podczas pierwszych dni w Rookie Pest House próbowała przemówić pielęgniarce do rozsądku, błagając, aby ją wypuściły, żeby mogła odnaleźć córkę, zanim będzie za późno, zanim Beatrice będzie już tak daleko, że zaginie na zawsze. Nieczułe na błagania pacjentów ignorowały ją, ich twarze pozostawały bez wyrazu, gdy pchały ją przez przejście, wciskały siłą do łóżka, bezwzględnie zakładając żelazną klamrę na kostkę u nogi. Raz, gdy wzięto ją do łazienki, popchnęła jedną z siostr na ścianę i pobiegła korytarzem, by zderzyć się z zamkniętymi drzwiami i grupą pozostałych „strażniczek” czekających, by zanieść ją ponownie do pokoju.

Tydzień później próbowała przestać jeść. Siostry to jednak zauważyły i stały nad nią, każąc jej jeść kaszkę wysychającą już w jej misce. Gdy odmówiła, podniosły ją z krzesła i uderzały ją mocno po twarzy, ostrzegając, że jeśli nie będzie robić tego, co jej każą, będzie jeszcze gorzej. Z rozciętą i krwawiącą wargą wzięła do ust łyżeczkę i prawie się zakrztusiła. Później przeklinała samą siebie za to, że nie była wystarczająco silna, by pozwolić im karać ją dalej. Beatrice już nie było, a ona sama była zamknięta w szpitalu psychiatrycznym. Nie miała powodu, by żyć.

Potem, pod koniec lutego, śniła o spotkaniu Beatrice jako dorosłej

kobiety z czarnymi, satynowymi włosami układającymi się na ramionach żółtej sukienki. Dziewczyna weszła do pomieszczenia, które wyglądało jak szpitalny pokój, uklękła przy niej i uśmiechnęła się ze łzami błyszczącymi w oczach. Następnego ranka ciężar w piersi Clary zelżał. Ciągle tam był, ciężki i bolesny, ale już nie odczuwała go tak, jakby miał zmiażdżyć jej serce. Sen był tak wyrazisty, że Clara niemal mogła poczuć perfumy córki i jej gładki policzek. To musiało coś znaczyć. Nigdy się tego nie dowie, jeżeli spędzi resztę życia zamknięta w Rookie Pest House.

Tej nocy Clara przetrzymała swoją dawkę laudanum w ustach, nie połykając jej. Pielęgniarka przeszła do kolejnego pacjenta, a Clara przyłożyła koc do ust, wypluwając narkotyki na poplamioną tkaninę. Przez kolejne tygodnie Clara udawała sposób zachowania innych kobiet, tak aby nie zwracać na siebie uwagi. Potem, pierwszego marca, gdy doktor Roach w końcu przyjechał do Rookie Pest House, by przeprowadzić obchód, spojrzała mu w oczy i powiedziała, że będzie lepiej, jeśli Beatrice wychowa ktoś inny.

## Chapin Hall

Próbując złapać oddech, Izzy z całych sił starała się obrócić na metalowej płycie w komorze kostnicy. Bez skutku. Nie było dość miejsca w tym wąskim pomieszczeniu, żeby ugiąć kolana i przepchnąć ciało. Kopała w niski sufit i tłukła rękami po ścianach.

– Wypuście mnie stąd! – wrzasnęła.

Uderzenia i stłumione śmiechy przebiły się przez zaizolowane, drewniane ściany. Drzwi kostnicy otworzyły się z hukiem, zaskrzypiały w jedną i drugą stronę, kołysząc się na zawiasach. Potem nastąpiła cisza.

– Pomocy! – krzyknęła Izzy.

Sięgnęła nad głowę i tłukła w drzwi, a szorstkie drewno obdarło jej knykcie. Po kilku sekundach zmusiła się do leżenia w bezruchu, próbując usłyszeć coś poza swoim ciężkim oddechem. Zamknęła oczy i policzyła do dziesięciu, walcząc z paniką, która mogła ją ogarnąć w każdej chwili. *Wróć, pomyślała. Stoją w korytarzu i się naśmiewają. Zaraz wróć.* Wtedy, nagle, ciężki i mdły zapach rozkładu i formaliny wypełnił jej nozdrza. Zacisnęła wargi, próbując oddychać płytko. Brak tlenu sprawiał, że kręciło jej się w głowie.

– Dobra, koniec żartów! – krzyknęła. – Wypuście mnie stąd! Alex? Josh?

Ciągle nic. Może to nie były żarty. Wtedy sobie przypomniała, jak Alex krzyczała na kogoś, żeby ją puścił. I te jej stłumione okrzyki. Czy ją też włożono do jednej z komór?

– Alex?! – wykrzyczała. – Jesteś tutaj?!

Wciąż nic. Co się, do cholery, działo? Może Alex wywleczono z pomieszczenia wbrew jej woli. Potem przypomniała sobie słowa Alex.

Powinna być ostrożniejsza po tym, jak Shannon ją przeprosiła. Nienawiść wezbrała w żołądku Izzy jak żółć. Czy to Shannon namówiła do tego Josha, Crystal i Dave'a? Potem przyszła jej do głowy inna myśl i zimne palce strachu chwyciły ją za gardło. Jeśli przeciągnęli Alex przez piwnice, i po schodach na zewnątrz, dziewczyna nie miałaby pojęcia, że w ich grupie nie ma Izzy, dopóki jej nie puścili. Alex nie miała pojęcia, że Izzy była zamknięta w komorze!

Dziewczyna oddychała głęboko, próbując sobie przypomnieć, jak zbierały się grupy, jak zdecydowano, że jej paczka zbada kostnicę. Czy była tak zajęta myśleniem o tym, jak bardzo nie chciała wchodzić do Willard, że nie zauważyła oznak tego, że ją wrabiano?

Zacisnęła pięści, drżąc, próbując łapać gwałtownie powietrze i zmagając się z ogarniającym ją przerażeniem, które sprawiało, że myślała, iż zaraz zemdleje. Łzy gniewu i strachu popłynęły jej z oczu.

– Wypuście mnie stąd! – wrzasnęła z całej siły.

A potem, z komory pod nią...

*Stuk, stuk, stuk, stuk.*

Przycisnęła dłonie do uszu, serce łomotało jej w piersi. *Co się, do diabła, dzieje?*

*Stuk, stuk, stuk, stuk.*

– Jeśli ktoś mnie natychmiast nie wypuści, gorzko tego pożałujecie! – krzyknęła, wiedząc, że jej groźby nic nie znaczą. Co mogła zrobić? Zgłosić ich do dyrektora? Kopała w ściany tak mocno, jak tylko mogła, objając sobie stopy i wybijając palce.

– Dave, Josh, wiem, że to wy mnie tu wsadziliście!

Pomyślała, żeby kazać przestać osobie, która pukała. Powiedzieć, że

wie, że to jest część kawału. Musiało tak być. Zdecydowała jednak, że to zignoruje. Z drugiej strony, co jeśli tam na dole to nie była osoba? W jej umyśle pojawił się obraz: zbrązowiały szkielet leżący w komorze pod nią, pozbawione warg usta otwierały się i zamykały, a gołe knykcie stukały o wilgotne drewno. Wyobraziła sobie gnijącą szpitalną koszulę zwisającą z ramion szkieletu, poszarpane kawałki rozkładającego się materiału i gnijące ciało zwisające z żeber. Skrzyżowała ramiona i wyparła ten obraz z myśli. Zaciskając powieki, próbowała zignorować ten dźwięk i to, że była zamknięta w komorze kostnicy. *Co jeśli nikt nie przyjdzie? Co jeśli mnie tu zostawili? Mogłabym umrzeć i nikt by nie wiedział, co się stało. Nikt nie będzie wiedział, gdzie jestem. Nie. Alex na to nie pozwoli. Kiedy już ucieknie od Luke'a i Crystal, kiedy zorientuje się, że mnie nie ma, będzie się dopytywać, gdzie jestem. Przyjdzie po mnie.*

Nagle powróciło do niej mgliste wspomnienie z dzieciństwa, a może to był zapomniany koszmar, nie była tego pewna. Leżała w łóżku, jej lampka nocna My Little Pony świeciła różowo w rogu ciemnego pokoju. Dźwięk otwieranych drzwi wyrwał ją z ciepłej, puchatej ociążałości, jaką sprowadzał zbliżający się sen. Zamrugła i zaczęła się podnosić z łóżka. Potem ktoś, jakiś mężczyzna, leżał koło niej, odór potu i whiskey roznosił się w powietrzu jak mgła. Z początku nie mogła dostrzec jego twarzy, ale potem uśmiechnął się i jego oblicze przeistoczyło się w wyszczerzoną maskę demona, jego nabiegłe krwią oczy wytrzeszczały się coraz bardziej, aż sięgnęły krawędzi włosów, a jego zęby były ostre i czarne. Otworzyła usta, by krzyczeć, ale nie mogła. Demon ją przytrzymał.

Izzy przygryzła wargę, jej ręce zaciskały się i otwierały naprzemiennie, nozdrza miała rozdęte i próbowała złapać oddech. Jej gardło było gorące i suche. Pierwsze wspomnienie powracającego kosmaru z dzieciństwa



wróciło do niej teraz, niewątpliwie wyciągnięte na powierzchnię przez to, że była zamknięta w tej krypcie. Teraz przypomniała sobie, że była przerażona tak, że nie mogła się ruszać, nie potrafiła się też zdobyć na to, żeby opowiedzieć o tym mamie, nim minęło wiele godzin, kiedy w końcu wyszła z czegoś, co było dla niej jak trans. Rodzice pozwalali jej wczłogiwać się do nich do łóżka i zostawać do rana, a mama powtarzała jej ciągle, że nie ma się czego bać, że potwory nie istnieją, a poza tym zawsze będzie ją chronić. Potem nagle koszmary się skończyły. Przypomniała sobie, jak mama ją przeproszała, ale nie była pewna za co.

Teraz w jakiś sposób odepchnęła od siebie ten przerażający obraz. Jednak uczucie bycia uwięzioną, duszenia się było jak pociąg jadący wprost na nią. Gwałtownie rozpięła suwak swojej bluzy z kapturem i szarpnęła za kołnierz T-shirta. Pot wystąpił jej na czoło i górną wargę. Podwinęła rękawy i wbiła sobie paznokcie w ramiona, próbując przebić skórę. Jeśli Shannon chciała doprowadzić ją do szaleństwa, to jej się to udało. *Nie, pomyślała, nie mogę pozwolić jej wygrać.* Starła się zmusić swoje ciało do odprężenia, wyobrażając sobie, że mięśnie w palcach stóp, stopach i nogach się rozkurczają. Ta sztuczka zadziałała na kilka sekund, ale potem znowu ogarnęła ją panika. Wciągnęła głęboko powietrze i zaczęła od nowa.

W końcu siłą woli osiągnęła coś, co przypominało samokontrolę. Stukanie pod nią ustało i zastanawiała się, czy jego sprawca zasnął. Ktokolwiek to był, musiał bardzo pragnąć aprobaty Shannon. Myśląc o Shannon, zacisnęła szczękę. A gdyby Izzy przestraszyła się tak bardzo, że dostałaby zawału serca albo załamania nerwowego? Gdyby zabrakło jej tlenu, zanim ktoś by po nią przyszedł? Czy Shannon nienawidziła jej tak bardzo, że była skłonna zaryzykować, że coś jej się stanie? Co z Ethanem, czy on też wiedział o tym okropnym żarcie?

Nie. Nie mógł wiedzieć. Mógł być na tyle naiwny, by usprawiedliwić złośliwości Shannon w szkole, ale na to by się nie zgodził. To musiała być sprawka Shannon, Josha, Crystal i Dave'a.

W końcu pot wywołany paniką zaczął odparowywać, a zimne powietrze owiewało jej nadgarstki i kostki jak lodowate palce duchów dotykające jej skóry. Zapięła bluzę i ubrała kaptur, obejmując się ramionami, by się ogrzać. Szczękała zębami. Wyobrażała sobie, że będzie uwięziona w komorze, kiedy jesień przejdzie w zimę, chudnąc, tracąc siły i powoli umierając z głodu. Sięgnęła w stronę głowy i wytarła dłonie o twarz. Jej skóra była w dotyku jak wosk. Zimna i martwa z zewnątrz, pulsująca i gorąca od środka. Przypomniła sobie historie o ludziach pogrzebanych żywcem, drapiących drewniane wieka trumien, walczących, by się wydostać. Wyobrażała sobie ich zakrwawione palce i paznokcie zdarte tak, aż zostały na ich miejscu same kości.

*Nie, przypomniała sobie. Nie jesteś w trumnie. Jesteś w komorze, która ma drzwi. Stąd jest wyjście. Musisz tylko poczekać, aż ktoś przyjdzie i je otworzy.* Odepchnęła ten obraz od siebie i spróbowała się skupić na czymś innym. Żuchwa bolała ją od zgrzytania zębami. Zaczynała odczuwać ból w głowie, ostre ukłucia pulsujące w skroniach.

W końcu usłyszała stłumione głosy, ciężkie kroki kogoś biegnącego w korytarzu i otwierające się podwójne drzwi.

– Izzy?! – krzyknął ktoś. – Gdzie jesteś?!

To była Alex.

– Jestem tutaj! – odkrzyknęła Izzy i uderzyła w bok komory.

– Cholera jasna! – powiedział męski głos.

– Wyciągniemy cię stąd! – powiedziała Alex. – Daj nam chwilę!

Ich głosy wydawały się ciche i stłumione, tak jakby słuchała ich przez

szkłankę przyłożoną do drzwi.

– W której z nich jest? – spytał męski głos.

Serce Izzy забиło mocniej. Brzmiał jak głos Ethana.

– Nie wiem – odpowiedziała Alex. – Po prostu pootwieraj wszystkie drzwi!

Izzy załomotała w drewno nad swoją głową

– Jestem w tej! – Otworzyła się komora poniżej niej po lewej. Potem ta bezpośrednio pod nią.

– Co, do cholery?! – powiedział Ethan. – Co tam robisz?

Metal zazgrzytał o metal, a potem rozległo się kilka głośnych uderzeń, tak jakby ktoś usiłował wstać albo z kimś walczył. Coś ciężkiego zaszurało po podłodze, a potem uderzyło w drzwi nad jej głową. Komora się zatrzęsnęła.

– Gdzie jest Izzy?! – warknął Ethan. Jego głos brzmiał tak, jakby był tuż za drzwiami, a Izzy wyobrażała sobie, że z twarzą wykrzywioną gniewem przygwaźdża kogoś do komory.

– To nie był mój pomysł! – powiedział męski głos. – Zapłacili mi!

– Kto ci zapłacił? – spytał Ethan, uderzając jeszcze raz tą osobą o komorę.

– Do diabła z nim! – powiedziała Alex. – Musimy znaleźć Izzy!

– Policzymy się później! – powiedział Ethan z groźbą w głosie.

Izzy zrozumiała, że ktoś został odepchnięty od komory. W pomieszczeniu rozległo się metaliczne uderzenie, tak jakby ktoś potknął się o zbiornik płynu do balsamowania. Drzwi wahadłowe zaskrzypiały.

W końcu grube drzwi nad jej głową zostały otwarte, a snop światła przeciął ciemne wnętrze. Wciągnęła głośno powietrze i naparła na boki

komory, próbując się z niej wydostać. Wtedy ktoś szarpnął za płytę. Zamrugła i zasłoniła oczy drżącą dłonią, nagle oślepią. Snopy światła opadły i zobaczyła Alex stojącą z dwiema latarkami, wpatrującą się w Izzy szeroko otwartymi oczami.

– Boże drogi! – powiedziała. – Nic ci nie jest?

– Myślę, że nie – odparła Izzy, unosząc się na łokciach.

Opuściła nogi za krawędź płyty, podniosła się zbyt szybko i natychmiast poczuła zawroty głowy. Wzięła głęboki oddech i zamknęła oczy, próbując odzyskać równowagę. Ciepła dłoń dotknęła jej pleców. Obróciła się i zobaczyła Ethana ze zmarszczonym czołem i zaciśniętymi ustami. Podeszedł do niej, chcąc pomóc jej zejść. Nie mogąc powstrzymać drżenia, chwycił ją za ramię, żeby się oprzeć, i przesunęła się w stronę grubej krawędzi płyty. Ethan objął ją w pasie, podniósł, a potem delikatnie postawił na podłodze. Świat poszarzał i zachwiał się, kiedy zakołysała się i spróbowała utrzymać w pionie. Ethan chwycił ją za ramiona i przytrzymał.

– Jesteś pewna, że wszystko w porządku? – spytał, pochylając się, by spojrzeć jej w oczy.

Izzy kiwnęła głową. Pomimo przytłaczającej ulgi, jaką poczuła po niespodziewanym ratunku, zastanawiała się, co on tu robił. Chciała go zapytać, gdzie jest Shannon, i czy wiedział, co zaplanowała jego dziewczyna. Ale najpierw chciała się wydostać z Willard.

– Najmocniej cię przepraszam! – powiedziała Alex. – Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Kiedy wyciągnęli mnie stąd, myślałam, że wzięli też ciebie. Nic nie widziałam i próbowałam się uwolnić, ale... – Teraz rozplakała się, a słowa wypływały z niej razem z krótkimi, płytkimi oddechami. – Nie wiedziałam, że cię nie ma, dopóki nie wyszliśmy na

zewnątrz!

– Nic się nie stało – zapewniła ją Izzy. – To nie twoja wina. Zabierzcie mnie stąd.

– Wzięli ze sobą latarki i tak po prostu zostawili mnie przed budynkiem – powiedziała Alex. – Długo szukałam kogoś, kto mógłby mi pomóc.

– Chodźmy – powiedział Ethan, obejmując Izzy w pasie.

Skierowała się w stronę wyjścia, na nogach jak z gumy, trzymając się ramienia chłopaka, żeby zachować równowagę. Drżała i zęby jej szczękały, częściowo z zimna, wyczerpania i ulgi, a częściowo z gniewu.

– To musiała być Shannon! – stwierdziła Alex, a w jej słowach można było wyczuć wściekłość. – To ona ich do tego namówiła!

– Tak – powiedziała Izzy. – Też tak sędzę.

Ethan zatrzymał się w korytarzu, zdjął bluzę i wyciągnął ją w kierunku Izzy. Włożyła ramiona w rękawy i owinęła się tym zbyt wielkim dla niej ubraniem. Bluza była w środku sucha i ciepła, a znajomy zapach wody toaletowej Ethana unosił się z kołnierza. Chciała naciągnąć skraj bluzy na twarz, żeby stłumić mokry, zgniły zapach piwnic, ale się powstrzymała. Szła dalej cementowym korytarzem, tak szybko jak tylko mogła, pragnąc wypełnić swoje płuca świeżym powietrzem.

– Wiesz, kto włożył cię do komory? – spytał Ethan.

– Josh i Dave – odpowiedziała. – Jestem tego pewna.

– Naprawdę przykro mi z tego powodu. Nie mogę uwierzyć, że mogła to zrobić, tobie czy komukolwiek.

– Twoja dziewczyna jest naprawdę popieprzoną jędzą – powiedziała Alex. – Stoi sobie tam, udając, że martwi się o Izzy i zastanawia się, co jej się mogło stać. Izzy powinna ją oskarżyć!

Na końcu korytarza Izzy chwyciła barierkę i wdrapała się na schody.

– Teraz pewnie nie będzie zadowolona z tego, co zrobiłeś – powiedziała do Ethana. – Jeśli wie, że poszedłeś mnie szukać.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Gdzie ona teraz jest?

– Wszyscy czekają przy hangarze na łodzie.

– Zaprowadźcie mnie tam – powiedziała Izzy.

Światła latarek chwiały się i krzyżowały. Ich żółte strumienie przecinały czarny trawnik, na chwilę oświetlając rozsypujące się dachówki starego hangaru na łodzie. Grupki młodzieży kręciły się po okolicy, przechadzając się i podskakując, by się rozgrzać, czekając, aż usłyszą, co się stało. Kiedy Crystal zauważyła Izzy schodzącą ze wzgórza, pobiegła do niej po trawie. Izzy poczuła, jak jej twarz i pierś ogarnia gorąco.

– Wszystko w porządku? – spytała głosem wypełnionym udawanym współczuciem. Wyciągnęła ręce do Izzy, jakby chciała ją uściskać. Izzy minęła ją i szła dalej, wypatrując Shannon pośród tłumu.

W końcu dostrzegła ją, rozmawiającą i śmiejącą się z Joshem i Lukiem. W jednej ręce trzymała piwo, w drugiej papierosa. Izzy przepchnęła się przez tłum, ignorując, że wszyscy gapili się na nią. Im bardziej zbliżała się do Shannon, tym bardziej wzrastała w niej furia, wypełniając ją tak, jak gorące powietrze wypełniało balon. W innej sytuacji wyparłaby gniew ze świadomości zaraz po tym, jakby się pojawił. Tym razem jej furia była zbyt wielka, pochłaniała wszystkie myśli. Nie uderzyłaby Shannon, ale nie pozwoli, żeby uszło jej to na sucho. Skierowała się w jej stronę, robiąc długie, równe kroki. Jej ciało było naprężone, a dłonie zaciśnięte w pięści.

W zwolnionym tempie zobaczyła, jak Shannon odwraca głowę w jej stronę. Oczy błyszczały jej od alkoholu i z braku snu. Jej uśmiech zniknął, kiedy zobaczyła, że Izzy idzie w jej kierunku. Dziewczyna otworzyła usta i chciała coś powiedzieć, ale Josh wszedł między nie, blokując Izzy.

– Co się tam stało? – spytał Izzy. – Wszystko w porządku?

– Doskonale wiesz, co się stało – odpowiedziała.

Minęła go i ruszyła dalej w kierunku Shannon. Dziewczyna patrzyła na nią, a jej wargi poruszały się, kiedy próbowała zdecydować, czy powinna się uśmiechnąć, czy zmarszczyć brwi, bez wątplenia zastanawiając się, czy jej podstęp się wydał. Będąc jednak setki razy w tej sytuacji, Shannon instynktownie wiedziała, co ma robić. Uśmiechnęła się, a na jej twarzy odmalował się wyraz sztucznej ulgi.

– O Boże! – powiedziała. – Nic ci nie jest?

Przez ułamek sekundy Izzy nieomal zatrzymała się i zawróciła, wiedząc, że Shannon nie była tego warta. Ale potem coś mrocznego pękło w jej umyśle i ruszyła do przodu, łapiąc ją za kołnierz obiema rękami. Przyciągnęła jej twarz do swojej.

– Jeśli jeszcze raz ze mną zadrzesz – warknęła – pożałujesz tego! – Ślina prysnęła z jej ust, lądując na idealnie opalonym policzku Shannon.

Dziewczyna zbladła i odsunęła się. Szarpnęła za palce Izzy, próbując się uwolnić.

– Trzymaj ręce z dala ode mnie! – krzyknęła.

– Przepróś! – powiedziała Izzy, głosem pełnym furii.

– Nic nie zrobiłam! – broniła się Shannon.

– Przepróś albo spiorę cię na kwaśne jabłko! – wrzasnęła Izzy.

Zanim zorientowała się, co się stało, Josh odsunął ją, jedną ręką

trzymając jej bluzę, a drugą ramię Shannon.

– Zostaw ją! – powiedział, przytrzymując Izzy. – Nie wiem, co się tam stało, ale ona nie miała z tym nic wspólnego.

Izzy wyrwała się Joshowi.

– Pieprzenie! – krzyknęła. Podstawiła mu wyciągnięty palec pod nos. – Wiedziałeś dokładnie, co się stało! Wsadziłeś mnie do komory i tam zostawiłeś! A ona cię do tego namówiła!

– Ja? – powiedział Josh, unosząc brwi. – Nie wiem, co paliłaś, ale nie dotknąłem cię! Alex zaczęła krzyczeć i wszyscy wybiegliśmy. Myślałem, że jesteś zaraz za nami!

– Kłamiesz! – powiedziała Izzy.

– Nie było cię z nami! – Alex zwróciła się do Josha. – Wyszedłeś stamtąd dopiero po kilku minutach, kiedy Luke i Crystal mnie puścili.

Shannon stała obok Josha z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedziała. – Przeprosiłam cię za wszystko, poprosiłam o drugą szansę i dostaję coś takiego w podzięcie. Nie wiem, czy próbujesz się mścić, ale mówiąc, że namówiłam Josha do zamknięcia ciebie w komorze, wysuwasz bardzo poważne oskarżenie. Nigdy nie zrobiłabym czegoś tak okropnego.

Izzy znowu ruszyła w stronę Shannon. Josh stanął między nimi i odepchnął ją. Wtedy pojawił się Ethan, by wesprzeć Izzy. Zamachnął się i uderzył pięścią Josha w twarz, stękając z wysiłku. Kiedy się wyprostował, zobaczył, że Josh upadł na ziemię z podniesioną ręką i krwawiącym nosem.

– Odchrzań się od Izzy! – warknął.

Pojawił się Dave, mrugając oczami i patrząc na Josha, a potem na Ethana.



– Ethan, co ty, do cholery, robisz? – zapytał.

Ethan cofnął pięść, gotowy do kolejnego ciosu, tym razem wycelowanego w Dave'a, ale Izzy chwyciła go za ramię.

– Nie – powiedziała. – Nie są tego warci.

Chłopak otarł usta przedramieniem, dysząc i wpatrując się w nich. Położył dłoń na barku Izzy.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Izzy kiwnęła głową. Dave pomógł Joshowi się podnieść i oboje mierzyli wzrokiem Ethana, potrząsając głowami.

– Odwaliło ci? – zapytał Dave.

– Mnie odwaliło? – odparł Ethan. – Kiedy w końcu dorośnięcie i zaczniecie myśleć o konsekwencjach tego, co robicie? Co byście zrobili, gdyby Izzy coś się stało? Gdyby stała się jej krzywda albo nie znaleźlibyśmy jej?

– Ethan, popieprzyło cię? – zapytała Shannon. – Dlaczego stajesz po jej stronie? To ja jestem twoją dziewczyną, pamiętasz?

Ethan wpatrywał się przez chwilę w ziemię, a potem spojrzał Shannon prosto w oczy.

– Już nie – powiedział, krzywiąc się, jakby w ustach miał coś zepsutego.

– Co? – zapytała Shannon podwyższonym głosem. – Co powiedziałaś?

Ethan wziął głęboki oddech, wytrzymując jej spojrzenie.

– Zrywam z tobą. Nie mogę być z kimś, kto lubi ranić innych. Nie wiem, co się ostatnio z tobą dzieje, ale tym razem przeholowałam.

– Ja przeholowałam? – wydusiła z siebie Shannon łamiącym się głosem.

– Tak po prostu uwierzysz jej na słowo?

– Znalazłem twojego kumpla Bryana w komorze – odrzekł Ethan. – Powiedział, że mu zapłaciłaś.

– To nieprawda – powiedział Josh, a jego słowa były niewyraźne i przytłumione. Trzymał się za nos, a jego grubą jak deska dłoń pokrywała ciemna krew. – Ona nie miała z tym nic wspólnego.

– Josh, możesz już przestać starać się robić na niej dobre wrażenie – powiedział Ethan. – Jest cała twoja.

Potem wziął Izzy za ramię i odwrócił się, kierując się w stronę brzegu. Alex poszła za nimi.

– Chcesz jechać na pogotowie? – spytał Izzy.

– Nie – odpowiedziała. – Nic mi nie będzie.

– Chodź – powiedział Ethan do Alex. – Zabierzmy ją do domu.

*Marzec 1931*

Tydzień po tym, jak wypuszczono ją z Rookie Pest House, pozwolono Clarze dołączyć do pozostałych pacjentów zakładu. Przeniesiono ją na inny oddział i przydzielono do pracy w pralni: miała sortować, krochmalić i prasować. Praca była wycieńczająca, a w pralni było strasznie gorąco, ale czuła ulgę, że nie musiała już być w Rookie Pest House, że mogła stać, ruszać się i rozciągać mięśnie. Jednak największą ulgą było to, że nie była przykuta łańcuchami do łóżka przez całą dobę.

Pacjentki pracujące w pralni trzymały się na uboczu, poza Matyldą, starszą kobietą, która rozmawiała ze wszystkimi. Matylda mówiła z wyraźnym europejskim akcentem, a siwe włosy miała zaplecione w długie warkocze. Była wyższa o głowę od większości kobiet, miała grube, muskularne ramiona i niewiarygodnie szerokie palce. Matylda przynosiła świeżo wyprane prześcieradła i poszwy do krochmalenia, podnosząc balie pełne mokrego prania jedną ręką i powoli je przenosząc. Kiedy nie dźwigała niemożliwie ciężkich balii, pchała wózki z podartymi ubraniami do szwalni po drugiej stronie sali. Za każdym razem, kiedy się zatrzymywała, przytulała każdą kobietę, która znalazła się w pobliżu, i powtarzała te same słowa.

– Nie słyszę głosów. Nie mam wizji. Nie jestem szalona. Jestem nerwowa.

Zwykle pacjentom nie wolno było się nawzajem dotykać, ale nikt nie powstrzymywał Matyldy przed codziennym rozdawaniem uścisków. Clara wyczekiwała jej, niecierpliwiąc się, by znów poczuć, jak obejmują ją jej silne, ciepłe ramiona. Wydawało się jej, jakby minęła wieczność, od kiedy ostatnio ktoś ją przytulił, więc za każdym razem trzymała ją dłużej

w ramionach. Kiedy Clara podziękowała jej, Matylda uśmiechnęła się i powiedziała, że jest kochana. Ten gest stał się jasnym punktem dnia Clary, maleńką demonstracją dobroci w zimnym, nieczułym miejscu.

Po dwóch tygodniach Clarze pozwolono przebywać każdego popołudnia w pokoju rekreacyjnym. Pomieszczenie to było długie i wąskie, udekorowane tapetą w prążki, brokatowymi zasłonami i wiktoriańskimi kandelabrami. Pacjenci siedzieli na sofach z poduszkami albo na krzesłach wyplatanych z trzciny, rozmawiając, wpatrując się w przestrzeń lub grając w karty i gry planszowe przy dębowych stołach. W rogu jeden z pacjentów kręcił korbką fonografu Victrola, w kółko odtwarzając zdarte nagranie *America the Beautiful*. Pokój urządony był tak, by sprawiać wrażenie swojskiego, by pacjenci mogli się w nim odprężyć, ale w przypadku Clary wywoływało to odwrotny skutek. Dla niej to była drwina, próba utwierdzenia pacjentów w przekonaniu, że dba się tu o ich potrzeby, podczas gdy miesiące i lata mijają niepostrzeżenie. Ich życie upływało i nikt nie próbował im pomóc. Za eleganckimi zasłonami i wygodnymi meblami nadal znajdowały się zakratowane okna i zamknięte drzwi, a sanitariusze obserwowali ich czujnie.

Manewrując między krzesłami i stołami, Clara próbowała znaleźć ciche miejsce, gdzie mogłaby być sama. Wtedy serce podskoczyło jej w piersi. Esther i Madeline siedziały razem przed biblioteczką, Madeline nachylała się, czytając Esther, która siedziała na miękko wyściełanym fotelu z głową odchyloną do tyłu i zamkniętymi oczami. Clara nie widziała Madeline od tego dnia w kuchni, kiedy uderzyła się w głowę i zaczęła rodzić. A Esther spotkała po raz ostatni na ich codziennej przechadzce, kiedy przechodziły koło Rookie Pest House. Clara podbiegła i przyklękła przy krześle Esther.

– Tak bardzo się cieszę, że was widzę! – szepnęła.

Madeline upuściła książkę na podolek i zaczęła się w nią wpatrywać szeroko otwartymi oczami.

– Clara! – zakrzyknęła. – Gdzie się podziewałaś?

Clara zerknęła na Esther, by zobaczyć, jak zareaguje na jej widok, ale kobieta spała. Z bliska twarz Esther wyglądała na bledszą, niż Clara zapamiętała, a czarne cienie okalały pomarszczoną skórę pod jej oczami. Wyglądała, jakby postarzała się o dziesięć lat. Rysy twarzy godne gwiazdy filmowej odebrał jej żal i stres. Tylko dlatego, że pocałowała innego mężczyznę. Clara przełknęła ślinę, próbując odzyskać kontrolę nad głosem.

– Zaczęłam rodzić, tamtego dnia w kuchni – powiedziała. – Byłam razem z dzieckiem w szpitalu przez kilka miesięcy. Ale potem... – Głos jej uwiązł w gardle, kiedy próbowała wydusić z siebie prawdę o swojej córce.

– Gdzie jest twoje dziecko? – spytała Madeline przyciszonym głosem. Oczy zaszczyły jej łzami, chwyciła mocniej krawędź książki, tak że zbieleły jej knykcie.

– Zabrali ją – wydusiła z siebie Clara. – Jakaś kobieta przyszła i odebrała mi ją. – Po raz pierwszy powiedziała te słowa na głos. Nagle poczuła, że ma zawroty głowy i nudności. Wstała i przysunęła sobie krzesło, ocierając łzy z policzków.

– O nie – powiedziała Madeline. – Miałam nadzieję, że cię zwolnią albo że twoi rodzice przyjadą po ciebie po tym, jak się przewróciłaś. Tak przynajmniej sobie mówiłam. Nie zniosłabym tego, gdyby coś złego ci się stało, dlatego że mnie broniłaś. Ale teraz zabrali ci dziecko... – Opuściła głowę i pociągnęła nosem. Wielkie łzy kapały jej z czubka nosa.

Clara uścisnęła dłoń Madeline.

– Nie płacz – powiedziała. – Któregoś dnia zobaczę swoją córkę. Nie wiem, kiedy i jak, ale to się stanie. Na razie muszę trzymać się tej myśli

i robić to, co mi każą. W jakiś sposób muszę przekonać doktora Roacha, że jestem wyleczona.

Madeline uniosła głowę. Przygryzła wargę i zaczęła skubać skórę wokół kciuka.

– O co chodzi? – spytała Clara. – Coś jest nie tak?

Madeline spojrzała na Esther.

– Uważaj – powiedziała. – To zrobił jej doktor Roach.

Clara odwróciła się, by popatrzeć na Esther

– Co zrobił? – spytała. – Co jej jest? Myślałam, że śpi.

– Śpi – powiedziała Madeline. – To jedyne, co teraz robi. Przedtem doktor Roach dopytywał się o szczegóły jej romansu. Jej mąż powiedział, że zachowywała się jak zwykła dziwka, a doktor Roach stwierdził, że jedynym sposobem na wyleczenie jej było wyznanie mu wszystkiego. Chciał usłyszeć każdy szczegół. Z początku odmawiała, ale doktor powiedział, że nigdy jej nie wypuszczą, jeśli nie będzie współpracowała. Potem, kiedy w końcu zgodziła się i opowiedziała mu o wszystkim, chciał, żeby odegrała z nim to, co robiła z kochankiem. Chciał ją skłonić, żeby uprawiała z nim seks.

Clara zacisnęła zęby, a gniew zapłonął jej w piersi.

– Zrobił jej krzywdę?

Madeline potrząsnęła głową.

– Próbował wziąć ją siłą, więc go kopnęła – powiedziała. Wskazała na swoje krocze. – Wiesz gdzie. Tydzień później zniknęła. Kiedy w końcu wróciła na oddział, siostra Trench powiedziała, że była w śpiączce insulinowej. Esther nic nie było, była tylko bardzo, ale to bardzo zmęczona. Pozwolili jej zostać jakiś czas w łóżku. Potem jednak coś się stało.

Powiedziała, że na oddział przyszedł mężczyzna. Myślę, że to ją przeraziło.

Clara zmarszczyła brwi.

– Mężczyzna wszedł na oddział żeński? Jak to możliwe?

– Był razem ze stolarzami. Naprawiali przeciekający sufit albo zakładali nowe drzwi. Nie jestem pewna.

– Skrzywdził ją?

– Nie – odpowiedziała Madeline. – Nie wydaje mi się. Ale po tym, jak to się zdarzyło, Esther ciągle pytała, gdzie jesteś. Nie przestawała. Powtarzała ciągle: „Gdzie jest Clara? Gdzie jest Clara?”.

Clara wyprostowała się na krześle zaskoczona.

– Ja? – zapytała. – Dlaczego pytała o mnie?

Madeline potrząsnęła głową.

– Nie wiem – odparła. – Obie zastanawiałyśmy się, gdzie jesteś, ale to było coś innego. Była jak w gorączce. Tak jakby jej życie zależało od znalezienia ciebie. Po tym doktor Roach przepisał jej jakiś lek, po którym chciała ciągle spać. Kiedy zasypia, jest jak nieżywa. Kiedy obudzi się na tyle, żeby rozmawiać, nie chce mi o niczym mówić. Boi się, że zapomni, jeśli mi powie. To zdarzyło się dwa miesiące temu.

Clara spojrzała na Esther.

– Będzie mówić, jeśli ją obudzimy?

– Może – odpowiedziała Madeline. – Czasem mówi, czasem nie. To zależy od pory dnia.

Clara położyła dłoń na ramieniu Esther i delikatnie nim potrząsnęła.

– Esther? – zapytała delikatnie. – Esther, słyszysz mnie?

Dziewczyna nieznacznie poruszyła głową. Madeline przesunęła się do przodu na swoim krześle, rozglądając się po sali, by upewnić się, że nikt nie

widzi. Sanitariusz odpowiedzialny za ten pokój siedział przy biurku i czytał jakieś czasopismo. Madeline chwyciła Esther za rękę i delikatnie pociągnęła ją do przodu.

– Esther – powiedziała. – Obudź się. Clara jest tutaj i chce z tobą rozmawiać.

Górna połowa ciała Esther zaczęła się pochylać do przodu, ale jej głowa zwisała do tyłu, a oczy nadal miała zamknięte. Madeline przestała ciągnąć i pozwoliła, by Esther z powrotem zapadła się w poduszkę.

– Słyszysz mnie, Esther? Clara jest tutaj. Jest tuż obok ciebie.

– Esther – powiedziała Clara, powstrzymując się, by nie krzyknąć. Przynęła się bliżej i opierając się na podłokietniku fotela, zbliżyła się do ucha Esther.

– To ja, Clara. Madeline powiedziała, że chcesz ze mną rozmawiać. O czym? Co chcesz mi powiedzieć?

Rzęsy Esther zatrzepotały i kobieta podniosła głowę z poduszki.

– Właśnie tak – powiedziała Madeline. – Obudź się, Esther. Clara jest tutaj. Pamiętasz Clare?

W końcu Esther zamrugała i otworzyła oczy. Popatrzyła na Madeline i zmrużyła powieki, potem zasłoniła sobie twarz dłońmi i wzięła głęboki oddech.

– Esther – powiedziała Clara. – Dlaczego pytałaś doktora Roacha, gdzie jestem? Czy chcesz mi coś powiedzieć?

Esther opuściła dłonie na podolek i powoli odwróciła się w stronę Clary, a cienka strużka śliny pociekła jej z dolnej wargi.

– Gdzie jest Clara? – spytała powoli i niewyraźnie.

– Jestem tutaj – odpowiedziała. – Otwórz oczy i popatrz na mnie.



Jestem tuż obok.

Esther zmusiła się do otwarcia powiek, próbując skoncentrować się na twarzy Clary. Białka jej oczu były nabiegłe krwią, tęczówki matowe.

– Clara – powiedziała. – Mężczyzna przyszedł na oddział.

– Tak – powiedziała Clara. – Madeline mi opowiedziała.

– Spałam, a on mnie obudził.

– Co się stało? – spytała Clara. – Zrobił ci coś? Skrzywdził cię?

Esther potrząsnęła głową.

– Potrząsnął mnie za bark i to mnie przestraszyło. Ale potem zapytał o ciebie. Spytał mnie, czy cię znam.

Serce Clary waliło jak młotem. Wbiła paznokcie we wnętrze swoich dłoni.

– Jak wyglądał? – spytała. – Powiedział ci, jak się nazywa?

– Ciemne włosy. Brązowe oczy. – Esther zamknęła powieki na chwilę, a Clara zaczęła się obawiać, że ta znowu zaśnie. Potem nikły uśmiech przemknął po wargach dziewczyny. – Bardzo przystojny.

Clara ledwo mogła oddychać.

– Esther – zaczęła mówić – co ten człowiek ci powiedział?

Esther przełknęła ślinę i zamrugła.

– Powiedz Clarze, że pracuję w zakładzie stolarzy. Powiedz jej, że przyjdę po nią.

– Kto? – spytała Clara, a włoski na jej ramionach się podniosły. – Kto po mnie przyjdzie? Jak się nazywał?

– Bruno – powiedziała Esther. – Bruno przyjdzie po ciebie.

Następnego ranka po tym, jak zamknięto ją w komorze, Izzy wyczołgała się ze śpiwora i słaniając się na nogach, weszła do łazienki Alex. Miała zeszywniałe stawy, a mięśnie napięte tak, jakby się z kimś pobiła. Opłukała sobie twarz i zmrużyła oczy, patrząc w lustro. Jej oczy były zaczerwienione, a włosy w nieładzie. Usiadła na toalecie, żeby się wysikać, i po raz pierwszy zauważyła, że jej kolana są podrapane i posiniaczone. Ciemnoniebieskie plamy pokrywały jej łokcie i przedramiona, a skóra na knykciach była zdarta i zakrwawiona. Nawet palce u stóp miała purpurowe. Nagle znowu ogarnęło ją uczucie uwięzienia w pułapce. Odepchnęła to wrażenie, wstała i podeszła do okna. Na zewnątrz było szaro i padał deszcz, co idealnie odzwierciedlało jej nastrój.

Przynajmniej zdecydowali, że wrócą do domu Alex, zamiast zostawać nad jeziorem, jak poprzedniej nocy. Przemokliby, nie mówiąc już o dramacie, jaki rozegrałby się, kiedy Shannon by ich dorwała. Poza tym Izzy nie przestawała drżeć, od kiedy wyciągnęli ją z komory. Jej cienki śpiwór nie wystarczyłby, żeby się ogrzała. W drodze powrotnej do miasta odkręciła ogrzewanie w bmw Alex do tego stopnia, że i ona i Ethan zaczęli narzekać.

Po szybkim śniadaniu, na które składały się sok pomarańczowy i płatki Rice Krispies, Alex odwiozła Izzy na koniec podjazdu domu jej przybranych rodziców, obiecując, że przyjedzie później obejrzeć jakiś film. Pomimo złego humoru Izzy była wdzięczna Alex za to, że próbowała odwrócić jej uwagę od tego, co wydarzyło się w Willard. Zgarbiła się, zasłaniając się przed deszczem, i pobiegła po wyłożonym kostką podjeździe, omijając powiększające się kałuże. Ciągle miała przed oczami Ethana stojącego na krawężniku, kiedy podrzucili go wczoraj pod dom, nachylającego się do otwartego okna pasażera. Z początku myślała, że

próbując ją pocałować, więc się odsunęła. Potem zrozumiała, że chciał się tylko pożegnać, i poczerwieniała z zażenowania. Zapytał po raz setny, czy u niej wszystko w porządku, i nalegał, żeby zostawiła sobie jego bluzę i oddała mu dopiero w poniedziałek w szkole, ale się nie zgodziła. Wszystko toczyło się dla niej zbyt szybko i nie chciała, żeby pomyślał sobie, że skoro zerwał z Shannon, to ona była gotowa zostać jego dziewczyną. Właściwie to nie wiedziała, czy kiedykolwiek będzie na to gotowa. Ciągle nie była pewna, czy mogła zaufać komuś, kto godził się na podłe sztuczki Shannon. Zostawiła sobie jednak przypinkę zespołu Green Day, którą znalazła w kieszeni jego bluzy. Teraz pocierała ją kciukiem, biorąc głęboki oddech przed otwarciem drzwi do kuchni Peg.

Zwykle w niedzielne poranki Harry smażył naleśniki i cała ich trójka siedziała w pidżamach, czytając komiksy i rozwiązując krzyżówki do południa. To był jej ulubiony dzień tygodnia. Te godziny, kiedy śmiali się i rozmawiali, a Peg i Harry pomagali jej w zadaniach domowych, sprawiały, że czuła się, jakby była częścią prawdziwej rodziny. Teraz burczało jej w brzuchu na myśl o chrupiącym bekonie i puszystych naleśnikach na maślanie polanych lepkiem syropem klonowym. Kiedy jednak weszła do kuchni, Peg i Harry siedzieli przy stole ubrani, z kubkami kawy w dłoniach, a niedzielna gazeta leżała równo poskładana między podkładkami. Peg, zaskoczona, uniosła wzrok, a jej zaciśnięte wargi tworzyły prostą, wąską kreskę. Harry odwrócił się na krześle i spojrzał poważnie na Izzy.

Serce dziewczyny zamarło. Pewnie w jakiś sposób dowiedzieli się o imprezie na plaży. Skłamała, że będzie u Alex, a teraz powiedzą jej, że musi opuścić ich dom. Była tego pewna. Zsunęła torbę podróżną z ramienia i usiadła, wstrzymując oddech i wpatrując się w zdjęcie prezydenta

Clintona i Moniki Lewinsky na pierwszej stronie gazety.

– Dobrze się bawiłaś wczoraj? – spytała Peg, próbując się uśmiechnąć.

– Było w porządku – powiedziała Izzy, zastanawiając się, czy to nie jest jakaś próba. Postanowiła przyznać się do wszystkiego. – Ale ja...

– Mamy ci coś do powiedzenia – przerwał jej Harry. Poprawił okulary na nosie i wytarł dłonie w spodnie. Peg przesunęła się na krześle, a jej knykcie zbieleły, kiedy mocniej ścisnęła kubek.

– Najpierw dobre wieści – powiedziała Peg. Głos jej drżał, więc odchrząknęła. Izzy patrzyła na nią, a tworząca się właśnie gula w jej gardle groziła utratą oddechu. Cóż mogła powiedzieć Peg, żeby złagodzić siłę nadchodzącego ciosu? – Odnalazłam pielęgniarkę, która pracowała w Willard. Przypuszczamy, że mogła zajmować się Clarą. Możemy spotkać się z nią i porozmawiać, jeśli tego chcesz.

Izzy kiwnęła głową, a jej tętno przyśpieszyło.

– Myślicie, że ona wie, co się stało z Clarą? – wydusiła z siebie. – Albo z jej córką?

– Nie wiem – powiedziała Peg. – Ale ją zapytamy. Jeśli nie wie, spróbujemy się tego dowiedzieć razem. Obiecuję.

*Razem.* Oczy Izzy wypełniły się łzami. Peg powiedziała, że spróbują się dowiedzieć tego razem. Czyli jednak jej nie odsyłali. Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze, czując ulgę. Potem jednak Harry spojrzał na żonę, jakby szukając wsparcia.

– Jest jeszcze jedna rzecz – powiedział ze zmarszczonymi brwiami. – Chodzi o twoją mamę.

Izzy zeszywniała. Harry i Peg rzadko wspominali o jej mamie. Cokolwiek Harry miał do powiedzenia, musiały to być złe wieści.

Naprawdę złe. Widziała to po jego minie.

– Co z nią? – spytała, czując, jak ściska jej się żołądek.

Peg położyła swoją miękką dłoń na jej dłoni. Dziewczyna poczuła, jak coś przestawia jej się w głowie, jakby jej mózg przygotowywał się na wstrząs.

– Wczoraj miała udar – powiedział Harry. – Była w swojej celi i nikt nie wiedział, że coś jest nie tak, aż do dzisiejszego poranka.

Izzy przełknęła ślinę.

– Przykro mi – powiedziała Peg, a jej oczy wezbrały łzami. – Jest w śpiączce. Mówią, że nie uda jej się z tego wyjść.

Izzy wpatrywała się w Peg, próbując wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowo. Język miała jak z ołowiu, a jej wargi były ociężałe i bezwolne. Peg pogłaskała dłoń Izzy, a jej miękkie palce natrafiły na obdarte knykcie dziewczyny. Spojrzała w dół i głośno wciągnęła powietrze.

– Co się stało? – spytała.

Izzy cofnęła rękę, zaciskając ją w pięść na podołku.

– Nic – powiedziała. – Przewróciłam się, testując rolki Alex.

Gdzieś w zakamarkach jej umysłu pojawiło się zaskoczenie, że skłamała z taką łatwością. Co zmieniło się od wczoraj? Sięgnęła po swoją torbę podróżną i wstała, przysuwając krzesło do stołu.

– Wszystko w porządku? – spytał Harry. – Chcesz wiedzieć, co powiedzieli lekarze?

Izzy potrząsnęła głową, a jej ciało drętwiało.

– Nie... nie teraz – odpowiedziała.

– Możemy cię zabrać do niej jutro po szkole – powiedziała Peg. – Jeśli chcesz.

Izzy wbiła paznokcie w oparcie krzesła. *Co to da?* – pomyślała.

– Jestem naprawdę zmęczona – powiedziała, zebrawszy się w sobie. – Jeśli nie macie nic przeciwko, wezmę prysznic i pójdę się zdrzemnąć.

– Mogę najpierw zrobić ci coś do jedzenia? – spytała Peg.

– Zrobię naleśniki, jeśli jesteś głodna – powiedział Harry.

Izzy potrząsnęła głową i wyszła z kuchni, a nogi uginały się pod nią, jakby były z waty. W połowie schodów na górę zwolniła i chwyciła się poręczy. Serce jej łomotało mocniej z każdym pokonywanym stopniem. Na ostatnim korytarz zachwiał się jej przed oczami. Chwyciła się słupka i zaczęła, aż złapie równowagę. Po długiej chwili poszła do pokoju, rzuciła torbę na podłogę i natychmiast pobiegła do łazienki.

Otworzyła klapę toalety i zwymiotowała Rice Krispies, które zjadła u Alex, a potem skurcze w przełyku dławiły ją tak mocno, że czuła, jakby miała za chwilę pozbyć się wszystkich organów wewnętrznych. W końcu była w stanie złapać oddech bez krztuszenia się. Jeszcze wiele razy splunęła do toalety, a potem otarła usta i wyprostowała się. W połowie pełna puszka coli stała na krawędzi umywalki. Wypiła resztę odgazowanego napoju, mając nadzieję, że karmelowym płynem wypłucze kwaśny posmak z ust.

Wciąż czując zawroty głowy, poszła chwiejnym krokiem do swojego pokoju, padła na łóżko i położyła się na boku, przyciskając poduszkę do piersi. Zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy, ale bezskutecznie. Przez dziesięć lat była zbyt przerażona, by odwiedzić mamę w więzieniu. Bała się, że będzie wyglądała i zachowywała się jak szalona albo nie będzie jej w ogóle poznawać. Teraz niczego bardziej nie pragnęła. Gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że nadejdzie dzień, kiedy jej mama zostanie wyleczona albo zarzuty zostaną wycofane. Może jakimś cudem ktoś odkrył, że zamordowanie jej ojca było jednym wielkim nieporozumieniem. Może to

włamywacz go zastrzelił, a mama Izzy, będąc świadkiem gwałtownej śmierci męża, na jakiś czas straciła rozum. Kiedy prawda wyszłaby na jaw, mama zostałaby uwolniona i mogłyby znowu być z Izzy rodziną. Przez lata w jej umyśle rozgrywały się dziesiątki różnych scenariuszy, ale za każdym razem wypierała je, pewna, że były tylko niemożliwymi do spełnienia wyobrażeniami małej, zagubionej dziewczynki. Teraz nadszedł koniec. Żadna z tych rzeczy nie mogła się spełnić. Izzy miała zostać sierotą. Nie było już szansy na to, że znów miałaby prawdziwą mamę, niezależnie od tego, jak nikła ona była.

Barki Izzy zadrżały konwulsyjnie. Dziewczyna ugryzła poduszkę, zaskoczona głębią swoich emocji. Chodziła z podniesioną głową i panowała nad sobą, dopóki była przekonana o tym, że nie można jej złamać. Teraz wszystko zaczęło się walić jej na głowę. Wiedziała, że kiedyś nadejdą zmiany. Ale jeszcze nie, nie w tej chwili i nie w ten sposób. Zamrugła załzawionymi oczami, a potem podniosła głowę i popatrzyła na kredens. Pocztówki i listy od mamy wciąż tam były, w szarej kopercie na dokumenty za jej skarpetami i bielizną.

Usiadła na łóżku i otarła łzy, a serce biło jej powoli i ciężko. Czytanie listów mogło poprawić sytuację, ale mogło ją też pogorszyć. Pomyślała o kopertach w kufrze Clary. Gdyby je wysłano, los dziewczynki mógłby być inny. Gdyby tylko Bruno miał szansę je przeczytać. Może zabrałby Clare z Domu na Long Island, zanim zostałaby przeniesiona do Willard. Może pobraliby się, wychowaliby dzieci i żyli długo i szczęśliwie.

Teraz Izzy zastanawiała się, czy zmieniłoby to coś, gdyby przeczytała listy od mamy. Może odpowiedzi, których szukała, były tam od początku. Żołądek ponownie jej się ścisnął. Niezależnie od tego, co było w listach, było za późno, żeby cokolwiek zmienić. Chciała jednak poznać prawdę.

Listy jej mamy mogły przedstawić obraz kobiety, którą kiedyś była – pełną miłości i uwielbienia – albo być jednoznacznym dowodem na jej szaleństwo.

Izzy wstała i wyciągnęła listy schowane w górnej szufladzie, a potem usiadła po turecku na łóżku, a pudełko leżało przed nią na kołdrze. Otworzyła metalowe zapięcie, potem klapkę i pozwoliła, żeby kartki i pocztówki się z niego wysypały. Przechylony stos różnej wielkości kolorowych kopert przypominał jej walentynki w szkole podstawowej, kiedy każdy dostawał kartki od kolegów i koleżanek z klasy. Zawsze zastanawiała się, czy dostanie tyle samo kartek, co reszta dzieciaków, i bardzo chciała zobaczyć, jak były podpisane z tyłu. Czy było tam tylko imię czy także inicjały NPNZ – najlepsi przyjaciele na zawsze – albo same NP – najlepsi przyjaciele?

Odwracała koperty od mamy – jedną po drugiej – na stronę z adresem, sprawdzając znaczek pocztowy i układając je w porządku chronologicznym. Zamierzała czytać je według dat, zaczynając od pierwszych miesięcy po uwięzieniu. Z początku listy były wysyłane co miesiąc. Z czasem ich częstotliwość spadła do trzech lub czterech na rok. Izzy zgadywała, że oprócz listów były tam też kartki na urodziny i na Boże Narodzenie. Wszystkie mały ten sam adres zwrotny: Więzienie Stanowe Bedford.

Wzięła głęboki oddech, podniosła pierwszy list z pieczętką z lipca 1986, miesiąc po wyroku, i otworzyła kopertę. Teraz albo nigdy. Położyła palce na drżących wargach i zaczęła czytać.

*Cześć, Skarbie!*

*Jak się czujesz? Mam nadzieję, że wszystko u Ciebie w porządku.*



*Tak bardzo mi Ciebie brakuje! Chciałabym Ci powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało z Twoim tatą. Wiem, że teraz nie rozumiesz, co się dzieje, ale kiedyś zrozumiesz, obiecuję. Przepraszam, że tak długo byłam chora i nie mogłam się Tobą zająć. Kiedy już wyzdrowiałam, było za późno. Wiem, że jesteś smutna i dezorientowana. Przepraszam Cię za to. Proszę, przyjeźdź mnie odwiedzić. Tęsknię za Tobą tak bardzo, że aż boli mnie serce. Proszę, bądź dobra dla Babci. Niedługo się zobaczymy. Kocham Cię do Księżyca i z powrotem.*

*Całusy  
Mama*

Izzy zapiekły oczy. „Kocham cię do Księżyca i z powrotem”. Mama mówiła jej to każdego wieczoru po tym, jak przykryła ją przed snem kołdrą, zanim zgasiła światło i wyszła. Rozerwała następną kopertę. To była kartka z życzeniami na urodziny.

Na przodzie był napis „Życzenia urodzinowe dla słodkiej ośmiolatki”. W środku jej mama napisała: „Tęsknię i kocham Cię do Księżyca i z powrotem!”. *Gdzie więźniowie kupują kartki urodzinowe?* – zastanawiała się Izzy. Kolejny list był podobny – list do ośmiolatki, której życie wywróciło się do góry nogami. Przeprosiny i prośby, żeby ją odwiedziła. W końcu mama przestała prosić Izzy, żeby do niej przyjechała, a zamiast tego pisała o tym wszystkim, co chciałyby jej przekazać osobiście, wszystkie porady, jakie chciała dać swojej jedynej córce. Izzy musiała sobie przypominać, żeby oddychać, czekając, aż pojawi się to jedno zdanie, ta jedna grupka słów, która potwierdziłaby chorobę psychiczną mamy. Jak dotąd niczego takiego nie znalazła. Inną rzeczą, której nie mogła znaleźć,

była kolejna wzmianka o jej tacie. Wyglądało to tak, jakby nigdy nie istniał.

Izzy poczuła w piersi zimne odłamki żalu. Czy mogła się mylić przez cały ten czas? Czy zmarnowała te wszystkie lata, bojąc się? Z listów jej mama wydawała się normalną osobą. Im więcej Izzy czytała, tym bardziej czuła się, jakby jeszcze raz ją traciła. Ale w dalszym ciągu była daleka od zrozumienia tego, co stało się dziesięć lat temu.

Do trzeciej po południu Izzy przeczytała niemal czterdzieści listów. Peg przyszła do niej kilka razy, pukając cicho do drzwi i pytając się, czy nie chce czegoś do jedzenia albo picia. Za każdym razem Izzy odmawiała, mówiąc, że potrzebuje być sama, i dziękując Peg za propozycję. Tak naprawdę Izzy nie mogłaby nic zjeść, nawet gdyby chciała. Miała wrażenie, że gotuje się jej w żołądku.

Godzinę później słowa zaczęły się jej rozmywać i coraz częściej zamykały jej się oczy. List, który trzymała w dłoni, był poskładany i włożony do kartki z okazji jej trzynastych urodzin, a linie złożeń sprawiały, że jeszcze trudniej się go czytało. Zdecydowała, że przeczyta jeszcze ten jeden, pójdzie pod prysznic i zdrzemnie się. Po chwili jednak całkowicie oprzytomniała. Jeszcze raz przeczytała ostatnie słowa.

*Zastrzeliłam Twojego tatę, bo przyłapałam go w pokoju, jak robił rzeczy, których ojciec nie powinien robić swojej córce. Przepraszam, że nie powiedziałam Ci wcześniej, ale chciałam poczekać, aż będziesz na tyle dorosła, żeby zrozumieć, co się dzieje między mężczyzną a kobietą. Nie przejmuj się, kochanie, powstrzymałam go, zanim posunął się za daleko.*

Izzy upuściła list i zasłoniła usta dłońmi. Nie, to nie było możliwe! To był tylko zły sen! Kto pisze swojej córce na trzynaste urodziny, że jej ojciec

ją molestował? Jej mama musiała kłamać! Jednak była szalona! Tata Izzy nie mógł zrobić czegoś tak strasznego, prawda? Drżąc, Izzy skuliła się, przyjmując pozycję embrionalną, wpatrując się w pojedynczą różę na tapecie jej pokoju. Zamglony widok wypełniły jej pulsujące czerwone płatki, jak animowany rysunek jej złamanego i krwawiącego serca.

Wtedy koszmar wrócił do niej z pełną siłą, spocona ręka demona znalazła się między jej nogami, a jego ciężkie ramię przytrzymało ją w miejscu. Demon wstał i wyszczerzył kły, dziwna mieszanka obrzydzenia i ekstazy wykrzywiała jego twarz w przerażającą maskę. Potem ta maska przeistoczyła się w ludzką twarz i Izzy rozpoznała, kto był demonem. To był jej ojciec.

Wyskoczyła z łóżka, pobiegła do łazienki i padła na kolana przed toaletą, czując ból w piersi i żołądku, kiedy raz po raz wstrząsały nią suche torsje. W końcu złapała oddech i oparła się o wannę, przyciskając nasady dłoni do oczu. Gorące fale paniki oblewały jej szyję i klatkę piersiową, pulsując wokół serca jak ładunek elektryczny, wywołując gęsią skórę i sprawiając, że drżały wszystkie mięśnie jej ramion i nóg. Próbowwała oddychać głęboko i wydychać powietrze powoli. Kręciło jej się w głowie, kiedy zrozumiała, że wszystko, w co wierzyła, było kłamstwem. Kłamstwem, które stworzyła ona sama.

Jej mama poświęciła swoje życie, swoją wolność, by ją chronić. Przez te wszystkie lata Izzy myślała, że mama oszalała, a ojciec był kochającym mężczyzną, który zapłacił najwyższą karę za szaleństwo swojej żony. Wszystkie te lata zostały zmarnowane, bo nigdy nie była na tyle odważna, żeby zapytać mamę o jej wersję wydarzeń.

Potem coś przeskoczyło w mózgu Izzy, jakby olbrzymi puzzel w końcu wskoczył na swoje miejsce. Nagle wszystko zaczęło mieć sens. Jej mama

zawsze była nadopiekuńcza, a najmniejszy błąd w jej idealnym planie ochrony Izzy powodował u niej atak paniki. Kiedyś na zakupach Izzy puściła wózek, kiedy mama oglądała melony. Przeszła tylko kilka metrów dalej za róg stoiska, żeby popatrzeć na wystawę zabawek. Kiedy mama nie mogła odnaleźć jej wzrokiem, zaczęła wykrzykiwać jej imię na tyle głośno, że aż przybiegł kierownik sklepu. Izzy szybko wróciła do stoiska z owocami i dotknęła ramienia mamy, patrząc na nią z zażwawionymi oczami i bojąc się, że ta straciła rozum. Kobieta padła na kolana i rozplakała się, mówiąc Izzy, żeby nigdy, przenigdy nie oddalała się.

Widok męża molestującego jej córkę mógł łatwo doprowadzić mamę Izzy do ostateczności. To samo mogło stać się też z większością matek. Oczywiście większość matek zadzwoniłaby na policję, a nie strzelała mężowi w głowę ze strzelby myśliwskiej. Ale przynajmniej teraz Izzy zrozumiała, co się stało.

W liście mama przyznawała, że zastrzelenie męża było złe, że na chwilę straciła rozum. Wiedziała, dlaczego została ukarana. Jej adwokat nie mógł przekonać sędziego do złagodzenia wyroku, bo nie było dowodu na to, że ojciec Izzy zrobił coś złego. Mama odmówiła poddania jej badaniu, woląc poświęcić własną wolność. Wierzyła, że uda jej się uzyskać przedterminowe zwolnienie i że znowu będą razem.

Izzy przygryzła wargę. Przez te wszystkie lata prawda znajdowała się na wyciągnięcie ręki, czekała, aż dziewczyna otworzy kopertę i ją przeczyta. Napisane było czarno na białym. Ale Izzy była zbyt uparta, by to dostrzec. A teraz jej mama znajdowała się w śpiączce! Izzy nigdy nie będzie miała szansy, żeby powiedzieć jej, że w końcu zrozumiała. Nigdy nie będzie mogła przeprosić jej za to, że jej nie odwiedziła.

Pomyślała o Shannon, której matka zignorowała to, co robił jej ojciec.

Jak Shannon mogła żyć ze swoją mamą, wiedząc, że ona jej nie obroniła? To musiało być najgorsze uczucie na świecie. Mimo okropnych rzeczy, które zrobiła jej Shannon, dziewczyna jej współczuła. Jeśli tylko mama Shannon zrobiłaby coś, by powstrzymać męża, życie jej córki mogło być inne. Jak Shannon mogła codziennie widywać się ze swoją mamą? Jak mogła jej przebaczyć?

Izzy ukryła twarz w dłoniach. W przeciwieństwie do mamy Shannon, jej mama spędziła wszystkie te lata w samotności, myśląc, że córka nigdy jej nie wybaczy, zakładając, że już nie jest kochana. Wtedy Izzy przypomniła sobie, że czytała kiedyś o tym, że ludzie w śpiączce czasem słyszą głos osób, które kochają. Jej mama była podłączona do aparatury podtrzymującej życie, ale żyła. Ciągłe był czas, by ją odwiedzić i się pożegnać. Postanowiła poprosić Peg, żeby podwiozła ją jutro do Bedford. Być może mama usłyszy jej przeprosiny.

Kiedy Izzy pomyślała, że może zaufać swoim drżącym nogom, że utrzymają ją w pionie, wstała i rozebrała się. Kolana, łokcie i stopy wciąż ją bolały od uderzania po ścianach komory, a teraz również głowa pulsowała jej z bólu. Weszła do pustej wanny, a twarda i zimna porcelana, z której była zrobiona, była jak płyta nagrobna dotykająca jej skóry. Z wysiłkiem zakorkowała odpływ i odkręciła kurek z gorącą wodą, a ręce jej drżały jak stuletniej staruszce. Podczas gdy wanna się napełniała, wpatrywała się w czarny otwór przelewu. W jej umyśle nie pojawiła się żadna myśl. Świadoma była tylko uczucia zimna na początku, a później ciepła, kiedy gorąca woda zaczęła zbierać się wokół jej stóp. Kiedy sięgała jej do pasa, namydliła myjkę żelem pod prysznic i zaczęła trzeć skórę, naciskając mocniej niż to konieczne, patrząc w transie, jak białe bąbelki tworzą się na jej nogach i ramionach. Spojrzała na cienkie blizny na swoich rękach,

zastanawiając się, czy cięła się po to, żeby wyprzeć okropne wspomnienia tego, co zrobił jej ojciec. Zakręciła kurek i położyła się w zamydłonej wodzie. Leżała tak bez ruchu, a powolne, miarowe kapanie odbijało się echem w jej uszach jak podwodny zegar.

Po kilku minutach przesunęła dłońmi po swoim ciele, pocierając palcami piersi i delikatne, puszyste włoski między nogami. Ile razy myślała o uprawianiu seksu, o mężczyźnie całującym jej nagie piersi i ciepłą skórę, dotykającym jej delikatnych i intymnych miejsc? Ile razy fantazjowała o Ethanie kochającym się z nią? Mnóstwo. Na szczęście nie miała żadnych prawdziwych wspomnień o tym, jak była molestowana przez ojca. Ta myśl wywołała w niej mdłości. Umyła się po raz drugi między nogami, a potem wstała i opłukała się pod prysznicem, a strumień gorącej wody rozluźnił jej szyję i ramiona. W końcu zakręciła wodę i wyszła z wanny. Wytarła się ręcznikiem i włożyła czystą pidżamę, a potem poszła do pokoju i wczółgała się pod kołdrę.

*Nie pozwolę, żeby moja przeszłość określała moją przyszłość, pomyślała. Byłam wtedy inną osobą. Nie zamierzam spędzić reszty życia, płacąc za postęпки mojego ojca. Nie chcę i nie mogę.*

Po rozmowach z Madeline i Esther Clara spędziła następnych kilka tygodni, próbując się dowiedzieć, gdzie może pracować Bruno. Nie mogła przez to spać w nocy, a w ciągu dnia była roztargniona. W pralni, gdzie pracowała, pomieszała prześcieradła z ręcznikami, a koszule szpitalne z fartuchami. Kiedy brygadzysta zauważył jej pomyłkę, oddelegował ją do pracy w szwalni znajdującej się po przeciwnej stronie korytarza, gdzie zajmowała się szyciem i łataniem koszul, spodni i koszul nocnych. Siadała na stołku i wykonując małe, precyzyjne ścięgi, próbowała wymyślić nowe sposoby na odnalezienie Brunona. Jak do tej pory żaden z jej pomysłów nie był skuteczny.

Dzień po tym, jak Esther opowiedziała Clarze, co się stało, ta myślała, aby poprosić o widzenie z doktorem Roachem, żeby raz na zawsze przekonać go, że Bruno naprawdę istnieje. Chciała w jakiś sposób nakłonić go do tego, aby przyprowadził jednego po drugim wszystkich członków ekipy budowlanej do swojego biura. Bruno mógł być wśród nich i mógł rozpoznać Clarę, co by dowiodło, że od początku mówiła prawdę. Potem przypomniała sobie, jak Madeline opowiadała, że doktor Roach kazał podawać jej leki, ponieważ zachowywała się jak szalona, jakby odnalezienia Clary zależało jej życie. Dlaczego zatem leczył ją, zamiast zadbać o jej milczenie? Czy obawiał się, że Clara mogłaby się dowiedzieć, że Bruno jest w Willard? A jeśli nawet, to dlaczego? Chciała zadać jeszcze kilka pytań przed pójściem do doktora Roacha. Tamtego popołudnia siedziała naprzeciwko Esther w pokoju rekreacyjnym, delikatnie potrząsając nią, aby ją obudzić.

– Chcę cię o coś zapytać – powiedziała ściszym głosem Clara, nachylając się do niej.

Esther zamrugała i podniosła głowę, posyłając Clarze blady uśmiech.

– Odnalazłaś Brunona? – zapytała, cedząc słowa przez zęby.

– Ciiii – wyszeptała Clara. – Nie chcę, aby ktoś nas usłyszał.

Esther zrobiła głęboki wydech.

– W porządku – wyszeptała.

– Po prostu potakuj lub kręć przecząco głową, dobrze?

Esther pokiwała głową z półprzymkniętymi oczami, lekko rozchylając wilgotne wargi.

– Czy powiedziałaś doktorowi Roachowi, jak nazywa się mężczyzna, który przyszedł na oddział? – zapytała Clara.

Esther potaknęła.

– Czy powiedziałaś mu, że Bruno mnie szukał?

Esther znowu potaknęła.

Serce Clary zaczęło bić szybciej.

– Co powiedział doktor Roach?

Esther skrzywiła się z obrzydzeniem.

– Powiedział, że miałam halucynacje.

– Tylko tyle? Czy to dlatego kazał podawać ci leki?

Esther potrząsnęła głową.

– Zapytałam o ciebie. Powiedział, że byłaś bardzo chora. Potem zapytałam o twoje dziecko. Powiedziałam, że to Bruno jest ojcem.

– I? – zapytała Clara, wstrzymując oddech.

– Był zaskoczony, że wiedziałam o dziecku.

– Czy powiedział ci, że ją zabrali?

– Nie – odpowiedziała Esther, a jej podbródek zaczął się trząść. – Powiedział, że powinnam się zająć swoimi sprawami.

Clara poczuła, jakby jej policzki i piersi zajęły się ogniem. Nie potrafiła



sobie wyobrazić, dlaczego doktor Roach nie chciał uwierzyć w historię opowiedzianą przez Esther. Kobieta nic nie zyskiwała, mówiąc, że Bruno istnieje naprawdę. I dlaczego doktor Roach nie chciał się zagłębiać w tę sprawę, aby dowiedzieć się, czy Clara mówiła prawdę? Czy posunął się za daleko – zamykając ją i zabierając jej dziecko – żeby przyznać się, że popełnił błąd? A może to jej ojciec za tym stał, pociągając za sznurki?

Nagle twarz Esther wykrzywiła się w bólu.

– Przepraszam – powiedziała, wybuchając płaczem. – To wszystko moja wina.

– Co? – zapytała Clara, czując, jak ściska się jej żołądek.

– Nie powinnam była mówić doktorowi Roachowi o Brunonie – powiedziała łamiącym się głosem.

– Nic się nie stało – odparła Clara. – Po prostu próbowałam pomóc.

– Ale co, jeśli doktor Roach go wyrzucił?

Clara poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. Pokój zaczął wirować wokół niej. Nie pomyślała o tym wcześniej. Doktor Roach z łatwością mógł sprawić, że Bruno zostałby zwolniony i dostałby zakaz przebywania na terenie zakładu. Co wtedy?

Kilka dni później ukradła ze szwalni parę spodni i wygotowaną koszulę, zamoczyła włosy, odgarnęła je z twarzy i zaciesała do tyłu, a następnie weszła do pralni, aby spróbować wymknąć się razem z męską częścią pacjentów, którzy odbierali czystą bieliznę. Jednak brygadzysta złapał ją i odciągnął na bok, a następnie ukarał tygodniem w izolatce, zanim pozwolono jej wrócić do pracy. Pytała innych pacjentów, czy widzieli ekipę budowlaną, a jeśli tak, to gdzie. Wszyscy zaprzeczali, potrząsając głowami o smutnych oczach – chcieli po prostu, aby zostawiono ich w spokoju. Myślała o tym, aby podzielić się historią opowiedzianą przez Esther

z siostrą Trench, mając nadzieję, że ta będzie jej współczuła. Zdecydowała jednak, że byłoby to zbyt duże ryzyko. Chwilami odnalezienie Brunona wydawało się niemożliwe, ale musiała próbować dalej. Nie było innego wyjścia.

Najgorsze były wczesne godziny poranne. To właśnie wtedy najbardziej martwiła się, że Bruno mógł zostać zwolniony i nie znajdzie żadnego innego sposobu, żeby ją uratować. Obawiała się, że zniechęcił się i przestał szukać. Martwiła się tym, że Esther mogła mieć przywidzenia. Przecież powiedziała Esther i Madeline o wszystkim – o tym, że ona i Bruno byli zakochani, że jej rodzice byli temu przeciwni, ojciec ją tu odesłał, a ona spodziewała się dziecka. Może na skutek zamknięcia w Willard i wprowadzenia w śpiączkę biedna Esther straciła rozum. Może ona po prostu to wszystko wymyśliła! Ta myśl spowodowała, że Clara poczuła się, jakby jej piersi przygniotła zimna granitowa płyta.

Noc po nocy wątpliwości i pytania nie pozwalały Clarze zasnąć. Za każdym razem, kiedy z przemęczenia już niemal była w końcu na krawędzi snu, okropna myśl, że Brunona nie ma w Willard, sprawiała, iż siadała na łóżku zlaną potem, nie mogąc złapać oddechu, z nogami zaplątanymi w brudne prześcieradło. Potem zwijała się na łóżku i płakała, dopóki nie zasnęła, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie wolna.

Pewnego dnia, siedząc w szwalni na twardym stołku, z plecami zwróconymi do okna i koszykiem świeżo wykrochmalonych koszul u stóp, Clara obserwowała, jak brygadzystka wspina się po drabinie, żeby wymienić żarówkę. Była to drobna, starsza kobieta, która poruszała się po szwalni, utykając i szeleszcząc szeroką spódnicą po podłodze z desek. Nazywała każdą z pacjentek „kochaniutka” i pilnowała, żeby każda z nich miała opuszczoną głowę i oczy skupione na pracy. Czasami poruszała się

o lasce, skarżąc się na kiepską pogodę, która powodowała u niej ból kości, i zatrzymując się często, żeby rozmasować zeszywniałą nogę. Ostatnio – z powodu deszczowej wiosny – codziennie poruszała się o lasce.

Obserwując brygadzystkę na wysokiej drabinie, Clara wzdrygnęła się, gdy kobieta zachwiała się i niemal spadła. Clara nie miała pojęcia, co się stało brygadzystce w nogę, ale zastanawiała się, dlaczego zaryzykowała wspinanie się po drabinie, żeby wymienić żarówkę. W szwalni były trzy przepalone żarówki, w tym jedna nad miejscem, gdzie siedziała Clara. Jednak sufity były na wysokości prawie czterech metrów, a lampy wisiały na wysokości trzech metrów od podłogi. Z pewnością w Willard od takich prac byli mężczyźni.

Nagle przyszedł jej do głowy pomysł.

Skoro nie mogła pójść do Brunona, może znalazłaby sposób, żeby to on do niej przyszedł? Esther powiedziała, że pracował z ekipą stolarską. Madeline natomiast, że naprawiali przeciekający sufit albo wstawiali nowe drzwi. Clara rozejrzała się po szwalni, zastanawiając się, co mogłaby zepsuć. Po chwili jednak straciła zapał. Drzwi były zbyt grube, a gzymsy zbyt szerokie. Ściany były zabudowane otwartymi szafkami używanymi do przechowywania poskładanych tkanin i bielizny. Ponadto znajdowało się tam kilkadziesiąt drewnianych stołków, stołów do sortowania i krzeseł z wysokimi oparciami, jednak wszystkie te meble były wykonane z solidnego drewna dębowego lub klonowego. Belki w pokoju miały większą średnicę niż głowa Clary. Wtedy zauważyła, że w przeciwieństwie do okien na oddziałach, które były pokryte ochronną siatką, wewnętrzne strony tych w pralni były odsłonięte. Szyby były oddzielone cienkimi, drewnianymi kratkami, które łatwo można było wyłamać.

Z sercem w gardle Clara wstała ze stołka i podeszła do drabiny, po

której schodziła brygadzystka. Na ostatnim szczeblu kobieta straciła równowagę i prawie upadła. Clara złapała ją za rękę.

– Pomóc pani? – zapytała.

Brygadzystka odetchnęła z ulgą i wygładziła spódnicę, jednak jej twarz nadal była czerwona, a sękatę rękę drżały. – Dziękuję ci, kochaniutka – powiedziała. – Nienawidzę wspinać się po drabinach.

Clara z brygadzystką przesunęły drabinę po podłodze, umieszczając ją pod kolejną lampą. Dziewczyna wspięła się na drabinę i bez problemu wymieniła żarówkę. Następnie przestawiły drabinę pod następną lampę, blisko okna, gdzie wcześniej siedziała Clara. Ta wzięła głęboki oddech i ponownie wspięła się na drabinę, próbując powstrzymać drżenie kolan. Nie miała innego wyjścia. Musiała wydostać się z Willard. Musiała odnaleźć Brunona i Beatrice. I dlatego właśnie teraz musiała zrobić coś drastycznego, zanim straci odwagę.

Clara sięgnęła do żarówki i specjalnie wychyliła się za daleko, przesuając drabinę w kierunku okien. Udając, że straciła równowagę, skierowała drabinę w bok i uderzyła najwyższym szczeblem o okno, rozpryskując kawałki szkła i odłamki drewna po całym pokoju. W ostatniej sekundzie puściła drabinę, upadając na drewnianą podłogę z nieprzyjemnym odgłosem. Następnie drabina poleciała w bok, przewracając szafkę, a sterty białych koszul i brązowych spodni ześlizgiwały się z półek jak w zwolnionym tempie. Najwyższa półka pękła na pół, a drabina z głośnym łomotem upadła na podłogę.

– Boże przenajświętszy! – krzyknęła brygadzystka. – Wszystko w porządku, kochaniutka?

Dwaj sanitariusze ruszyli do szwalni, spiesząc, aby pomóc Clarze wstać. Kilka pacjentek przypatrywało się temu przerażonym wzrokiem, podczas

gdy inne wzruszały ramionami i szeptały. Większość z nich, o pozbawionych wyrazu, ziemistych twarzach, siedziała i patrzyła. Clara stała na trzęsących się nogach, otrzepując sukienkę.

– Nic mi nie jest – powiedziała, rozmasowując łokieć. Jej biodro przeszył silny ból i poczuła, jakby ktoś wykręcił jej bark ze stawu, ale nie zamierzała narzekać, żeby nie zostać odesłana do szpitala.

Poczerwieniała ze zdenerwowania brygadzistka nakazała wszystkim wracać do pracy. Kobiety powróciły na swoje miejsca na stołkach i kontynuowały szycie, niektóre z nich płacząc, inne mamrocząc, a jeszcze inne szepcząc nad trzęsącymi się rękami. Brygadzistka wzięła miotłę i podała ją Clarze, dysząc i opierając się na lasce, tak jakby to ona właśnie spadła z drabiny.

– Przepraszam – powiedziała Clara, chwytając miotłę. – Próbowałam tylko pomóc.

– Nie przejmuj się, kochaniutka – odparła brygadzistka. – Po prostu posprzątaj ten bałagan, a potem znajdź inny stółek i wracaj do pracy. – Ścisnęła mocniej laskę obiema rękami i cmokając, rozejrzała się po pomieszczeniu. – Myślę, że lepiej będzie, jak sprowadzę tutaj kogoś, żeby to wszystko naprawił.

– Kiedy? – zapytała Clara.

Brygadzistka zmarszczyła brwi.

– Jak tylko będzie to możliwe – powiedziała bezbarwnym głosem. – Chociaż zupełnie nie mam pojęcia, dlaczego robi ci to jakąś różnicę, kochaniutka.

Następnego ranka po śniadaniu Clara pośpiesznie przeszła przez drzwi szwalni z sercem w gardle. Jej wzrok podążył w kierunku rozbitej szyby i pękniętej szafki, gdzie miała nadzieję zobaczyć pracujących robotników.

Okno jednak było zabite deskami, a pękniętej szafki już nie było. Clara przygarbiła się z rezygnacją. Jeśli byli tu już stolarze, to przegapiła ich. Przeszła na drugą stronę pomieszczenia, siadając na stołku wśród innych kobiet, przy których stały kosze z prześcieradłami i koszulami nocnymi. Z trudem przewlekła koniec nitki przez ucho igły, a świat widziany przez łyzy wydawał się jej niewyraźną plamą.

*Jakie to głupie z mojej strony, pomyślała, mocno przygryzając wargę. Nawet jeśli stolarze przyszliby wtedy, kiedy ja byłabym tutaj, to przecież nie ma żadnej gwarancji, że Bruno byłby wśród nich. Tak jak powiedziała Esther, doktor Roach mógł się go przecież pozbyć, a poza tym możliwe, że jest więcej niż jedna ekipa stolarska.*

Twardy tost i suszone śliwki, które zjadła na śniadanie, podchodziły jej do gardła. Jedna z pacjentek zaczęła śpiewać fałszywie wysokim głosem *Bye, bye blackbird*. Inna zaczęła nucić razem z nią, a jej cienkie, białe palce zawisały w powietrzu, jak gdyby dyrygowała niewidzialną orkiestrą. Jedyne, co Clara mogła zrobić, to powstrzymać się przed tym, aby nie wrzasnąć na nie, żeby przestały. W tym momencie weszła brygadzistka na obchód i Clara była jej wdzięczna, bo kobiety przestały śpiewać.

Gwałtownym ruchem wyjęła rozerwaną koszulę nocną ze swojego koszyka, pochyliła głowę, cerując ją, ale nagle przypadkiem wbiła sobie igłę w opuszek palca. Nie zwracała jednak na to uwagi i nie przerywała pracy, zszywając rozdarty rękaw koszuli. Brygadzistka przeszła obok, utykając, a jej laska stukała o drewnianą podłogę. Czerwony kleks pojawił się na koszuli nocnej, którą Clara miała w rękach, mieszając się z wcześniejszymi żółtymi plamami. Clara włożyła palec do ust, wstała ze stołka i wepchnęła koszulę na dno koszyka, przeklinając pod nosem. Kobieta siedząca obok obserwowała ją i skrzywiła usta z dezaprobatą.

Wtedy Clara usłyszała męski głos w korytarzu. Z bijącym sercem gwałtownie skierowała głowę w kierunku, z którego on dobiegał. Mężczyzna wchodził tyłem przez drzwi do szwalni, z opuszczonymi ramionami, jakby niósł coś ciężkiego. Światła na suficie odbijały się od jego łysej głowy, a tułów był krótki i krępy jak u karła, mimo że ręce i nogi miał długie i szczupłe. Jego robocze ubranie było pokryte drobnymi żółtymi trocinami. Łysy mężczyzna powoli wchodził tyłem przez drzwi do pokoju, trzymając jeden koniec białej ramy okiennej i starając się, żeby nie zahaczyć nią o futrynę. Clara wstrzymała oddech, obserwując przesuwające się przez przejście kawałek po kawałku okno. Myślała, że zemdleje, zanim zobaczy, kto trzyma drugi koniec.

Po chwili jej ramiona znów opadły z rezygnacją. Mężczyzna niosący drugi koniec naprawionego okna był bladym, tyczkowatym blondynem o krótkich włosach. Clara usiadła ciężko na stołku, mrugając przez łzy. Mężczyzna niosący okno przeszedł obok niej i oparł je o ścianę, obok okna zabitego deskami.

– Kiedy naprawicie szafkę? – zapytała łysego mężczyznę brygadzistka.

– Oto i ona. – Łysy mężczyzna odwrócił się w kierunku drzwi.

Clara kolejny raz przełknęła ślinę, podążając za wzrokiem mężczyzny. Inny mężczyzna wchodził tyłem przez drzwi, trzymając w rękach jedną stronę drewnianej szafki. Był mocnej budowy, o szerokich ramionach i czarnych, zaczesanych do tyłu włosach. Clara wzięła gwałtowny wdech. Upuściła koszulę nocną i zerwała się na równe nogi. Wydawało się jej, że minęła wieczność, zanim przeniesiono resztę szafki przez drzwi. Zerknęła na mężczyznę niosącego jej drugi koniec. Był siwy i nosił okulary. Jej wzrok z powrotem skierował się na ciemnowłosego mężczyznę. W końcu cała szafka znalazła się w pokoju. Mężczyźni postawili ją, a następnie, jak

w zwolnionym tempie, ciemnowłosa mężczyzna odwrócił się. Zdjął rękawice i rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby kogoś szukał. Jego włosy były dłuższe niż wtedy, gdy Clara widziała go ostatnio, a nad okiem miał świeżą bliznę, lecz i tak rozpoznała tę twarz.

To był Bruno.

Z jej gardła wydobył się okrzyk radości.

– Bruno! – wykrzyknęła łamiącym się głosem i ruszyła w jego kierunku.

Oczy chłopaka rozszerzyły się. Otworzył szeroko usta ze zdziwienia. Zrzucił rękawice i skierował się w jej stronę.

– Natychmiast się zatrzymajcie! – wykrzyknęła brygadzistka. – Sanitariusze!

– Rób to, co mówią – powiedział Bruno.

Sanitariusze wbiegli do pomieszczenia, a Clara zatrzymała się w miejscu, walcząc z pragnieniem, aby rzucić się mu w ramiona. Niestety, miał rację: pakowanie się w kłopoty nic by nie pomogło w tej sytuacji. Bruno cofnął się z rękoma uniesionymi w geście poddania się. Brygadzistka spiorunowała Clary wzrokiem.

– Co ty sobie wyobrażasz? – powiedziała z gniewną miną. Utykając, podeszła do Clary i złapała ją za podbródek twardymi palcami. – Czy nie robisz właśnie tego, czego nie powinnaś? Poczekaj, niech no tylko dowie się o tym doktor Roach. Mamy specjalny oddział dla takich jak ty, kochaniutka.

– Ona jest moja żoną! – powiedział Bruno mocnym głosem.

Brygadzistka posłała mu piorunujące spojrzenie. Puściła podbródek Clary i z zaciśniętymi ustami zmierzyła go wzrokiem z góry na dół. Potem



podniosła swoją łaskę i wskazała jej końcem na łysego mężczyznę.

– Czy wiesz cokolwiek na temat tego, co się tutaj wyrabia? – zapytała go.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

Brygadzistka wskazała ruchem głowy drzwi.

– Zabierzcie ich do doktora Roacha – powiedziała do sanitariuszy.

Clara i Bruno siedzieli po przeciwnych stronach gabinetu doktora Roacha, a z obu boków ich krzeseł stali sanitariusze. Doktor Roach siedział przy biurku, a siostra Trench stała za nim, rzucając zmartwione spojrzenia raz na Clarę, a raz na Brunona. W ręce trzymała kartę pacjenta, przyciskając ją do obfitych piersi, a przez ramię miała przewieszony kaftan bezpieczeństwa, niczym kelner serwetkę. Siostra May weszła od strony korytarza, wręczyła doktorowi Roachowi teczkę, a następnie posłusznie stanęła przy jednym końcu biurka. Doktor ją otworzył, położył na biurku i przeglądał dokumenty, zaciskając i rozwierając szczęki. Clara ledwo mogła oddychać, czekając, aż coś powie. W końcu podniósł wzrok.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem, co się tutaj dzieje – powiedział. – Czy byłabyś łaskawa mnie oświecić, Claro?

– To jest Bruno! – powiedziała Clara. – Mężczyzna, o którym pan powiedział, że nie istnieje! Mówiłam panu, że nie jestem szalona! On jest...

– Gwałtownie przełknęła ślinę i zatrzymała wzrok na Brunonie, a jej oczy wypełniły się łzami. Nie było innego sposobu na to, aby mu powiedzieć. – On jest ojcem mojego dziecka. Małej dziewczynki, którą mi pan zabrał.

Bruno zeszywniał, a jego twarz zaczęła robić się purpurowa. Zamknął oczy, zwiesił głowę i zatopił palce w podłokietnikach krzesła, a skronie mu pulsowały.

– Może wobec tego będzie on łaskaw wyjaśnić, dlaczego na jego karcie

pracownika jest nazwisko Joseph Russo – mówił wolno doktor Roach – a nie Bruno Moretti?

Bruno podniósł wzrok i odchrząknął, oczy mu błyszczały.

– Joseph to imię mojego ojca – powiedział, a jego głos zabrzmiał ostro i silnie, jakby z trudem panował nad gniewem. – Russo to panięskie nazwisko mojej matki.

– Dlaczego nie użyłeś swojego prawdziwego imienia i nazwiska, gdy składałeś podanie o pracę w brygadzie stolarskiej? – zapytał doktor Roach.

– Ponieważ Clara ostrzegła mnie w liście przed tym, że lekarze w Domu na Long Island wiedzą o mnie – odpowiedział Bruno. – Jej ojciec nakazał im trzymać mnie z daleka od niej i posunął się nawet do tego, że przechwytywał jej wcześniejsze listy, abym nie dowiedział się, gdzie wtedy była. Podałem inne nazwisko, bo zorientowałem się, że pan też otrzymał taki nakaz.

– Zatem podjąłeś pracę w Willard, aby znaleźć swoją dziewczynę? – zapytał doktor Roach.

– Tak – odparł Bruno. – Wiedziałem, że nie wysłuchałby mnie pan, gdybym stanął w drzwiach i poprosił o jej wypuszczenie. Henry Cartwright to wpływowy mężczyzna. Wiem, że ona jest przetrzymywana tutaj na jego rozkaz. Tak właściwie Clara nie jest moją dziewczyną. Ona jest moja żoną.

– Henry Cartwright troszczy się o dobro swojej córki – powiedział lekarz. – Odesłał ją tutaj, bo nie jest z nią dobrze.

– To kompletna bzdura! – krzyknął Bruno, a na jego czole nabrzmiały żyły. – Odesłał ją tutaj, aby trzymać ją z dala ode mnie! Nic jej nie jest!

– Obawiam się, że nie jest pan wystarczająco kompetentny, aby oceniać jej stan psychiczny – stwierdził doktor Roach – podczas gdy ja tak. – Spojrzał na Clarę. – Czy mogłabyś wyjaśnić, dlaczego nigdy nie

wspomniałaś, że jesteś mężatką?

Clara zerknęła na Brunona, zastanawiając się, co powiedzieć. Ale on właśnie wpatrywał się z gniewem w doktora Roacha, wyraźnie walcząc z chęcią, by rzucić się na niego przez dzielące ich biurko i go udusić. Następnie, wyczuwając wahanie Clary, spojrzął na nią, zmarszczył czoło, jakby próbując ją przekonać, aby współpracowała. Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął z portfela poskładaną kartkę papieru.

– To nasz akt małżeństwa – powiedział, podając go doktorowi Roachowi. Siostra May obesza biurko, wzięła kartkę papieru i rozłożyła ją na otwartej teczce. Lekarz przejrzał zaświadczenie.

– Jak się poznaliście? – zapytał.

– W Cotton Clubie – odparła Clara. – Mój ojciec nie miał pojęcia, że chodziłam tam z koleżankami. Pewnego wieczoru był tam też Bruno...

Doktor Roach machnął ręką w powietrzu.

– Nie, nie – powiedział. – Nie chcę słuchać dalej tych opowieści. Chcę wiedzieć, jak to się stało, że spotkaliście się tutaj, w Willard. Najwyraźniej nasz system zapobiegania kontaktom osób spoza zakładu z pacjentami ma swoje słabe strony.

– To nie są żadne opowieści! – krzyknęła Clara. – My...

– Clara pracowała w szwalni – przerwał Bruno głosem pełnym napięcia. Przesunął się w kierunku krawędzi siedzenia, jakby miał zamiar zaraz wstać. Sanitariusz złapał go za ramię i zmusił do pozostania na miejscu. Bruno posłał mu mordercze spojrzenie, zanim powrócił do opowiadania. – Pomagałem w przewożeniu szafki ze stolarni. To był pierwszy raz, kiedy ją tu zobaczyłem, chociaż szukałem jej od wielu miesięcy.

– Zatem nie związałeś się z Clarą, kiedy była już naszą pacjentką? – zapytał doktor Roach.

– Nie – odparł Bruno, wytrzymując spojrzenie doktora Roacha. – Poznaliśmy się dwa lata temu w Cotton Clubie, tak jak powiedziała.

– Dlaczego nie wierzy pan w ani jedno nasze słowo? – zapytała Clara. – Jak już powiedziałam, mój ojciec odesłał mnie tutaj, żeby trzymać mnie z dala od mężczyzny, którego kocham. Teraz on stoi przed panem, a pan nadal nie chce słuchać!

– Masz urojenia, odkąd cię tutaj przyjęto – powiedział doktor Roach. – Ten człowiek próbuje wykorzystać twoją chorobę, wmawiając ci, że jest kimś, kim nie jest.

– To nieprawda! – krzyknęła Clara, uderzając pięścią w udo. – Jak wyjaśni pan nazwiska na akcie małżeństwa?

Doktor Roach zapalił fajkę, zaciągnął się mocno, a potem spojrzał jeszcze raz na akt małżeństwa, wypuszczając dym z ust.

– To niczego nie dowodzi – powiedział. – Równie dobrze mógł zostać sfalszowany.

– A co z Beatrice? – zapytała Clara z uczuciem paniki ściskającym jej klatkę piersiową. – Jeśli to nie Bruno jest ojcem, to kto nim jest?

Doktor Roach potrząsnął głową.

– Nie wiem tego z całą pewnością – powiedział. – Ale twój ojciec uświadomił mi, że zanim zostałam odesłana do Domu na Long Island, nie prowadziłam się, delikatnie mówiąc, najlepiej. Powiedział, że było to do ciebie niepodobne i że to właśnie wtedy zaczął podejrzewać, że coś jest z tobą nie w porządku. – Doktor Roach skinął głową w kierunku siostry May. Pielęgniarka opuściła jego biuro, wchodząc do gabinetu zabiegowego.

– To kłamstwo! – krzyknęła Clara. – Byłam z Brunonem, to dlatego rodzice mnie tu odesłali! Czy pan tego nie widzi? Przecież to wszystko składa się w logiczną całość!

– Gdzie jest nasza córka? – spytał Bruno, powoli cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. – Żądam, by ją nam zwrócono. – Wziął głęboki oddech i wstrzymał go, wyraźnie próbując zapanować nad sobą.

– Przykro mi – odpowiedział bezbarwnym głosem doktor Roach. – Zdaję sobie sprawę z tego, że myślisz, że pomagasz Clarze, ale ona nie nadaje się, by być matką. Zaufaj mi, jej córce znaleziono już kochającą rodzinę, która dobrze się nią opiekuje.

W tym momencie ponownie weszła siostra May, niosąc na tacce igłę do zastrzyków. Serce Clary waliło jak młotem. Bruno, marszcząc brwi, spojrzał na tackę i wstał z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Sanitariusze złapali go za ramiona.

– To nie może być zgodne z prawem! – krzyknął głosem drżącym ze wściekłości. – Nie możecie tak po prostu zamykać ludzi i robić, co wam się podoba z ich dziećmi!

– Ojciec Clary powierzył mi opiekę nad nią – odparł doktor Roach. – Robię tylko to, co jest najlepsze dla wszystkich.

– Pójdę z tym na policję! – wrzasnął Bruno. – Powiem im, że porwał pan nasze dziecko! Przyprowadzę ich tutaj i zażądam, żeby oddał mi pan córkę i wypuścił Clarę!

Doktor Roach zastanawiał się przez dłuższą chwilę, jakby próbując odgadnąć, czy Bruno blefuje, czy nie. Bruno spiorunował go wzrokiem, a jego pierś ciężko podnosiła się i opadała.

– Gdzie jest moja córka?! – ponownie zapytał Bruno z płonącymi od gniewu oczami. – Jeśli pan mi tego nie powie, to znajdę kogoś, kto to zrobi. A wtedy postaram się, żeby pana aresztowali!

Doktor Roach odłożył fajkę na popielniczkę. Przesunął się na siedzeniu, a potem napisał coś w teczce Brunona. Kropelki potu pojawiły się na jego

czole.

Clara wstała.

– Dlaczego tak się pan denerwuje? – zapytała. – Czy mój ojciec panu płaci za przetrzymywanie mnie tutaj? Czy kazał panu oddać moje dziecko? – Sanitariusze zmusili ją, by usiadła na krześle.

Doktor Roach zignorował ją i odwrócił się do siostry Trench z wyciągniętą ręką. Przygryzła dolną wargę i podała mu kartę. Doktor Roach otworzył ją, przekartkował do ostatniej strony i nabazgrał coś na końcu. Potem zamknął teczkę i wykonał ręką gest, jakby odganiał muchę. Sanitariusze popchnęli Brunona z powrotem na krzesło. Mężczyzna cały czas szarpał się i próbował wstać. Bezskutecznie.

– Co pan sobie, do cholery, wyobraża?! – krzyknął. – Nie ma pan nade mną żadnej władzy! Nie jestem jednym z pańskich pacjentów!

Doktor Roach wstał, sięgnął po fartuch przewieszony przez oparcie krzesła i szybkim ruchem nałożył go na siebie. Następnie zwrócił się do siostry Trench:

– Insulinoterapia dla Clary – powiedział, zapinając fartuch.

Siostra Trench pokiwała głową, a jej oczy zwilgotniały od łez. Następnie doktor Roach zwrócił swoją pozbawioną wyrazu twarz na Brunona.

– Joseph, Bruno czy jakkolwiek cię tam zwa, zostajesz przyjęty na badania.

Bruno, z zaciśniętymi pięściami i pogardliwym wyrazem twarzy, wyrwał się, próbując wstać.

– To tak?! – ryknął. – Tak po prostu ocenia pan, że kłamujemy albo zwariowaliśmy lub cokolwiek innego? Tak po prostu postanawia nas pan

zamknąć?

– Wykonuję tylko swoją pracę – odparł doktor Roach. – Staram się pomóc Clarze, a teraz pomogę również tobie.

– Do diabła z tym! – krzyknął Bruno. – Czego pan się boi? Co próbuje pan ukryć?

Clara pochyliła się na krześle, pewna, że zaraz zwymiotuje. Jeden z sanitariuszy złapał ją pod ramię i szarpnięciem postawił na nogi. Brunonowi nareszcie udało się uwolnić z uścisku sanitariuszy. Pędem rzucił się przez pokój, złapał Clarę i pociągnął ją w kierunku drzwi.

– Zatrzymać ich! – krzyknął doktor Roach.

Sanitariusz złapał Clarę w pasie i poderwał ją do tyłu, odrywając jej stopy od podłogi. Z całej siły wbiła paznokcie w rękę sanitariusza, rozrywając mu skórę, ale nic to nie dało. Nie wypuścił jej. Clara, uniesiona w powietrzu, patrzyła, jak inni sanitariusze powalili Brunona na podłogę i przytrzymywali go. Doktor Roach ruszył przed siebie z kaftanem bezpieczeństwa i sanitariusze szarpnięciem postawili mężczyznę na nogi. Bruno wierzgał i miotał się, próbując uciec, ale sanitariusze wykręcili mu rękę do tyłu i podciągnęli je ponad łopatki. Mężczyzna zgiął się wpół z bólu, a oczy niemal wyszły mu z orbit. Podniósł głowę, aby spojrzeć na Clarę.

– Nie martw się – powiedział pełnym napięcia głosem. – Znajdę sposób, aby cię stąd wyciągnąć!

Doktor Roach wbił strzykawkę w ramię Brunona i zrobił krok do tyłu, obserwując, jak sanitariusze mocują się z nim, usiłując włożyć mu kaftan bezpieczeństwa. Clara zacisnęła mocno powieki. Nie mogła na to patrzeć.

## *Więzienie Stanowe Bedford*

**P**óździernikowy wiatr smagał Izzy włosami po twarzy, kiedy stała, wpatrując się w metalową, wysoką na dwa piętra zewnętrzną bramę Zakładu Karnego Bedford Hills. Odwróciła się tyłem do lodowatego wichru, zebrała kołnierz kurtki pod podbródkiem i drżąc, czekała, aż strażnik ją wpuści. Za bramą bezładna zbieranina ceglanych budynków, zakratowanych okien i kominów z wyglądu przypominała jej szpital Willard. Jediną różnicą między psychiatrykiem a więzieniem były wieże strażnicze i zwoje drutu kolczastego ponad metalowymi ogrodzeniami.

Spojrzała na drugą stronę drogi w kierunku parkingu, gdzie Peg siedziała w swoim samochodzie na miejscu kierowcy, obserwując ją przez przednią szybę. Peg zadzwoniła z wyprzedzeniem, żeby umówić widzenie, i zaoferowała, że będzie towarzyszyć jej w środku, ale Izzy uparła się, że sama pożegna się z matką. Teraz jej żołądek zaczął wyczyniać harce, a ona zastanawiała się, czy nie było zbyt późno, żeby zmienić zdanie. Po tym, jak zdecydowała, że tak naprawdę chciałaby, żeby Peg poszła razem z nią, strażnik powolnym krokiem wszedł przez wewnętrzną bramę, żeby ją wpuścić. Mężczyzna szurał obcasami po chodniku i wyglądał na znudzonego, a jego twarz wyrażała obojętność.

– Przepustka na odwiedzinę? – spytał, podchodząc do niej.

– Nie – odparła Izzy. – Ja... nigdy wcześniej tu nie byłam. Moja mama leży tu w szpitalu. Moja przybrana mama zadzwoniła i rozmawiała z naczelnikiem. Powiedział, że mogę przyjść w odwiedzinę.

– Pani imię i nazwisko?

– Isabelle Stone – odparła.

– Proszę zaczekać – powiedział. Otworzył czarną skrzynkę na słupie



obok bramy, wykręcił numer i zrelacjonował całą sytuację komuś po drugiej stronie. – Tak – powiedział – Isa... Jeszcze raz, jak się pani nazywa?

– Isabelle Stone – powtórzyła.

– Isabelle Stone – rzucił do słuchawki strażnik. – Jasne, w porządku. – Odłożył słuchawkę i spojrzał na nią. – Ma pani jakiś dowód tożsamości?

Sięgnęła do portmonetki, wyciągając akt urodzenia i legitymację szkolną. Przyjrzał się im, rzucając na nią szybkie spojrzenia, by porównać ją ze zdjęciami, a potem otworzył bramę.

– Musi pani podejść do wejścia dla odwiedzających i dostać przepustkę – poinformował ją. Wepchnęła dokumenty z powrotem do portfela, obejrzała się przez ramię, pomachała krótko Peg, a potem weszła na teren więzienia. Strażnik wskazał jej ceglany budynek po swojej prawej stronie.

– Widzi pani tę niebieską tablicę? Tę, na której pisze „Wszyscy odwiedzający”?

– Tak – odpowiedziała.

– Proszę iść chodnikiem do wejścia do poczekalni, wcisnąć interkom i powiedzieć to samo, co pani mi powiedziała.

– Rozumiem – odparła.

Pochyliła głowę i wyszła na wiatr, przytrzymując rękami sukienkę, żeby wiatr jej nie unosił, krytykując siebie za to, że w ogóle ją włożyła. Kiedy była mała, jej mama upierała się, by nosiła uszyte w domu sukienki, kręciła jej włosy i wiązała je różowymi wstążkami. W wieku sześciu lat Izzy zaczęła się buntować przeciwko ubraniom z falbankami, błagając mamę, żeby pozwoliła jej nosić T-shirty i dżinsy, jakie miały jej przyjaciółki, tak jakby to była najważniejsza rzecz na świecie. Mama ustąpiła, ale Izzy nigdy nie zapomiała smutku w jej oczach, kiedy zorientowała się, że jej mała

córeczka zaczyna dorastać. Dzisiaj sukienka zdawała się oczywistym wyborem – przynajmniej tyle Izzy mogła zrobić. Teraz, kiedy wichura smagała jej odsłonięte nogi, zrozumiała, jak było to głupie. Ostatecznie mama nie zauważyłaby różnicy.

Z sercem w gardle Izzy wcisnęła przycisk na zewnętrznych drzwiach poczekalni dla odwiedzających i została wpuszczona. Siedząca za przesuwным oknem recepcjonistka, nie odrywając oczu od swojej pracy, podała Izzy trzy formularze do wypełnienia. Izzy wzięła podkładkę z formularzami i usiadła na krześle, próbując nie przyglądać się dzieciom bawiącym się przy małych stolikach na środku pomieszczenia. Były tu dzieci w wieku szkolnym, maluchy i niemowlaki, dziewczynki i chłopcy w wieku około dziesięciu–dwunastu lat, śmiejące się tak, jakby zabawa w więziennej poczekalni była najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Z początku Izzy była zdziwiona i zastanawiała się, dlaczego dzieci spędzały czas w więzieniu, ale potem zrozumiała, że są tutaj, by zobaczyć się ze swoimi mamami. Mamami, które siedziały w więzieniu. Przygryzła dolną wargę. *Czy starsze dzieci kiedykolwiek wzbraniały się przed odwiedzinami? – zastanawiała się. Czy może zawsze były lojalne, odwiedzając swoje mamy niezależnie od okoliczności?* Wypełniała dokumenty, a poczucie winy skręcało ją w środku.

W końcu przyszła strażniczka, by zaprowadzić ją do szpitala. Izzy poszła za nią, przechodząc przez nitowane metalowe drzwi do krótkiego betonowego przejścia, które pachniało mokrymi kamieniami, żelazem, uryną i czymś, co przypominało jej curry. Długie, zakratowane okna biegły wzdłuż jednej ze ścian, w innej znajdowało się troje drzwi. Strażniczka zatrzymała się i gestem kazała Izzy wejść przez pierwsze z nich. Zrobiła, jak jej polecono. Wewnątrz niewielkiego pokoju inna strażniczka czekała

przy białym stole.

– Muszę przeszukać pani torebkę – powiedziała.

Izzy zsunęła torebkę z ramienia i oddała ją funkcjonariuszce, która wysypała jej zawartość na stół.

– Proszę podnieść ręce i stanąć w rozkroku.

Izzy przełknęła ślinę i uniosła ramiona. Strażniczka przeszukiwała ją, dotykając między nogami i pod biustem. W końcu przeszukiwanie zakończyło się i strażniczka zaprowadziła ją z powrotem na korytarz. Podeszły do drzwi z żelaznych krat na jego końcu. Izzy stała za strażniczką, czekając, aż je otworzy, a kolana jej drżały. Jedynym dźwiękiem, jaki słyszała, było szybkie bicie serca szumiące jej w uszach. Pierwsza wizyta w więzieniu była sama w sobie wystarczająco nieprzyjemna, ale im bliżej była ujżenia mamy, tym trudniej było jej stawiać kolejne kroki.

Przeszła za strażniczką przez kraty do betonowego korytarza z okratowanymi lampami na suficie, a potem przez kolejne zamknięte metalowe drzwi do małej poczekalni. Strażniczka kazała jej usiąść i poczekać, aż ktoś po nią przyjdzie. Zrobiła, jak jej kazano, siadając na swoich dłoniach i próbując oddychać głęboko, żeby się uspokoić. Strażniczka zostawiła ją, wychodząc innymi drzwiami.

Po drugiej stronie szklanej przegrody siedziała pielęgniarka, a za nią otwarte drzwi prowadziły do kolejnego pomieszczenia. *Może to błąd*, pomyślała Izzy, próbując mruganiem powstrzymać łzy. Obraz mamy, leżącej na łóżku na oddziale psychiatrycznym, pojawił się nagle w jej umyśle i o mało co nie krzyknęła. Zastanawiała się nie tylko nad tym, jak wyglądała mama po dziesięciu latach spędzonych w więzieniu, ale kiedy pomyślała, że zobaczy ją w śpiączce, ścisnął się jej żołądek i poczuła, że zbiera się jej na wymioty. Ostatni widok mamy latami nawiedzał jej sny.

Jaki koszmary obraz zostanie dzisiaj namalowany w jej umyśle?

Przypomniała sobie książkę Stephena Kinga pod tytułem *Martwa strefa*, w której mężczyzna w wyniku wypadku samochodowego zapada na pięć lat w śpiączkę. Wyobrażała sobie, jak główna postać budzi się i chwyta czyjąś dłoń, nie mogąc puścić, dopóki nie przepowie jej przyszłości. Po przeczytaniu tej powieści Izzy tygodniami nie mogła zasnąć. Śpiączka wydawała się najgorszą rzeczą, jaka mogła się komukolwiek przytrafić. A teraz miała odwiedzić matkę znajdującą się w tym stanie. Rozdarta pomiędzy poczuciem winy za to, że przez te wszystkie lata nie przyszła w odwiedziny, żalem z powodu perspektywy bycia sierotą i strachem przed zobaczeniem mamy podłączonej do aparatury podtrzymującej życie, Izzy chciała krzyczeć. Musiała jednak przeprosić i pożegnać się. Musiała powiedzieć mamie, że nigdy nie przestała jej kochać. Przynajmniej tyle była jej winna.

Kiedy otworzyły się jedne z drzwi w poczekalni, Izzy aż podskoczyła. Strażniczka wywołała ją po nazwisku i przytrzymała jej drzwi. Izzy przeszła przez nie do sali, wbijając sobie paznokcie w dłonie. Ciemnowłosa pielęgniarka w fartuchu ochronnym podeszła i poprowadziła ją długim zielonym korytarzem, a jej buty skrzypiały na wykafelkowanej posadzce. Pielęgniarka zatrzymała się przed podwójnymi drzwiami i, ku zdziwieniu Izzy, uśmiechnęła się do niej.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Izzy kiwnęła głową, ale ten ruch wydał jej się nienaturalny.

– Proszę mieć świadomość – powiedziała pielęgniarka – że rzadko pozwalamy na wizyty członków rodzin w szpitalu. W normalnej sytuacji osoba w stanie pani matki zostałaby odesłana do publicznego szpitala. Przepraszam za dosadne stwierdzenie, ale sądzimy, że pani matka nie

przeżyłaby transportu. Pani przybrana matka prosiła nas, żebyśmy ją tu zatrzymali, dopóki pani jej nie odwiedzi. Ma pani tylko kilka minut.

Izzy kiwnęła głową i próbowała jej podziękować, ale zaschło jej w ustach.

– Proszę się nie martwić – powiedziała pielęgniarka, kładąc dłoń na ramieniu Izzy. – Wygląda, jakby spała.

Pielęgniarka otworzyła drzwi, wprowadzając Izzy do środka. Na dużej sali kilkanaście metalowych łóżek stało pod białymi ścianami. Na każdym z nich leżała więźniarka, część z nich spała, część rozmawiała z leżącymi obok, niektóre czytały. Przy biurku obok drzwi siedziała strażniczka. Więźniarki przerwały swoje zajęcia i popatrzyły w stronę Izzy, unosząc brwi ze zdziwienia. Pielęgniarka przyprowadziła Izzy do pierwszej pacjentki, odsunęła zasłonę między łózkami, przyniosła metalowe krzesło, a potem stanęła z ręką opartą na barierce łóżka. Obok łóżka pikały monitory, a respiratory skrzypiały i sapały.

– Joyce, twoja córka przyszła cię odwiedzić – powiedziała pielęgniarka do kobiety leżącej na łóżku.

Izzy przygotowała się mentalnie, a jej żołądek się ścisnął. Czuła, że płuca drżą jej w piersiach, tak jakby w każdym momencie jej narządy miały ogarnąć skurcz, wyłączając je na zawsze, a ona padłaby martwa na podłogę. Przysunęła się do barierki, przyciskając palce do drżących warg, i spojrzała na leżącą kobietę.

Kiedy zobaczyła znajome rysy twarzy matki, jej wysokie kości policzkowe i prosty nos, małą bliznę nad prawą brwią, którą miała od upadku na oblodzonym podjeździe, Izzy mimowolnie wstrzymała oddech. Oczy jej mamy okalała siatka zmarszczek, a jej czarne włosy były poprzetykane siwymi pasmami, ale poza rurką od respiratora przyklejoną

do ust jej wygląd się nie zmienił. Kiedy Izzy była małą dziewczynką, uważała, że jej mama jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Z upływem lat zaczęła się zastanawiać, czy czasem każda dziewczynka nie myśli tak o swojej mamie, jeśli obraz, jaki miała w pamięci został upiękaszony przez czas. Teraz zrozumiała, że miała rację. Jej mama była oszałamiająco piękna. Izzy zostawiła swoją torebkę na krześle i przysunęła się bliżej.

– Czy jest jakaś szansa, że mama się obudzi? – spytała pielęgniarkę.

Kobieta potrząsnęła głową.

– Nie, kochanie – odrzekła. – Było już za późno, kiedy ją znaleźli.

Obeszła łóżko dookoła i położyła dłoń na ramieniu Izzy.

– Tak mi przykro. Czy mogę coś dla pani zrobić? Chciałaby pani szklankę wody? Czegoś gazowanego?

– Nie – odparła Izzy ściśniętym głosem. – Dziękuję. Potrzebuję tylko kilku minut sam na sam z...

– Wszystko w porządku? Zbladła pani.

Izzy kiwnęła głową, a pielęgniarka poklepała ją po ramieniu.

– W porządku – powiedziała pielęgniarka. – Zostawię was same na chwilę. – Kiwnęła głową w stronę strażniczki przy drzwiach. – Tylko proszę się odpowiednio zachowywać, okej?

Izzy próbowała się uśmiechnąć i pielęgniarka w końcu sobie poszła. Zastanawiając się, od czego zacząć, Izzy przytrzymała się barierki, żeby się nie przewrócić. Ciężki łańcuch przykręcony do metalowego oparcia na nogi, biegł pod kocem w pobliżu stóp jej mamy. Przez chwilę zastanowiła się, jak absurdalne było przykuwanie pacjenta w śpiączce do łóżka. O ile nie zdarzyłby się cud, jej mama nigdzie się nie wybierała. Leżała jak kłoda, jej blade ramiona ułożone były wzdłuż ciała, a długie, smukłe palce

wyglądały jak kość słoniowa na tle niebieskiego koca. Babcia Izzy mówiła o nich, że to palce pianistki. Dziewczyna chciała sięgnąć i złapać mamę za rękę, ale nie potrafiła się na to zdobyć.

Do tego nie wiedziała, czy wolno jej dotykać więźniów, i bała się dotknąć skóry mamy. Nienawidziła się za te emocje, ale były autentyczne. Tak jak dotykanie zawartości walizek w Willard sprawiło, że jej nogi były jak z gumy, tak samo działała na nią myśl o dotykaniu kogoś w śpiączce. Nawet jeśli była to jej mama.

Otarła policzki i wzięła głęboki oddech.

– Jest mi tak bardzo przykro – wyszeptwała. – Popełniłam błąd. Było już za późno, gdy przeczytałam twoje listy.

Zdławiła łkanie, usiłując mówić dalej. W jednej chwili chciała się histerycznie rozpłakać, w następnej miała ochotę w coś uderzyć, zła na to, że jej życie potoczyło się w ten sposób. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy inne więźniarki były w stanie ją dosłyszeć. Potem stwierdziła, że nie obchodzi jej to.

– Proszę, wybacz mi, że nie przyszedłam cię odwiedzić, mamó. Byłam głupia, uparta i wystraszona. Myślałam, że coś jest z tobą nie tak. Zapomniałam o tym, co zrobił tata. Teraz znam prawdę. Wiem, że poświęciłaś swoje życie dla mnie. – Zwiesiła głowę, ocierając nos rękawem. – Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nigdy nie przestałam cię kochać.

To było dla niej zbyt wiele. Osunęła się na krzesło z drżącymi barkami. Gdyby tylko wcześniej przeczytała listy mamy. Gdyby tylko ją odwiedziła, mogłaby zdać sobie sprawę, że nie była szalona. Przez te wszystkie lata miałyby z kim rozmawiać, miałyby kogoś, kto by ją kochał, nawet jeśli ta osoba byłaby za kratami. Ten jeden raz, kiedy Izzy próbowała wypytać

swoją babcie o to, co się stało, ta zaczęła płakać. Siedmioletnia Izzy, nie chcąc martwić jedynej osoby, jaka jej została, nigdy więcej nie poruszała tego tematu. Trzy krótkie lata później babcia odeszła.

Potem Izzy przypomniała sobie córkę Clary. Jeśli przeżyła, być może szła przez życie, myśląc tak samo – jej matka została zamknięta w zakładzie, bo oszalała. Izzy wstała. Jeśli córka Clary żyła, zasługiwała na prawdę. Musiała przeczytać pamiętnik matki. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, Izzy była zdeterminowana, by dowiedzieć się, co się z nią stało, i jeśli to możliwe, uświadomić ją, że jej mama nie była szalona.

Jedyną rzeczą, jaka pozostała Izzy do zrobienia, było pożegnanie się z własną matką. Niczego bardziej nie pragnęła, niż poczuć, jak obejmują ją jej ramiona, przytulając mocno do siebie, dając do zrozumienia, że była kochana niezależnie od wszystkiego. Ale to nie mogło się wydarzyć. Izzy zerknęła w stronę strażniczki, by sprawdzić, czy jest obserwowana. Kobieta opierała się na krześle, czytając czasopismo. Izzy wzięła głęboki oddech, pocałowała swoje palce i przyłożyła je delikatnie do policzka mamy.

– Chcę, żebyś wiedziała, że wszystko u mnie będzie w porządku – powiedziała. – Jestem silna i mam ludzi, którzy troszczą się o mnie. Kocham cię, mamusiu. Zawsze cię kochałam i zawsze będę. Przepraszam, że nie powiedziałam ci tego wcześniej.

Próbowała wymyślić, co mogłaby jeszcze powiedzieć, ale czuła, że jej wnętrzności puchną, próbując się wydostać na zewnątrz, jak przegrzany kocioł, który za chwilę wybuchnie. Właśnie wtedy pielęgniarka weszła do pokoju, kiwając palcem na znak, że czas już minął. Została jeszcze tylko jedna rzecz do powiedzenia.

– Do widzenia, mamusiu.



*Willard*

*Dzień Świętego Walentego 1932*

Białe serpentyny i serca z czerwonego papieru wisiały pod sufitem Hadley Hall, kręcąc się nieznacznie, podczas gdy pacjenci tańczyli i kołysali się pod nimi. Ostatnie, chrapliwe takty *All Alone* wypełniały powietrze, a siostra May stojąca obok fonografu, kołysząc się i śpiewając pod nosem, uważnie obserwowała tańczące pary. Kilkudziesięciu pacjentów oglądało tę scenę z boku, przypięci do drewnianych krzeseł z przymocowanymi stolikami, pólżąc w wózkach inwalidzkich, wspierając się na kulach czy laskach. Siostra Trench krążyła między pacjentami na parkiecie, upewniając się, czy zachowują od siebie wymaganą odległość. Sanitariusze siedzieli na obrzeżu sali na składanych krzesłach w pobliżu okien i drzwi, gotowi interweniować, jeśli ktoś zacząłby się niewłaściwie zachowywać. Pacjenci, sanitariusze i pielęgniarki nosili kwiaty w butonierkach i bukietki przywiązane do nadgarstków, zrobione z czerwonej bibuły przez pacjentów podczas zajęć plastycznych.

Clara siedziała na ławce u stóp sceny, spoglądając raz po raz w stronę wejścia, mając nadzieję i modląc się o to, by przyszło więcej mężczyzn spośród pacjentów, i żeby Bruno był wśród nich. Minął dopiero miesiąc, od kiedy zasłużyła sobie na dodatkowe przywileje – teraz mogła brać udział w zajęciach plastycznych i przychodzić na koncerty i seanse filmowe w Hadley Hall – ale po raz pierwszy była na wydarzeniu, w którym mogli uczestniczyć pacjenci obu płci. Teraz miała nadzieję – nawet jeśli płonną – że jeszcze raz zobaczy Brunona. Musiała wierzyć, że starał się jak najlepiej współpracować, by zyskać sobie i utrzymać ten niewielki zakres wolności, jaki mogli mieć pacjenci Willard. Jeśli nie, szanse na to, żeby mogli się

nawzajem odnaleźć i uciec, były znikome.

Jedyną rzeczą, która pozwalała jej przetrwać ostatnie dziesięć miesięcy, jedyną myślą, dzięki której nie stała się naprawdę szalona, była świadomość, że Bruno był gdzieś w Willard. Pewnie zaprzężnięto go już do pracy na węźle kolejowym albo w kuźni, w sadach albo na polach, w stajni bądź mleczarni albo w jednym z warsztatów, które produkowały buty, miotły czy mydło. Miała nadzieję, że jego praca pozwalała mu przebywać na zewnątrz. Gdyby mogła wrócić do pracy w kuchni, mogliby się spotykać przy kompostowniku. Mógłby otworzyć bramę i oboje uciekliby do lasu.

Szukała go podczas każdego spaceru, za każdym razem, kiedy szła do łązienki, kawiarni, szwalni, za każdym razem, kiedy mogła wyjrzeć przez okno. Kiedy dostrzegała grupę pacjentów idących brzegiem jeziora, pracujących w dokach albo niosących zaopatrzenie z pociągów, przyglądała się każdej postaci w nadziei, że rozpozna choć jednego z nich albo znajomą czuprynę ciemnych włosów. Dotychczas nie udało jej się go zobaczyć, ale wierzyła, że ten dzień kiedyś nadejdzie. W przeciwnym razie – jaki był sens tego wszystkiego?

Już dawno przestała mieć nadzieję, że ojciec ją wypuści. Siedem miesięcy wcześniej doktor Roach stwierdził, że zgadza się z Henrym co do tego, że najprawdopodobniej nigdy nie będzie gotowa na powrót do społeczeństwa. Po tym stwierdzeniu jej wizyty u doktora Roacha skończyły się na dobre. Mimo to nie chciała uwierzyć, że spędzi resztę życia zamknięta w Willard, dzień w dzień pomiędzy szaleńcami, będąc jedynie numerem wśród tłumu odrzuconych żon, matek, sióstr i córek. Bruno obiecał, że znajdą sposób, żeby się stąd wydostać, i musiała w to wierzyć. Musiała. Nie było innego wyjścia. Mimo to były chwile, kiedy chciała się poddać. Chciała przestać myśleć racjonalnie, rzucić się w otchłań rozpacz,

żeby nie musieć już nic odczuwać. Nie mogła jednak tego zrobić. Dzięki Beatrice i Brunonowi mogła zachować trzeźwość umysłu.

Bała się pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby Bruno nie dostał jej listu i nie próbowałby jej uratować. Pewnie teraz straciłaby rozum. Z jednej strony była mu niezmiernie wdzięczna. Z drugiej jednak poczucie winy za to, że został zamknięty w zakładzie z jej powodu, było niemal nie do zniesienia. Za każdym razem, kiedy przechodziło jej przez myśl, że coś okropnego mogło się mu przydarzyć – może umarł na gruźlicę albo przykuto go do łóżka w Rookie Pest House – czuła w piersiach zimno i pustkę, tak jakby nie miała serca ani płuc i mogła w każdej chwili paść martwa.

Nie miała pojęcia, co się z nim stało po tamtym strasznym dniu w gabinecie doktora Roacha, ale modliła się, żeby nie było to nic gorszego niż to, co przydarzyło się jej. Zabrano ją na oddział specjalny, gdzie każdego dnia przez dwa miesiące podawano jej takie same dawki insuliny, póki nie zapadła w śpiączkę. Pamiętała obfite pocenie się, drgawki, jęczenie i ślinienie się, dopóki nie straciła przytomności. W końcu pielęgniarki wybudziły ją ze śpiączki dożylnie podaną glukozą, a potem zajmowały ją grami planszowymi i oglądaniem map, żeby zapobiec szokowi hipoglikemicznemu. Po upływie dwóch miesięcy odesłano ją do szpitala, żeby wydobrzała.

Trzy tygodnie później wróciła do pracy w szwalni. Czasami widziała niewyraźnie i nie mogła pozbierać myśli. Miała problemy z koncentracją. Zgodnie z poradą pielęgniarki, żeby pozbyć się następstw działania insuliny, używała mózgu jak najczęściej, śpiewając w głowie piosenki z dzieciństwa, dopóki nie wróciła jej trzeźwość myślenia.

Teraz patrzyła, jak Esther tańczyła walca ze zwałistym mężczyzną

ubranym w spodnie z wysokim stanem i szelki. Oboje patrzyli na stopy. Esther miała na sobie sukienkę w kwiaty i wyglądało na to, że to ona prowadzi w tańcu. Osiem miesięcy wcześniej doktor Roach stwierdził, że Esther jest już wolna od swojej skłonności do „wrogości”, i przyznał jej dodatkowe przywileje. Ponieważ Esther powiedziała Clarze, że mężczyźni zawsze sadzano po przeciwnych stronach Hadley Hall podczas koncertów i seansów, Clara była w szoku, kiedy dotarło do niej, że mężczyznom i kobietom pozwalano tańczyć razem przy specjalnych okazjach.

Po przeciwległej stronie pokoju Madeline stała w pobliżu stołu z poczęstunkiem i wkładała ręce do wazy z ponczem. Pielęgniarka dała jej klapsa po dłoniach, każąc jej przestać. Według Esther dziadek wujeczny Madeline zaproponował, że ją przygarnie, i dziewczyna opuściła Willard wtedy, kiedy Clarę poddano terapii insulinowej. Kilka tygodni później wróciła do Willard, nie pamiętając, jak się nazywa ani skąd jest. Przestała mówić, poza łkaniem za swoimi utraconymi dziećmi. Clara patrzyła, jak kuśtykający pacjent zaciągnął Madeline na parkiet. Madeline opłotła go ramionami i przyciągnęła do siebie, przyciskając twarz do jego szyi. Siostra Trench pośpieszyła, by ich rozdzielić.

Clara zacisnęła dłoń na krawędzi ławki, wbijając paznokcie w drewno, podczas gdy Gene Austin śpiewał *My Blue Heaven*. *To nie jest niebo*, pomyślała. *Jesteśmy w piekle*. Musiała przyznać, że po tym, jak była zamknięta na oddziale, odczuła ulgę z posiadania przywilejów. Ale to było pierwsze przyjęcie świąteczne, w jakim uczestniczyła, i było ono dla niej niemal nie do zniesienia. Widząc, jak pacjenci Willard tańczą i świętują, tak jakby wiedli normalne życie, jakby naprawdę mieli szansę odnaleźć prawdziwą miłość i prawdziwe szczęście, miała ochotę rzucić się z krzykiem do drzwi.

Na każdego uśmiechającego się pacjenta na parkiecie przypadło dwoje z twarzami bez wyrazu. Kilkoro kulało i podrygiwało, nie umiejąc złapać rytmu. Liczba pacjentów na wózkach trzykrotnie przewyższała tych, którzy stali. Większość z nich wodziła wzrokiem po sali z otwartymi, śliniącymi się ustami, z nadgarstkami wygiętymi w stronę torsu, a ich ramiona zwisały bezwładne i bezużyteczne. Jakimś sposobem takie stało się ich życie. Takie stało się jej życie. To wystarczało, żeby doprowadzić ją do szaleństwa.

Miała już wstać i podejść do stołu z poczęstunkiem, kiedy ktoś poklepał ją po barku. Zesztywniała. To byłoby trzecie zaproszenie do tańca, z czego dwa złożył jej ten sam mężczyzna. Uśmiechnęła się i odwróciła, przygotowując kolejną odpowiedź odmowną. Ale wtedy zapało jej dech w piersiach. Ten mężczyzna miał obfite wąsy i ciemną brodę oraz kilka siwych pasm włosów nad uszami. Jego nos był lekko skrzywiony, tak jakby kilkakrotnie go złamano. Wyglądał jak człowiek z gór – dziki i zaniedbany. Serce Clary zadrżało ze strachu. Sięgnął do jej dłoni, a ona wstała i starała się oddalić. Wtedy się odezwał.

– Witaj, *bella* Clara – powiedział głębokim głosem z silnym akcentem.

Odwróciła się, przygryzając wargę, by stłumić okrzyk, a potem ruszyła w stronę Brunona z wyciągniętymi ramionami.

– Nie – powstrzymał ją. – Zaczną się zastanawiać, co się dzieje, i przyjdą tutaj.

Opuściła ramiona i próbowała oddychać normalnie, zerkając, czy nikt nie zauważył. Siostra Trench, której czerwoną twarz wykrzywiał grymas, rozdzielała dwie kobiety, które próbowały tańczyć ze sobą. Siostra May przeglądała nagrania gramofonowe, próbując zdecydować się, co zagrać. Wysunęła czarny dysk z papierowej koperty, położyła na fonografie i umieściła igłę na krawędzi płyty. Salę wypełnił głos Ethel Waters, która

śpiewała *Am I Blue*? Serce Clary biło tak szybko, że ledwie mogła mówić.

– Co jeśli cię rozpoznają? – wydusiła z siebie.

– Nie rozpoznają – powiedział. – Siedziałem naprzeciwko nich przez cały czas.

– Jesteś pewien? – spytała.

– Tak – odparł, chwytając ją za dłoń. – Odczekałem trochę, zanim do ciebie podszedłem, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Podobnie jak wszyscy pacjenci, jestem niewidzialny, dopóki nie zacznę sprawiać problemów.

Poprowadził ją na parkiet i utrzymując wymaganą odległość między nimi, położył dłoń na jej talii. Czowała jego dotyk niczym gorące żelazo przez bawełnianą sukienkę. Zaczęło być jej ciepło od samej jego bliskości, po tylu miesiącach, kiedy zimno i samotność dokuczały jej do tego stopnia, że czuła się jak wyschnięty szkielet. Podniosła wzrok do jego oczu, zmuszając drżące wargi do uśmiechu.

– Szukałam cię – powiedziała, mruganiem powstrzymując łzy. – Codziennie.

Wpatrywała się w jego twarz, wpijając się wzrokiem w znajome brązowe oczy i długie ciemne rzęsy. Bruno patrzył nad jej ramieniem, obserwując pielęgniarki i sanitariuszy.

– Nie patrz na mnie – powiedział cichym głosem. – Pamiętaj, nie znasz mnie.

Oderwała oczy od jego oczu i rozglądała się po ścianach, innych pacjentach, sanitariuszach. Wszystko jej się rozmywało.

– Przepraszam – powiedziała. – Ja...

– Wiem. – Uścisnął jej dłoń. – Też się cieszę, że cię widzę.

– Co się z tobą działo? – spytała. – Wiesz, wtedy, kiedy wyprowadzili

cię z gabinetu doktora Roacha?

– Byłem trzy miesiące w izolatce – odpowiedział.

– O mój Boże! – westchnęła. Zacisnęła wargi i zwiesiła głowę. – Tak mi przykro.

– To nieistotne – odrzekł. – Ważne jest tu i teraz. Ty i ja. A także to, co zrobimy, żeby się stąd wydostać.

– Kiedy? – spytała, patrząc mu w oczy. Nie mogła się powstrzymać. Musiała patrzeć na niego. Nagle poczuła zawroty głowy.

– Wkrótce – odpowiedział. Uścisnął ją szybko, tak jakby wyczuwał jej napięcie. – Rozluźnij się i posłuchaj mnie. Pracuję z grabarzem, robię trumny i kuję nagrobne tabliczki. Mamy dostęp do tuneli pod Chapin Hall. Tam trzymają trumny, w magazynie obok kostnicy. Kiedy zdecydujemy się na ucieczkę, musisz znaleźć sposób, żeby dostać się do tych tuneli. Jest taki znak...

– Jak mam to zrobić? – spytała ze ściśniętym z paniki gardłem.

– Nie wiem – powiedział. – Teraz tylko słuchaj. Najpierw opowiem ci wszystko. Potem pomyślimy nad twoją częścią planu. Kiedy już będziesz w tunelach, idź za znakami do kostnicy. Magazyn jest po przeciwnej stronie sali. Schowaj się w jednej z trumien. Lawrence i ja wyniesiemy cię.

– Grabarz?

– Tak.

Przemieszczali się po parkiecie, obracając się powoli, a widok rozmazanych twarzy wirujących za głową Brunona sprawiał, że kręciło jej się w głowie.

– Nie zdradzi nas? – spytała, ściskając mocniej jego ramię.

– Nie – odparł.

Właśnie wtedy siostra Trench przeszła koło nich, z wargami zaciśniętymi z determinacją. Clara opuściła głowę, pewna, że siostra Trench wyczyta prawdę w jej oczach. Kropelki potu wystąpiły jej na czoło, a kolana zaczęły drżeć. Siostra Trench sprawdziła odległość między nimi, położyła grubą jak deska doń na ich barkach i rozsunęła ich.

– Za blisko – powiedziała.

Kiedy siostra Trench odwróciła się, by podejść do następnej pary, Clara pomyślała, że być może jednak nie upadnie bezwładnie na podłogę. Ale pielęgniarka zatrzymała się i stanęła w miejscu, wydawałoby się na wieczność, jej zmrużone oczy przeskakiwały od jej twarzy do jego. Clara poczuła, jak wszystko w środku zaciska się jej w supeł. Siostra Trench rozpoznała Brunona. Na ułamek sekundy wszystko stało się czarne. Potem Clara przełknęła ślinę i zmusiła się do popatrzenia w jej stronę.

– Wszystkiego najlepszego z okazji dnia Świętego Walentego – powiedziała, a jej wargi drżały, kiedy próbowała się uśmiechnąć. – Dziękuję za zorganizowanie tak wspaniałego przyjęcia.

Marszcząc czoło, siostra Trench wpatrywała się w Brunona, obserwując dokładnie jego twarz. Ten przyjął minę kogoś, kto jest w transie, kołysząc się i kontemplując papierowe serduszko nad głową Clary.

– Hmm – mruknęła siostra Trench, zaciskając czerwone wargi. Potem surowo popatrzyła na Clare i poszła dalej. – Tylko uważajcie na siebie – powiedziała na odchodne.

Clara westchnęła z drzeniem, a nogi niemal się pod nią ugięły.

– Wszystko w porządku? – spytał Bruno.

Clara próbowała odzyskać głos.

– Ona cię rozpoznała! – wyszeptała.



Bruno potrząsnął głową.

– Zawołałaby sanitariuszy.

Clara próbowała normalnie oddychać, patrząc, jak siostra Trench zatrzymuje się przy następnej parze.

– Nie wiem – powiedziała. – Wydawało mi się, że... że ostrzegła nas czy coś w tym rodzaju.

– Ostrzegła nas, żebyśmy stali dalej od siebie podczas tańca – powiedział Bruno. – To wszystko. Teraz słuchaj. Muszę ci wyjaśnić resztę planu.

Clara wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze. Może Bruno miał rację. Siostra Trench zawołałaby sanitariuszy albo zabrałaby ją do gabinetu doktora Roacha. Zamiast tego w dalszym ciągu sprawdzała tańczące pary i zachowywała się, jak gdyby nic się nie stało.

– W porządku – powiedziała Clara, próbując powstrzymać drżenie. – Słucham.

– Lawrence mieszka w starej szopie po drugiej stronie cedrowego zagajnika.

Kiwnęła głową.

– Widziałam ją.

– Ukryjemy się tam do zmroku, potem przekradniemy się nad jezioro, gdzie czekać będzie na nas łódka.

– Łódka?

– Tak, kilka lat temu Lawrence znalazł starą łódź. Była w połowie zgniła i pokryta warstwą sosnowych igieł i liści. Ale podreperowałem kadłub i dorobiłem wiosła z drewna, z którego robimy trumny.

– Jest bezpieczna?

– Przekonamy się o tym, czyż nie?

Clara kiwnęła głową, ale potem przypomniała sobie, że jest luty, i znowu ścisnął jej się żołądek. Jezioro było zamrożone. Musieliby czekać do wiosny. Ale teraz, kiedy w jej głowie zaszczerpiono myśl o ucieczce, nie sądziła, że będzie mogła tak długo czekać. Nie mogła znieść kolejnego dnia zamknięcia w Willard, nie mówiąc o dwóch miesiącach. Gdyby dano jej szansę, spróbowałyby uciec jeszcze w tej samej minucie. Jeśli ona i Bruno mieliby czekać do wiosny, jeśli musieliby wstrzymać się z ucieczką, aż jezioro rozmarznie, chyba oszalałyby z niepokoju. Ale poza tym, co by się stało, jeśli coś wydarzyłoby się w tym czasie? Co jeśli jedno z nich rozchorowałoby się albo zostało zamknięte w izolacji? Co wtedy?

– Kiedy? – spytała, powstrzymując oddech.

– Wkrótce – powiedział.

– Ale jezioro zamarzło!

– Lód jest teraz cienki – powiedział Bruno. – Ostatnie dwa tygodnie były nadzwyczaj ciepłe. Powinniśmy go bez problemu przełamać.

Żołądek Clary zaczął wyprawiać harce. Wzięła głęboki oddech, uniosła podbródek i nieco się wyprostowała. To była ich szansa. W końcu. Ich szansa na bycie wolnym, na odnalezienie Beatrice. Ale najpierw musiała znaleźć sposób na dostanie się do tuneli pod szpitalem. Wydawało się to niemal niemożliwe, biorąc pod uwagę, że jej zajęcia nigdy nie odbywały się w okolicach Chapin Hall. Potem przyszedł jej do głowy pomysł.

– Jutro – powiedziała. – Musimy zrobić to jutro.

Bruno zmarszczył brew.

– Dlaczego? – zapytał.

– Po prostu mi zaufaj, dobrze?

– Co planujesz? – spytał.

– Zrobię tak, żeby przeniesiono mnie do szpitala – odpowiedziała. – Potem znajdę drogę do tuneli przed zapadnięciem zmroku. Można wejść do tuneli w niedzielę?

– Tak – odpowiedział. – Lawrence grzebie ludzi także w niedziele. Właściwie to jutro mamy kogoś do pogrzebania.

– W porządku – powiedziała. – A więc jutro.

Właśnie wtedy skończyła się *Am I Blue?*, a siostra May zmieniła nagranie. Gertrude Lawrence zaczęła śpiewać *Someone to Watch Over Me*, a gardło Clary się ścisnęło, kiedy przypomniała sobie, jak pierwszy raz tańczyli w Cotton Clubie. Teraz tańczyli do tej samej piosenki zamknięci w zakładzie dla obłąkanych.

Ta myśl sprawiła, że Clara o mało co nie osunęła się na kolana.

Niedzielnego popołudnia, po wyplataniu koszy razem z Esther i Madeline w pokoju do rekreacji, Clara spytała jedną z pielęgniarek, czy nie mogłaby wrócić na oddział wcześniej niż zwykle. Narzekała na ból brzucha i powiedziała, że musi się na chwilę położyć. Pielęgniarka z obojętnym wyrazem twarzy poinstruowała sanitariusza, żeby zaprowadził Clare z powrotem na oddział. Dziewczyna zerknęła przez ramię na Esther i Madeline i serce ścisnęło jej się w piersi. Siedziały razem na ławce, pracując z opuszczonymi głowami. Clara zdecydowała nie dzielić się z nikim planem ucieczki, mając nadzieję, że to, czego nie wiedziały, nie mogło im zaszkodzić. Poza tym ryzyko było zbyt wielkie. Kto wie, co mogłyby zdradzić, jeśli zagrożono by im izolatką, wywołaniem śpiączki albo zamknięciem w Rookie Pest House. Zamiast się pożegnać, posłała im

cichą modlitwę, mając nadzieję, że Esther i Madeline również będą mogli się kiedyś wydostać z Willard.

Pół godziny później, zaraz przed tym, jak pielęgniarki miały odstawiać pacjentów na oddział, Clara wyjęła nasiąkniętą podkładkę higieniczną spomiędzy nóg i rozsmarowała krew menstruacyjną na brudnej pościeli i na wewnętrznej stronie ud. Nie wymieniła podkładki przez cały dzień, a ponieważ był to drugi dzień okresu, kiedy krwawienie było najbardziej obfite, ciemnej krwi było sporo. Mając serce w gardle, zwinęła się na łóżku, czekając. Kiedy usłyszała dźwięk kluczy w drzwiach, zaczęła jęczeć i krzyczeć, trzymając się za brzuch. Pacjenci weszli gęsiego i zebrali się wokół jej łóżka, przyglądając się, szepcząc, kołysząc się w przód i w tył. Jedna z kobiet zaczęła głaskać czoło Clary, delikatnie odsuwając włosy z jej oczu. Pielęgniarka kazała pacjentom się odsunąć.

– Co ci jest? – spytała.

Clara skrzywiła się i przyciągnęła do siebie nogi.

– Nie wiem – powiedziała z wysiłkiem w głosie.

– Obróć się i pokaż mi – poleciła pielęgniarka.

Clara jęknęła i odwróciła się na plecy z ugiętymi kolanami, a oczy miała zamknięte. Pielęgniarka odsunęła rękę Clary i zbadała jej brzuch. Clara zawyła i obróciła się raz jeszcze, powstrzymując oddech, żeby jej twarz zrobiła się czerwona.

– Weź wózek – zwróciła się pielęgniarka do jednej z pozostałych sióstr.

– Zawieź ją do szpitala.

Dwadzieścia minut później Clara leżała na stole do badań w gabinecie doktora Slade'a, a on badał jej brzuch ze zmarszczonym czołem. Pielęgniarka pomogła Clarze się umyć i dała jej świeżą podkładkę oraz czystą koszulę nocną. Teraz patrzyła bez zainteresowania.

– Nie czuję nic nieprawidłowego – powiedział doktor Slade. – Czy możesz dokładniej określić, gdzie cię boli? Pokaż mi, skąd dochodzi ból.

Clara położyła palce w okolicy miednicy.

– Tutaj – powiedziała.

– Boli bardziej niż zwykły comiesięczny dyskomfort?

– Tak – odpowiedziała Clara. – Ale wydaje mi się, że zaczyna boleć mniej.

– Proszę posłać po doktora Kinga – powiedział do pielęgniarki. – Pacjentka wymaga badania ginekologicznego.

Clara potrząsnęła głową i wstała.

– Nic mi nie jest – powiedziała. – Myślę, że muszę się tylko nieco przespacerować. – Zsunęła się ze stołu i stanęła pochylona z ręką na dolnej części brzucha.

– Co robisz? – spytał doktor Slade. – Nie powiedziałem nic o wstawaniu.

– Muszę się poruszać – powiedziała – już tak nie boli.

Doktor Slade spiorunował ją wzrokiem znad okularów.

– Mówisz mi, że zrobiłaś takie zamieszanie z powodu ciężkiego wzdęcia?

Clara wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – odpowiedziała. – To pan jest lekarzem, nie ja. – Położyła obie dłonie na brzuchu i się skrzywiła. – Znowu boli.

– Połóż się i zobaczymy, co się stanie. – Lekarz popatrzył na pielęgniarkę, marszcząc brwi. – Nie będę zlecał kolejnych badań ani zdjęć rentgenowskich, jeśli to tylko uciążliwe wzdęcia albo bolesny okres.

– Proszę – powiedziała Clara. – Muszę tylko iść się przejść. Jeśli to nie

pomoże, zrobię wszystko, co pan mi każe.

Doktor Slade zastanowił się nad jej słowami, potem potrząsnął głową, wskazując drzwi z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– Proszę przejść z nią na koniec korytarza i z powrotem – powiedział do pielęgniarki.

Clara wyszła za pielęgniarką z gabinetu, a serce waliło jej jak młotem. Sprawdziła obie strony – czy była tam klatka schodowa prowadząca do piwnicy, mając świadomość, że to nie będzie proste, ale też nadzieję, że w końcu sprawy potoczą się po jej myśli. Od obu końców korytarza odchodziły kolejne, prowadząc na prawo i lewo. Żołądek się jej ścisnął. Powłóczyła nogami za pielęgniarką, jedną ręką trzymając się za brzuch, a drugą ściskając poręcz przy ścianie. Zastanawiała się, czy uda jej się od razu znaleźć klatkę schodową, czy będzie musiała postarać się o dłuższy pobyt w szpitalu. Jeśli nie uda jej się teraz znaleźć drogi do tuneli, będzie musiała wymyślić sposób na wymknięcie się z pokoju później. To ostatnie było niemal niemożliwe.

Kiedy dotarli do końca korytarza, pielęgniarka odwróciła się, wracając do gabinetu doktora Slade. Clara zatrzymała się, mocniej chwyciła się poręczy i spojrzała na korytarz po lewej. Pod ścianami szerokiego pasażu siedzieli pacjenci przypięci pasami do krzeseł, niektórzy płakali, jęczeli, niektórzy patrzyli w przestrzeń. Prawy korytarz był praktycznie pusty, stały tam tylko wózek inwalidzki i metalowy wózek wypełniony szklanymi butelkami z lekarstwami. Drzwi do pokoiów pacjentów po obu stronach korytarza były zamknięte. Na jego końcu była otwarta winda serwisowa obok podwójnych drzwi, a nad nią wisiała zielona tabliczka z napisem „Piwnica”. Kropelki potu wystąpiły Clarze na czoło. Odwróciła się w stronę schodów.

– Gdzie idziesz? – spytała pielęgniarka. – Wracaj!

Clara szła dalej, walcząc z chęcią ucieczki.

– Muszę jeszcze trochę pochodzić – powiedziała. – To chyba pomaga.

– Powinnaś robić to, co ci mówię! – krzyknęła pielęgniarka. – Doktor Slade czeka!

Clara zignorowała ją i szła dalej. Pielęgniarka westchnęła i pobiegła za nią, skrzypiąc butami. Clara obejrzała się przez ramię.

– Tylko do końca tego korytarza – powiedziała. – Potem wracam.

Pielęgniarka przeszła obok z zaciśniętymi ustami i napiętymi ramionami. Clara zwolniła, pozwalając pielęgniarce się wyprzedzić i starając się uniknąć problemów z oddychaniem. To musiało się udać. Po prostu musiało. Kiedy zawróciły przed podwójnymi drzwiami, Clara upadła na podłogę. Jej zeszywniałe kończyny drgały gwałtownie. Wywróciła oczy i wystawiła język, zwijając się i miotając na zimnej posadzce.

Pielęgniarka odwróciła się i wciągnęła powietrze z szeroko otwartymi oczami. Przyklękła i położyła ręce na ramionach Clary. Dziewczyna rzucała się nadal, udając, że się krztusi. Pielęgniarka wstała i pobiegła po pomoc. Clara zerwała się na nogi, przebiegła przez podwójne drzwi i zbiegła po schodach w stronę piwnicy pod Chapin Hall.

Na końcu schodów zatrzymała się, próbując się zorientować, w którą stronę biec. We wszystkie strony odchodziły długie cementowe tunele – w lewo, prawo i prosto. Powietrze wypełniał jaskiniowy zapach pleśni i mokrego kamienia. Woda kapiała z rur o różnych rozmiarach, które biegły po suficie, a lampy w osłonach z krat świeciły słabym, drgającym światłem. Ich pożółkłe żarówki pokrywała warstwa brudu i wyschniętych pajęczyn. Co trzy metry gruby łuk podpierał strop jak w kryptach pod średniowieczną fortecą. Na łuku po lewej widniał napis „Kostnica”.

Za Clarą było słychać okrzyki niosące się po klatce schodowej, a silnik windy zawył po uruchomieniu, zgrzyt kół zębatych rozbrzmiewał echem w zardzewiałym szybie. Clara pobiegła w stronę kostnicy, zadowolona, że piwnica była ogromnym labiryntem. Nikt nie miał pojęcia, gdzie jej szukać. Była niedziela, więc modliła się w duchu, żeby nikogo tu nie było.

Jej kroki rozbrzmiewały echem w pustym tunelu, a twarde podeszwy butów stukały po kamiennej posadzce. Zatrzymała się i zdjęła je, a potem zamarła, pewna, że słyszy przed sobą czyjąś rozmowę. Męski głos niósł się korytarzem, a po nim usłyszała coś, co brzmiało jak jęki i płacz. Przysunęła się bliżej, trzymając się przy ścianie, gotowa zaraz się odwrócić i uciekać. Ale im dłużej nasłuchiwała, tym bardziej miała wrażenie, że głos powtarza tę samą wypowiedź. Metal uderzył o metal, a łańcuchy szurały po kamieniach. Przed nią, w przeciwległej ścianie, były drzwi wykonane z grubej metalowej siatki, a klamka była owinięta łańcuchem i zamknięta na kłódkę. Przeszła przez tunel i przysunęła się bliżej, przyciskając buty do piersi.

Im bliżej podchodziła do drzwi, tym mocniejszy dochodził do niej odór uryny i odchodów. Zasłoniła usta dłonią i z łomoczącym sercem zerknęła przez krawędź siatkowych drzwi. Pod ścianami pomieszczenia o surowych kamiennych ścianach stały żelazne klatki z pacjentami w środku. Niektórzy byli nadzy, niektórzy mieli na sobie brudne szpitalne koszule, a większość była przykuta łańcuchami do ściany i siedziała na łózkach lub leżała na podłodze. Clara zdusiła okrzyk. Oczy ją zapiekły. Dlaczego ci pacjenci są trzymeni w piwnicy, w klatkach? Bycie zamkniętym w Willard było wystarczająco straszne, ale to? To było barbarzyństwo. Jak mogło to ujść lekarzom na sucho? Przysięgła sobie wtedy, że kiedy wydostanie się z Willard, pójdzie opowiedzieć władzom o Beatrice i poinformuje policję



o tym maltretowaniu. Ocierając policzki i modląc się w myślach, pobiegła dalej, zdeterminowana, żeby znaleźć kogoś, kto położy temu kres.

W końcu zobaczyła tabliczkę, na której napisane było „Kostnica”. Dalej, w głębi korytarza, para drewnianych drzwi zamykała tunel. Słabe światło słoneczne dochodziło przez brudne szyby w nich umieszczone. Przez ułamek sekundy pomyślała o tym, żeby pobiec na koniec tunelu i spróbować je otworzyć. Może mogłaby się wydostać. Potem jednak przypomniała sobie, że sanitariusze i pielęgniarki już jej szukają. Nawet jeśli drzwi były otwarte, nie miała pojęcia, dokąd pójść. Co jeśli szukają jej na zewnątrz? Najlepiej było trzymać się planu Brunona.

Zawiasy zapiszczały jak przestraszony kot, kiedy naparła na drzwi magazynu naprzeciwko kostnicy. Zatrzymała drzwi, żeby je uciszyć, potem weszła przez wąską szparę, wciskając się bokiem do ciemnego pokoju. Powietrze wypełniał zapach żywicy i trocin, a pod ścianami stały długie, prostokątne przedmioty. Włożyła buty i ruszyła do przodu, poruszając się centymetr po centymetrze i szukając drogi w ciemności. Kiedy uderzyła golenią o coś twardego, sięgnęła w dół, a jej palce przejechały po surowym drewnie i po czymś, co w dotyku wydało jej się grubą, wygładzoną krawędzią trumny. Odsunęła wieko na bok i weszła do wnętrza, a następnie położyła się w niej z sercem bijącym jak dzwon w jej uszach. Kiedy już była w środku, uniosła wieko palcami, opuściła je z powrotem i sprawdziła wzdłuż jego krawędzi, czy nie ma żadnej szpary.

Zadowolona, że nikt nie mógł jej zobaczyć, nawet jeśli by wszedł i zapalił światło, zamknęła oczy. Jej oddech był ciężki i przyspieszony, głowa jej pulsowała. Po kilku jedynie sekundach wydawało się niemożliwe, żeby powstrzymać się przed zepchnięciem wieka, wstaniem i wybiegnięciem z pomieszczenia tunelem w stronę światła. Robiła

wszystko, żeby nie zgiąć kolan i łokci, nie ruszyć się, nie przeciągnąć i nie usiąść. Co jakiś czas dalekie krzyki i trzaskanie drzwiami niosły się echem po piwnicznych korytarzach. Kto znajdzie ją pierwszy – Bruno czy sanitariusze?

Odgłos ruchu w pobliżu sprawił, że zamarła. Ciężkie drzwi zostały otwarte i zamknięte, a potem usłyszała stłumione szuranie i uderzenie na zewnątrz magazynu. Klucze zostały przekręcone w zamku. Clara wstrzymała oddech. Co byłoby karą za próbę ucieczki? Izolacja? Śpiączka insulinowa? Rookie Pest House? Drzwi zamknęły się z hukiem. Usłyszała odgłos przycisku zapalającego światło. Promienie światła wpadły przez szpary w wieko trumny. Ciężkie kroki rozległy się w pomieszczeniu. Zacisnęła powieki.

– Czekamy tu, aż się pojawi? – spytał głos mężczyzny.

– Taki jest plan, pamiętasz? – odpowiedział inny mężczyzna. Clara poczuła dreszcz. Ten głos był podobny do głosu Brunona. Musiała być jednak pewna. Czekwała, próbując wstrzymać oddech, pewna, że zemdleje, zanim mężczyzna powie coś jeszcze. Potem, po chwili, która wydawała się wiecznością, ten sam głos powiedział:

– Zamknąłeś kostnicę?

– Ta – powiedział pierwszy głos. – Pewno, że zamknąłem kostnicę. – Głos przywodził na myśl starszego mężczyznę – był głęboki i chrapliwy, słowa padały ostrożnie i powoli.

– A jeśli ktoś przyjdzie? – spytał pierwszy głos.

– Dzisiaj chowamy pannę Annie Blumberg – odpowiedział drugi.

Clara wciągnęła głęboko powietrze. To byli Bruno i grabarz. Zaczęła napierać na wieko trumny, a potem usłyszała ciężkie kroki kogoś biegnącego tunelem. Znieruchomiała. Drzwi do magazynu otwarły się

z piskiem.

– Widzieliście kogoś tu na dole? – spytał mężczyzna, dysząc.

– Dzisiaj chowamy pannę Annie Blumberg – powiedział grabarz. – Idzie do nieba, żeby być z Jezusem.

– Nie pytałem, co robicie, Lawrence – odburknął zirytowany mężczyzna. – Pytałem, czy widzieliście kogoś w tunelach. Szukamy pacjentki.

– Nie widzieliśmy nikogo – odparł Bruno. Mówił głośniej niż przed chwilą, tak jak gdyby stał nad trumną.

– Nie pytam ciebie – powiedział mężczyzna – pytam Lawrence’a. Widziałeś kogoś czy nie, Lawrence?

Minęła wieczność, zanim Lawrence odpowiedział. Clara myślała, że zacznie krzyczeć, zanim on coś powie.

– Nie – powiedział. – Nie widziałem pacjentki tu w tunelach. Dzisiaj chowamy pannę Annie Blumberg. Idzie do nieba, żeby być z Jezusem.

– Cóż – powiedział mężczyzna. – Daj nam znać, jeśli zobaczysz kogokolwiek. Rozumiesz mnie, Lawrence?

– Tak – odpowiedział Lawrence. – Powiem panu, jeśli zobaczę kobietę, która nie jest panną Annie Blumberg.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Clara odetchnęła, a jej kończyny drżały z ulgi. Pierwszym jej odruchem było otwarcie wieka i wyjście, ale musiała zaczekać. Musiała być pewna, że sanitariusz poszedł sobie na dobre. Zacisnęła pięści, wbijając paznokcie w dłonie.

– Jesteś tu, Clara? – syknął Bruno. Jego głos brzmiał, jakby stał dalej. Clara przełknęła ślinę i próbowała się odezwać pomimo suchości w gardle. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Clara? – szepnął Bruno raz jeszcze.

– Tutaj – udało się jej wydusić z siebie. Zastukała w drewno. – Jestem tutaj.

Głośne uderzenie w trumnę sprawiło, że podskoczyła, a trumna zadrżała, jakby ktoś ją kopnął. Potem wieko odsunęło się na bok. Najpierw zobaczyła palce, potem kawałek twarzy Brunona. Mężczyzna ściągnął wieko i popatrzył na nią z troską. Próbowwała się podnieść.

– Nie ruszaj się – szepnął. – Nie mów nic. – Położyła się z powrotem. – Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową, siląc się na uśmiech. Miała wrażenie, jakby to był spazm.

– Wyciągniemy cię stąd – powiedział Bruno, ciągle szepcząc. – Uciekamy dzisiaj. Lawrence nam pomoże.

Pociągła, zarośnięta twarz grabarza pojawiła się nad nią. Ściągnął czapkę, przejechał dłonią po swoich siwych, nieporządnym włosach i kiwnął jej szybko głową. Skóra wokół jego oczu była cienka, co sprawiało, że powieki miały różowawy kolor. Zmarszczki na szyi były czarne od brudu.

– To nie w porządku, co oni zrobili – powiedział Lawrence, potrząsając głową. – To nie w porządku, że odebrali pani dziecko.

Oczy Clary wypełniły się łzami. Wzięła głęboki oddech i kiwnęła głową, uśmiechając się słabo do Lawrence'a. Ale wtedy twarz Brunona pociemniała i kobieta znowu zaczęła się trząść. Coś było nie tak.

– Musimy wynieść cię z tunelu – szepnął. – Musimy wynieść trumnę po schodach, załadować na wóz i zawieźć ją na cmentarz. Zabraliśmy ciało Annie dzisiaj wczesnym rankiem i ukryliśmy w cedrowym zagajniku w pobliżu chaty Lawrence'a. Zamianę zrobimy w lesie, ale będziemy

musieli się śpieszyć. Zostało jeszcze parę godzin do zmroku, a kiedy nie znajdą cię w szpitalu, będą przeszukiwali teren zakładu. – Wyprostował się i podrapał po karku, unikając jej wzroku. Potem westchnął i spojrzał na nią ponownie, próbując odczytać wyraz jej twarzy.

– Będziemy musieli zabić wieko trumny, Claro. Nie wbijemy wszystkich gwoździ, ale musimy to zrobić, gdyby ktoś nas zatrzymał w drodze na cmentarz.

Kiwnęła głową i próbowała się uśmiechnąć, a uczucie pustki i zimna sprawiło, że zadrżała. Bruno przyklęknął i sięgnął do trumny, obejmując dłońmi jej głowę od tyłu. Pochylił się i mocno pocałował ją w usta.

– Nie pozwolę, żeby cokolwiek ci się stało, obiecuję – wyszeptał, a jego oczy były wilgotne. – Wszystko będzie w porządku.

Wypuścił ją z objęć i sięgnął po wieko trumny, a twarz miał bladą jak kość. Potem zasunął wieko na miejsce, wpatrując się w jej oczy do ostatniej sekundy, dopóki nie zamknął całkiem trumny. Po raz kolejny ciemność ogarnęła Clarę. Zamknęła oczy i zacisnęła pięści, próbując oddychać normalnie. Potem usłyszała dźwięk, jakby ktoś grzebał w worku z gwoździami. Rozległo się lekkie uderzenie w wieko trumny.

– Wbijam pierwszy gwóźdź – powiedział Bruno.

Pomimo ostrzeżenia głośnie uderzenie sprawiło, że Clara podskoczyła. Nastąpiła cisza, jakby Bruno pozwalał się jej przyzwyczaić do dźwięku, a potem *łup, łup, łup, łup*. Krzywiła się po każdym uderzeniu, łzy ciekły jej po skroniach, a potem przesunęła ręce po swoim tułowi i zatkała uszy palcami, podczas gdy ostre metaliczne uderzenia przebijały jej mózg. Zagryzła wargę i pomimo wzburzonego żołądka próbowała nie myśleć o tym, co by się stało, gdyby w jakiś sposób Bruno nie mógł jej wypuścić z trumny. W końcu ten odezwał się znowu.

– To był ostatni gwóźdź – powiedział ze ściśniętym głosem. – Teraz cię wyniesiemy na zewnątrz. Postaraj się nie ruszać.

Trumna zakołysała się nieznacznie, a potem została podniesiona do góry jednym szybkim ruchem. Przez chwilę Clara nie czuła ciężaru własnego ciała. Zaczęło się jej kręcić w głowie, a kiedy przycisnęła ręce do drewnianych boków trumny, małe drzazgi wbiły się jej w skórę. Bruno i Lawrence ponieśli ją przez tunel, po schodach na górę i położyli na czekającym wóz. W trakcie przenoszenia jej ciało przesunęło się w trumnie jak zwinięty w rolkę dywan, mimo że starała się utrzymać w jednej pozycji. Jedyne, co mogła zrobić, to nie krzyczeć.

W pobliżu końca cmentarza Bruno i Lawrence wyciągnęli trumnę z wozu i zanieśli ją do cedrowego zagajnika, gdzie ukryli ją w gęstwinie drzew. Bruno użył łomu, żeby otworzyć wieko. Musiał uważać, żeby nie połamać drewna, tak by trumna mogła zostać użyta do pochowania Annie Blumberg. Czekając na uwolnienie, Clara oddychała powoli i nierównomiernie, walcząc z pragnieniem wypchnięcia wieka. W końcu Bruno ściągnął je, uwalniając ją. Clara błyskawicznie wstała i wyszła z trumny, łapiąc świeże powietrze haustami, jak kobieta, którą uratowano przed utonięciem. Bruno podszedł i przycisnął ją do piersi, wtulając twarz w jej szyję, a jego ciepły urywany oddech muskał jej skórę. Przytuliła się do niego, pochłaniając jego ciepło i próbując powstrzymać drżenie. Wydawało się, że minęła wieczność, odkąd ostatni raz czuła, jak obejmują ją jego ramiona. Nie chciała go wypuścić. Bruno ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją chciwie spragnionymi ustami. Potem odsunął się i popatrzył na nią załzawionymi oczami.

– Tak bardzo mi ciebie brakowało – powiedział.

– Mi ciebie też – odparła, szcękając zębami. – Nie wiem, co by się ze

mną stało, gdybyś nie...

Przyłożył palec do swoich ust.

– Ćśś... – powiedział. – Wszystko jest już w porządku. Uciekniemy stąd i odnajdziemy naszą córkę. – Pocałował ją znowu, raz, w usta. – Ale teraz musisz uciekać. Schowaj się pod łóżkiem Lawrence’a, dopóki po ciebie nie przyjdę.

Kiwnęła głową i objęła go jeszcze raz ramionami, tuląc głowę do jego torsu.

– Kocham cię – powiedziała.

– Ja też cię kocham – odparł. – A teraz biegnij!

Clara odwróciła się i pobiegła, jej oddech tworzył obłoczki pary w zimnym powietrzu. Obejrzała się przez ramię i zwolniła, zatrzymując się, by popatrzeć, jak Bruno i Lawrence ściągają warstwy zielonych gałęzi z zawiniętego w prześcieradło ciała Annie Blumberg. Podnieśli ją i położyli w trumnie, a potem założyli ponownie wieko. Clara pomodliła się w duszy, dziękując tej kobiecie za szansę na ucieczkę, a potem zanurkowała pod drzewa i pobiegła, nie oglądając się.

Kiedy dotarła do chaty Lawrence’a, przebiegła przez pokrzywioną werandę i szarpnięciem otworzyła zwisające drzwi. Serce łomotało jej w piersi. Kiedy weszła do środka, musiała zasłonić usta i nos z powodu przytłaczającego odoru odchodów i rozkładających się gryzoni. Smród zapiekł ją w oczy i niemal nie mogła oddychać bez dławienia się. Obawiała się, że będzie musiała ukryć się na zewnątrz, leżąc na dachu, albo w jakiejś zakrytej norze za domem. Ale nie, nie mogła ryzykować – tam mogli ją dostrzec. Musiała postępować zgodnie z planem. Rozglądając się wokół, spróbowała zorientować się w sytuacji.

Rozpadająca się budowla składała się z dwóch niewielkich pomieszczeń

– kuchni, służącej też za pokój dzienny, i sypialni. Podłoga w części mieszkalnej kuchni była zrobiona z łupków, a rozsypujące się ceglane palenisko zajmowało prawie całą ścianę z bali. Pod brudnym oknem z potarganym lambrekinem w turecki wzór stała malowana szafka, a jej drewniany blat wyposażony był w ręczną pompę i zardzewiały zlew. Na środku pokoju stało krzesło z wyplatany oparciem, wsparte na trzech nogach. Czwarta była zastąpiona stosem połamanych cegieł. Stół był wykonany ze starych drzwi, a całą jego powierzchnię pokrywały puste puszki i stare gazety. Pękaty piec przykucnął w jednym z rogów, pomarańczowe języki ognia trzaskały za jego żelazną kratą.

Walcząc z pokusą, by usiąść przy piecu i ogrzać się, Clara pobiegła do sypialni, której podłoga była zwykłą polepą, gdzie drewniane łóżko z materacem z końskiego włosia zostało przysunięte do jednej ze ścian, a koślawa komoda stała jak zdeformowany karzeł poniżej okna częściowo zabitego deskami. Górne szyby pozwalały gasnącemu światłu przeświecać na wyświechtany dywanik leżący przed kredensem. Był to perski chodnik, a jego geometryczne wzory przypominały Clarze dywan przed gabinetem jej ojca.

Wypierając obraz rodzica z umysłu, Clara wczołgała się pod łóżko, ocierając kolana i łokcie o polepę. Wcisnęła się tak głęboko, jak tylko mogła, aż jej plecy oparły się o drewnianą ścianę, a potem wyjrzała zza niskich barierek łóżka, próbując łapać płytkie oddechy. Odór odchodów był niemal nie do zniesienia. Metalowe wiadro stało w rogu, w pobliżu kredensu, z zewnątrz obryzgane zeschlými nieczystościami i brązowymi strugami. Pociągnęła za róg koca zwisającego z łóżka, żeby zasłonić widok prowizorycznej toalety Lawrence'a. Zakurzone pajęczyny przykleiły się jej do nadgarstka. Zerwała je i czekała, próbując ignorować zimno ciągnące od



polepy.

Zastanawiała się, ile czasu upłynie, zanim Bruno przyjdzie po nią, i próbowała sobie przypomnieć, jak długo Lawrence grzebał kogoś, kiedy przypatrywała mu się z okien Rookie Pest House. Wtedy jednak była ogarnięta smutkiem i znajdowała się pod wpływem laudanum, więc nie potrafiła tego określić. Miała nadzieję, że pośpieszą się z Brunonem i że dwóm osobom praca zajmie tylko połowę czasu. Robiło się już ciemno, a światło w chacie szarzało i nikło.

Po pewnym czasie, który wydawał jej się wiecznością, otworzyły się drzwi frontowe. Clara miała zamiar wyjść spod łóżka. Ledwo odróżniała kształty w coraz ciemniejszym pokoju. Potem się cofnęła, nagle uświadamiając sobie, że to wcale nie muszą być Bruno i Lawrence. Nawet jeśli to oni, to mogą nie być sami. Zastygła w bezruchu i nasłuchiwała, próbując wstrzymać oddech. W części mieszkalnej ktoś zapalił zapałkę. Coś zasyczało i zapłonęło. Para ubłoconych butów ukazała się w drzwiach, a żółtawe światło rozjaśniło sypialnię. Gumowe buty zaszurały po klepisku i zatrzymały się przy przeciwległej ścianie. Ktoś postawił zardzewiałą olejną lampę na ziemi. Właściciel butów ściągnął je, obnażając brudne stopy. Kurtka spadła na ziemię. Wyglądała jak ta, którą miał Lawrence.

*Dlaczego Lawrence był tu bez Brunona? – zastanawiała się. Czy wydał go? Czy czeka na sanitariuszy, żeby przyszli po nią? Co jeśli Bruno został wysłany na oddział dlatego, że brakowało pacjenta? Czy Lawrence zapomniał, że ukrywała się pod jego łóżkiem? A może mężczyzna w chacie to nie był Lawrence.*

Brudne stopy poczłapały w stronę wiadra, szelki naciągnęły się i strzeliły, a spodnie spadły do kostek mężczyzny. Strumień moczu trafił w ścianę wiadra. Mężczyzna jęknął i odczekał chwilę, zanim z powrotem

włożył spodnie, a potem poszedł w jej stronę. Stał przy łóżku, opadł na czworaki, a jego powykrzywiane białe palce zaryły się w ziemię. Clara wstrzymała oddech i przycisnęła plecy do ściany. Serce o mało jej nie pękło. Wtedy pojawiła się pomarszczona twarz Lawrence'a, jego oczy o różowych powiekach były zmrużone. Wypuściła powietrze.

– Szukają pani – powiedział.

– Wiem – odparła, próbując uspokoić oszalałe serce. – Gdzie jest Bruno?

– Grzebie pannę Annie Blumberg – odpowiedział. – Powiedział, żebym mówił, że jestem chory, kiedy przyjdą do mojego domu.

Clara przełknęła ślinę.

– Kiedy przyjdzie po mnie?

– Kiedy będzie bezpiecznie – odparł. – Kiedy będzie bezpiecznie, pani i Bruno będziecie mogli poszukać waszego maleństwa. Ale muszę panią ukryć w lepszym miejscu.

Clara poczuła, jak krew odpływa jej z policzków.

– Gdzie? – spytała.

Lawrence uśmiechnął się, jego zęby wyglądały jak ziarna kukurydzy pomiędzy spierzchłymi wargami. Gestem kazał jej wyjść, a potem podniósł się. Clara przeczołgała się po polepie i wygrzebała spod łóżka, otrzepując brud i pajęczyny z kolan i łokci. Lawrence ruszył w stronę kredensu, pochylił się, odsunął chodnik odkrywając małą klapę. Chwycił żelazny pierścień i otworzył ją. Wewnątrz chwiejne schody ginęły w bezdennej dziurze. Lawrence pokazał jej, że ma tam zejść.

– Masz może świeczkę albo drugą latarnię? – spytała Clara, próbując oddychać normalnie. – Żeby nie było tam ciemno? Jeśli usłyszę, że ktoś

idzie, zgaszę ją.

Lawrence wykrzywił usta w grymasie i popatrzył pod stopy, drapiąc się za uchem. Potem poszedł szybko do kuchni. Ruszyła za nim i stanęła w drzwiach, obserwując okno, w razie gdyby ktoś szedł po werandzie. Na zewnątrz niebo było niemal ciemne, a cieniste sylwetki drzew czerniały z każdą minutą. Lawrence podszedł do prowizorycznego stolika i podnosił metalowe puszki, jedną po drugiej, zaglądając do każdej z nich, zanim opuszczał je z brzękiem na kamienną podłogę. Owady i robaki wiły się czarnoszarą masą po dnach przewróconych puszek. Clara zasłoniła ręką usta. W końcu Lawrence znalazł to, czego szukał. Podszedł do stosu drewna obok żeliwnego pieca, odłamał kilka kawałków rozpałki, wrzucił połamane patyczki do puszki i wziął pudełko zapalek z parapetu nad zlewem.

W sypialni Lawrence przytrzymał dłoń Clary, kiedy schodziła do starej ziemianki, a potem podał jej puszkę i zapalki. Przyklękła, położyła puszkę na ziemi i zapaliła podpałkę. Drewno zajęło się płomieniem, którego światło migotało po kamiennych ścianach, oświetlając rzędy wysuszonych ważek i modliszek przywiązanych na sznurkach zwisających z gwoździ wbitych w szczeliny, jak olbrzymia kolekcja owadów. Z początku Clare odrzuciło, a potem zrozumiała, że to, co wydawało jej się owadami, było w rzeczywistości maleńkimi krzyżykami zrobionymi z drewna i szpagatu. Były ich tysiące i pokrywały każdy centymetr kwadratowy ścian piwniczki.

Popatrzyła w górę na Lawrence'a.

– Co to jest? – spytała.

– To nie w porządku.

Clara, nie rozumiejąc, potrząsnęła głową.

– Co jest nie w porządku?

Lawrence się skrzywił, próbując utrzymać emocje na wodzy.

– Ludzie – powiedział. – Nie jest w porządku znaczyć ich groby samymi liczbami.

Clara przysunęła światło bliżej kamiennych ścian, wpatrując się w maleńkie krzyżyki. Trzy inicjały i liczba były wycięte w każdym z nich. Oczy zaszyły jej mgłą. Jak ktoś tak dobry i życzliwy jak Lawrence mógł być zamknięty na resztę życia w Willard? To było nie w porządku. Położyła dłoń na sercu i spojrzała w górę na niego.

– Lawrence, jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała.

Lawrence uśmiechnął się z zażawionymi oczami. Kiwnął jej szybko głową, a pomarszczone policzki zabarwił mu rumieniec.

– Powiniennem teraz zamknąć drzwi – powiedział.

– Tak – odparła Clara. – Dziękuję, Lawrence.

Próbując zignorować powracającą klaustrofobię, Clara usiadła na zimnej polepie z nogami podwiniętymi pod spódnicę. Lawrence zamknął kłapę i znów ogarnęły ją ciemności. Płomień w puszcze rzucał drżące cienie na krzyże, sprawiając, że patyczkom nagle wyrosły skrzydła i próbowały się zerwać na wolność.

Nad nią Lawrence zasunął chodnik na kłapę, a drewniana rama łóżka zatrzeszczała. Kilka minut później mężczyzna zaczął chrapać. Clara przygryzła wargę i zacisnęła powieki, próbując powstrzymać płacz. *Zaraz zrobi się ciemno, pomyślała. Wtedy Bruno przyjdzie i mnie odbierze. Muszę jeszcze tylko trochę wytrzymać.* Potem przyszła jej do głowy jeszcze jedna myśl, która zmroziła jej krew w żyłach: jak on dotrze do chaty w nocy?

Pacjenci zwykle wracali na oddziały po zmierzchu. Owszem, Bruno miał nietypowe stanowisko pracy, ale czy nikt nie będzie się zastanawiał, gdzie jest? Kto był odpowiedzialny za przyprowadzanie go na czas? Albo czy, tak jak Lawrence, miał większą swobodę niż większość? Serce zaczęło

jej bić szybciej, panika rozpalila jej pierś. Potem frontowe drzwi do chaty się otwały. Zgasila ogień w puszcze i wstrzymala oddech.

– Lawrence! – krzyknal mężczyzna.

Clara zeszywniala.

To nie byl Bruno.

– Lawrence! – powtorzyl.

Ciezkie kroki zadudnily po kamiennej podlodze i poczlapaly po sypialnianej polepie. Lozko zaczelo trzeszczeć, tak jakby ktos potrzasal rama.

– Wstawaj! – krzyknal drugi mężczyzna. – Wylaz, do cholery, z lozka!

Lawrence parsknal i lozko zatrzeszczalo znowu, tak jakby przewracal sie na bok albo wstawal.

– Co robisz? – zapytal pierwszy glos. – Nie masz czegoś do zrobienia?

– Jestem chory – powiedzial Lawrence. – Bruno pogrzebal panne Annie Blumberg.

– Nie wygladasz na chorego – powiedzial drugi mężczyzna. – Wygladasz na leniwego.

– Jestem chory. Bruno pogrzebal panne Annie Blumberg.

Clara wzdrygnela sie z obawy, ze mężczyzni zaczną coś podejrzewać, jeśli Lawrence będzie dalej się powtarzał.

– Jak dlugo spales? – spytal drugi z nich.

– Nie wiem – odparl Lawrence.

– Chodz, marnujemy tu czas – powiedzial pierwszy. – Nie dowiemy sie niczego od tego debila.

– Lawrence, widziales kogos krzajacego po okolicy? – spytal drugi. – Przyszla tu jakaś pacjentka? Ktos pukal do twoich drzwi albo okien?

– Jestem chory – powtórzył Lawrence. – Spałem, kiedy Bruno chował pannę Annie Blumberg.

– Chodźmy.

– Czekał – powstrzymał go pierwszy głos. – Co to?

– Co, do cholery? – spytał drugi.

– Dymi się spod tego dywanu!

Żołądek ścisnął się Clarze. Zasłoniła ręką puszkę, przygryzając wargę, gdy gorąca blacha poparzyła jej dłoń. Było za późno. Nad jej głową dywan został gwałtownie ściągnięty z klapy. Wcisnęła się w kąt, a serce biło jej tak szybko, że ledwie mogła oddychać. Ktoś szarpał się z żelaznym pierścieniem i próbował podnieść klapę. Promień światła wpadł do ciemnej piwnicy. Potem klapa opadła. Coś ciężkiego upadło na nią. Dźwięk, który się rozległ, zabrzmiał, jakby tym czymś było ciało.

Mężczyzna krzyknął, a sypialnię wypełniły odgłosy walki – ciężkie oddechy, uderzenia pięści o mięśnie i kości, sapanie, łamane drewno, meble przewracane na podłogę. Potem stłumione głosy i dźwięk czegoś ciężkiego odsuwanego z klapy. Ktoś chwycił za żelazne kółko i otworzył klapę. Clara głośno wciągnęła powietrze.

To był Bruno.

Osunęła się w przyływie ulgi, trzymając jedną rękę na łomoczącym sercu.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Kiwnęła głową, wstała i wyszła na górę na drżących nogach. Lawrence siedział na łóżku, trzymając drżącą dłonią krwawiącą wargę. Dwóch sanitariuszy leżało na podłodze – jeden na brzuchu, drugi na plecach, obaj mieli zamknięte oczy.

– Czy oni są martwi? – spytała Clara, oddychając chrapliwie.

– Nie – zaprzeczył Bruno. – Chodź! Musimy się stąd wydostać!

Podeszła do Lawrence’a.

– Wszystko dobrze? – spytała.

Kiwnął głową i wstał, a potem podniósł swoją kurtkę i podał ją Clarze.

– Na jeziorze będzie bardzo zimno – powiedział.

Z początku wahała się, ale potem włożyła ją na ramiona, obróciła się i uściskała Lawrence’a.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała.

Lawrence wyszczerzył się, wciąż trzymając się za wargę.

– Mam nadzieję, że szybko znajdziecie swoje dziecko – powiedział ze łzami w oczach.

– Pośpieszcie się – powiedział Bruno ściśniętym głosem. – Musimy iść!

Cała trójka wybiegła z chaty w stronę lasu, prowadzona przez Lawrence’a. Wschodzący księżyc nadał nocy błękitną poświatę, zapewniając tylko tyle światła, żeby widzieli, gdzie biegną. Clara trzymała Brunona za rękę, uchylając się przed gałęziami, omijając drzewa i krzaki. W oddali latarnie kiwały się wokół ciemnej bryły Chapin Hall, a lampy olejne migotały wzdłuż oddziałów dla pacjentów, rzucając długie cienie w kształcie człowieka na ceglanych ścianach i zakratowanych oknach. Promienie latarek omiatały trawnik, podczas gdy ciemne sylwetki skradały się w okolicach hangaru na łodzie i przystani. Zaczął padać śnieg. Grube płatki leniwie spadały z nieba. W pewien sposób ten widok przypomniał Clarze o chwilach, kiedy kołędowała z rodziną, i niemal roześmiała się, tak szalone było to wspomnienie. Potknęła się o leżącą gałąź.

– Ostrożnie – szepnął Bruno, łapiąc ją.

Zatrzymała się, żeby złapać oddech.

– Jak dotrzemy nad wodę, żeby nikt nas nie zauważył? – spytała.

– Łódź jest ukryta przy brzegu – odpowiedział Bruno. – Po drugiej stronie drogi, na końcu tego lasu. Nikt nas nie zobaczy, ale musimy się śpieszyć.

Kiwnęła głową i pobiegli dalej.

Kiedy dotarli na skraj lasu, zatrzymali się, by spojrzeć na drogę. Nie było na niej nikogo. Lawrence pomknął na drugą stronę, wspiął się na skaliste nabrzeże i zniknął. Potem wystawił głowę i gestem wskazał Brunonowi i Clarze, żeby szli za nim. Popatrzyli w obie strony drogi, przebiegli przez nią, wdrapali się na nabrzeże i zeszli na skalisty brzeg.

Lawrence i Bruno wyciągnęli łódź z kępy wiciokrzewu i przeciągnęli ją po brzegu, szorując drewnianym kilem po skałach. Kiedy łódź była w odpowiednim miejscu, mężczyźni zepchnęli ją dziobem do wody, napierając na rufę. Clara popatrzyła na jezioro, srebrne światło księżyca odbijało się na łagodnych falach, a płatki śniegu bezgłośnie opadały w nocnym powietrzu. Lód popękał kilka dni wcześniej, a teraz małe jego kawałki dryfowały tu i ówdzie, obijając się o siebie w wodzie, cienkie warstwy trzaskały i brzdękały jak odległe szklane dzwonki. Zaczepnęła łyk powietrza i przytrzymała je, pewna, że wyczuwa smak chłodnego i czystego powiewu wolności.

– Chodź! – powiedział Bruno, oglądając się na nią przez ramię. – Wsiadaj!

Fale chlupały o kadłub, kołysząc łódką w górę i w dół jak kołyską. Lawrence chwycił za rufę, a Bruno pomógł Clarze zejść ze skały i wejść do łodzi. Zajęła miejsce i czekała, a jej oddech był płytki i szybki. Mężczyźni weszli po uda do wody, garbiąc się z zimna. Bruno uniósł się, chwytając za



tył łodzi, i próbował się do niej wspiąć. Właśnie wtedy Clara zauważyła światła na szczycie nabrzeża. Doktor Roach z dwoma sanitariuszami pojawili się z uniesionymi latarniami. Jeden z sanitariuszy zagwizdał gwizdkiem i wszyscy zaczęli schodzić w stronę brzegu. Bruno opadł z powrotem do wody i trzymając się rufy, chciał pomóc Lawrence'owi wejść do środka. Lawrence potrząsnął głową, opierając się.

– Musisz płynąć z nami – powiedział Bruno. – Zamkną cię!

– Nie – odparł Lawrence, potrząsając energicznie głową. – Nie wchodzę do łodzi.

– Proszę – powiedziała Clara. – Wchodź! Musimy odpływać!

– Nie – powiedział Lawrence, odwracając się i próbując podnieść Brunona na łódź. – Zostaję tutaj.

– Stójcie! – krzyknął doktor Roach. Potykał się, schodząc po skalistym nabrzeżu, a potem poślizgnął się i o mało co nie upadł, zanim dotarł na dół.

Sanitariusze pobiegli po skałach do wody, brodząc przez fale jak najszybciej mogli, wymachując przy tym ramionami. Jeden z nich chwycił Lawrence'a za głowę i popchnął go w dół, przytrzymując pod wodą. Bruno puścił łódkę i uderzył sanitariusza w twarz, żeby tamten wypuścił grabarza. Drugi sanitariusz objął ramionami barki Brunona, odciągając go od pierwszego. Łódź zaczęła dryfować, oddalając się od brzegu. Clara wstała, wdrapała się na środkową ławkę i włożyła wiosła do wody. Pociągnęła za nie, oddalając łódź od brzegu. Próbując zachować spokój, zanurzyła wiosła jeszcze raz i naparła na nie. Tym razem łódka popłynęła w stronę mężczyzn.

Pojawił się trzeci sanitariusz, ześlizgnął się po nabrzeżu do wody. Z twarzą wykrzywioną z wysiłku, uderzył Brunona pałką po głowie. Drugi sanitariusz puścił swój chwyt i chłopak zniknął pod powierzchnią jeziora.

Sanitariusz sięgnął do wody, niemal zanurzając się po barki, i wyciągnął go na powierzchnię. Oczy Brunona były zamknięte, twarz miał czerwoną od krwi, a włosy oklejały mu czoło jak mokre wodorosty. Sanitariusz wyciągnął go na brzeg i zostawił na skałach z dolną połową ciała nadal zanurzoną w wodzie, a potem ruszył z powrotem do jeziora. Jeden z sanitariuszy złapał łódkę i próbował wspiąć się przez rufę. Clara wstała, wyciągnęła wiosło z dulek i uderzyła sanitariusza w głowę. Mężczyzna wpadł do wody ze zwieszoną głową. Potem doszedł do siebie i z krwią zalewającą mu oczy próbował na ślepo chwycić się łódki. Clara uniosła wiosło raz jeszcze, zamierzając uderzyć z całą siłą.

Rozległ się strzał. Zamarła i spojrzała do góry, a wiosło zachwiało się jej w rękach. Doktor Roach stał na brzegu z dymiącym pistoletem w dłoni z ramieniem uniesionym ku górze.

– Powiedziałem, stójcie! – krzyknął.

Clara upuściła wiosło, drewno uderzyło o ławki. Kolejnych trzech sanitariuszy pojawiło się na nabrzeżu, trzymając w rękach kaftany bezpieczeństwa i łańcuchy. Sanitariusz, który trzymał Lawrence'a pod wodą, wyciągnął go na powierzchnię. Oczy starca były zamknięte, a jego usta otwarte. Sanitariusz wyciągnął go na brzeg i upuścił obok Brunona. Clara wyskoczyła z łodzi i brodząc przez lodowatą wodę, ruszyła w kierunku brzegu, a zimne powietrze w jej płucach było jak noże. Padła na kolana na skałach pomiędzy Lawrence'em a Brunonem, a strach wypełniał jej gardło jak olej. Potrząsała nimi, trzymając ich za ramiona, próbując ich obudzić. Bez skutku.

Lawrence leżał na plecach z głową przechyloną na bok. Jego skóra była blada, a usta purpurowe. Nie oddychał. Clara przewróciła Brunona na plecy, odgarnęła mokre włosy z oczu i objęła drżącymi dłońmi jego

zakrwawioną twarz, wołając go po imieniu. Jego skóra była zimna jak lód, a blade dłonie bezwładne. Przyłożyła ucho do jego piersi, wstrzymując oddech, żeby dosłyszeć bicie jego serca. Jednak jedynym, co usłyszała, było jej własne serce. Krzyknęła i osunęła się na jego ciało, kończyny zaczęły drgać jej niekontrolowanie, a barkami wstrząsały spazmy. Gwałtowne łkanie wyrywało się jej raz po raz z gardła, wypychając jej powietrze z płuc, zanim zdążyła złapać kolejny oddech. Resztkami sił Clara uniosła wzrok.

– Popatrz, co narobiłaś – powiedział doktor Roach, patrząc na nią z góry.

**C**hociaż była ubrana w swoją zimową kurtkę, Izzy trzęsła się z zimna. Siedziała na tarasie Peg i Harry’ego z kapturem naciągniętym na głowę i dłońmi w kieszeniach. Niebo wypluwało z siebie śnieg i atakowało ją wiatrem, który wyciskał z jej oczu łzy. Ale nic jej to nie obchodziło – musiała wyjść na zewnątrz. Razem z Peg pojechała do domu pogrzebowego w Genevie, gdzie miały zająć się szczegółami pogrzebu jej mamy. Słabe światło żyrandoli, ciężkie adamaszkowe zasłony i zapach formaliny przypominały jej stypę ojca. Gdy siedziała przed biurkiem dyrektora domu pogrzebowego, znów czuła się, jakby miała siedem lat – tak samo zagubiona w morzu czarnych marynarek i sukienek jak wtedy, gdy szukała swojej babci i chciała iść do domu. Wybranie trumny i miejsca pochówku dla mamy oraz wytłumaczenie, dlaczego nie będzie nabożeństwa, wysssało z niej wszystkie siły. Chciała wyskoczyć z eleganckiego krzesła, otworzyć okno na oścież i spytać: Dlaczego to miejsce musi być tak potwornie dołujące?

Wciąż odczuwała duszność. Wyobraziła sobie matkę leżącą na metalowej tafli w zimnych podziemiach domu pogrzebowego, z zaszytymi oczami i sztywnymi mięśniami. Nagle poczuła, że nie może oddychać; wstała i wybiegła na trawnik. Zamarznięta trawa chrzęściła pod jej stopami, gdy usiłowała napełnić płuca tlenem.

*Więc to tak jest być sierotą, pomyślała, czując, jak pieką ją oczy i gardło. Od tej pory nawet jedna osoba na świecie nie będzie codziennie o mnie myśleć i kochać mnie bezwarunkowo. Od teraz jestem naprawdę sama.*

Ponieważ od tak dawna była samodzielna, od wielu lat wmawiała sobie, że śmierć mamy nie wstrząśnie nią tak bardzo jak wtedy, gdyby widywała ją codziennie. Jednak była w ogromnym błędzie: gdy tylko Peg przekazała

jej wieści, Izzy padła na podłogę i strasznie się rozpłakała. Szloch odbierał jej oddech, a jej zastępcza matka mogła tylko przy niej uklęknąć, objąć i pozwolić jej się wypłakać, delikatnie głaszcząc po głowie. Musiała minąć prawie godzina, by Izzy znów poczuła się na tyle pewnie, aby wstać.

Śmierć mamy, to, co wydarzyło się w Willard, i obawa przed osiemnastymi urodzinami sprawiały, że coraz bardziej chciała się ciąć. Do tej pory udawało się jej oprzeć pokusie, lecz nie mogła przestać myśleć o kieszonkowym lusterku w swojej torebce. Chciała rozbić je na drobne kawałki i pociąć nimi cienką skórę swoich ramion. Wiedziała jednak, że ból przyniesie jej tylko chwilową ulgę i że nie zwróci jej mamy. Musiała w końcu nauczyć się być dorosłą i nauczyć się żyć bez ciągłego cierpienia oraz uzalania się nad sobą. Jej mama poświęciła dla niej swoje życie – jedyne co mogła teraz zrobić, to dobrze je wykorzystać.

Na szczęście Shannon i jej przyjaciele zostawili ją w spokoju po tym, co wydarzyło się w Willard. Gdy mijały się na szkolnych korytarzach, Shannon spuszczała wzrok. Izzy zastanawiała się, czy dziewczyna obawia się, że może wnieść oskarżenie. Shannon i Ethan nie byli już razem, a Izzy ignorowała go, gdy tylko próbował z nią rozmawiać. Alex przekazała jej list, w którym przeproszał ją za wszystko i błagał, by się z nim spotkała. Izzy wyrzuciła go do kosza. Poinstruowała Peg i Harry'ego, by mówili mu, że jest w łazience lub nie ma jej w domu, gdy do niej dzwonił. Potrzebowała czasu, by ułożyć swoje życie i zastanowić się, co dalej. Ostatnie, czego potrzebowała, to więcej cierpienia. Poza tym – kto chciałby spotykać się z dziewczyną, która nie ma ani rodziny, ani przyszłości?

– Izzy?! – Peg zawołała ją z kuchni. – Może wejdiesz do środka? Obiad zaraz będzie gotowy.

Dziewczyna westchnęła, przetarła oczy i ruszyła w stronę domu. Nie

miała apetytu i nie sądziła, że jest w stanie cokolwiek zjeść, ale Peg i Harry byli dla niej tacy dobrzy. Powinna chociaż być dla nich uprzejma.

Harry stał w kuchni przy stole i kroił sałatę.

– Robię tacos – powiedział, uśmiechając się do niej. – Twoje ulubione, prawda?

Izzy skinęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy. Nie wiedziała, kiedy po raz ostatni ktoś pamiętał, co jest jej ulubioną potrawą, nie mówiąc już o przygotowaniu jej dla niej. Peg i Harry zrobili dla niej o wiele, wiele więcej. Zapłacili za trumnę dla mamy i pokryli koszty pogrzebu, wybawiając ją od wieczności na więziennym cmentarzu. Zostanie pochowana w Genevie, obok swoich rodziców. Izzy nigdy wcześniej nie spotkała tak dobrych i szczodrych ludzi i wciąż zastanawiała się, jak mogłaby im podziękować. Jednak za każdym razem, gdy próbowała coś powiedzieć, brakowało jej słów i nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Powiesiła kurtkę i stanęła obok stołu, wciąż trzęsąc się z zimna. Peg wyjęła mleko z lodówki i wlała je do rondla, który postawiła na kuchence.

– Zrobię ci trochę gorącej czekolady – powiedziała. – A ty ją wypijesz. Od rana chodzisz z pustym brzuchem.

– Dziękuję – odpowiedziała Izzy, uśmiechając się słabo.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Harry odłożył nóż i poszedł otworzyć, wycierając ręce w ścierkę. Po chwili wrócił, ale nie sam: Alex i Ethan byli razem z nim. Chociaż Izzy obiecała sobie trzymać się od niego z daleka, aż serce jej podskoczyło, gdy go ujrzała. Ethan miał na sobie robocze buty, czarną kurtkę i dżinsy, a jego policzki były zaczerwienione od zimna. Izzy ugryzła się w dolną wargę, z trudem powstrzymując się od podbiegnięcia do niego i rzucenia mu się w ramiona.

Alex podbiegła do niej, z oczami pełnymi łez.

– Izzy! Jak się trzymasz?

Dziewczyna skinęła głową i pozwoliła się przytulić. Mrugała, odganiając łzy. Gdy ją puściła, Ethan objął ją ramionami. Pachniał zimą i wodą kolońską. Jego chłodny policzek był przyciśnięty do jej czoła. Ledwo się powstrzymała przed wtuleniem swojej twarzy w zagłębienie jego szyi.

– Jest mi bardzo przykro z powodu twojej mamy – powiedział.

– Dziękuję – odpowiedziała. Przytuliła go i szybko puściła. Nie mogła spojrzeć mu w oczy. Ale on wciąż ją obejmował i swoimi silnymi ramionami przyciągał do siebie.

– Jestem tu dla ciebie – wyszeptał jej do ucha. – Czy ci się to podoba, czy nie.

Izzy zamknęła oczy, starając się powstrzymać płacz. Bez skutku. Gorące łzy spłynęły po jej policzkach.

– Może zostaniecie na obiad? – spytała Peg. – Harry robi tacos. Zawsze gotuje tyle jedzenia, że starczy dla całego plutonu, więc mamy czym się dzielić.

Ethan odsunął się od Izzy i wytarł jej policzek swoim kciukiem.

– Uwielbiam tacos – powiedział, uśmiechając się.

– Ja też – powiedziała Alex, głaszcząc ramię Izzy.

Izzy uśmiechnęła się, a jej serce zabiło szybciej; może jednak nie była całkiem sama.

*Marzec 1946*

Deszcz padał przez cały ostatni tydzień i brązowa, brudna woda płynęła ściekiem wzdłuż ścian tunelu pod Chapin Hall, sprawiając, że kamienna podłoga stała się wilgotna i śliska. Clara stała w kolejce za Esther na samym dole schodów do piwnicy. Zastanawiała się, czy ktokolwiek by dostrzegł, gdyby wysliznęła się z kolejki i pobiegła tunelem do kostnicy, do podwójnych drzwi prowadzących na zewnątrz, do zielonej trawy. Gdyby zbiła szybę, przecisnęła się przez okno i ruszyła biegiem ku wodzie, tak szybko jak tylko mogła, nikt nie zdążyłby jej dogonić. Mogłaby skończyć z tym wszystkim.

Skończyć ze spaniem na twardym, niewygodnym łóżku na zimnym, brudnym oddziale. Nie słuchać płaczu mamroczących kobiet. Skończyć z trwającymi całą wieczność porankami, kiedy ledwo starczało jej sił, by zwlec się z łóżka i przeżyć kolejny dzień pełen kobiet ślepo gapiących się w okno, walących głową o ścianę, płaczących i krzyczących, że chcą iść do domu. Mogłaby skończyć z życiem spędzonym na grze w warcaby, szyciu i jedzeniu mdłych posiłków. Przestać w końcu oglądać maltretowanych, otumanionych lekami ludzi. Przestać odczuwać ten okropny ból w klatce piersiowej, przez który każde uderzenie jej złamanego serca odczuwała jak nóż wbity pomiędzy żebra.

Spojrzała na swoje dłonie. Oglądała palce zniszczone latami ciągnięcia nici, która zostawiła w nich małe rowki. Czubek jej środkowego palca był zniekształcony przez setki naparstków. Jej skóra była sucha i zrogowaciała, a paznokcie obgryzione niemalże do kości. Miała dłonie starej kobiety. Pomyślała o dłoniach swojej matki: miękkich i delikatnych, z zadbanymi i pomalowanymi na czerwono paznokciami. Jej skóra pachniała lawendą.



Próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądałaby teraz, z siwymi włosami i pomarszczoną twarzą, siedząca na aksamitnej kozetce i pijąca herbatę z filiżanki z drogiej, importowanej porcelany. Ciekawiło ją, czy jej ojciec wciąż żył. Czy matka spędzała z nim spokojną starość w ich posiadłości? Czy jeszcze o niej pamiętali? Czy zastanawiali się, jak się czuje i czy w ogóle żyje? Czy kiedykolwiek planowali przyjechać do Willard i błagać ją o przebaczenie lub prosić lekarzy, by ją wypuścili? A może stała się im tak obojętna, że w ogóle przestała ich obchodzić? Czy żalowali, że pozbyli się swojej córki jak starej, zużytej zabawki?

Zimny, mokry cement w tunelu pachniał jak żelazo. Ten zapach przypomniawszy jej tamtą noc, gdy wraz z Brunonem próbowała uciec. Po tych wszystkich latach wciąż pamiętała, jak patrzył na nią znad trumny tym smutnym wzrokiem i jak zamknął wieko. Gdyby wtedy wiedziała to, co teraz, pewnie poprosiłaby, aby wraz z Lawrence'em pochował ją zamiast panny Annie Blumberg.

W jej oczach zaczęły zbierać się łzy. Tak jak setki razy wcześniej odepchnęła bolesne wspomnienia i próbowała myśleć o czymś innym. Spojrzała w górę. Dziś był filmowy wieczór w Hadley Hall i coroczny piknik z okazji Dnia Niepodległości. To nie były wielkie wydarzenia, ale odwracały uwagę od szarości dnia. Powstrzymywały ją od popadnięcia w obłęd. Codziennie przypominała sobie, że wciąż w każdej chwili może stać się cud. Kiedyś może stąd wyjść. Gdyby zaczęła się nad sobą uzalać, na pewno by oszalała, a obłęd był czymś, na co absolutnie nie mogła sobie pozwolić. Musiała zachować trzeźwość umysłu, by przetrwać. Musiała być zdrowa, jeśli kiedykolwiek chciała znaleźć Beatrice.

Kolejka powoli posuwała się do przodu, aż w końcu Clara mogła zobaczyć tunel.

– Jak nazywają się te nowe zabiegi? – spytała Esther.

– Elektrowstrząsy – odpowiedziała jej koleżanka. – Ale słyszałam jak sanitariusze nazywają je „nalotami”.

– Co to znaczy? – spytała Clara.

Esther wzruszyła ramionami. Clara wychyliła się w bok, usiłując wyrzeć przed rząd kobiet. W tym samym momencie dwaj sanitariusze wynieśli na noszach nieprzytomną kobietę z gabinetu zabiegowego. Prześcieradło, które zakrywało jej ciało, spadło na cementową podłogę. Kobieta była naga. Sanitariusze zanieśli ją do pomieszczenia na drugim końcu holu. Pielęgniarka podniosła prześcieradło i poszła za nimi. Jej usta były zaciśnięte w nieprzyjemnym grymasie. Sanitariusze wrócili z powrotem do gabinetu zabiegowego, z którego wyprowadzili następną kobietę. Trzymali ją pod ramiona, a ona usiłowała iść w stronę krzeseł znajdujących się pod ścianą. Kobieta stojąca za Clarą pochlipywała. Clara bardzo chciała, żeby przestała. Kolejka znowu zaczęła się przesuwac.

Doktor Roach pojawił się w tunelu i szedł wzdłuż stojących kobiet. Spisywał imiona pacjentów w swoim notatniku. Nie zdążył dojść do Esther. Z gabinetu zabiegowego wybiegli sanitariusze niosący kolejną kobietę na noszach. Była do nich przywiązana pasami, wiła się i krzyczała z bólu. Jej ręce drapały powietrze.

Za sanitariuszy wyłoniła się siostra Trench, biegnąca w stronę doktora Roacha. Jej twarz była cała czerwona i skrzywiona.

– Doktorze Roach! – krzyczała. – Ona może mieć złamany kręgosłup!

Lekarz schował notatnik pod ramię i pobiegł w stronę pacjentki na noszach. Sanitariusze zatrzymali się, by mógł ją zbadać. Przejechał po jej plecach dłonią w gumowej rękawiczce i wyjął notatnik. Wskazał na windę.

– Zabierzcie ją do szpitala – powiedział.

Sanitariusze zaczęli nieść kobietę, która wciąż wiła się i krzyczała. Musieli bardzo się starać, by utrzymać nosze w poziomie. Siostra Trench wpatrywała się w doktora Roacha. Jej usta były zaciśnięte w grymasie.

– Mówiłam ci, że to za dużo! – powiedziała.

Doktor Roach złapał ją za ramię i pociągnął w stronę gabinetu, szepcząc jej coś do ucha. Szczęki Clary zwarły się mocno, a jej oddech stawał się coraz szybszy. Co oni robili w tamtym pokoju? Spojrzała za siebie, w głąb tunelu, zastanawiając się, czy powinna próbować uciec. Może zdążyłaby dobiec do podwójnych drzwi prowadzących na zewnątrz, zanim ktokolwiek zauważyłby, że jej nie ma. Wtedy przypomniała sobie, co się stało, gdy ostatnim razem próbowała uciec. Wspomnienia dziesięciu miesięcy, jakie spędziła w izolatce, przyprawiły ją o dreszcze i zaczęła się trząść. Nie przeżyłaby tego ponownie. Nie potrafiłaby. Te dziesięć miesięcy prawie ją zabiło.

Kolejka zaczęła znów się przemieszczać. Clara spojrzała na kobietę siedzącą na krześle. Była odchylona do tyłu z głową opartą o mur tunelu. Jej oczy były zamknięte i wyglądała, jakby spała. Wkrótce dołączyły do niej kolejne dwie kobiety. Może te nowe zabiegi nie są tak straszne, jak się wydają? Może mogły zaszkodzić tylko niektórym ludziom, z innymi problemami? Wtedy, zanim nawet zdążyła się zastanowić, jeden z sanitariuszy wziął ją i Esther za ramiona i zaprowadził do gabinetu zabiegowego.

W środku czekała siostra May z ośmioma innymi pielęgniarkami. Na środku pomieszczenia znajdowały się cztery łóżka, każde ze świeżym prześcieradłem. Obok każdego z nich stał metalowy stolik na kółkach, na którym znajdowało się drewniane pudełko. W środku musiała być jakaś maszyna – było pełne pokręteł, wskaźników i kabli wybiegających ze

środką we wszystkich kierunkach. Ta maszyna przypominała gigantyczną baterię podłączoną do gniazdka grubym, czarnym przewodem. Maszyna była też podłączona dwoma kablami do czegoś, co przypominało drewniane łyżki. Dwóch sanitariuszy zaprowadziło Clarę i Esther do łóżek, a pielęgniarki kazały im się położyć.

Clara wykonała polecenie. Cała się trzęsła i czuła, że zaczyna zalewać ją zimny pot. Siostra Trench nacisnęła palcami na jej brodę, otwierając jej usta, w które włożyła kawałek drewna. Było grube i mokre, i pachniało zepsutymi zębami oraz wymiocinami. Pielęgniarka stanęła nad jej łóżkiem i przytrzymując drewno, powiedziała, by je ugryzła. Serce Clary biło coraz szybciej. Oddychała przez nos i starała się nie wymiotować. Siostra Trench przypięła jej kostki i nadgarstki do łóżka. Doktor Roach podniósł łyżki przyłączone do maszyny.

– Zaraz otrzymacie dawkę elektrowstrząsów – powiedział – przyłożę te łyżki do waszych skroni i poczujecie niewielkie szarpnięcie. Nie bójcie się. Moi koledzy powiedzieli mi, że ta terapia pomogła pacjentom cierpiącym na schizofrenię i urojenia. Ta terapia pomoże też tobie, Claro.

Dwie pielęgniarki przytrzymały jej barki i właśnie wtedy Clara zyskała całkowitą pewność: musi wydostać się z tego łóżka. Nie może im na to pozwolić, nie mogą porazić jej mózgu prądem. Zaczęła się trząść i wierzgać, usiłując się uwolnić. Językiem próbowała wypchnąć drewno z ust. Siostra May wepchnęła je z powrotem, co sprawiło, że zaczęła się krztusić. Nagle z holu dobiegły ich odgłosy zamieszania. Usłyszała grzmot, jakby w oddali uderzył piorun, a potem kolejny dźwięk – tym razem jakby coś chlupotało.

Do pokoju wbiegły krzyczące kobiety, w pośpiechu potracając się wzajemnie. Tratowały te, które upadły na ziemię. Próbowały zatrzasnąć

drzwi, na które naciskały kolejne kobiety znajdujące się na zewnątrz. Ktoś krzyknął „powódź!”. I wtedy drzwi rozwarły się na oścież, uderzyły w ścianę, przewracając wszystkich stojących w pobliżu na podłogę. Do gabinetu wlała się fala brudnej, brązowej wody, zwalając wszystkich z nóg. Clara wpatrywała się w siostrę May i doktora Roacha. Błagała ich, by ją rozwiązali, lecz nie mogła wydobyć z siebie głosu. Pielęgniarka gapiła się na drzwi, wciąż wciskając drewno w jej usta. Clara trzęsła głową i w końcu je puściła. Dziewczyna wypluła drewno i usiadła na łóżku.

– Rozwiążcie mnie! – krzyczała.

W pielęgniarkę uderzyła fala brązowej wody. Upadła na podłogę. Lekarz tylko patrzył z twarzą wykrzywioną strachem. Nie podbiegł jednak, by jej pomóc – próbował uciekać w drugą stronę, przepychając się między sanitariuszami. Wspiął się na szafkę i zdjął but, którym usiłował dosięgnąć okna. Woda wypełniała pokój, a jej poziom podnosił się coraz bardziej. Głowa siostry May wyłoniła się z odmetów przy łóżku Clary. Mokre włosy przykleiły się do jej twarzy, a jej czepek był pomięty i przemoczony. Tylko jedna czarna szpilka trzymała go na jej głowie. Siostra złapała materac i podciągnęła się do góry, wyciągając wolną rękę w stronę doktora Roacha.

– Victor! – krzyknęła, krztusząc się. – Pomóż! Stopa mi utknęła!

Mężczyzna spojrział na nią przez sekundę, po czym odwrócił się w stronę okna. Zbił szybę butem i nie oglądając się za siebie, podciągnął się do góry i wypełził na zewnątrz. Woda zalała siostrę May, która usilnie drapała materac, próbując się wydostać. Clara wstrzymała oddech, lecz woda wpływała do pokoju zbyt szybko. Jej prąd był silny i wkrótce zaczęła zalewać jej łóżko. Chłód był niczym trupie palce, które złapały ją za nogi. Z całych sił pociągnęła za pasy, czerwieniąc się z wysiłku. Bez skutku – były zbyt grube. Woda sięgała jej do pasa.

Nagle z jej prawej strony wynurzyła się siostra Trench. Wyglądała jak wieloryb wyłaniający się z głębi oceanu. Łapała powietrze, wypluwając wodę i odgarniając sprzed oczu mokre włosy. Złapała równowagę i rozejrzała się po pokoju, po czym próbowała płynąć w stronę Clary. Machała naprzemiennie ramionami, dysząc z wysiłku, aż dotarła do jej łóżka. Woda sięgała jej do piersi, gdy rozpięła pasy wokół kostek i nadgarstków Clary, pośpiesznie szukając ich pod wodą. Woda zaczęła wpływać Clarze do ust. Kobieta mogła tylko wstrzymać oddech i czekać, aż pielęgniarka rozepnie ostatni pas. Lecz właśnie wtedy uderzyła w nie silna fala i zwała z nóg siostrę Trench, która zniknęła w odmętach. Światła zaczęły migotać, a Clara zaczęła się unosić coraz wyżej. Pas rozpiął się w ostatniej chwili. Uderzyła czołem o sufit, a woda wlewała się jej do nosa i oczu i wypełniała uszy.

Clara wstrzymała oddech i spróbowała płynąć pod wodą w stronę okna, przeciskając się przez ciała, prześcieradła i poduszki. Czuła, jak mocno wali jej serce. Nagle straciła orientację i nie wiedziała, czy płynie w dobrą stronę. Otworzyła oczy. Zobaczyła mdły przebłysk światła dziennego, które pod wodą wyglądało jak dziwny miraż. Nagle coś zasłoniło jej widok, światło zniknęło jak w zaćmieniu. Próbowała płynąć obok przeszkody, lecz ktoś złapał ją za ramię i pociągnął w drugą stronę. Gdy próbowała się uwolnić, odruchowo nabrała powietrza, połykając wodę. Ktoś złapał ją za ramiona, jakby próbował się po niej wspiąć, by dosięgnąć powierzchni. Poczowała, jak powoli opuszcza ją ból. Woda uniosła jej bezwładne ciało.

**D**wa dni po pogrzebie mamy Izzy stała obok Peg na tarasie zielonego domu. Serce biło jej szybko w piersi. Po długiej chwili wzięła głęboki oddech, wcisnęła dzwonek i cofnęła się o krok do tyłu. Usłyszała szybkie kroki na twardej podłodze. Koronkowa firanka w drzwiach poruszyła się i szybko wróciła na miejsce. Ktoś szarpnął za klamkę i drzwi otworzyły się na oścież: Izzy i Peg ujrzały młodą kobietę w okularach z krótkimi, brązowymi włosami. Uśmiechała się do nich. Izzy zastanowiła się, czy trafiły pod właściwy adres.

– W czym mogę pomóc? – spytała.

– Czy to dom pani Rity Trench? – spytała Peg, uśmiechając się.

– Tak – odpowiedziała kobieta. – A z kim mam przyjemność?

– To moja przybrana córka, Isabelle – powiedziała. – Ja nazywam się Peg Barrows i jestem kuratorem lokalnego muzeum stanowego. Dzwoniłam wcześniej, chcąc dowiedzieć się, czy pani Trench zechciałaby odpowiedzieć na parę pytań dotyczących jej pracy w szpitalu Willard?

– A, to pani – odpowiedziała kobieta. Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę. – Renee. Jestem pielęgniarką Rity. Proszę, wejdźcie do środka.

Kobiety weszły do domu, a Renee zamknęła za nimi drzwi i wzięła od nich płaszcze. Gromada kotów o różnym umaszczeniu kręciła się wokół jej kostek, miauczając i przeciągając się. Drapały wycieraczkę z frędzlami, inne zwinęły się w kłębek na schodach albo spały na sofie w przedpokoju.

– Mam nadzieję, że nie jesteście uczulone – powiedziała Renee.

Izzy i Peg uśmiechnęły się i pokręciły głowami, po czym ruszyły za Renee wąskim korytarzem w głąb domu. Po obu stronach holu znajdowały się otwarte drzwi, które prowadziły do jadalni i salonu. Oba pomieszczenia były wypełnione zabytkowymi meblami. Na każdej półce stały ceramiczne wazy, figurki ze szkła, eleganckie zegary, porcelanowe kubki. I książki –

Izzy nigdy nie widziała tylu książek w jednym domu. Na ścianach wisały obrazy olejne i czarno-białe portrety oraz złożone lustra. Każdy centymetr powierzchni był przez coś zajęty. Wszędzie coś wisiało, stało lub leżało. Nawet lampy były udekorowane wstążkami i apaszkami.

– Czy pani Trench mieszka sama? – spytała Peg.

Renee zatrzymała się i odwróciła w ich stronę.

– Tak – odpowiedziała przyciszonym głosem. – Zawsze mieszkała sama. Nie ma żadnej rodziny. To bardzo smutne. Ale nie dajcie się zmylić: chociaż ma dziewięćdziesiąt pięć lat, jej umysł jest wciąż ostry jak brzytwa.

– Czy pamięta czasy, gdy przebywała w Willard? – spytała Izzy.

– Oczywiście – odpowiedziała Renee. Ruszyła wzdłuż holu. – Wiele osób przychodzi do nas z pytaniami o krewnych, którzy tam byli, a ona prawie zawsze pamięta, o kogo chodzi.

Peg uśmiechnęła się do Izzy, której serce zaczęło bić szybciej. Weszły do szerokiego pomieszczenia na tyłach domu. Po jednej stronie znajdowała się kuchnia, a po drugiej część mieszkalna. Światło sączyło się przez drzwi prowadzące na patio i odbijało od białych ścian. Pokój był wypełniony jasną poświatą.

Siwowłosa kobieta leżała na szezlongu. Była przykryta białym kocem, a na jej kolanach siedział biały kot. Odziane w pantofle stopy zwisały z końca kanapy, a ramiona były tak szerokie jak jej oparcie. Jej ogromne, obwisłe policzki sprawiały, że wyglądała jak emerytowany futbolista lub zapaśnik wagi ciężkiej. Izzy nigdy wcześniej nie widziała tak ogromnej starszej kobiety. Widocznie panią Trench ominęła reguła kurczenia się wraz z postępującym wiekiem.

Kobieta usiadła i uśmiechnęła się, wskazując im, by także usiadły.

– Dzień dobry – powiedziała. – Może macie ochotę na kawę lub



herbatę?

Peg i Izzy usiadły na kremowej sofie naprzeciwko szezlonga.

– Nie, dziękujemy – powiedziała Peg. – Naprawdę nic nam nie trzeba.

– Ale ja nalegam – powiedziała pani Trench. – Nie miewam zbyt wielu gości. Zrobiliłyście mi wielką przyjemność, gdybyście zechciały wypić ze mną herbatę. Renee, czy zostało nam jeszcze trochę tamtego czekoladowego ciasta?

– Obawiam się, że nie – odpowiedziała Renee, uśmiechając się. – Zjadła pani ostatni kawałek dziś rano na śniadanie.

– Co za pech! – odpowiedziała staruszka i roześmiała się, po czym usiadła na kanapie, sadzając kota obok siebie. – Ale wciąż możemy napić się herbaty, prawda? Doskonale. A teraz powiedzcie, co mogę dla was zrobić, moje drogie?

– Mamy nadzieję, że pamięta pani pewną pacjentkę z Willard – powiedziała Peg.

– Możliwe – odpowiedziała pani Trench. – A jak ona się nazywa?

Peg szturchnęła Izzy łokciem. Ta przełknęła ślinę i wychyliła się do przodu.

– Clara Elizabeth Cartwright – powiedziała.

Pani Trench oparła się o kanapę i zmarszczyła brwi.

– Jesteś z nią spokrewniona? – spytała, spoglądając na Izzy.

– Nie. – Dziewczyna pokręciła głową, czując, że zaczyna się rumienić. A co, jeśli pani Trench im nie pomoże? Co wtedy? – Ale mamy jej stary kufer, ten sam, z którym przyjechała do Willard.

– To część projektu dla muzeum – powiedziała Peg. – Staramy się odtworzyć codzienne życie kilkorga pacjentów z Willard. Władze stanowe

pozwoliły nam tylko na częściowy dostęp do ich akt. Całość wciąż pozostaje utajniona, nawet dla członków rodziny. Clara jest jedną z pacjentek, którą chciałybyśmy poznać lepiej, jednak w jej teczce nie ma wszystkich dokumentów. Nie mogliśmy znaleźć aktu zgonu.

Pani Trench fuknęła i pokiwała głową. Zamknęła oczy.

– Jestem pewna, że w jej teczce nie ma wielu rzeczy – powiedziała, biorąc kota z powrotem na kolana. Głaskała jego futerko swoimi wielkimi, powykręcanyimi palcami. Jej głowa opadła, a dłoń gładkała kota coraz wolniej, aż w końcu zatrzymała się na karku zwierzęcia. Izzy obawiała się, że starsza pani zasnęła. Nagle pani Trench spojrzała prosto na nią szklistym wzrokiem. – Tak, pamiętam Clarę – powiedziała. – To była taka ładna, młoda dziewczyna.

Izzy wzięła głęboki oddech, bała się wypuścić powietrze z płuc. Renee wróciła do pokoju, niosąc srebrną tackę z czajniczką z herbatą, którą postawiła na stole. Nalała herbatę do trzech porcelanowych filiżanek, a następnie usiadła w fotelu obok pani Trench.

– Proszę, dodajcie tyle cytryny i cukru, ile chcecie – powiedziała.

Peg wrzuciła po dwie kostki cukru dla siebie i dla Izzy. Dziewczynie trzęsły się ręce, gdy trzymała filiżankę i spodek; wzięła mały łyżeczek herbaty dla uprzejmości, po czym odstawiła ją z powrotem na tacę i położyła dłonie na kolanach.

– W aktach Clary znaleźliśmy informację o tym, że urodziła córkę podczas pobytu w Willard – powiedziała Izzy. – Wiedziała pani o tym?

Pani Trench skinęła głową, ściągając usta.

– Tak – powiedziała, prawie szepcząc. – Pamiętam, że Clara była bardzo zdenerwowana, gdy zabrali jej małą.

Głowa Izzy nagle wypełniła się tysiącem pytań: czy córka Clary została

zaadoptowana i trafiła do szczęśliwej rodziny, czy tułała się od domu do domu? Czy wzrastała, wiedząc, że jest sierotą, którą porzuciła własna matka? Czy w ogóle wiedziała, kim jest jej matka? Czy wiedziała, że jej matka była w zakładzie psychiatrycznym, i czy wpłynęło to na jej własne życie? Czy kiedykolwiek chciała ją odwiedzić? A może wolała wyrzucić ją ze swoich myśli i zapomnieć, że w ogóle istnieje? Czy jej życie było przepełnione strachem, który sama czuła – obawą, że spotka ją los jej własnej matki i że nie zdoła uciec przed genem szaleństwa, który kiedyś opanuje jej mózg?

Pani Trench pokręciła głową.

– Większość dzieci urodzonych w Willard była wysyłana do rodzin pacjentów, jeśli chcieli je wziąć – powiedziała. – Jeśli nie chcieli, zgłaszano je do adopcji. Ale tak nie było z córką Clary.

Izzy przełknęła ślinę, czując, jak strach ściska jej gardło.

– Dlaczego nie? – spytała Peg, marszcząc brwi. – Co się z nią stało?

Pani Trench westchnęła, głaszcząc futro kota swoimi kościstymi palcami.

– Dlaczego pytacie mnie o córkę Clary? – odpowiedziała pytaniem. – Myślałam, że chcielibyście rozmawiać o jej matce.

Izzy wyjęła dziennik Clary ze swojej torebki. Jej dłonie drżały.

– W kufrze Clary znalazłyśmy jej dziennik – powiedziała, pokazując go pani Trench. – Píše w nim o swoim życiu przed Willard. Chcę znaleźć jej córkę, by jej go przekazać. Jeśli wciąż żyje, chcę, by poznała prawdę o tym, co stało się z jej matką.

Pani Trench spojrzała na Renee. Zdawało się, że zbladła w ciągu kilku sekund.

– Będę potrzebować czegoś mocniejszego niż herbata, kochanie – powiedziała. – Przynieś mi trochę brandy, dobrze?

– Jest na to za wcześnie – odpowiedziała Renee. – Nie jadła pani jeszcze lunchu.

– W dupie mam to, że jest za wcześnie! – powiedziała pani Trench, uderzając żyłastą dłonią w udo. – Potrzebuję tylko odrobinki. A teraz idź i zrób to, za co ci płacę!

– Dobrze. – Renee pokręciła głową. Wstała i ruszyła do kuchni. – Ale gdy pani lekarz się o tym dowie, nie będzie zadowolony.

– Nie dowie się, jeśli mu nie powiesz! – krzyknęła pani Trench zachrypniętym głosem. Gdy Renee wyszła z pokoju, uśmiechnęła się do Peg i Izzy. Jednak jej uśmiech nie wyglądał szczerze i wesoło. – Córka Clary nie została zgłoszona do adopcji, bo była wyjątkowa – powiedziała.

– Co to znaczy? – spytała Peg.

– To znaczy, że urodziła ją zdrowa matka – powiedziała pani Trench. – Lekarz, który się nią zajmował, wiedział, że wyrośnie na zdrową dziewczynkę. Praktycznie nie było żadnych przesłanek, by miała cierpieć na jakąkolwiek chorobę psychiczną.

– Czy chce nam pani powiedzieć, że Clara nie była chora? – spytała Peg. Jej oczy były pełne smutku. – Że nie powinna zostać umieszczona w szpitalu psychiatrycznym?

– Zgadza się – odpowiedziała pani Trench.

– I że jej lekarz dobrze wiedział o tym, że nie powinno jej tam być?

Pani Trench skinęła głową.

– Więc dlaczego ją tam trzymali? – spytała Izzy. – Dlaczego ten lekarz jej nie wypuścił?

– Wtedy wszystko robiono inaczej niż dziś – odpowiedziała pani Trench. – W szpitalach psychiatrycznych często umieszczano ludzi, którzy wcale nie powinni do nich trafić, zwłaszcza kobiety. Tak po prostu było.

– Ale przecież właśnie nam pani powiedziała, że lekarz Clary wiedział, że nie była chora – powiedziała Peg.

– Na początku myślał, że była – odpowiedziała pani Trench. – Wszyscy tak myśleliśmy. Ale z jej przypadkiem były związane inne kwestie, inni ludzie. Gdy doktor Roach zorientował się, że Clara jest po prostu młodą kobietą z wieloma problemami i ma kłopoty rodzinne, było już za późno. Jej los został przypieczętowany.

– Ale dlaczego? Dlaczego? – spytała Izzy ostro, zaskoczona własnym gniewem.

– Żona doktora Roacha nie mogła mieć dzieci – powiedziała pani Trench. – Bardzo się starali, ale każda ciąża tej biednej kobiety kończyła się poronieniem.

Izzy położyła dłonie na brzuchu. Czuła się tak, jakby zaraz miała wymiotować.

– Czy chce nam pani powiedzieć, że ten lekarz zabrał Clarze jej dziecko? – zapytała Peg.

W tym momencie Renee wróciła z powrotem do pokoju, niosąc ze sobą brandy. Wlała odrobinę do herbaty pani Trench i odstawiła butelkę na stół. Kobieta wzięła długi łyk, głośno siorbiąc.

– Tak – powiedziała w końcu. – Doktor Roach wziął ją do domu i wychował jak własną córkę.

– Czy pani wie, gdzie on teraz jest? – spytała Peg

– Wiem – odpowiedziała. Patrzyła na stół ślepych wzrokiem. –

Spoczywa na cmentarzu w Ithace, obok swojej żony. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego z nim została.

– A córka Clary? Co się z nią stało? – spytała Izzy.

– Z tego, co wiem, mieszka w Ithace – odpowiedziała pani Trench. – Była nauczycielką, chyba w przedszkolu.

– Była? – Izzy poczuła, jak niepokój ściska jej brzuch.

– Teraz powinna być już na emeryturze – powiedziała pani Trench. – Musi mieć ponad sześćdziesiąt lat.

Izzy odetchnęła z ulgą.

– Czy zna pani jej imię?

Pani Trench skinęła głową.

– Susan – powiedziała. – Pani Roach przyprowadziła ją kiedyś do Willard, by odwiedzić jej męża. Susan musiała mieć wtedy około czterech lat. Doktor Roach nie był zbyt zadowolony z tej wizyty i powiedział żonie, by nigdy więcej jej nie przyprowadzała. Myślałam, że zemdleję, gdy dowiedziałam się, kim naprawdę była.

– Czy powiedziała mu pani? – spytała Izzy. – Czy on wiedział, że zna pani prawdę?

Pani Trench pokręciła głową, marszcząc brwi.

– To by nic nie zmieniło.

– Czy oni powiedzieli jej, że jest adoptowana? – spytała Peg. Położyła dłoń na kolanie Izzy, patrząc na nią przyjaznym, ciepłym wzrokiem.

– Wiem, że chcesz dać Susan jej dziennik – powiedziała do niej. – Ale jeśli ona nie wie, że jest adoptowana, może nie powinniśmy jej tego uświadamiać.

– Och, ona dobrze o tym wie – powiedziała pani Trench. – Pani Roach

była przemiłą kobietą. Gdy przedstawiła mnie Susan, powiedziała, że nie chciała, by dowiedziała się o tym, że jest adoptowana, przez przypadek, tak jak ona. Chciała, by Susan dorastała, wiedząc, że Bóg pozwolił jej wybrać córkę i że ona wybrała właśnie ją.

– Jak często widywała pani Susan po tym, jak ją zabrali? – spytała Peg.

– Widziałam ją tylko ten jeden raz – powiedziała pani Trench. – Była prześliczną dziewczynką, jak jej mama. Tylko miała czarne włosy, a jej oczy były brązowe.

– Tak jak jej ojca, Brunona – powiedziała Izzy.

– Tak – odpowiedziała pani Trench i przetarła oczy.

– Chwileczkę. – Izzy wyprostowała się na sofie. – Skąd pani wie o Brunonie?

Pani Trench zacisnęła usta. Wzięła kolejny, długi łyk herbaty z brandy. Gdy pochyliła się, by odłożyć filiżankę i spodek z powrotem na stół, ręce jej zadrżały i prawie je upuściła. Renee wyjęła naczynia z jej ręki i postawiła na srebrnej tacy.

– Może powinniśmy zrobić przerwę – powiedziała. – Te wspomnienia to dla pani Trench ogromny stres.

Kobieta potrząsnęła żylastą dłonią w powietrzu, kręcąc głową.

– Nie, nie – powiedziała. – Zbyt długo milczałam. Muszę o tym powiedzieć, zanim umrę!

Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze bardzo powoli.

– Bruno przyszedł do Willard, by uratować Clare – powiedziała.

Izzy poczuła, że jej twarz robi się cała czerwona. Nie mogła w to uwierzyć.

– Udało mu się ją stamtąd wyciągnąć? – spytała.

– Nie – odpowiedziała pani Trench. W jej oczach znów zaczęły zbierać się łzy. – Doktor Roach uwięził go tak samo jak ją.

Po plecach Izzy przebiegł zimny dreszcz. Jej szyję objęły chłodne palce strachu. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

– Jest pani pewna? – spytała Peg. Zrobiła wielkie oczy ze zdumienia.

– Oczywiście, że jestem – odpowiedziała pani Trench. – Byłam tam wtedy, gdy to się stało.

– Czy to było przed narodzinami Susan? – spytała Peg.

– Po.

– Więc doktor Roach zdążył już ją zabrać – odpowiedziała Izzy, czując, jak chłód zaczyna wypełniać jej całe ciało.

Pani Trench kiwnęła głową.

– Nie wiedziałam, gdzie wtedy było dziecko. Myślałam, że Susan wysłano do Agencji Pomocy Dzieciom, gdzie została oddana do adopcji.

– Czy Clara i Bruno widywali się, gdy został umieszczony w szpitalu? – spytała Izzy.

Pani Trench skinęła głową.

– To było prawie rok później. Nigdy nie zapomnę, jak tańczyli w tamte walentynki. Wiedziałam, że są dla siebie stworzeni. Nie sądzili, że ktokolwiek zdawał sobie sprawę z tego, że się odnaleźli. Ale ja wiedziałam.

– Dlaczego nic pani nie powiedziała? – spytała Izzy. – Dlaczego nie próbowała im pani pomóc?

– Nie mogłam nic zrobić – powiedziała pani Trench. – W Willard nie byłam żadnym autorytetem i nie miałam żadnej władzy, a Clara i Bruno nie mieli żadnej rodziny, którą obchodziłby ich los. Komu miałam o nich powiedzieć? Gdyby doktor Roach się o tym dowiedział, zabroniłby im się



widywać. Wiedziałam, że mogli być razem podczas wakacji i na specjalnych imprezach dla pacjentów, na których mężczyźni mogli rozmawiać z kobietami. Pomyślałam, że mogę chociaż dać im szansę na takie wspólne życie w Willard. Nie mogłam zrobić nic więcej.

– Czy ktokolwiek powiedział Susan o jej rodzicach? – spytała Izzy. – Czy ona wie, że oboje byli w Willard?

Pani Trench opuściła wzrok.

– Susan wie, że jej mama była w Willard – powiedziała. – Ale doktor Roach powiedział żonie, że Clara zmarła przy porodzie. Jestem pewna, że to samo powiedział Susan.

– Więc Susan myślała, że jej matka nie żyje – powiedziała Izzy martwym głosem. – I że była szalona.

– Pewnie tak. – Pani Trench wzruszyła ramionami.

– Czy pani nie uważa, że Susan miała prawo wiedzieć, że jej matka nie była wariatką? Że nie musiała zostać zamknięta w psychiatryku? – Izzy nie była w stanie ukryć swojej wściekłości.

Pani Trench pokręciła głową. Drżącymi palcami wyjęła pogniecioną chusteczkę z rękawa.

– Powiedziałam wam, że widziałam ją tylko raz. Obserwowałam ją, ale nie chciałam się angażować.

– Czy wie pani, jak ona się teraz nazywa? Jakie ma nazwisko? – spytała Izzy. – Czy wyszła za mąż?

– Nie wiem – odpowiedziała pani Trench. – Przepraszam.

– To może chociaż zna pani jej drugie imię?

Pani Trench skinęła głową.

– Clara – powiedziała. – Pani Roach nalegała, żeby miała imię po

mamie.

– Więc co się stało po tym, jak Bruno i Clara odnaleźli się w tamte walentynki? – spytała Izzy. – Czy spędzili resztę życia w Willard? Czy udało im się czasami być razem, tak jak pani mówiła?

Pani Trench wytarła nos chusteczką.

– Myślę, że powinnyście spytać o to Clare. W jej teczce nie ma aktu zgonu, bo ona wciąż żyje.

Tydzień po spotkaniu z panią Trench Izzy siedziała naprzeciwko Peg w przydrożnej restauracji w Ithace. Było samo południe i lokal był pełen ludzi: przy stolikach siedzieli studenci, emeryci i rodziny z małymi dziećmi, a kelnerki uwijały się, by zebrać ich zamówienia. Pod światłem jarzeniówek biegały do kuchni i z powrotem, niosąc tacki z hamburgerami, mrożoną i gorącą kawą oraz szarlotką. Izzy była podekscytowana. Nie mogła się powstrzymać od przebierania nogami pod stołem. Gdy po raz setny usłyszała dźwięk dzwonka sygnalizującego otwarcie drzwi, wychyliła się, by spojrzeć, kto wszedł do restauracji. Tym razem był to niski, starszy pan w niebieskiej, wojskowej czapce. Towarzyszyła mu kobieta w żółtej kurtce, która wtoczyła się do lokalu niczym gruba kaczka. Izzy westchnęła i z nudów zaczęła bawić się solniczką.

– Czy słyszałaś kiedyś powiedzenie „kto czeka, ten się doczeka”? – spytała Peg, wychylając się w jej stronę z uśmiechem.

– Może się rozmyśliła – powiedziała Izzy.

– Wątpię – odpowiedziała Peg. Spojrzała na zegarek. – Według naszej umowy ma tu przyjść pomiędzy dwunastą a dwunastą trzydzieści. Jest dopiero dziesięć po dwunastej.

Nagle podeszła do nich kelnerka. Miała czerwoną twarz, nie mogła złapać tchu. Była młoda, może tylko parę lat starsza od Izzy. Miała jasne włosy związane w warkocz. Odgarnęła niesforny kosmyk za ucho i z kieszeni fartucha wyciągnęła notatnik.

– Na co macie dziś ochotę? – spytała.

– Czekamy na naszą znajomą – odpowiedziała Peg. – Na razie zamówimy tylko napoje, jeśli to nie problem.

Kelnerka spojrzała za siebie.

– Dobrze, ale czy wasza znajoma niedługo przyjdzie? Mój szef nie lubi, gdy stoły są zajęte przez klientów, którzy nie zamawiają nic więcej.

– Powinna zaraz tu być – odpowiedziała Peg, uśmiechając się do niej. – Ale gdy przyjdziemy tu następnym razem, nawet gdy jej jeszcze nie będzie, zamówimy danie dnia.

– Super – powiedziała kelnerka. – Czego macie ochotę się napić?

Peg i Izzy zamówiły kawę i colę, czekając w ciszy, aż kelnerka zapisze ich zamówienie w notesie. Gdy odeszła od ich stolika z warkoczem kołyszącym się na plecach, Izzy chciała powiedzieć Peg, że właściciel restauracji nie powinien poganiać swoich klientów. Właśnie wtedy przy ich stoliku nagle pojawiła się starsza kobieta. Była wysoka i smukła, z oczami o kolorze kawy i srebrnymi włosami związanymi w stylowy kok. Miała na sobie długi, czarny płaszcz i skórzane buty, co sprawiało, że wyglądała dystyngowanie. Lawendowy szalik zawinięty wokół jej szyi podkreślał taki sam kolor delikatnego makijażu. Izzy nie wiedziała, co powiedzieć. Kobieta wyglądała zupełnie jak Clara, tylko z ciemniejszymi oczami i karmelową skórą.

– Peg? – spytała kobieta, unosząc idealnie wykonturowane brwi.

Peg wstała i ścisnęła jej rękę.

– Tak – odpowiedziała. – A ty musisz być Susan. Dziękuję, że przysłaś.

Wskazała na puste miejsce przy stole.

– Proszę, usiądź. Ja usiądę tu, obok Izzy.

Susan usiadła przy stole i poluzowała szal.

– A więc to ty jesteś Isabelle? – powiedziała, uśmiechając się.

Izzy skinęła głową, ściskając jej rękę.

– Miło mi panią poznać – powiedziała. Głos drżał jej ze zdenerwowania. Dotknęła torebki, w której był dziennik Clary. Jej serce zaczęło bić szybciej.

– A więc w czym mogę ci pomóc, Isabelle? – spytała Susan. – Twoja mama powiedziała, że masz coś, co chcesz mi pokazać. Coś, co ma związek z miejscem, w którym pracował mój ojciec. Ze szpitalem Willard.

Izzy połknęła ślinę.

– Tak, ja...

Przerwała jej kelnerka, która wróciła do ich stolika z napojami. Postawiła je na blacie i spojrzała na Susan.

– Czy mogę coś pani podać, zanim przejrzy pani nasze menu?

– Tak – odpowiedziała Susan. – Poproszę gorącą herbatę. Z cytryną.

– Robi się – odpowiedziała kelnerka i odeszła do kuchni.

– Chciałabym powiedzieć parę rzeczy, zanim zaczniemy, może zadać kilka pytań. Czy nie masz nic przeciwko? – spytała Peg Susan. – Nie chciałabym żadnego nieporozumienia.

– Jasne – odpowiedziała Susan, uśmiechając się.

Peg chrząknęła.

– Jestem przybraną matką Isabelle. Wspomniałam o tym?

Susan zmarszczyła brwi. Wyglądała na zaskoczoną, lecz po chwili jej twarz się rozjaśniła.

– Tak – odpowiedziała – Powiedziałas mi o tym, gdy rozmawialiśmy przez telefon.

– Niestety, mama Izzy niedawno zmarła.

– Jest mi bardzo przykro – powiedziała Susan. Patrzyła na Izzy, tak jakby chciała dodać jej otuchy. – Naprawdę. Ja też straciłam mamę zaraz po

moich narodzinach.

– Wiem – odpowiedziała Izzy. – Została pani adoptowana.

Peg skrzywiła się i spojrzała na nią karcąco. Powiedziała o tym za wcześnie. Izzy jednak nie mogła się powstrzymać. Musiała powiedzieć Susan prawdę o Clarze i Brunonie. Czuła się, jakby trzymała palec w gniazdku elektrycznym. Wytarła dłonie o uda i usiadła na nich, by się uspokoić.

– Skąd o tym wiesz? – spytała Susan, patrząc na nią i na Peg podejrzliwym wzrokiem. – O co tu chodzi?

– Przepraszam – powiedziała Peg. – Izzy jest po prostu zdenerwowana. Ale miałam nadzieję, że tak się stanie: mówiłam ci o tym, że straciła mamę, a ty powiedziałaś nam, że również straciłaś swoją.

– Ale dlaczego po prostu mnie nie spytałaś? – zdziwiła się Susan. – Myślałam, że chcesz się dowiedzieć więcej o Willard i o moim ojcu, doktorze Roachu.

– Wszystko ci wyjaśnimy – powiedziała Peg – obiecuję. Musisz nam tylko najpierw powiedzieć parę rzeczy.

– Dobrze – westchnęła Susan. – Co chcecie wiedzieć?

– Co wiesz o swojej biologicznej matce?

– Tylko to, co powiedziała mi moja przybrana mama, że była pacjentką w Willard.

– Tylko tyle? – spytała Peg.

– Mój ojciec zabronił nam o niej rozmawiać. Moja biologiczna mama była jedną z jego pacjentek i zmarła przy moim porodzie. To wszystko, co wiem. Gdy moja przybrana mama zmarła piętnaście lat temu, próbowałam znaleźć jej akta, ale nie znam nawet jej nazwiska. Odmówiono mi do nich

dostępu, chociaż jestem córką byłej pacjentki. – Susan pokręciła głową, marszcząc czoło. – Nie wiem dlaczego. Nie chcą mi powiedzieć, gdzie jest pochowana, i nie mogę nawet odwiedzić jej grobu.

Izzy wychyliła się w jej stronę. Była bardzo poruszona.

– Czy przybrany ojciec był dla pani dobry?

– A jaki to ma związek z naszą rozmową? – spytała Susan, unosząc głowę.

Peg położyła dłoń na stole przed Izzy, tak jakby chciała jej powiedzieć, żeby zwolniła.

– Myślę, że wiem, co Izzy chce powiedzieć, ale wróćmy na chwilę do twojej mamy – spojrzała na Izzy karcącym wzrokiem, który oznaczał „cierpliwości!”, po czym kontynuowała: – Zawsze chciałaś dowiedzieć się o niej czegoś więcej, prawda?

– Oczywiście. – Susan wzruszyła ramionami. – Kto by nie chciał? Przecież każdy chce wiedzieć, kim są jego rodzice.

Złapała kraniec blatu palcami o zadbanych paznokciach i westchnęła.

– Tak naprawdę to nie chciałam jej znać, gdy byłam młodsza. Przerazała mnie sama myśl o tym, że była pacjentką szpitala psychiatrycznego. Gdy trochę dorosłam, zdałam sobie sprawę, jak bardzo ten strach wpłynął na moje życiowe decyzje. Moja przybrana matka nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego nie chciałam wyjść za mąż i mieć dzieci, a ja nigdy nie potrafiłam jej tego wytłumaczyć. Jak miałam jej powiedzieć, że bałam się, że...

– Przekazuje pani dalej geny swojej matki – dokończyła Izzy.

– Zgadza się – odpowiedziała Susan, zaskoczona. – Nie miałam pojęcia, co jest zapisane w moim DNA. Jaka krew płynie w moich żyłach. Bałam

się spytać o to ojca. Był dla mnie bardzo dobry, lecz czasami potrafił szybko się zdenerwować. Gdy zaczęłam się tym interesować i zadawać mu pytania, dostał szału i zabronił mi kiedykolwiek go o nią pytać. Od mojej przybranej matki nie mogłam się niczego dowiedzieć, gdyż ona zawsze słuchała się mojego ojca. A ja nie chciałam jej denerwować lub sprawić przykrości. Była bardzo delikatna, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

– Czy wciąż chcesz znać prawdę o swojej biologicznej matce? – spytała Peg. – Nawet jeśli prawda jest inna od tego, co powiedział ci twój ojciec?

Susan wbiła wzrok w Peg. Zbladła. Do ich stolika ponownie podeszła kelnerka, niosąc dla niej herbatę. Postawiła przed starszą panią biały kubek, miniaturowy srebrny czajniczek i talerzyk z plasterkami cytryny. W kieszeni fartucha zaczęła szukać swojego notatnika. Izzy cicho westchnęła.

– Czy możesz nam dać jeszcze kilka minut? – spytała Peg.

Kelnerka przewróciła oczami i odeszła od stolika.

– Nic nie rozumiem – powiedziała Susan. – Jak możesz wiedzieć cokolwiek o mojej matce?

Peg opowiedziała jej o swojej pracy w muzeum, projekcie związanym z Willard i zadaniu Izzy polegającym na katalogowaniu zawartości walizek i kufrów. Gdy powiedziała, że mają dostęp do akt pacjentów, Susan zrobiła wielkie oczy. Wychyliła się do przodu, łapczywie chwytając każde słowo.

– Izzy dowiedziała się wiele o twojej matce – powiedziała Peg. – Wie o niej więcej ode mnie. Czuła, że musi się z tobą spotkać i powiedzieć ci całą prawdę. Prawdę o tym, co stało się z twoimi rodzicami.

– Moimi rodzicami? – Susan odchyliła się do tyłu. Jej twarz była zachmurzona. – Mój przybrany ojciec nie wiedział, kim był mój biologiczny rodzic.



Izzy wzięła głęboki oddech.

– To zabrzmiało bardzo przykro – powiedziała. – Ale to nieprawda. Doktor Roach o wszystkim wiedział.

– Jak to, o wszystkim? – spytała Susan. – Proszę, po prostu powiedz mi, o co tu chodzi.

– Po pierwsze – powiedziała Peg – chcę, żebyś to wiedziała: nie sądzę, żeby twój ojciec chciał skrzywdzić ciebie i twoją biologiczną matkę w jakikolwiek sposób. W tamtych czasach osoby z chorobami psychicznymi leczono zupełnie inaczej niż dziś i inna była również definicja osoby psychicznie chorej. Twój przybrany ojciec po prostu wykonywał swoje obowiązki, tak jak tego wtedy od niego oczekiwano. Nie wiemy, dlaczego przyjął do Willard twojego biologicznego ojca.

– Zaraz – przerwała jej Susan. Jej broda cała drżała. Ścisnęła usta i starała się powstrzymać łzy. – Chcesz mi powiedzieć, że mój prawdziwy ojciec też był w Willard? Dzięki Bogu, że zaufałam swoim instynktom i nie mam dzieci!

– Nie – powiedziała Izzy, kręcąc głową. – To nie tak.

Wyciągnęła rękę przez stół i położyła swoją dłoń na dłoni Susan, zaskoczona potrzebą pocieszenia osoby, którą dopiero poznała. Drugą ręką wyjęła zdjęcie z torebki.

– Proszę, niech pani na to spojrzy – przesunęła czarno-białą fotografię w stronę Susan.

– To Clara Elizabeth Cartwright i Bruno Moretti – powiedziała. – Pani rodzice. Proszę mi uwierzyć: nie byli chorzy psychicznie.

Susan wychyliła się do przodu. Jej ręce drżały, gdy podnosiła zdjęcie.

– Są piękni – powiedziała z zachwytem i zakryła usta ręką.

– Jesteś do nich bardzo podobna – powiedziała Peg.

– Bruno próbował wydostać Clarę z Willard – powiedziała Izzy. – I wtedy go zamknęli.

– Dlaczego? Kto mógłby zrobić coś takiego? – spytała Susan.

Peg spojrzała na Izzy. Obie wcześniej zdecydowały, że nie powiedzą Susan o swoich przypuszczeniach: o tym, że doktor Roach umieścił Brunona w Willard, by ten nie dowiedział się o tym, że on sam zabrał Susan. Było za wcześnie, by usłyszała coś takiego. Poza tym to wciąż była tylko teoria.

– Nie wiemy – powiedziała.

– Czy kiedykolwiek stamtąd wyszedł?

– Nie wiemy dokładnie, co się stało, gdyż nie wiedziałyśmy o tym, że był jednym z pacjentów – powiedziała Izzy. – Gdybyśmy o tym wiedziały, szukałybyśmy również jego akt, gdy miałyśmy do nich dostęp.

– Może ponownie będziemy mogły je zobaczyć – powiedziała Peg – choć to mało prawdopodobne.

– Cartwright – powiedziała Susan, stukając palcem o brodę. – Znam to nazwisko. Słyszałam je wcześniej. Henry Cartwright i jego żona zginęli w pożarze w Holland Tunnel. Miałam wtedy tylko dwadzieścia lat, lecz pamiętam to dobrze. Wszystkie stacje o tym mówiły, bo był znanym bankierem.

– To byli pani dziadkowie – powiedziała Izzy.

– Skąd możesz to wiedzieć? – Susan uniosła brwi.

Izzy wzięła głęboki oddech i wyjęła dziennik z torebki. Przesunęła go po stole w stronę Susan.

– Tu jest wszystko – powiedziała. – To dziennik pani mamy.

Susan dotknęła zielonej, skórzanej okładki. Otworzyła dziennik na pierwszej stronie. Czytała pierwsze zdania.

– Chciałyśmy, żeby trafił w twoje ręce – powiedziała Peg.

Po długiej chwili Susan podniosła dziennik i przytuliła go do piersi.

– Dziękuję. Naprawdę, bardzo, bardzo wam dziękuję – powiedziała przez łzy. Wzięła ze stołu czarno-białe zdjęcie. Jej usta drżały. – Nie wiem, czy kiedykolwiek będę w stanie się wam odwdzięczyć.

– Musi pani wiedzieć jeszcze jedną rzecz. – Izzy odchrząknęła. Czuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi. – Pani mama nie zmarła przy porodzie. Gdy w zeszłym roku zamknięto Willard, została przeniesiona do domu spokojnej starości. Tutaj, w Ithace.

Susan upuściła zdjęcie i zasłoniła usta dłońmi. Jej oczy były wielkie niczym dwa księżyce.

– Zastanawiałyśmy się – powiedziała Izzy – czy będzie chciała ją pani zobaczyć, gdy skończy pani czytać jej dziennik.

Choć do Święta Dziękczynienia zostały ponad trzy tygodnie, okna i ściany domu spokojnej starości w Ithace były udekorowane wizerunkami indyków i pielgrzymów w czarnych kapeluszach. Izzy szła wraz z Peg i Susan za pielęgniarką w różowym fartuchu. Korytarz był duszny i gorący. Dziewczyna poczuła, jak pot zaczyna skapywać z jej czoła. Zdjęła kurtkę i przewiesiła ją przez ramię, żałując, że nie włożyła cieńszej bluzki. W powietrzu unosił się zapach rosołu i gotowanych ziemniaków, który mieszał się z ostrą wonią płynu dezynfekującego i odorem moczu. Starszy mężczyzna szedł w ich stronę. Powykręcanymi palcami trzymał swój chodzik, a na jego cienkim karku kołysała się głowa naznaczona plamami chorobowymi. Izzy patrzyła prosto przed siebie, starając się nie spoglądać na szpitalne łóżka i chodziki w pokojach pacjentów i ignorować siwowłose kobiety na wózkach inwalidzkich wpatrzone w podkręcone na cały głos telewizory.

Zakłęła pod nosem. To miejsce przypominało jej o własnej matce, leżącej w więziennym szpitalu. Oblizwała usta – były słone od potu. Świat był pełen okaleczonych ludzi i wszystkie szpitale, więzienia i inne instytucje nie były w stanie uleczyć ich złamanych serc, zniszczonych umysłów, zdeptanych dusz. Wzięła głęboki oddech i odgoniła od siebie tanto wspomnienie. Postanowiła się skupić na Clarze i Susan.

Przynajmniej one mogły być dla niej powodem do radości, a nawet dumy: próbowała chociaż naprawić wyrządzoną im krzywdę, uratować chociaż jedno złamane serce.

Mogła to zrobić, jeśli kobieta, którą właśnie szły odwiedzić, to naprawdę Clara Elizabeth Cartwright.

Izzy była przekonana, że pani Trench wiedziała, co mówi. Jednak gdy na parkingu przed domem Susan wyznała jej, że nie jest pewna, czy

kobieta, którą właśnie miała zobaczyć, rzeczywiście jest jej matką, sama zaczęła mieć wątpliwości. Tak jak powiedziała Susan, przez te wszystkie lata mogło zajść wiele pomyłek: tak jak w każdej wielkiej instytucji, akta pacjentów Willard mogły zostać pomieszane, a ich imiona pomyłone. To, że jedna z byłych pielęgniarek twierdziła, że Clara Elizabeth Cartwright to kobieta przebywająca w domu spokojnej starości w Ithace, mogło być fałszywym tropem: przez ostatnie sześćdziesiąt lat do Willard trafiło tysiące kobiet i było bardzo możliwe, że przynajmniej dwie z nich mogły nosić takie samo nazwisko. Prawdopodobieństwo, że mogła zajść pomyłka, było zbyt duże, by mogły z całą pewnością stwierdzić, że odnalazły matkę Susan. Sama Susan ciężko to znosiła, lecz próbowała nie tracić nadziei. Musiała mieć pewność, że ta kobieta jest jej matką, zanim powiedzą o tym komukolwiek, nawet obsłudze szpitala.

Po długim marszu młoda pielęgniarka w końcu zatrzymała się przed drzwiami jednego z pomieszczeń szpitalnych. Odwróciła się, a jej różowy fartuch błyszczał pod światłem jarzeniowych żarówek. Izzy poluzowała kołnierzyk bluzki. Czuła, że brakuje jej tchu.

– Clara jest bardzo miła – powiedziała do nich pielęgniarka. – I na pewno ucieszy się, że ma gości. Jednak muszę was ostrzec: czasami jej pamięć nie działa tak, jak trzeba, i potrafi się zdenerwować, gdy jest zdezorientowana. Lekarze sądzą, że to początek Alzheimera. Wiem, że przyszłyście ją spytać o pobyt w Willard, ale jeśli zobaczę, że to dla niej za dużo, będę musiała was poprosić o opuszczenie pokoju. Jeśli powie wam, że ma córkę, po prostu przytaknijcie. Bardzo się denerwuje, gdy ktoś jej zaprzecza.

Susan zachłysnęła się i położyła ręce na piersiach. Młoda pielęgniarka uśmiechnęła się do nich i otworzyła drzwi.

Pokój był mały i duszny. Znajdowały się w nim tylko dwa łóżka. Stały obok siebie, a na ścianie naprzeciw każdego z nich był umieszczony telewizor. Oba były wyłączone. W pierwszym łóżku spała stara kobieta. Miała otwarte usta, a pomarszczoną twarz zasłoniętą rzadkimi, szarymi włosami. Pielęgniarka minęła ją i podeszła do drugiego łóżka. Wskazała drobną kobietę siedzącą w fotelu, wpatrzoną w okno.

Jej oczy były zamknięte, a głowa odchyłona do tyłu. Miała cienkie, delikatne włosy, które w świetle słońca wpadającego przez szybę wyglądały jak mgła. Powyginanymi palcami obejmowała poręcz fotela. Drobne kości palców jej poplamionych dłoni wyglądały jak upiorny wachlarz. Pomimo że w pokoju panował ukrop, jej nogi były przykryte czerwonym kocem.

– Czy ona śpi? – wyszeptała Peg.

– Nie. – Pielęgniarka pokręciła głową. – Po prostu kiepsko słyszy. Claro! – podniosła głos. – Spójrz, masz gości!

Clara mrugnęła i otworzyła oczy. Wychyliła się do przodu i obróciła w ich stronę, trzymając obiema dłońmi poręcz fotela. Jej wargi zniknęły w głębi ust, a blada, pomarszczona skóra była naznaczona wiekiem i cierpieniem. Przyjrzała się każdej z nich z osobna, delikatnie kręcąc drobną głową.

– Obróć twój fotel, żebyś mogła spokojnie porozmawiać z tymi miłymi paniami – powiedziała głośno pielęgniarka. Podeszła do niej i podała jej sztuczną szczękę. Gdy Clara włożyła ją do ust, jej wargi ponownie wyszły na zewnątrz.

– Panie chcą cię spytać o twój pobyt w Willard. Czy to nie miłe? Pamiętasz Willard, prawda?

Clara wzięła koc w swoje chude ramiona i wstała z fotela. Miała na sobie różowy szlafrok, czerwone kapcie i skarpety do kolan. Czekala, aż

pielęgniarka obróci fotel. Gdy znów w nim usiadła, z powrotem położyła sobie koc na nogach i spojrzała na Izzy, Susan i Peg. Jej wzrok zatrzymał się na Susan o sekundę dłużej. Kobieta wbiła wzrok w podłogę i zaczęła majstrować przy swoim szaliku, bezskutecznie próbując go zdjąć; była cała czerwona. Pielęgniarka zasłoniła kotarę między łózkami.

– Zostawię was teraz same – powiedziała wesołym głosem. – Ale niedługo wrócę. Czy mogę coś jeszcze dla was zrobić?

– Nie, dziękujemy – powiedziała Peg. – Damy sobie radę.

Gdy pielęgniarka wyszła, Susan opadła na fotel w rogu pokoju. Izzy położyła swój plecak na podłodze i dotknęła jej ramienia.

– Wszystko w porządku? – wyszeptała.

Susan masowała sobie skronie.

– Tak – powiedziała, lecz jej głos był słaby.

– Jesteś pewna, że tego chcesz? – cicho spytała Peg. – Może nie jesteś gotowa?

– Jestem. Wszystko ze mną w porządku, naprawdę – powiedziała Susan, kiwając głową.

Peg podeszła do Clary, która przyglądała im się z ciekawością.

– Dzień dobry, Claro – powiedziała. – Jak się masz?

– Dobrze. – Clara uśmiechnęła się lekko. – Na tyle dobrze, na ile można się spodziewać.

Izzy była zaskoczona: głos Clary był niski i zachrypnięty. Spodziewała się, że będzie wysoki, tak jak u młodej dziewczyny.

– Jestem Peg – powiedziała Peg i wstała. – A to moja przybrana córka, Isabelle, i nasza przyjaciółka, Susan. Chciałybyśmy z tobą porozmawiać o twoim pobycie w Willard, jeśli nam na to pozwolisz.

– Proszę bardzo. – Clara skinęła głową.

– Pojechałyśmy do Willard w ramach projektu, nad którym pracujemy dla lokalnego muzeum, i znalazłyśmy tam stare walizki i kufry – powiedziała Peg i skinęła na Izzy, by podała jej swój plecak. – Jeden z nich był naprawdę duży. Sądzymy, że należał do ciebie.

Clara wpatrywała się w nią z kamienną twarzą.

– Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? – spytała Peg.

Clara skinęła głową.

– Chciałybyśmy ci pokazać kilka przedmiotów, które znalazłyśmy w tamtym kufrze – powiedziała Peg. – Może któryś rozpoznasz?

Clara ponownie skinęła głową i położyła ręce na kolanach. Poskręcany kciukiem jednej dłoni masowała przegub drugiej.

Izzy sięgnęła do plecaka, i wyjęła pożółkłą partyturę. Pokazała ją Clarze. Tytułu utworu – *Someone to Watch Over Me* – był otoczony ręcznie namalowanymi serduszkami; kiedyś były czerwone, teraz wyblakły. Clara podniosła wzrok, by przyjrzeć im się lepiej; nagle wydała z siebie zduszony okrzyk. Drżącymi rękoma sięgnęła po kartkę i położyła ją na kolanach; pochyliła się nad nią, przyglądając się jej uważnie.

– To moje – powiedziała w końcu, podnosząc wzrok. – Tę kartkę dał mi ktoś, kto był dla mnie bardzo ważny. Zawsze chciałam nauczyć się grać na fortepianie, lecz mój ojciec nigdy mi nie pozwolił.

Susan przypatrywała im się z rogu pokoju; zasłoniła usta dłonią. Jej oczy były szerokie jak dwa talerze.

– A to? – spytała Izzy, wyciągając pocztówkę z Paryża.

Clara uśmiechnęła się i wzięła ją do ręki.

– Pojechałam na wycieczkę do Paryża, gdy miałam szesnaście lat –



powiedziała i zaśmiała się cicho. – Miałam ją wysłać przyjaciółce, ale zdecydowałam, że zachowam ją na pamiątkę.

Izzy wzięła głęboki oddech i pokazała jej zdjęcie Clary i Brunona. Kobieta wpatrywała się w fotografię, a jej policzki szybko nabierały koloru.

– O, tak – powiedziała. – Czy nie byliśmy piękni?

Sięgnęła po zdjęcie, lecz cofnęła dłoń, jakby bała się go dotknąć. Zagryzła usta i położyła dłonie pod trzęsącą się brodą. Jej oczy były pełne łez.

– Czy pamiętasz te osoby? Wiesz, kim są? – spytała Peg.

– Oczywiście, że wiem – powiedziała Clara łamiącym się głosem. Westchnęła i wytarła nos. – Dawno nie widziałam tego zdjęcia. To było tak dawno, dawno temu.

Chwyciła zdjęcie i przyłożyła je do piersi. W końcu wzięła głęboki oddech i spojrzała na nie jeszcze raz.

– Bardzo wam dziękuję, że mi je przyniosłyście.

Izzy poczuła, że serce staje jej w gardle. Wyjęła z plecaka dziennik Clary. Uklękła przed nią i położyła go jej na kolanach.

– Przepraszam – powiedziała. – Przeczytałam go. Gdybym wiedziała, że pani wciąż żyje, nigdy nie zajrzałabym do środka... – Przerwała i przełknęła ślinę. – Ale to właśnie dzięki temu tu jesteśmy. Tak panią znalazłyśmy.

Clara dotknęła zielonej okładki. Jej palce drżały. Nagle zamarła. Opadła na fotel i westchnęła.

– Więc wiecie już wszystko – powiedziała. – Wiecie, że mój ojciec się mnie pozbył.

– Tak – powiedziała Izzy. – Wiem. Jest mi naprawdę bardzo, bardzo

przykro.

Clara dotknęła dłoni Izzy. Poruszając się jakby w zwolnionym tempie, wzięła zdjęcie i włożyła je do dziennika, który następnie położyła na stoliku obok swojego fotela. Zdjęła koc z kolan i chwyciła obie poręcze. Próbowwała wstać. Izzy również wstała i odsunęła się do tyłu. Serce waliło jej jak młotem. Bała się, że Clara każe im odejść i dać jej spokój, wyjść i nie wracać.

Clara wstała z fotela. Jej drobne ciało kołysało się jak trzcina na wietrze. Wygładziła przód swojego szlafroka i przejechała ręką po rzadkich włosach. Wzięła głęboki oddech i spojrzała na Susan.

– Ty jesteś moją córką – powiedziała. – Prawda?

Susan wstała. Łzy ciekły jej po policzkach.

– Tak myślę – powiedziała.

Clara zakryła usta dłońmi. Jej twarz jakby się zapadła. Ruszyła w stronę Susan z wyciągniętymi ramionami. Susan podbiegła do niej i obie kobiety uściśniły się mocno, płacząc i śmiejąc się jednocześnie.

– Wiedziałam, że to ty, od chwili, w której cię zobaczyłam – powiedziała Clara. – Masz oczy Brunona. I mój nos.

– Jesteś pewna? – roześmiała się Susan.

– W pierwszej chwili nie byłam pewna – powiedziała Clara. – Ale w głębi serca wiedziałam, że to ty.

Po długiej chwili Clara puściła Susan i otarła jej twarz z łez. Ruszyła z powrotem w stronę swojego fotela, szurając kapciami po podłodze.

– Chodź, usiądź ze mną – powiedziała do Susan.

Kobieta przysunęła krzesło do jej fotela i wzięła ją za rękę.

– Próbowalam cię odnaleźć – mówiła, pociągając nosem. – Ale to było

niemożliwe. Nie wiedziałam nawet, czy w ogóle żyjesz, czy ja...

Clara dotknęła jej policzka, wycierając jej łzy swoimi delikatnymi palcami.

– Już, już – powiedziała. – To już nieważne. Teraz jesteśmy razem. Tylko to się liczy. Wiedziałam, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Tylko myśl o tej chwili pozwoliła mi przetrwać te wszystkie lata.

– A mój ojciec? – spytała Susan. – Czy wciąż żyje?

Clara pokręciła głową. Jej oczy były pełne łez.

– Bruno próbował mnie uratować – powiedziała. – Mieliśmy plan ucieczki. Chcieliśmy cię szukać. Prawie nam się udało. Złapali nas na samym końcu. Bruno zawrócił, by uratować człowieka, który nam pomagał, i jeden z sanitariuszy uderzył go w głowę. On... on nie przeżył.

– O Boże! – Głos Susan drżał. – Tak bardzo, bardzo mi przykro.

– Nie – powiedziała Clara, dusząc swój szloch. – To mnie powinno być przykro. Gdybym tylko posłuchała swoich rodziców i zrobiła to, czego ode mnie chcieli... Bruno wciąż by żył, a my byłybyśmy razem przez te wszystkie lata.

– Przestań. – Susan uścisnęła jej dłoń. – Nie mów tak. Nie mogłaś wiedzieć, co się wydarzy.

– Chcę, byś wiedziała, że zrobiłabym wszystko, by cię zatrzymać – powiedziała Clara. – Gdybym tylko mogła. Willard nie było miejscem dla dziecka. Nie było dnia, żebym o tobie nie myślała. Wierzyłam, że kiedyś wyjdę na zewnątrz i cię odnajdę. Przeszukałabym cały świat, aż do krańców ziemi... – Przerwała. Po jej nosie ściekały łzy.

– Wiem – powiedziała Susan i objęła Clare ramionami. Ścisnęła swoją matkę i głaskała ją po plecach. – To nie twoja wina. Teraz jesteśmy razem

i możemy nadrobić stracony czas. Od tej chwili przeszłość nie ma znaczenia. Patrzymy tylko do przodu.

– Tak. Masz rację – powiedziała Clara drżącym głosem i wytarła nos. Odsunęła się od córki i spojrzała jej w twarz. – Ale muszę wiedzieć jedną rzecz. Czy zostałeś adoptowana? Czy byłeś szczęśliwa?

– Tak. – Susan skinęła głową, uśmiechając się przez łzy. – Zostałam adoptowana i przez większość życia byłam naprawdę szczęśliwa.

Spojrzała na Peg i Izzy. Wcześniej powiedziała im, że jeśli ta kobieta okaże się jej matką, nie powie jej o doktorze Roachu. Nie chciała rozdrapywać starych ran. Clara wystarczająco dużo wycierpiała.

– Dali ci na imię Susan – powiedziała Clara.

– Susan Clara – odpowiedziała Susan.

– Ja nazwałam cię Beatrice – odpowiedziała Clara. Uśmiechnęła się. – Beatrice Elizabeth Moretti.

– To piękne imiona – powiedziała Susan.

Clara spojrzała na Izzy.

– Czy będę kiedykolwiek w stanie ci się odwdzięczyć za to, że zwróciłaś mi moją córkę?

Izzy uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

– To było coś, co po prostu musiałam zrobić.

– Musisz być z niej szalenie dumna – powiedziała Clara.

– Jestem – odpowiedziała Peg i objęła Izzy ramieniem.

Do pokoju weszła pielęgniarka. Spojrzała na Clarę i zmarszczyła czoło.

– Co tu się dzieje? – spytała. – Claro? Czy wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

– Czuję się świetnie – odpowiedziała Clara. – Czuję się doskonale. Nie

czułam się tak dobrze od wielu, wielu lat. Jennie, chciałabym ci przedstawić moją córkę, Susan.

Pielęgniarce opadła szczęka, jej oczy zrobiły się wielkie.

– Miło mi cię poznać. – Susan podeszła do niej i podała jej rękę.

– Przecież zawsze mówiłam ci, że mam córkę – powiedziała Clara. – Ale nikt mnie nigdy nie słuchał. A to historia mojego życia.

Zaśmiała się, a w jej oczach pojawił się blask.

Gdy Izzy wręczała Clarze resztę jej zdjęć i listów do Brunona, Susan spytała pielęgniarkę o zdrowie swojej mamy. Po chwili uklękła przy niej.

– Jennie powiedziała mi, że nie masz większych problemów ze zdrowiem – powiedziała.

– Skoro tak mówi, to chyba rzeczywiście nie mam – powiedziała Clara.

– Po prostu jestem już stara i obolała, i czasami potrafię o czymś zapomnieć.

– Może chciałabyś ze mną zamieszkać – spytała Susan. – Mam wielki, stary dom niedaleko stąd. Ma duży ogród, a oprócz mnie mieszkają w nim dwa psy. To nic specjalnego, ale powinno wystarczyć.

Clarze zadrżały usta.

– Nie miałam własnego domu od sześćdziesięciu sześciu lat – powiedziała cicho.

– Teraz możesz mieć – powiedziała Susan. – Mój dom może być także twoim domem, jeśli tylko zechcesz. Jestem już na emeryturze, więc zawsze byłabym przy tobie.

Clara uśmiechnęła się. W jej oczach ponownie pojawiły się łzy.

– Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie – powiedziała.

Gdy Izzy wróciła do domu po lekcjach w czwartek, od razu pobiegła do kuchni. Ślinka ciekła jej na samą myśl o słynnych czekoladowych ciasteczkach Harry’ego, które czekały na nią pod szklaną pokrywką na blacie. Nie mogła doczekać się chwili, gdy naleje sobie wielką szklankę mleka i pochłonie trzy albo nawet cztery. Harry piekł je co dwa tygodnie; nigdy wcześniej nie jadła czegoś tak dobrego. Rzuciła plecak na podłogę, powiesiła kurtkę na wieszaku i zatrzymała się w pół kroku. W ciągu ostatnich dwóch tygodni tyle się wydarzyło – pogrzeb jej mamy, spotkanie z panią Trench, pierwsza randka z Ethanem, odnalezienie Clary i jej córki – że zupełnie zapomniała, jaki był dziś dzień.

Peg i Harry stali przy stole w kuchni. Oboje uśmiechali się szeroko. Zamiast ciastek na Izzy czekały białe róże i czekoladowy tort – z osiemnastoma płonącymi świeczkami, których płomienie odbijały się w ich oczach. Różowe baloniki unosiły się pod sufitem, a doczepione do nich serpentyny wyglądały jak pastelowy deszcz. Peg i Harry śpiewali „Sto lat, sto lat!”, Izzy ledwo powstrzymała łzy. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś przygotował dla niej imprezę urodzinową i zaśpiewał jej *Sto lat*. Jak na ironię właśnie tych urodzin obawiała się najbardziej.

– Pomyśl życzenie! – powiedziała Peg.

– Dobrze – odpowiedziała Izzy, rumieniąc się. Ręką odgarnęła włosy do tyłu i zdmuchnęła świece.

– Powiedziałem Peg, że powinniśmy zaczekać i zaśpiewać ci dopiero po obiedzie – powiedział Harry. – Ale ona nie mogła się powstrzymać. Bardzo chciała cię zaskoczyć.

– Dziękuję – powiedziała Izzy. – Nie musieliście kupować dla mnie tortu.

– A właśnie że musieliśmy! – powiedziała Peg. Podeszła do Izzy

i przytuliła ją. – Mamy dla ciebie więcej niespodzianek.

Podeszła do stołu i odsunęła jedno z krzesel.

– Ale one mogą zaczekać. Czy możemy najpierw o czymś porozmawiać?

Izzy usiadła na krześle. Jej serce biło coraz szybciej. Peg położyła ręce na stole i wzięła głęboki oddech. Wypuszczała powietrze powoli. Przełknęła ślinę i chrząknęła, jakby nie wiedząc, od czego ma zacząć. Nagle Izzy poczuła zimne ukłucie smutku. *To koniec, pomyślała. Teraz mi powiedzą, że już ich na mnie nie stać i że muszę odejść. To przyjęcie wydali nie na moje urodziny, ale na pożegnanie.*

– Wiem, że niedawno straciłaś mamę – powiedziała Peg. – Ale od dłuższego czasu rozmawiałam o tobie z Harrym. Wszystko przygotowaliśmy i... wiem, że to musi być twoja decyzja, ale...

Spojrzała na Harry'ego, wzrokiem prosząc go o pomoc. Harry wyszedł zza blatu, wycierając ręce w spodnie.

– Od tej chwili jesteś dorosła – powiedział. – Więc masz pełne prawo sądzić, że to nie jest dobry pomysł. Ale my... – Usiadł i wziął Peg za rękę.

– Chcielibyśmy cię adoptować, Izzy. Wiem, że pewnie myślisz, że nie potrzebujesz... ale my naprawdę chcielibyśmy zostać twoimi rodzicami.

Izzy zaniemówiła. Zabrakło jej tchu. Peg wzięła jej dłoń w swoją.

– Kochamy cię i chcemy cię wspierać – powiedziała łamiącym się głosem. – Przed tobą jeszcze wiele trudnych decyzji, które są zbyt ciężkie dla jednej osoby. Chcielibyśmy ci pomóc. Zobaczyć, jak idziesz na studia i odnajdujesz swoje prawdziwe powołanie, realizujesz swój pełen potencjał. Być przy tobie, gdy kiedyś wyjdiesz za mąż... – Jej oczy były pełne łez. – Harry byłby zaszczycony, gdyby mógł zaprowadzić cię do ołtarza. Oboje bardzo chcielibyśmy zostać dziadkami.

Izzy ścisnęła usta. Trzęsła się jej broda, gdy próbowała je otworzyć i powiedzieć im, że tak, chce być ich córką, że pragnie tego bardziej niż czegokolwiek innego. Chciała im to powiedzieć, lecz nie mogła wydobyć z siebie słowa.

– Co ty na to, dzieciaku? – spytał Harry.

Izzy skinęła głową, uśmiechając się. Peg aż pisnęła z radości i zakryła usta dłońmi. Wszyscy troje wstali i objęli się w mocnym uścisku. Izzy zamknęła oczy, czując, jak wszyscy płaczą. Zastanawiała się, jak to możliwe, jak może być tak szczęśliwa po tych wszystkich cierpieniach. Przytuliła Peg i Harry'ego jeszcze mocniej, pozwalając, by ich silne ramiona przegoniły jej wszystkie obawy i cały strach.

– Dałaś nam tyle szczęścia – powiedziała Peg, pochlipując.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

– Proszę wejść! Otwarte! – powiedział Harry.

Alex i Ethan weszli do kuchni z rękami pełnymi prezentów.

– Wszystkiego najlepszego! – powiedzieli jednocześnie. Za nimi stały rozpromienione Clara i Susan.



## OD AUTORKI

Pisząc *To, co zostawiła*, korzystałam z następujących książek: *The Lives They Left Behind: Suitcases from a State Hospital Attic* Darby Penney i Petera Stastny'ego, *Ten Days in a Mad-House* Nellie Bly i *Women of the Asylum: Voices from Behind the Walls 1840–1945* Jeffreya L. Gellera i Maxine Harris. Te publikacje pomogły mi zrozumieć, jak wyglądało życie w zakładach dla psychicznie chorych, jednak moja książka nie jest powieścią historyczną i nie aspiruje do tego miana. Jest jedynie moim osobistym wyobrażeniem losu osoby umieszczonej w takim zakładzie wbrew własnej woli. Wszystkie postacie występujące w książce są całkowicie fikcyjne. Niektóre z opisywanych przez mnie miejsc, takie jak Dom na Long Island i szpital Willard, istnieją naprawdę. Chapin Hall i połączone z nim oddziały i budynki również istniały. W Willard działały też specjalne, oddzielone od reszty oddziały dla pacjentów: Pines, Maples, Sunnycroft i Edgemere. Każdy z nich miał własną kuchnię, stołówkę, pokoje, biuro nadzorcy i kotłownię. Na potrzeby fabuły wykorzystałam zarówno wcześniejsze, jak i późniejsze metody terapii i leczenia pacjentów: „łóżko Utica”, czyli zamykaną, drewnianą klatkę, wycofano w 1887 roku; leczenie wstrząsami insulinowymi pierwszy raz zastosowano w 1935 roku, a elektrowstrząsy w 1938. Psychologowie zaczęli pracować w większości państwowych zakładów psychiatrycznych dopiero w 1960 roku.

NA NASTĘPNYCH STRONACH  
ZNAJDĄ PAŃSTWO  
EKSKLUZYWNY WYWIAD  
Z ELLEN MARIE WISEMAN!

## **Co zainspirowało panią do napisania *To, co zostawiła*?**

Zawsze interesowały mnie szpitale dla psychicznie chorych, to, jak kiedyś leczono pacjentów z chorobami psychicznymi i jak przez lata ewoluowały nasze metody leczenia oraz wiedza na ten temat. Często się zastanawiałam, jak bym się czuła, gdybym trafiła do takiego miejsca wbrew swojej woli. Gdy przeczytałam o Wystawie Walizek z Willard – kolekcji walizek pacjentów odnalezionych na strychu szpitala, od razu wiedziałam, że to temat dla mnie. W ten sposób poznałam *The Lives They Left Behind: Suitcases from a State Hospital Attic* Darby Penney i Petera Stastny'ego. W tej książce autorzy podjęli próbę odtworzenia losów ludzi na podstawie zawartości ich walizek i kufrów – ludzi, którzy trafili do szpitala psychiatrycznego i już nigdy go nie opuścili. To naprawdę fascynująca i zapadająca w pamięć książka; każdy z nas mógłby odnaleźć część siebie w tych historiach i przedmiotach. Gdy tylko skończyłam ją czytać, wiedziałam, że chcę opisać znalezienie tych walizek i to jak mogło wyglądać życie pacjenta takiego szpitala.

## **Jak czuła się pani, badając historię takich ośrodków?**

Z bolącym sercem czytałam o osobach wysłanych do takich szpitali – w większości przypadków spędzali tam resztę swojego życia. Do szpitali psychiatrycznych trafiali głównie w związku z problemami emocjonalnymi lub finansowymi. Część z nich była naprawdę chora psychicznie, lecz wielu pacjentów dawniej wysyłano do zakładów psychiatrycznych z zupełnie innych powodów: byli bezdomni, cierpieli na depresję, byli homoseksualistami, alkoholikami i byli przygnębieni z powodu rozwodu,

kłopotów rodzinnych, przemocy w związku lub utraty dzieci. Do szpitala psychiatrycznego mogła trafić osoba, która po prostu nie umiała znaleźć pracy lub publicznie okazała swój gniew. W drugiej połowie XIX wieku doktor Judson B. Andrews napisał artykuł naukowy pod tytułem *Early Indications of Insanity*, w którym doradzał rodzinom osób podejrzanych o chorobę psychiczną zwracanie uwagi na występowanie u nich „koszmarów sennych i kłopotów ze snem, ciągłego bólu głowy i wyolbrzymiania emocji, nadmiernej religijności i zmian w nawykach ubraniowych i higienie osobistej”.

Kobiety były szczególnie narażone na długotrwałą zsyłkę do szpitala psychiatrycznego. Mężczyźni mogli tam wysłać swoje „krnąbrne” żony, a lekarze – również mężczyźni – zwykle bardzo chętnie im w tym pomagali. Wiele kobiet pracowało jako pomoc domowa i miało bliski kontakt ze swoimi pracodawcami. Każde złe zachowanie lub kłótnia mogły być uznane za oznakę choroby psychicznej. Pod koniec pierwszego roku działalności w Willard kobiet było czterokrotnie więcej od mężczyzn. Jedna z nich trafiła tam, bo miała depresję, i spędziła tam resztę życia. Zmarła po siedemdziesięciu pięciu latach pobytu, w wieku stu jeden lat. Do szpitali czasami trafiali również imigranci, którzy często nie mieli wielu znajomych w nowym środowisku. Ich rodziny w krajach, które opuścili, nie miały pojęcia, co się z nimi stało. Wielu „szalonych” pacjentów zostało odesłanych do publicznych szpitali psychiatrycznych z innych szpitali stanowych. Przybywali w grupach liczących sto i więcej osób. Wsadzano ich w zatłoczone pociągi i autokary; nie mieli pojęcia, dokąd są wywożeni. Prawie połowa z 54 tysięcy osób, które trafiły do Willard, zmarła w ośrodku.

## **Co najbardziej panią zaskoczyło, gdy zbierała pani informacje przed napisaniem książki?**

Dowiedziałam się, że przymusowa sterylizacja była powszechnym zabiegiem w państwowych szpitalach od 1910 roku do końca drugiej wojny światowej. Została zaniechana, gdyż zaczęto ją porównywać do nazistowskich zabiegów medycznych, chociaż w niektórych szpitalach na południu kraju sterylizowano pacjentów bez ich zgody aż do lat sześćdziesiątych. Odkryłam, że Stany Zjednoczone były pierwszym krajem, w którym zastosowano przymusową sterylizację w celach eugenicznych, czyli w myśl pseudonauki skupionej na doskonaleniu cech dziedzicznych gatunków i ras, osiąganym zwykle przez wybiórcze rozmnażanie i właśnie sterylizację, którą stosowano głównie wobec psychicznie chorych. W okresie od 1907 do 1963 roku ponad 64 tysiące osób – w tym ludzie, którzy nie cierpieli na żadną chorobę psychiczną – zostało przymusowo wysterylizowanych wskutek eugenicznych przepisów prawa Stanów Zjednoczonych. Według Edwina Blacka, autora *War Against the Weak: Eugenics and America's Campaign to Create a Master Race*, kolejną z metod powszechnie używanych do pozbycia się „gorszej” części ludności była eutanazja. Raport Carnegie Institute z 1911 roku zalecał eutanazję jako jedno z „rozwiązań”, które pozwolą oczyścić społeczeństwo z niechcianych genów. Najczęściej sugerowaną metodą przeprowadzenia eutanazji były komory gazowe. Jednakże wiele osób zaangażowanych w ruch eugeniczny nie było przekonanych, że Ameryka jest gotowa na program eutanazji na wielką skalę. Wielu lekarzy musiało się bardzo starać, by po cichu przemycić eugeniczną eutanazję do rozmaitych instytucji medycznych. W jednym ze szpitali świeżo przyjętym pacjentom podawano mleko

zainfekowane gruźlicą – sądzono, że genetycznie sprawne jednostki okażą się na nią odporne. Efektem była 30- lub nawet 40-procentowa umieralność w ciągu roku. Inni lekarze stosowali eutanazję, celowo zaniedbując swoich pacjentów, co również kończyło się ich śmiercią.

### **Czego dowiedziała się pani o terapiach, jakie przechodzili pacjenci szpitali psychiatrycznych?**

Ponieważ substancje psychotropowe odkryto dopiero w połowie lat pięćdziesiątych, jedynymi lekami, jakie mogli otrzymywać pacjenci, były środki uspokajające. Pacjentów z objawami psychiatrycznymi wywołanymi syfilisem leczono arsenikiem i zarażano malarią! W Willard nie było psychologów aż do lat sześćdziesiątych, a pacjentów bardzo rzadko oglądał lekarz. Według Darby Penney, współautorki *The Lives They Left Behind*, niektórzy pacjenci nie widzieli lekarza przez dziesiątki lat. W latach trzydziestych, w epoce, w której umieściłam historię Clary, stosowano lodowatą kąpiel, rękodzieło i rzemiosło oraz ćwiczenia fizyczne. Później wprowadzono terapię insulinową i elektrowstrząsy. Nie znalazłam żadnego dowodu na to, że w Willard przeprowadzano lobotomie. Pacjenci, którzy byli sprawni fizycznie, nie ulegali urojeniom i nie stwarzali zagrożenia dla otoczenia, musieli pracować, co uważano za dobrą terapię.

### **Co jeszcze może nam pani powiedzieć o szpitalu Willard?**

Willard był uzależniony od nieodpłatnej pracy swoich pacjentów; potrzebował jej, by się utrzymać, tak jak większość szpitali publicznych. Posiadał prawie 250 arów pól uprawnych, szklarnię, mleczarnię, stajnie,

kurniki, chlewy i stodoły, gdzie przetwarzano praktycznie całe jedzenie na potrzeby szpitala. Na stanowiskach przemysłowych wytwarzano ubrania, buty, miotły, kosze, mydło i trumny. Oprócz tego istniały tam pralnie, piekarnie, kuchnie, rzeźnia, pomieszczenia do stolarki i obróbki drewna, zakład murarski i kuźnia, a także kotłownia, w której spalano węgiel dostarczony przez pacjentów na taczkach ze szpitalnego węzła kolejowego. To wszystko było nadzorowane przez opłaconych pracowników, lecz większość robót wykonywali pacjenci – pracowali w polu, kopali rowy pod nowe zabudowania, czyścili szpitalne oddziały i biura, podawali posiłki i służyli w luksusowym domu nadzorcy.

**Swoją pierwszą powieść, *The Plum Tree*, oparła pani na doświadczeniach własnej matki – młodej kobiety dorastającej w Niemczech. Pani bohaterka próbuje uratować miłość swojego życia – żydowskiego mężczyznę – podczas chaosu drugiej wojny światowej. Jak bardzo różniła się pani praca nad *To, co zostawiła*?**

Największą różnicą było zastosowanie w nowej powieści dwóch linii chronologicznych – musiałam stworzyć dwie różne historie i następnie je ze sobą połączyć tak, aby to wszystko miało sens. Było to znacznie trudniejsze, niż się spodziewałam!

**Co łączy *The Plum Tree* i *To, co zostawiła*?**

Bohaterki obu powieści – Christine w *The Plum Tree* i Clara w *To, co zostawiła* są młodymi kobietami, którym odebrano szansę na normalne życie. Fabuła obu książek dzieje się w epoce wielkich zmian społecznych.

Christine cierpi, bo musi żyć w trudnych czasach, dotkniętych potwornym kryzysem gospodarczym, wojną i nietolerancją jej rządu dla pewnej grupy ludzi. Clara cierpi, bo w jej świecie wybuchł krach na giełdzie, przez oczekiwania, jakie wobec kobiet miał jej ojciec i całe społeczeństwo, i – odkąd zostanie zdiagnozowana jako psychicznie chora – również przez nietolerancję jej rządu dla pewnej grupy ludzi. Bardzo możliwe, że zanim Clara trafiła do szpitala, mogła zobaczyć te same plakaty, które widziała Christine – zachęcające do „pozbycia się” grupy ludzi uznanej za niewartą utrzymywania przez resztę społeczeństwa. Amerykański plakat eugeniczny z 1925 roku głosił, że „pewni ludzie rodzą się tylko po to, by być obciążeniem dla reszty społeczeństwa”. Przypominał obywatelom, że co szesnaście sekund przychodzi na świat kolejne dziecko, a opieka nad ludźmi ze złymi genami – osobami szalonymi, głupkami, przestępcami i innymi „wadliwymi” – kosztuje każdego z nich sto sześćdziesiąt dolarów. Obu kobietom nie pozwolono poślubić mężczyzn, których kochały – Christine nie mogła wyjść za Isaaca, bo był Żydem, a Clara nie mogła poślubić Brunona, bo był biednym imigrantem. Obie zbuntowały się przeciwko temu, co usiłowano im narzucić: Christine przeciw gestapo, a Clara przeciwko swojemu ojcu i lekarzom w Willard. Obie przeszły straszne cierpienia, zadane im przez państwowych, systemowych oprawców, których nie obchodziła ludzka godność – Christine w Dachau, a Clara w Willard. Obie kobiety nigdy się nie poddały i nie porzuciły nadziei, i robiły, co mogły, by zmienić swoje życie na lepsze.



TYTUŁ ORYGINAŁU:

*What She Left Behind*

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja i językowe opracowanie tekstu: Agata Wawrzaszek, Anna  
Skowrońska

(Cała Jaskrawość, [www.calajaskrawosc.pl](http://www.calajaskrawosc.pl))

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © ehrlif (Shutterstock.com)

Copyright © 2014 by Ellen Marie Wiseman

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE,  
an imprint of ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Alicja Laskowska

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.  
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki  
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania  
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne

Białystok 2017

ISBN 978-83-65506-55-9



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

[www.facebook.com/kobiece](http://www.facebook.com/kobiece)



[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: [redakcja@wydawnictwokobiece.pl](mailto:redakcja@wydawnictwokobiece.pl)

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

[www.wydawnictwokobiece.pl](http://www.wydawnictwokobiece.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)